

Drow tropiciel Drizzt Do'Urden pojawił się po raz pierwszy w Trylogii Doliny Lodowego Wichru i szybko stał się jednym ze sztandarowych bohaterów fantasy. Trylogia Mrocznego Elfa (jest jej pierwszym tomem) opowiadała niezwykłą historię pewnego samotnego drowa, który opuścił głąbiny Podmroku, porzucając społeczeństwo oparte na złości i rodzinę, która chciała widzieć go martwym. To właśnie na kartach Ojczyzny tak naprawdę rozpoczęła się historia tego niesamowitego mrocznego elfa.

* * *

Miliony czytelników odkryły już magię powieści R. A. Salvatore'a osadzonych w świecie Zapomnianych Krain. To nowe wydanie sagi o mrocznym elfie prezentuje jego przygody w porządku chronologicznym i przedstawia kolejnemu pokoleniu LEGENDĘ DRIZZTA.

FORGOTTEN REALMS

R.A. SALVATORE

OJCZYŻNA

Tłumaczenie:

Piotr Kucharski i Tomasz Malski

Tytuł oryginału:

THE LEGEND OF DRIZZT BOOK I: HOMELAND

LEGENDA DRIZZTA

Ojczyzna

Wygnanie

Nowy Dom

Kryształowy Relikt

Strumienie Srebra

Klejnot Haljlinga

Dziedzictwo

Bezgwiezdna Noc

Mroczne Oblężenie

Droga do Świtu

Bezgłońska Klinga

Grzbiet Świata

Sługa reliktu

Morze Mieczy
Tysiąc Orków
Samotny Drow
Dwa Miecze

PRZEDMOWA

Dawno, dawno temu, pewien mroczny elf, który szedł przez całą noc, a teraz dalej brnął przez ściętą lodem tundrę, choć na niebie świeciło już słońce, wkroczył w nasze życie.

A Zapomniane Krainy stały się jeszcze bardziej realne.

Stworzyłem Krainy ponad trzydzieści pięć (rety!) lat temu i przez pierwsze dwadzieścia był to w mniejszym lub większym stopniu tylko mój świat. Mówię „w mniejszym lub większym stopniu”, ponieważ grupa bardzo utalentowanych, błyskotliwych i wymagających graczy zasypywała mnie pytaniami i wciąż domagała się ode mnie kolejnych szczegółów, kolejnych wyjaśnień, kolejnych osób, które mogliby poznać, skarbów, którymi mogliby się napawać oraz intryg i tajemnic, które mogliby rozwiązać.

Otwarcie wrót Krain dla szerszej publiczności nie było proste i czasem czułem się jak konferansjer w cyrku pełnym artystów, którzy w chwili, w której znaleźli się w świetle reflektorów, wpadali w taką euforię, że często zaczęli improwizować, doprowadzając do rozpaczliwej konferansjera, który zaczynał wyrwać sobie włosy z głowy (a w moim przypadku - brody). Wiem, że wielu redaktorów zajmujących się Krainami od czasu do czasu czuje się podobnie.

Jednym z powodów, dla których podzieliłem się Krainami, był fakt, że istniała jedna jedyna rzecz, której mój świat nie mógł dla mnie zrobić tak długo, jak pozostawał wyłącznie mój: zaskoczyć mnie. Chciałem być zaskakiwany i zadziwiany, chciałem odkrywać nieznaną zakątki Krain, zamiast zawsze wysuwać się na prowadzenie i samemu wymyślać wszystkie szczegóły. Chciałem, że Krainy ożyły dla mnie.

Moją szansą było pozwolenie innym twórczym ludziom na wkroczenie do Krain i opowiedzenie swoich historii. Szczególnie spodobały mi się pierwsze trzy próby. *Cień Elfa* Elaine Cunningham, ponieważ uchwyciła klimat Waterdeep, od Elaith w górę. *Lazurowe Wieży* Jeffa Grubba i Kate Novak, ponieważ ich bohaterowie byli wystarczająco zabawni, aby być mile widzianymi w moich Krainach. Oraz Drizzt Do'Urden Boba Salvatore.

Zastanawialiście się, kiedy wspomnę o Drizzcie, co?

Prawdę mówiąc, porwał mnie nie tylko Drizzt. Dokonali tego wszyscy bohaterowie Boba, od Bruenora, Wulfgara, Regisa i Cattiebrie po Artemisa Entreriego, a później (w Ojczyźnie, którą wciąż uważam za najlepszą powieść osadzoną w Zapomnianych Krainach, jaka do tej pory powstała) ojca Drizzta, Zaknafeina. Bob tchnął życie w drowy z gry AD&D (która z kolei zaadaptowała je z legend prawdziwego świata) i dał nam okrutne, bizantyńskie i pociągające

podziemne społeczeństwo walczących drowich miast i arystokratycznych rodzin. Ofiarował nam też fikcyjne uciechy wykraczające poza krwawe sceny bitewne, opisując miłość, zemstę, dojrzewanie, lojalność i więzy rodzinne.

Książki doskonale się sprzedawały, a Drizzt stał się doskonale znany szerszemu gronu czytelników fantasy, nie tylko graczom. A dlaczego? Ponieważ R.A. Salvatore naprawdę potrafi opowiadać historie.

Historie, które można czytać wiele razy, co jest wyznacznikiem dobrego pisarstwa. Nie pozwólcie profesorem, krytykom i snobom wmówić sobie, że jest inaczej: jeśli oczaruje was historia snuta przez gawędziarza przy ognisku, to jest to dobra opowieść. Jeśli nie chcecie, żeby kiedykolwiek się skończyła, albo chcecie słuchać jej w kółko, jest skarbem... a w życiu nigdy nie można mieć za wielu skarbów.

Ta książka może się okazać jednym z nich.

Był jeszcze jeden powód, dla którego wręczyłem klucze do Krain różnym pisarzom i graczom, a mianowicie jedną z przyjemności, jakie czerpię z grania i pisania, jest poznawanie nowych przyjaciół.

Czuję się zaszczycony, że Bob Salvatore jest jednym z nich. Co za facet!

Ed Greenwood

Realmskeep

Sierpień, 2003

DRAMATIS PERSONAE

Alton DeVir

Młody drow, student Sorcere

Belwar Dissengulp

Gnom głębinowy, strażnik wydobywania prowadzący górniczą ekspedycję w pobliżu Menzoberranzan.

Berg'inyon Baenre

Syn matki opiekunki Baenre, trenuje w Melee - Magthere razem z Drizztem Do'Urdenem.

Briza Do'Urden

Najstarsza córka opiekunki Malice, wysoka kapłanka Lolth.

Dinin Do'Urden

Drugi chłopiec domu Do'Urden, syn opiekunki Malice i mistrz Melee - Magthere.

Drizzt Do'Urden

Syn opiekunki Malice, młody wojownik o fioletowych oczach, niespotykanych wśród drowów. Książę służebny, a później drugi chłopiec domu Do'Urden i uczeń Melee - Magthere.

Gromph Baenre

Syn opiekunki Baenre, arcyomag Menzoberranzan.

Guenhwyvar

Magiczna czarna pantera wzywana z Planu Astralnego za pomocą onyksowego posążka.

Hatch'net

Mistrz Wiedzy w Melee - Magthere.

Kelnozz

Drow z gminu trenujący w Melee - Magthere.

Masoj Hun'ett

Uczeń czarodzieja. Szkoli Drizzta (w Sorcere) w jego ostatnim roku nauki w Akademii.

Opiekunka Baenre

Matka opiekunka pierwszego domu, nominalna władczyni Menzoberranzan.

Opiekunka Ginafae

Matka opiekunka domu Devir i wysoka kapłanka, która popadła w niełaskę Lolth.

Opiekunka Malice

Matka opiekunka domu Do'Urden. Biegła w sporządzaniu mikstur i eliksirów.

Opiekunka SiNafay

Matka opiekunka domu Hun'ett i wysoka kapłanka Lolth.

Maya Do'Urden

Córka opiekunki Malice.

Methil

Illithid mieszkający w twierdzy Baenre.

Nalfein

Starszy chłopiec domu Do'Urden, syn opiekunki Malice, czarodziej.

Pozbawiony Twarzy

Czarodziej i mistrz Akademii, który wskutek eksperymentu stracił rysy twarzy. Naprawdę nazywa się Gelroos Hun'ett.

Rizzen

Drow wojownik i obecny opiekun domu Do'Urden.

Shar Nadal

Drow z domu Maevret.

Vierna Do'Urden

Córka opiekunki Malice, której powierzono zadanie wychowania Drizzta i przygotowania go do życia w społeczeństwie drowów.

Zaknafein

Najlepszy fehmistrz w Menzoberranzan i były opiekun domu Do'Urden.

MEMU NAJLEPSZEMU PRZYJACIELOWI, MEMU BRATU, GARY'EMU.

PRELUDIUM

Gwiazdy nigdy nie zdobią tego świata swym poetyckim blaskiem, a słońce nie dociera do niego ze swymi promieniami ciepła i życia. To Podmrok, tajemny świat pod tętniącą życiem powierzchnią Zapomnianych Krain, którego niebem jest nieczuły kamień, a ściany pokazują obojętność śmierci, gdy oświetlane są przez pochodnie zapuszczających się tu głupich mieszkańców powierzchni. To nie ich świat, to nie świat światła. Większość nieproszonych gości nigdy go nie opuszcza.

Ci, którym uda się wrócić bezpiecznie do domów na powierzchni, wracają odmienieni. Ich oczy widziały cienie i mrok, wszechogarniającą zgubę Podmroku.

Mroczne korytarze wiją się zakrętami przez ciemne królestwo, łączą jaskinie wielkie i małe, o sklepieniach wysokich i niskich. Stosy kamieni niczym ostre kły czekają w milczącej groźbie, że podniosą się nagle i zagrodzą śmiałkom drogę.

Panuje tu cisza, wszechobecna i absolutna, sugerująca, że w pobliżu poluje drapieżnik. Często jedynym dowodem dla podróżujących przez Podmrok, że nie stracili jeszcze słuchu, jest odległy odgłos kapiącej wody, pulsujący jak serce bestii, prześlizgujący się po milczących kamieniach i docierający do ukrytych jezior lodowatej wody. Można tylko zgadywać, co kryje się pod powierzchnią nieruchomych wód. Jakie tajemnice czekają na śmiałków, jakie potwory czekają na głupców, może odkryć tylko wyobraźnia - aż do chwili, kiedy coś przerwie ciszę.

Taki jest Podmrok.

* * *

Istnieją w nim oazy życia, miasta równie duże, jak te na powierzchni. Za którymś z niezliczonych zakrętów podróżnik może się natknąć na rogatki takiego miasta, rażący kontrast dla pustki kamiennych korytarzy. Miejsca te nie są jednak bezpieczne i tylko głupiec mógłby je za takie uznać. Są domem dla najbardziej niegodziwych ras w Krainach, przede wszystkim duergarów,

kuotoa oraz drowów.

W jednej z takich jaskiń, szerokiej na dwie mile i wysokiej na tysiąc stóp, kryje się Menzoberranzan, pomnik nieziemskiego oraz - rzecz jasna - śmiertelnego piękna, które jest częścią duszy elfów drowów. Menzoberranzan nie jest, według standardów drowów, dużym miastem, bowiem mieszka w nim zaledwie dwadzieścia tysięcy mrocznych elfów. Tam gdzie wieki temu była pusta jaskinia z naturalnie rzeźbionymi stalaktytami i stalagmitami, stoi teraz dzieło sztuki, rzędy rzeźbionych zamków, pogrążonych w magicznym blasku. Miasto jest doskonałe w swej formie, żaden kamień nie pozostał w nim nie zmieniony. To poczucie porządku i kontroli to tylko pozory, oszustwo, które skrywa chaos i niegodziwość serc mrocznych elfów. Podobnie jak ich miasta są one piękne, smukłe i delikatne, ale gdy przyjrzeć się bliżej, spod ich niepokojących, ostrych rysów wyziera nienawiść.

A jednak drowy są władcami tego świata bez władców, najniebezpieczniejszymi z niebezpiecznych, a wszelkie inne rasy się ich obawiają. Samo piękno lśni na czubku miecza mrocznego elfa. Są specjalistami od przetrwania, a to przecież Podmrok, dolina śmierci - kraina bezimiennych koszmarów.

CZEŚĆ 1

POZYCJA

Pozycja: w całym świecie drowów nie ma ważniejszego słowa. To przykazanie ich - naszej - religii, nie odparte pragnienie naszych zepsutych serc. Ambicja zabija w nas zdrowy rozsądek i współczucie, wszystko w imię Lloth, Pajęczej Królowej.

Wyniesienie do władzy w społeczeństwie drowów to prosty cykl zabójstw. Pajęcza Królowa to bogini chaosu, a jej wysokie kapłanki, prawdziwe władczynie naszego świata, patrzą z przychylnością na ambitnych, którzy kryją się w cieniach z zatrutymi sztyletami.

Oczywiście istnieją pewne zasady zachowania, bo każde społeczeństwo musi jej posiadać. Jawne popełnienie morderstwa lub wywołanie wojny wywołuje działanie pozorów sprawiedliwości, a kary wymierzane w imię sprawiedliwości drowów są bezlitosne. Wbicie sztyletu w plecy rywala w chaosie bitwy lub w cichej alejce to dość powszechna praktyka - nawet się to pochwała. Dochodzenie nie jest silną stroną sprawiedliwości drowów. Nikomu nie zależy na tyle, by się przejmować.

Pozycja to droga Lloth, ambicja, którą pielęgnuje, by zwiększyć chaos, by utrzymać jej drowie „dzieci” na wyznaczonym dla nich kursie samozniewolenia. Dzieci? Pionki, lalki tańczące dla Pajęczej Królowej, marionetki na nie wyczuwalnych, ale niemożliwych do zerwania nitkach jej pajęczych sieci. Wszyscy pną się po drabinie Lloth, wszyscy polują dla jej przyjemności i wszyscy padają ofiarą innych łowców, by ona była zadowolona.

Pozycja to paradoks świata mego ludu, ograniczenie naszej potęgi wynikające z głodu tej właśnie potęgi. Osiąga się ją przez zdradę, a ona czyni podatnymi na zdradę tych, którzy zdradzili

wcześniej. Ci najpotężniejsi w Menzoberranzan spędzają całe dni na oglądaniu się przez ramię, by ochronić się przed sztyletami, które mogłyby wbić się w ich plecy.

A śmierć czeka zwykle z przodu.

- Drizzt Do'Urden

1

MENZOBERANZAN

Mógłby przejść zaledwie o krok od mieszkańca powierzchni i pozostałby nie zauważony. Łapy jego jaszczurzego wierzchowca były zbyt miękkie, by można je było usłyszeć, zaś giętka i doskonale wykonana zbroja, w którą odziany był i jeździec, i jaszczur, załamywała się wraz z ich ruchami, jakby wyrastała wprost ze skóry.

Jaszczur Dinina posuwał się swobodnym, lecz szybkim krokiem, płynąc nad poszarpaną podłogą, po ścianach, nawet przez długi strop tunelu. Podziemne jaszczury, posiadające lepkie i miękkie trójpalczaste łapy, były lubianymi wierzchowcami ze względu na ich zdolność wspinania się po gładkim kamieniu z równą łatwością jak pająk. Podążanie po trudnym terenie nie pozostawiało tropów takich jak w oświetlonym świecie powierzchni, lecz niemal wszystkie stworzenia Podmroku posiadały infrawizję, umiejętność widzenia w spektrum podczerwieni. Kroki pozostawiały resztki ciepła, które z łatwością można było śledzić, jeśli biegły one przewidywalnym szlakiem wzdłuż podłogi korytarza.

Dinin przytrzymał się mocniej siodła, gdy jaszczur przeskakiwał szczelinę w stropie, po czym wykonując obrót skoczył na ścianę. Dinin nie chciał, by ktoś go śledził.

Nie miał światła, które mogłoby go prowadzić, lecz nie potrzebował go. Był mrocznym elfem, drowem, ciemnoskórym kuzynem tej srebrnej rasy, która tańczyła pod gwiazdami na powierzchni świata. W oczach Dinina, które przekształcały subtelne odcienie ciepła na wyraźne i kolorowe obrazy, Podmrok nie był miejscem pozbawionym światła. Na kamieniach ścian oraz podłogi wirowały przed nim wszystkie kolory spektrum, ogrzewane przez odległe szczeliny lub gorące strumienie. Ciepło żyjących istot było najłatwiejsze do odróżnienia, pozwalało mrocznemu elfowi dostrzegać swoich wrogów w sposób równie szczegółowy, jakim mógłby się pochwalić w jasnym świetle dnia dowolny mieszkaniec powierzchni.

Zazwyczaj Dinin nie opuszczał samotnie miasta, ponieważ świat Podmroku był zbyt niebezpieczny dla samotnych podróżnych, nawet drowów. Ten dzień był jednak inny. Dinin musiał się upewnić, że żadne nieprzyjazne drowie oczy nie śledzą jego kroków.

Delikatne, błękitne, magiczne światło zza rzeźbionego łuku powiedziało drowowi, że zbliża się do wejścia do miasta, zwolnił więc tempo jaszczura. Niewielu korzystało z tego wąskiego tunelu, który otwierał się na Tier Breche, północną część Menzoberranzan, należąca do Akademii i nikt poza mistrzyniami i mistrzami Akademii, instruktorami Akademii, nie mógł tędy przejść nie

wzbudzając podejrzeń.

Dinin zawsze stawał się nerwowy, gdy docierał do tego punktu. Z setki tuneli, które wpadały do głównej jaskini Menzoberranzan, ten był najlepiej strzeżony. Za łukiem, w ciszy, stały w pozycjach obronnych dwie rzeźby ogromnych pajaków. Jeśli chciałby tędy przejść wróg, pająki ożywiłyby się i zaatakowały go, a w całej Akademii rozległyby się alarm.

Dinin zsiadł z wierzchowca, pozostawiając jaszczura przytwierdzonego wygodnie do ściany na poziomie jego piersi. Sięgnął pod swój piwafwi, magiczny płaszcz ochronny, i wyciągnął zawieszony na szyi woreczek. Wyjął z niego insygnia Domu Do'Urden, pajaka trzymającego w swoich ośmiu odnóżach różnego rodzaju broń i ozdobionego literami „DN” od Daermon N'a'shezbaernon, dawnej i formalnej nazwy Domu Do'Urden.

- Poczekasz, aż wrócę - wyszeptał Dinin do jaszczura wymachując przed nim insygniami. Podobnie jak w przypadku wszystkich domów drowów, insygnia Domu Do'Urden mieściły w sobie kilka magicznych dweomerów, z których jeden dawał członkom domu całkowitą kontrolę nad domowymi zwierzętami. Jaszczur będzie niewzruszenie wypełniać polecenie, utrzymując swą pozycję, jakby był przyrośnięty do skały, nawet gdy kilka kroków od jego paszczy przebiegnie szczur jaskiniowy, ulubiona przekąska.

Dinin wziął głęboki oddech i ostrożnie przeszedł pod łukiem. Widział pająki wpatrujące się w niego ze swych pięciu metrów wysokości. Był drowem z miasta, nie wrogiem, mógł więc przejść bez niepokoju przez każdy tunel, jednak Akademia była nieprzewidywalnym miejscem. Dinin słyszał, że pająki często złośliwie odmawiały prawa wejścia.

Dinin przypomniał sobie, że nie może pozwolić, by opóźniły go obawy i rozmyślenia. Sprawa, z którą szedł, była niezwykle istotna dla planów wojennych jego rodziny. Spoglądając prosto przed siebie, z dala od ogromnych pajaków, przeszedł pomiędzy nimi wchodząc na teren Tier Breche.

Przesunął się w bok i zatrzymał, najpierw pragnąc się upewnić, że nikt nie czai się w pobliżu, później zaś, by podziwiać widok Menzoberranzan. Nikt, drow lub ktokolwiek inny, nie spoglądał nigdy z tego miejsca bez poczucia wspaniałości miasta mrocznych elfów. Tier Breche było najwyższym punktem podłoża trzykilometrowej jaskini, dzięki czemu zapewniało panoramiczny widok pozostałej części Menzoberranzan. Nisza Akademii była wąska, mieściła w sobie tylko trzy budynki składające się na szkołę drowów: Arach - Tinilith, zbudowaną w kształcie pajaka szkołę Lloth, Sorcere, łagodnie zwiniętą, wielokondygnacyjną wieżę czarodziejstwa, oraz Melee - Maghtere, budowlę w kształcie piramidy, gdzie męscy wojownicy uczyli się swego rzemiosła.

Poza Tier Breche, za ozdobnymi stalagmitowymi kolumnami, które oznaczały wejście do Akademii, jaskinia obniżała się gwałtownie i rozszerzała, biegnąc w obydwie strony poza zasięg wzroku Dinina, zaś do przodu dalej, niż mogły dostrzec jego bystre oczy. Kolory Menzoberranzan

były trojaki dla czułych oczu drowów. Ślady ciepła z rozmaitych szczelin i gorących źródeł wirowały po całej jaskini. Purpurowe i czerwone, jasnożółte i subtelnie błękitne, przecinające się i zlewające ze sobą, wspinające się na ściany i kopce stalagmitów lub biegnące samotnie pod stropem z ponurego, szarego kamienia. Bardziej odosobnione niż te naturalnie stopniowane kolory w spektrum podczerwieni, były regiony intensywnej magii, jak pająki, pod którymi przeszedł Dinin, wręcz świecące energią. W końcu były jeszcze zwyczajne światła miasta, ogień faerie i rozświetlone rzeźby na domach. Drowy z dumą podkreślały piękno swoich projektów, ozdobne kolumny lub doskonale wyrzeźbione gargulce były niemal zawsze otoczone magicznym światłem.

Nawet z tej odległości Dinin mógł odróżnić Dom Baenre, Pierwszy Dom Menzoberranzan. Obejmował dwanaście stalagmitowych kolumn i sześć gigantycznych stalaktytów. Dom Baenre istniał od pięciu tysięcy lat, od założenia Menzoberranzan, w tym czasie prace nad udoskonaleniem ozdób domu nigdy nie zostały zaprzestane. Praktycznie każdy centymetr ogromnej budowli płonął ogniem faerie, błękitnym na zewnętrznych kolumnach, zaś jaskrawopurpurowym na wielkiej centralnej kopule.

Przez niektóre okna odległych domów widać było ostry blask świec, obcych dla Podmroku. Dinin wiedział, że tylko kapłani lub czarodzieje je zapalali, nie mogli się obejść bez tego bólu w swoim świecie zwojów i pergaminów.

To było Menzoberranzan, miasto drowów. Żyło tutaj dwadzieścia tysięcy mrocznych elfów, dwadzieścia tysięcy żołnierzy w armii zła.

Na wąskich wargach Dinina pojawił się paskudny uśmiech, gdy pomyślał, że niektórzy z owych żołnierzy zginą tej nocy.

Dinin spoglądał na Narbondel, wielką centralną kolumnę, która służyła w Menzoberranzan za zegar. Narbondel była jedynym sposobem, za którego pomocą drowy mogły śledzić upływ czasu w świecie nie znającym dni ani pór roku. Pod koniec każdego dnia wyznaczony przez miasto Arcymag rzucał swoje magiczne ognie na podstawę kamiennej kolumny. Czar działał przez cały cykl - pełny dzień na powierzchni - stopniowo rozplywając się ciepłem po Narbondel, dopóki cała struktura nie płonęła czerwienią w spektrum infrawizji. Kolumna była teraz całkowicie ciemna, ochłodzona, ponieważ wygasł ogień dweomerów. Dinin uznał, że czarodziej stoi teraz przy podstawie, gotów do ponownego rozpoczęcia cyklu.

Była północ, wyznaczona godzina.

Dinin odszedł od pajaków i wejścia do tunelu, i przemknął z boku Tier Breche, szukając na ścianie „cieni” wzorów ciepła, które skutecznie ukryłyby delikatny obrys jego własnej temperatury ciała. Dotarł w końcu do Sorcere, szkoły czarodziejstwa, i wsunął się w wąską alejkę pomiędzy krętą podstawą wieży, a zewnętrzną ścianą Tier Breche.

- Student czy mistrz? - dobiegł oczekiwany szept.

- Tylko mistrz może chodzić po Tier Breche w czarną śmierć Narbondel - odpowiedział

Dinin.

Grubo odziana postać obeszła łuk budowli i stanęła przed Dininem. Obcy pozostał w zwyczajowej dla mistrza Akademii drowów pozycji, z rękoma trzymanymi przed sobą i zgiętymi w łokciach, dłońmi połączonymi, tak że jedna z nich przykrywała drugą na piersi.

Postawa ta była jedyną związaną z tym osobnikiem rzeczą, która wydawała się Dininowi normalna. - Witaj, Pozbawiony Twarzy - zasygnalizował w bezgłośnym języku migowym drowów, równie szczegółowym jak mowa. Opanowanej twarzy Dinina zaprzeczało jednak drżenie rąk, ponieważ widok czarodzieja zaprowadził go na skraj wytrzymałości nerwowej, tak daleko jak jeszcze nigdy nie był.

- Drugi Chłopcze Do'Urden - rzekł czarodziej mową gestów. - Masz moją zapłatę?

- Poczujesz się usatysfakcjonowany - zasygnalizował dobitnie Dinin, odzyskując swą postawę z pierwszymi oznakami swego temperamentu. - Czy śmiesz wątpić w obietnicę Malice Do'Urden, matki Opiekunki Daermon N'a'shezbaernon, Dziesiątego Domu Menzoberranzan?

Pozbawiony Twarzy cofnął się o krok, dostrzegając swoją pomyłkę. - Moje przeprosiny, Drugi Chłopcze Domu Do'Urden - odpowiedział, padając na jedno kolano w pozie poddańczej. Od kiedy wstąpił do konspiracji, czarodziej obawiał się, że niecierpliwość może go kosztować życie. Był w szponach gwałtownego bólu wywołanego przez jeden z jego magicznych eksperymentów, tragedia ta stopiła mu rysy twarzy i pozostawiła pustą, gorącą plamę białego i zielonego śluzu. Opiekunka Malice Do'Urden, obdarzona nieporównywalną z żadnym innym drowem w tym rozległym mieście umiejętnością warzenia trucizn i balsamów, zaproponowała mu skrawek nadziei, obok którego nie mógł przejść obojętnie.

W nieczułym sercu Dinina nie było miejsca na litość, lecz Dom Do'Urden potrzebował czarodzieja. - Dostaniesz swój balsam - obiecał spokojnie Dinin - gdy Alton DeVir będzie martwy.

- Oczywiście - zgodził się czarodziej. - Tej nocy?

Dinin skrzyżował ręce i zastanowił się nad pytaniem. Opiekunka Malice poinstruowała go, że Alton DeVir powinien umrzeć, gdy rozpocznie się walka pomiędzy ich rodzinami. Scenariusz ten wydawał się teraz Dininowi zbyt wyraźny, zbyt prosty. Pozbawiony Twarzy nie przegapił iskiereki, która nagle rozjaśniła szkarłatny blask w wyczuwających ciepło oczach młodego Do'Urdena.

- Poczekaj, aż światło Narbondel osiągnie zenit - odparł Dinin, jego ręce z podnieceniem układały się w gesty, a na twarzy gościł krzywy uśmiezek.

- Czy skazany na zgubę chłopiec ma wiedzieć o losie swojego domu, zanim zginie? - spytał czarodziej, odgadując paskudne zamiary kryjące się za instrukcjami Dinina.

- Gdy będzie padał ostateczny cios - odpowiedział Dinin. - Niech Alton DeVir zginie pozbawiony nadziei.

* * *

Dinin wrócił do swego wierzchowca i pospieszył pustymi korytarzami, odnajdując rozwidlenie, które zaprowadzi go innym wejściem do właściwej jaskini. Pojawił się wzdłuż wschodniego krańca wielkiej groty, w produkcyjnej części Menzoberranzan, gdzie żadne rodziny drowów nie ujrzą, że i był poza granicami miasta, a z płaskiej kamiennej podłogi wyrastały jedynie nie przyciągające większej uwagi kolumny stalagmitów. Dinin skierował swego wierzchowca wzdłuż brzegów Donigarten, małej miejskiej sadzawki z pokrytą mchem wyspą, na której znajdowało się spore stado bydłopodobnych stworzeń zwanych rothami. Setka goblinów i orków podniosła wzrok znad swoich pasterskich i rybackich obowiązków, by spojrzeć na przemykającego szybko drowa. Znając swoje ograniczenia niewolnicy uważali bacznie, by nie spoglądać Dininowi w oczy.

Dinin i tak nie zwróciłby na nich uwagi. Był zbyt pochłonięty powagą chwili. Gdy znów znalazł się na płaskich i krętych alejkach pomiędzy lśniącymi zamkami drowów, kopnął swego jaszczura, by jeszcze bardziej zwiększył prędkość. Kierował się w stronę środkowej części południowego krańca miasta, do gęstwiny ogromnych grzybów, które oznaczały dzielnicę najdoskonalszych domów w Menzoberranzan.

Gdy okrążył jeden ślepy zakręt, niemal wpadł na grupę czterech błakających się niedźwiedziożuków. Ogromne i włochate goblinopodobne stwory przystały na chwilę, by popatrzeć na drowa, po czym powoli lecz z wyraźnym celem odsunęły się z drogi.

Dinin wiedział, że niedźwiedziożuki rozpoznały go jako członka Domu Do'Urden. Był szlachcicem, synem wysokiej kapłanki, zaś nazwisko Do'Urden, było mianem jego domu. Z dwudziestu tysięcy ciemnych elfów w Menzoberranzan zaledwie około tysiąca było szlachtą, dziećmi sześćdziesięciu siedmiu uznawanych w mieście rodzin. Reszta to zwyczajni żołnierze.

Niedźwiedziożuki nie były głupimi stworzeniami. Potrafiły odróżnić szlachcica od elfa z ludu i choć elfy drowy nie nosiły swych rodzinnych insygniów na widoku, sposób przycięcia białych włosów Dinina oraz wyraźny wzór purpurowych i czerwonych linii na jego piwafwi mówił im wystarczająco wiele na temat jego tożsamości.

Na Dininie ciążyła powaga misji, nie mógł jednak zlekceważyć opieszałości niedźwiedziożuków. Zastanawiał się, jak szybko odsunęłyby się, gdyby był członkiem Domu Baenre lub jednego z pozostałych siedmiu domów rządzących?

- Wkrótce nauczycie się szacunku dla Domu Do'Urden! - wyszeptał pod nosem mroczny elf, odwracając się i kierując swego jaszczura na grupkę. Niedźwiedziożuki rzuciły się do ucieczki, skręcając w alejkę usianą kamieniami i żwirem.

Dinin poczuł się usatysfakcjonowany przywołując wrodzone moce swojej rasy. Wezwał kulę ciemności - nieprzenikalną dla infrawizji i zwyczajnego wzroku - na drodze uciekających stworzeń.

Przypuszczał, że niezbyt roztropne jest zwracanie na siebie w ten sposób uwagi, jednak

chwilę później, gdy usłyszał łomot i klątwy niedźwiedziożuków potykających się ślepo na kamieniach, uznał, że było to warte ryzyka.

Jego gniew opadł, ruszył więc znowu w drogę, wybierając ostrożniejszą drogę przez cienie ciepła. Jako członek dziesiątego domu w mieście Dinin mógł bez problemu poruszać się gdzie chciał w obrębie wielkiej jaskini, lecz Opiekunka Malice powiedziała jasno, że nikt powiązany z Domem Do'Urden nie może dać się złapać w pobliżu gęstwiny grzybów.

Opiekunka Malice, matka Dinina, nie była osobą, z którą można było się spierać, lecz w końcu był to tylko nakaz. W Menzoberranzan jeden nakaz dominował nad wszystkimi pozostałymi: Nie daj się złapać.

Na południowym krańcu gęstwiny grzybów porywczy drow znalazł to, czego szukał: skupisko pięciu wielkich, sięgających od podłogi do stropu kolumn, wydrążonych w sieć pomieszczeń i połączonych ze sobą za pomocą metalowych i kamiennych pomostów. Lśniące czerwienią gargulce, standardowy element domu, spoglądały w dół z setek pomostów niczym bezszelestni strażnicy. Był to Dom DeVir, czwarty Dom Menzoberranzan.

Miejsce to było otoczone pierścieniem wysokich grzybów, z których co piąty był wrzaskunem, rozumnym grzybem nazwanym tak (i cenionym przez strażników) za alarmujące odgłosy, jakie wydawał z siebie za każdym razem, gdy ktoś przechodził obok. Dinin zachował bezpieczną odległość, nie chcąc zaniepokoić któregoś z wrzaskunów i wiedząc również, że forteca strzeżona jest przez innych, bardziej śmiercionośnych strażników.

Powietrze nad częścią miejską przeniknął oczekiwany szmer. Była to oznaka przekazywanej w całym Menzoberranzan wiadomości, że Opiekunka Ginafae z Domu DeVir utraciła łaskę Lloth, Pajęczej Królowej, bogini wszystkich drowów oraz prawdziwego źródła siły każdego z domów. Sprawy takie nigdy nie były otwarcie dyskutowane wśród drowów, lecz każdy, kto wiedział wystarczająco dużo, spodziewał się, że któraś z rodzin znajdujących się niżej w miejskiej hierarchii uderzy na okaleczony Dom DeVir.

Opiekunka Ginafae i jej rodzina jako ostatni dowiedzieli się o niezadowoleniu Pajęczej Królowej - nawet to było częścią podstępnych zwyczajów Lloth - a spoglądając z zewnątrz na Dom DeVir Dinin był w stanie stwierdzić, że skazana na zagładę rodzina nie miała wystarczająco czasu, by uruchomić odpowiednie środki obronne. DeVir posiadali niemal czterystu żołnierzy, głównie kobiet, lecz ci, których Dinin widział na pomostach, wydawali się zdenerwowani i niepewni.

Dinin uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy pomyślał o swoim własnym domu, który z każdym dniem rósł w siłę pod przewodnictwem przebiegłej Opiekunki Malice. Z trzema jego siostrami, które szybko zbliżały się do pozycji wysokiej kapłanki, jego bratem - doświadczonym czarodziejem oraz jego wujkiem, Zaknafeinem, najdoskonalszym szermierzem w całym Menzoberranzan, ciężko zajęty trenowaniem trzech setek żołnierzy, Dom Do'Urden był poważną siłą. Zaś Opiekunka Malice, w przeciwieństwie do Ginafae, cieszyła się pełną łaską Pajęczej Królowej.

- Daermon N'a'shezbaernon - mruknął pod nosem Dinin, stosując formalne i dawne określenie Domu Do'Urden. - Dziewiąty Dom Menzoberranzan! - Podobało mu się brzmienie tego tytułu.

* * *

W innej części miasta, za lśniącym srebrem balkonem oraz sklepionymi wrotami, sięgającymi sześciu metrów w górę na zachodniej ścianie jaskini, siedziały główne osobistości Domu Do'Urden, zebrane tam, by dopracować ostatnie plany nocnego zadania. Na podwyższeniu, w końcu małej komnaty audiencyjnej siedziała czcigodna Opiekunka Malice, z brzuchem wzdętym ostatnimi godzinami ciąży. Po jej bokach, na honorowych miejscach, znajdowały się jej trzy córki, Maya, Vierna i najstarsza, Briza, świeżo wyświęcona wysoka kapłanka Lloth. Maya i Vierna wyglądały niczym młodsze wersje swojej matki, szczupłe i zładnie drobne, choć dysponujące wielką mocą. Briza jednak nie posiadała zbyt wiele cech rodzinnych. Była wysoka - wielka jak na standardy drowów - oraz zaokrąglona w ramionach i biodrach. Ci, którzy znali Brizę, wiedzieli, że jej rozmiar wynikał po prostu z temperamentu - mniejsza sylwetka nie mogłaby pomieścić złości i brutalnych cech najnowszej wysokiej kapłanki Domu Do'Urden.

- Dinin powinien wkrótce wrócić - zauważył Rizen, aktualny opiekun rodziny. - I powiedzieć nam, czy nadszedł już odpowiedni czas do szturmu.

- Ruszymy zanim Narbondel odnajdzie swój poranny blask! - warknęła na niego Briza swym niskim, lecz ostrym jak brzytwa głosem. Skierowała w stronę matki krzywy uśmiech, szukając poparcia, że dobrze postąpiła pokazując mężczyźnie jego miejsce.

- Dziecko przyjdzie tej nocy - wyjaśniła Opiekunka Malice swemu zagniewanemu mężowi. - Pójdziemy niezależnie od tego, jakie wieści przyniesie Dinin.

- To będzie chłopiec - mruknęła Briza, nawet nie starając się ukryć rozczarowania. - Trzeci żyjący syn Domu Do'Urden.

- By zostać poświęcony Lloth - wtrącił się Zaknafein, poprzedni opiekun domu, który teraz dzierżył istotną pozycję fechmistrza. Ten doświadczony wojownik wydawał się całkiem zadowolony z myśli o ofierze, podobnie jak Nalfein, najstarszy syn rodziny, stojący u boku Zaka. Nalfein był starszym chłopcem i poza Dininem nie potrzebował już więcej konkurencji w szeregach Domu Do'Urden.

- Zgodnie ze zwyczajem - uśmiechnęła się Briza, a czerwień jej oczu rozbłysnęła. - Aby dopomóc naszemu zwycięstwu!

Rizen poruszył się niespokojnie. - Opiekunko Malice - ośmielił się odezwać. - Znasz dobrze trudności porodu. Czy ból nie rozproszy twojej...

- Ośmielasz się wypytywać matkę opiekunkę? - odezwała się ostro Briza, sięgając po zakończony głowami węży bicz, przypięty wygodnie u jej pasa. Opiekunka Malice powstrzymała ją podniesioną dłonią.

- Dołącz do walczących - powiedziała opiekunka do Rizzena. - Niech kobiety domu zajmą się ważnymi kwestiami bitwy.

Rizzen znów się poruszył i opuścił wzrok.

* * *

Dinin dotarł do magicznie wykutego ogrodzenia, które łączyło twierdzę na zachodniej ścianie miasta z dwoma małymi stalagmitowymi wieżami Domu Do'Urden i tworzyło dziedziniec całej struktury. Ogrodzenie było z adamantytu, najtwardszego metalu na świecie, ozdabiało je zaś sto rzeźb przedstawiających pająki, które trzymają w odnóżach broń, zaś każdy z nich jest pokryty zabójczymi glifami i zaklęciami ochronnymi. Potężna brama Domu Do'Urden wywoływała zachwyt wielu domów drowów, lecz po obejrzeniu spektakularnych budowli w gęstwinie grzybów Dinin czuł tylko rozczarowanie, gdy spoglądał na własną siedzibę. Cała struktura była prosta i w pewnym sensie naga, podobnie jak fragment ściany, z zasługującymi na uwagę wyjątkami w postaci mithrilowo - adamantytowych tarasów, biegnących wzdłuż drugiego poziomu, nad sklepionymi wrotami zarezerwowanymi dla szlacheckiej części rodziny. Każda balustrada tych balkonów składała się z tysiąca rzeźb, układających się razem w jedno dzieło sztuki.

Dom Do'Urden, w przeciwieństwie do zdecydowanej większości domów w Menzoberranzan, nie stał swobodnie w gąszczu stalaktytów i stalagmitów. Główna część całej struktury znajdowała się w jaskini i choć to ułożenie miało niewątpliwe walory obronne, Dinin stwierdził, iż żałuje, że jego rodzina nie okazała trochę więcej wystawności.

Podeksycytowany żołnierz rzucił się do bramy, by otworzyć ją przed powracającym drugim chłopcem. Dinin przemknął obok niego, nie zadając sobie nawet trudu powitania, i wjechał na podwórze świadomy setek zaciekawionych spojrzeń, które na niego padły. Żołnierze i niewolnicy wiedzieli, że wykonywana przez Dinina tej nocy misja miała coś wspólnego z oczekiwaną bitwą.

Na srebrny taras drugiego poziomu Domu Do'Urden nie prowadziły żadne schody. To również był środek ostrożności przewidziany po to, by oddzielić przywódców domu od motłochu i niewolników. Szlachta drowów nie potrzebowała schodów, inny aspekt ich wrodzonych magicznych zdolności pozwalał im stosować moc lewitacji. Nie zastanawiając się zbyt nad wykonywaną czynnością, Dinin wzniósł się swobodnie w powietrze i wylądował na balkonie.

Przeszedł pod łukiem i pospieszył głównym korytarzem domu, który był słabo oświetlony łagodnymi odcieniami ognia faerie, co pozwalało widzieć w zwyczajnym spektrum światła, a nie zakłócało jednocześnie stosowania infrawizji. Ozdobne, wykute z brązu drzwi były miejscem, do którego podążał drugi chłopiec. Zatrzymał się przed nimi zmieniając sposób widzenia z powrotem na spektrum podczerwieni. W przeciwieństwie do korytarza w pomieszczeniu za drzwiami nie było źródeł światła. Była to sala audiencyjna wysokich kapłanek, przedsionek wielkiej kaplicy Domu Do'Urden. Kapłańskie pomieszczenia drowów, w zgodzie z mrocznymi obrzędami Pajęczej Królowej, nie były miejscami światła.

Gdy Dinin poczuł, że jest już przygotowany, przeszedł prosto przez drzwi, bez wahania mijając dwie zszokowane strażniczki i śmiało idąc w stronę swej matki. Wszystkie trzy córki rodziny zmrużyły oczy widząc swego obcesowego i pozbawionego manier brata. Wejść bez pozwolenia! To on mógłby zostać poświęcony tej nocy!

Dininowi podobało się testowanie granic swojej podrzędnej pozycji mężczyzny, nie mógł jednak lekceważyć groźnych spojrzeń Yierny, Mayi i Brizy. Będąc kobietami były większe oraz silniejsze i przez całe życie ćwiczyły korzystanie z niegodziwych kapłańskich mocy drowów oraz broni.

Dinin spoglądał na zaklęte dopełnienia kapłanek, przerażające węzowe bicze u pasów jego sióstr, które zaczęły wić się w oczekiwaniu na karę, którą wymierzą. Rękojeści były z adamantytu i dość zwyczajne, jednak same bicze zostały zrobione z żywych węży. Broń Brizy była szczególna, ponieważ miała sześć poruszających się niespokojnie węży, zwiniętych w węzły wokół pasa, na którym wisiały. Briza była zawsze najszybsza, jeśli chodziło o wymierzenie kary.

Opiekunka Malice wydawała się jednak zadowolona z dumnego zachowania Dinina. Drugi chłopiec znał swoje miejsce wystarczająco dobrze, jak na jej gust, a także wykonywał bez strachu i pytań jej rozkazy.

Dinin odnalazł ukojenie w spokojnej twarzy swej matki, przeciwieństwie rozpalonych do białości oblicz trzech sióstr. - Wszystko jest gotowe - powiedział do niej. - Dom DeVir stłoczył się za swoim ogrodzeniem, oczywiście oprócz Altona, który bezmyślnie pobiera swoje nauki w Sorcere.

- Spotkałeś się z Pozbawionym Twarzy? - spytała Opiekunka Malice.
- Akademia była cicha tej nocy - odparł Dinin. - Nasze spotkanie przebiegło doskonale.
- Zgodził się na nasz kontrakt?
- Alton DeVir zostanie potraktowany w odpowiedni sposób - zachichotał Dinin.

Przypomniał sobie drobną poprawkę, jakiej dokonał w planach Opiekunki Malice, opóźniając egzekucję Altona na rzecz swojej własnej żądzy większej dawki okrucieństwa. W myślach Dinina pojawiło się jeszcze jedno wspomnienie: wysokie kapłanki Lloth miały niepokojący dar czytania w myślach.

- Alton zginie tej nocy - Dinin szybko dokończył odpowiedź, utwierdzając kobiety w tym przekonaniu, zanim zdążyły wysondować go w poszukiwaniu większej ilości szczegółów.

- Wspaniale! - zagrzmiała Briza. Dinin odetchnął z trochę większą swobodą.
- Zespólmymy się - nakazała Opiekunka Malice.

Czterech drowów uklękło przed opiekunką i jej córkami: Rizzen przed Malice, Zaknafein przed Brizą, Nalfein przed Mayą, a Dinin przed Vierną. Kapłanki zaśpiewały chórem, kładąc jedną rękę na czole pełnego szacunku żołnierza i dostrajając się do jego pragnień.

- Znacie swoje miejsca - powiedziała Opiekunka Malice, gdy ceremonia zakończyła się.

Skrzywiła się z bólu wywołanego przez kolejny skurcz. - Zaczynamy nasze dzieło.

* * *

Mniej niż godzinę później Zaknafein i Briza stali razem na tarasie obok górnego wejścia do Domu Do'Urden. Pod nimi, na podłodze jaskini, szykowały się druga i trzecia brygada rodzinnej armii, pod dowództwem Rizzena i Nalfeina, zakładając ogrzane paski skóry oraz metalowe osłony - kamuflaż mający schować charakterystyczne sylwetki ciemnych elfów przed widzącymi ciepło oczyma drowów. Grupa Dinina, pierwsza siła uderzeniowa składająca się między innymi z setki goblinów niewolników już dawno wymaszerowała.

- Będziemy znani po tej nocy - rzekła Briza. - Nikt nie podejrzewałby, że dziesiąty dom odważy się wystąpić przeciwko tak potężnej rodzinie jak DeVir. Gdy rozniosą się wieści o krwawych wydarzeniach dzisiejszej nocy, nawet Baenre dostrzegą Daermon N'a'shezbaernon! - Wychyliła się przez balustradę, by spoglądać, jak dwie brygady formują się w szeregi i wyruszają w milczeniu oddzielnymi szlakami, którymi przejdą przez kręte miasto do gęstwiny grzybów i pięciokolumnowej struktury Domu DeVir.

Zaknafein przyjrzał się plecom najstarszej córki Opiekunki Malice, nie pragnąc niczego więcej, niż wbić jej sztylet w kręgosłup. Jak zawsze jednak słuszny osąd zachował wyćwiczoną rękę Zaka w miejscu.

- Masz to, co powinienesz? - spytała Briza, okazując Zakowi znacznie więcej szacunku niż wtedy, gdy Opiekunka Malice siedziała ochronnie u jej boku. Zak był tylko mężczyzną, osobą z ludu, któremu pozwolono nosić nazwisko rodziny jako własne, ponieważ służył czasami Opiekunce Malice jako mąż, był kiedyś opiekunem domu. Mimo to Briza bała się go rozgniewać. Zak był fechmistrzem Domu Do'Urden, wysokim i umięśnionym mężczyzną, silniejszym niż większość kobiet, zaś ci, którzy byli świadkami jego walki, uznawali go za jednego z najlepszych wojowników obojga płci w całym Menzoberranzan. Oprócz Brizy i jej matki, dwóch wysokich kapłanek Pajęcznej Królowej, Zaknafein, ze swoimi niezrównanymi zdolnościami szermierczymi, był atutem Domu Do'Urden.

Zak naciągnął czarny kaptur i otworzył małą sakiewkę u swego pasa, odkrywając kilka małych ceramicznych kulek.

Briza uśmiechnęła się złowrogo i roztarta szczupłe dłonie. - Opiekunka Ginafae nie będzie zadowolona - wyszeptwała.

Zak odwzajemnił uśmiech i odwrócił się do odchodzących żołnierzy. Nic nie dawało fechmistrzowi więcej przyjemności, niż zabijanie elfów drowów, zwłaszcza kapłanek Lloth.

- Przygotuj się - powiedziała po kilku minutach Briza.

Zak strząsnął gęste włosy z twarzy i stanął wyprostowany, zamknąwszy dokładnie oczy. Briza powoli wyciągnęła swą różdżkę, rozpoczynając zaśpiew, który uaktywniał urządzenie. Uderzyła Zaka w ramię, następnie w drugie, po czym przytrzymała różdżkę bez ruchu nad jego

głową.

Zak poczuł, jak opadają na niego mroźne drobinki, przenikając jego ubrania i zbroję, nawet ciało, dopóki on sam oraz wszystkie posiadane przez niego przedmioty nie zostały schłodzone do tej samej temperatury i odcienia. Zak nienawidził magicznego chłodu - wyobrażał sobie wtedy śmierć - wiedział jednak, że pod wpływem czaru przed wyczuwającymi ciepło oczyma stworzeń Podmroku będzie szary jak zwykły kamień, niezauważalny i niewyczuwalny.

Zak otworzył oczy i wzdrygnął się, prostując palce, by upewnić się, że wciąż są w stanie radzić sobie z ostrzem. Skierował wzrok na Brizę, znajdującą się właśnie w środku drugiego czaru przywoływania. Zajmował on trochę czasu, więc Zak oparł się o ścianę i zaczął znów rozmyślać nad stojącym przed nim przyjemnym, choć niebezpiecznym zadaniem. Jak to miło ze strony Opiekunki Malice, że zostawiła dla niego wszystkie kapłanki Domu DeVir!

- Zrobione - oznajmiła po kilku minutach Briza. Poprowadziła wzrok Zaka w górę, w ciemność pod niewidocznym stropem ogromnej jaskini.

Zak ujrzał dzieło Brizy, zbliżający się prąd powietrza, bardziej żółty i cieplejszy niż powietrze groty. Żywy prąd powietrzny.

Stworzenie, przyzwane z planu żywiołów, zawisło tuż nad krawędzią tarasu, posłusznie czekając na rozkazy tej, co je przywołała.

Zak nie wahał się. Wskoczył na środek istoty, pozwalając jej unosić go nad podłogą.

Briza pożegnała go gestem i wskazała swemu słudze, by odleciał. - Dobrej walki! - zawołała do Zaka, choć był już w powietrzu nad nią, niewidoczny.

Zak zachichotał zastanawiając się nad ironią jej słów, gdy przemykało przed nim miasto Menzoberranzan. Równie mocno chciała śmierci kapłanek DeVir jak Zak, lecz z różnych powodów. Pomijając związane z tym komplikacje, Zak byłby równie szczęśliwy mogąc zabijać kapłanki Domu Do'Urden.

Fechmistrz wyciągnął jeden ze swoich adamantytowych mieczy, wykutą z pomocą magii broń drowów, z niewiarygodnie ostrą krawędzią z zabójczych dweomerów. - Istotnie, dobrej walki - wyszeptał. Gdyby tylko Briza wiedziała... jak dobrej.

2

UPADEK DOMU DEVIR

Dinin zauważył z zadowoleniem, że żaden niedźwiedziożuk ani przedstawiciel którejkolwiek z ras tworzących mozaikę Menzoberranzan nie ośmiela się stanąć mu na drodze. Tym razem drugi potomek Domu Do'Urden nie był sam. Niemal sześćdziesięciu żołnierzy jego domu maszerowało za nim w zwartych szeregach. Za nimi, równie sprawnie, ale z o wiele mniejszym entuzjazmem, szło stu uzbrojonych niewolników pomniejszych ras - goblinów, orków i niedźwiedziożuków.

Przechodnie nie mogli mieć wątpliwości - dom drowów wyruszał na wojnę. Nie zdarzało się to w Menzoberranzan codziennie, ale wielu oczekiwało takiego wydarzenia. Przynajmniej raz w ciągu dekady jakiś dom uznawał, że może podnieść swą pozycję poprzez eliminację innego domu. Była to ryzykowna operacja, bowiem wszystkich dostojników domu - „ofiary” - należało zgładzić szybko i cicho. Jeśli ktokolwiek pozostałby przy życiu, by oskarżyć napastników, zostaliby oni zniszczeni zgodnie z bezlitosnym „prawem” drowów.

Jeśli napad dopracowano w najdrobniejszych szczegółach, można było nie spodziewać się żadnych konsekwencji. Całe miasto, nawet rada rządząca, składająca się z ośmiu najdosjniejnych opiekunek, milcząco pochwalałaby napastników za ich odwagę i inteligencję, a o incydencie nigdy już by nie mówiono.

Dinin wybrał nieco dłuższą drogę, żeby nie wyznaczać prostego śladu między Domem Do'Urden a Domem DeVir. Pół godziny później, już po raz drugi tej nocy, podkrał się do południowego skraju gęstwiny, tuż obok skupiska stalagmitów, w których mieścił się Dom DeVir, Żołnierze podążali posłusznie za nim, przygotowując broń i przypatrując się uważnie budowli, którą mieli przed sobą.

Niewolnicy poruszali się nieco wolniej. Wielu z nich rozglądało się wokół, szukając możliwości ucieczki, bowiem w głębi serca wiedzieli, że w tej bitwie ich los jest przesądzony. Jednak gniewu mrocznych elfów bali się bardziej niż samej śmierci, nie podejmowali więc prób ucieczki. Każde wyjście z Menzoberranzan bronione było złowrogą magią drowów, więc dokąd mieliby pójść? Każdy z nich widział, jak karze się tu zbiegłych niewolników. Na rozkaz Dinina zajęli pozycje wśród wielkich grzybów.

Dinin sięgnął do sakiewki i wyjął z niej rozgrzany arkusz metalu. Błysnął tym jaśniejącym w podczerwieni przedmiotem trzykrotnie, by dać znać zbliżającym się brygadam Nalfeina i Rizzena. Potem, z charakterystyczną dla siebie pyszałkowatością, Dinin rzucił przedmiot wysoko w powietrze, złapał go i umieścił z powrotem w skrywającej ciepło sakiewce. Na ten sygnał drowy z brygady Dinina założyły zaklęte bełty na niewielkie, trzymane jedną ręką kusze i wymierzyły w wyznaczone wcześniej cele.

Co piąty grzyb był wrzaskunem, a każda strzała mieściła w sobie magiczny dweomer, który zagłuszyłby ryk smoka.

- ...dwa... trzy - odliczał Dinin, pokazując dłonią tempo, bowiem ze strefy magicznej ciszy, która otaczała jego wojska, nie wydostawał się żaden dźwięk. Wyobraził sobie brzęk, kiedy zwolnił cięciwę swej broni, posyłając strzałę w najbliższego wrzaskuna. Podobnie zrobili inni wokół Domu DeVir, likwidując w ten sposób pierwszą linię alarmową.

* * *

W innej części Menzoberranzan Opiekunka Malice, jej córki oraz cztery domowe kapłanki z szeregow ludu zebrały się w osiem w świętym kręgu Lloth. Otoczyły wizerunek swej złej bogini,

kamień wyrzeźbiony na kształt pająka o twarzy drowa i wezwały Lloth, by pomogła im w zmaganiach. Malice siedziała przy głowie pająka, rozparta na krześle przeznaczonym do rodzenia. Obok niej stały Vierna i Briza, która trzymała matkę za rękę.

Wybrana grupa śpiewała chórem, łącząc swe energie w jeden ofensywny czar. Chwilę później, kiedy Vierna, mentalnie połączona z Dininem zrozumiała, że pierwsza grupa znalazła się na swoich pozycjach, ósmioosobowy krąg Do'Urden wysłał pierwszą falę mentalnej energii do domu rywali.

* * *

Opiekunka Ginafae, jej dwie córki i pięć głównych kapłanek spośród pospólstwa zebrały się w przedsionku głównej kaplicy domu pięciu stalagmitów. Zbierały się tu na modlitwy każdej nocy, od kiedy Opiekunka Ginafae dowiedziała się, że utraciła łaskę Lloth. Ginafae zdawała sobie sprawę, jak łatwo jest zniszczyć jej dom, dopóki nie znajdzie sposobu, by ułagodzić Pajęczą Królową. W Menzoberranzan było sześćdziesiąt sześć innych domów, z których dwadzieścia mogło odważyć się zaatakować Dom DeVir, który znajdował się w tak niewygodnej pozycji. Osiem kapłanek było mocno zaniepokojonych, w jakiś sposób podejrzewając, że nadchodząca noc pełna będzie wydarzeń.

Ginafae poczuła to pierwsza, mroźny podmuch mylących wrażeń, który spowodował, że przerwała swą modlitwę o przebaczenie. Pozostałe kapłanki Domu DeVir patrzyły nerwowo na niezwykle minę opiekunki, szukając jakiegoś wyjaśnienia.

- Zaatakowano nas - wyszeptała do nich Ginafae, czując już tępy ból głowy spowodowany przez kapłanki Domu Do'Urden.

* * *

Drugi sygnał Dinina pobudził żołnierzy - niewolników. Nadal wykorzystując przewagę zaskoczenia cicho ruszyli do ogrodzenia z grzybów i zaczęli wycinać w nim przejście mieczami o szerokich ostrzach. Drugi potomek Domu Do'Urden patrzył z zadowoleniem, jak łatwo jego żołnierze dostają się na dziedziniec.

- Niezbyt dobrzy z was strażnicy - wyszeptał z sarkazmem do czerwonoookich gargulców na wysokich ścianach. Wcześniej tej nocy posągi wydawały się tak straszliwymi obrońcami. Teraz zaś po prostu bezradnie patrzyły.

Dinin spostrzegł, że w otaczających go żołnierzach rośnie zniecierpliwienie, z trudem powstrzymywali żądzę krwi. Od czasu do czasu rozbłyskało gdzieś zaklęcie obronne, które zabijało uaktywniającego je niewolnika, ale Dinin i inne drowy śmiały się tylko z takiego widoku. Pomniejsze rasy były zwykłym mięsem armatnim w armii Do'Urden. Jedynym powodem, dla którego przyprowadzono goblina do Domu DeVir były pułapki, które miały one uaktywnić, oczyszczając w ten sposób drogę dla elfów drowów, prawdziwych wojowników.

Ogrodzenie padło, a obrońcy otrząsnęli się z zaskoczenia. Żołnierze Domu DeVir spotkali

się z niewolnikami na dziedzińcu. Dinin wykonał tylko lekki ruch dłonią i sześćdziesięciu niecierpliwych drowów wyskoczyło z ukrycia, po czym rzuciło się w wir bitwy wymachując bronią i zaciskając zęby.

Zatrzymali się jednak na sygnał, pamiętając o zadaniu, które im przydzielono. Każdy drow posiadał pewne zdolności magiczne. Przywołanie kuli ciemności, takiej jaką zastosował Dinin przeciwko niedźwiedziokom, przychodziło z łatwością nawet najnędrniejsze - mu z nich. Tak stało się teraz, kiedy sześćdziesięciu żołnierzy Domu Do'Urden obrzuciło granice Domu DeVir kulami absolutnej czerni.

Pomimo powziętych środków ostrożności członkowie Domu Do'Urden wiedzieli, że ich atak obserwowało wiele par oczu. Świadkowie nie stanowili większego problemu, nie będą mogli ani chcieli zidentyfikować atakującego domu. Ale zwyczaj i tradycja nakazywały, by zastosowano pewne działania maskujące, jako część wojennej etykiety drowów. W mgnieniu oka Dom DeVir zmienił się dla reszty miasta w czarną plamę.

Rizzen stanął za swoim najmłodszym synem.

- Dobra robota - pokazał mu w języku migowym drowów. - Na - Ifein wszedł od tyłu.

- Łatwe zwycięstwo - odpowiedział butnie Dinin. - O ile opiekunka Ginafae i jej kapłanki zostaną utrzymane z daleka.

- Miej wiarę w Opiekunkę Malice - odrzekł na to Rizzen. Poklepał syna po ramieniu i ruszył wraz ze swoimi żołnierzami za zniszczone ogrodzenie z grzybów.

* * *

Wysoko ponad domem DeVir Zaknafein siedział wygodnie na grzbiecie powietrznego sługi Brizy i obserwował toczącą się poniżej bitwę. Ze swego punktu obserwacyjnego Zak mógł widzieć wszystko, co działo się wewnątrz kręgu ciemności i słyszeć głosy z kuli magicznej ciszy. Żołnierze Dinina, pierwsi wojownicy, którzy dostali się do środka, napotykali opór przy każdych drzwiach i dostawali nieźle w kość.

Nalfein i jego brygada, żołnierze Domu Do'Urden najlepiej zaznajomieni z magią, dostali się na tyły kompleksu przez dziurę w ogrodzeniu. Uderzenia błyskawic i magiczne kule kwasu przecinały teraz dziedziniec, rażąc zarówno mięso armatnie Do'Urden, jak i obrońców DeVir.

Na przednim dziedzińcu Rizzen i Dinin dowodzili najlepszymi wojownikami Domu Do'Urden. Błogosławieństwo Lloth pozostawało przy jego domu, dostrzegł Zak, kiedy bitwa rozgorzała na dobre, bowiem ciosy żołnierzy Domu Do'Urden spadały szybciej i celniej niż ciosy ich przeciwników. Po kilku minutach bitwa przeniosła się do wnętrza pięciu kolumn.

Zak otrząsnął się z magicznego chłodu i ponaglił powietrznego wierzchowca do działania. Pomknął na nim w dół, a potem zeskoczył kilka stóp nad tarasem otaczającym ostatnie piętro centralnej kolumny. Natychmiast ruszyło w jego stronę dwoje strażników.

Zawahali się chwilę, próbując dostrzec prawdziwą formę tej niewyraźnej, szarej plamy -

zbyt długo.

Nigdy nie słyszeli o Zaknafeinie Do'Urden. Nie wiedzieli, że patrzą w oczy śmierci.

Zak machnął biczem, łapiąc w pętlę gardło kobiety, drugą dłonią wykonując serię zasłon i pchnięć, które wytrąciły mężczyznę z równowagi. Zak zakończył życie obojga jednym szybkim ruchem, zrzucając kobietę z tarasu szarpnięciem bicza i kopiąc mężczyznę w twarz tak, że podążył za swą towarzyszką na podłogę jaskini.

Zak znalazł się w środku, gdzie spotkał następnego strażnika... lecz spotkanie było krótkie.

Zak przemykał wzdłuż rzeźbionej ściany, a jego ciało zlewało się doskonale z chłodnym kamieniem. Żołnierze Domu DeVir biegali wszędzie dookoła, próbując dać jakiś odpór napastnikom, którzy zajęli już najniższe poziomy każdej z wież, a dwie z nich znalazły się w ich rękach w całości.

Zak nie przejmował się nimi. Odciał się od szczęku adamantytowych ostrzy, wykrzykiwanych rozkazów i śmiertelnych wrzasków, koncentrując się za to na dźwięku, który miał go zaprowadzić do celu: zgodnym, gorączkowym śpiewie.

Znalazł pusty korytarz prowadzący do środka kolumny, którego ściany ozdobione były pajęczymi rzeźbami. Podobnie jak w Domu Do'Urden korytarz ten kończył się podwójnymi, bogato zdobionymi drzwiami, w których dekoracjach dominowały motywy pajęcze.

- To musi być tutaj - wymamrotał do siebie Zak, naciągając na głowę kaptur.

Olbrzymi pająk wyszedł ze swego ukrycia prosto na niego.

Zak rzucił się na ziemię i kopnął istotę od spodu, jednocześnie tocząc się po ziemi. Potem wbił głęboko swój miecz w bulwiaste ciało potwora. Klejący płyn ochlapał fehmistrza od stóp do głów, a pająk szybko upadł na podłogę.

- Tak - wyszeptał Zak, wycierając twarz z krwi pająka. - To musi być tutaj. - Wciągnął martwego potwora z powrotem do kryjówki i prześliznął się obok niego, mając nadzieję, że nikt nie zauważył ich krótkiego starcia.

Po dźwięku uderzających o siebie mieczy Zak poznał, że walka niedługo przeniesie się na to piętro. Dom DeVir zorganizował jednak wreszcie obronę i powstrzymał na razie napastników.

- Teraz, Malice - wyszeptał Zak, mając nadzieję, że dostrojona do niego Briza poczuje jego niecierpliwość. - Nie spóźnijmy się!

* * *

W przedsionku kaplicy Domu Do'Urden Malice i jej pomocnice toczyły brutalną walkę z kapłankami Domu DeVir. Lloth słyszała ich modlitwy wyraźniej niż błagania ich przeciwniczek, obdarzając kapłanki Do'Urden silniejszymi czarami w tej psychicznej rozgrywce. Z łatwością zmusiły swe rywalki do przejścia do obrony. Jedna ze słabszych kapłanek kręgu DeVir została powalona przez mentalny cios Brizy i leżała teraz martwa na podłodze tuż obok stóp Opiekunki Ginafae.

Przewaga zaczęła jednak powoli topnieć i zmagania stały się wyrównane. Opiekunka Malice, zmagając się z bólami nadchodzącego porodu, nie mogła utrzymać koncentracji, a bez jej głosu czary kręgu znacznie osłabły.

U jej boku stała potężna Briza, która ścisnęła dłoń matki z taką siłą, że odpłynęła z niej cała krew i stała się zimna - jedyny chłodny punkt na rozpalonym ciele elfki. Briza spojrzała na kępkę białych włosów na czubku głowy rodzącego się dziecka i oceniła czas do zakończenia porodu. Tej techniki zmieniania bólu porodowego na ofensywny czar nigdy jeszcze nie próbowano, chyba tylko w legendach, a Briza wiedziała, że czas może okazać się czynnikiem decydującym.

Szeptła do ucha matki, wypowiadając słowa śmiertelnej inkantacji.

Opiekunka Malice powtarzała głucho słowa czaru, z trudem łapiąc oddech i przemieniając cierpienie w ofensywną moc.

- Dinnen douward ma brechen tol - zawodziła Briza.

- *Dinnen douward... maaa... brechen tol!* - wyjęczała Malice, tak bardzo starając się przezwyciężyć ból, że przegryzła jedną z cienkich warg.

Pojawiła się główka dziecka, tym razem wyraźniej, i nie schowała się z powrotem.

Briza trzęsła się i sama z trudem przypominała sobie słowa inkantacji. Wyszepiała ostatnie słowa do ucha matki, niemal obawiając się ich następstw.

Malice nabrała oddechu i skupiała całą swą odwagę. Czując ukłucia czaru niemal tak wyraźnie, jak skurcze porodowe. Swym stojącym wokół posągu córkom wydawała się być czerwoną plamą rozpalonej furii, jaśniejącą równie wyraźnie jak gotująca się woda.

- *Abec* - zaczęła opiekunka czując, jak napięcie rośnie niemal do granic możliwości. - *Abec* - Poczwała jak jej skóra się rozrywa, gdy nagle głowa jej dziecka wydostała się z niej w całości. Poczwała nagłą ekstazę porodu. - *Abec di'n'a'BREG DOUWARD!* - krzyknęła Malice, odpychając od siebie straszliwy ból w ostatniej eksplozji magicznej mocy, która powaliła na ziemię pozostałe siedem kapłanek.

* * *

Podmuch magicznej mocy, wzmocniony uniesieniem Malice, uderzył prosto w kaplicę Domu DeVir, roztrzaskał na kawałki posąg Lloth, powyginał podwójne drzwi w pasy poskręcane metalu oraz rzucił Opiekunkę Ginafae i jej pomocnice na podłogę.

Zak potrząsnął głową z niedowierzaniem, kiedy tuż obok niego przeleciało skrzydło drzwi.

- Całkiem nieźle, Malice - uśmiechnął się i wpadł do pomieszczenia. Patrząc w infrawizji szybko rozpoznał sytuację i policzył znajdujące się w pozbawionym światła pomieszczeniu osoby. Wszystkie starały się wstać z ziemi, a ich ubrania były podarte na strzępy. Raz jeszcze potrząsając głową nad mocą Malice, Zak naciągnął kaptur na twarz.

Trzask bicza był jedynym wytłumaczeniem, jakie przedstawił, kiedy roztrzaskiwał pod stopami małą szklaną kulę. Rozbiła się, a ze środka wypadło małe ziarenko, które Briza

przygotowała na takie właśnie okazje, ziarenko, które świeciło światłem dnia.

Dla oczu przyzwyczajonych do ciemności, dostrojonych do widzenia ciepła, podobny błysk jawił się jako oślepiający wybuch cierpienia. Okrzyki bólu, które wydawały kapłanki, tylko pomagały Zakowi w jego misji, a za każdym razem, kiedy jego miecz zatapiał się w ciele drowki, Zak uśmiechał się szeroko pod swoim kapturem.

Usłyszał pierwsze słowa czaru wypowiedane w innej części pomieszczenia i domyślił się, że któraś z DeVir doszła do siebie na tyle, że może stać się niebezpieczna. Fechmistrz nie potrzebował jednak oczu, by wycelować i po chwili jego bicz wyrwał Opiekunce Ginafae język z ust.

* * *

Briza umieściła noworodka na plecach pajęczego posągu i uniosła ceremonialny sztylet, zatrzymując na chwilę ramię, by spojrzeć z podziwem na to dzieło okrutnego rzemiosła. Jego rękojeść wykonana była na podobieństwo pajęczego korpusu, którego osiem nóg, rzeźbionych tak, że wyglądały na pokryte włoskami, było wykrzywionych i służyło jako ostrza. Briza uniosła broń nad piersią noworodka.

- Nadaj dziecku imię - powiedziała do matki. - Pajęcza Królowa nie przyjmie ofiary, jeśli dziecko nie będzie miało imienia!

Opiekunka Malice potrząsnęła głową, próbując pojąć, co mówi jej córka. Opiekunka poświęciła całą swą energię chwili narodzin i zakończenia czaru i teraz nie pojmowała, co się wokół niej działo.

- Nazwij dziecko! - rozkazała Briza, pragnąc nakarmić swą wygłodniałą boginię.

* * *

- Zbliży się koniec - powiedział Dinin swojemu bratu, kiedy spotkali się na najniższym piętrze jednego z mniejszych filarów Domu DeVir. - Rizen niemal dostał się na samą górę, a Zaknafein wykonał już chyba swe mroczne zadanie.

- Wielu żołnierzy Domu DeVir przeszło już na naszą stronę - odrzekł Nalfein.

- Ujrzeli koniec - roześmiał się Dinin. - Nasz dom nada się dla nich równie dobrze jak inny, a dla prostaczków za żaden z nich nie warto umierać. Wkrótce zakończymy nasze zadanie.

- Tak szybko, że nikt nawet nie zauważy - powiedział Nalfein. - Teraz Do'Urden, Daermon N'a'shezbaernon stanie się Dziewiątym Domem Menzoberranzan i do diabła z DeVir!

- Uwaga! - wykrzyknął nagle Dinin, z rosnącym przerażeniem patrząc przez ramię swego brata.

Nalfein zareagował błyskawicznie, odwracając się, by stawić czoło niebezpieczeństwu i tym samym pozostawiając prawdziwe niebezpieczeństwo za sobą. Dokładnie w chwili, kiedy Nalfein domyślił się, że został zdradzony, miecz Dinina wbił się w jego plecy. Dinin położył głowę na ramieniu brata i dotknął swoim policzkiem jego policzka. Patrzył, jak z oczu Nalfeina ucieka iskierka ciepła.

- Tak szybko, że nikt nawet nie zauważy - syknął Dinin, powtarzając wcześniejsze słowa brata.

Pozwolił martwemu ciału upaść u swoich stóp.

- Teraz Dinin jest najstarszym synem Domu Do'Urden i do diabła z Nalfeinem.

* * *

- Drizzt - szepnęła Opiekunka Malice. - Będzie się nazywał Drizzt.

Briza zacisnęła sztylet w dłoni i rozpoczęła rytuał.

- Królowo Pajaków, przyjmij to dziecko - wyrecytowała. Uniosła sztylet do ciosu. - Dajemy ci Drizzta Do'Urden jako zapłatę za nasze wspaniałe zwy. . .

- Czekaj! - krzyknęła Maya. Połączenie myślowe z jej bratem Nalfeinem zostało gwałtownie przerwane. Mogło to znaczyć tylko jedno. - Nalfein nie żyje - ogłosiła. - Dziecko nie jest już trzecim żyjącym synem.

Vierna spojrzała z zaciekawieniem na siostrę. Dokładnie w chwili, kiedy Maya poczuła, że Nalfein umarł, Vierna poczuła u Dinina bardzo silne emocje. Radość? Vierna uniosła smukły palec do ust, zastanawiając się, czy Dininowi udało się zabójstwo.

Briza ciągle stała nad dzieckiem, pragnąc oddać jego życie Lloth. Ścisnęła mocno sztylet i znów rozpoczęła rytuał.

- Obiecałyśmy Pajęczej Królowej trzeciego żyjącego syna - ostrzegła Maya. - I dostała go.

- Ale nie w ofierze - spierała się Briza.

Vierna wzruszyła ramionami. - Jeśli Lloth przyjęła Nalfeina, oznacza to, że go dostała.

Kolejna ofiara mogłaby wywołać gniew Pajęczej Królowej.

- Ale jeśli nie damy jej tego, co obiecałyśmy, będzie jeszcze gorzej! - nalegała ciągle Briza.

- To zakończ, co zaczęłaś - powiedziała Maya.

Briza znowu chwyciła mocniej sztylet i zaczęła rytuał od nowa.

- Powstrzymaj swe ramię - rozkazała Opiekunka Malice, poprawiając się na krześle. - Lloth jest zadowolona. Osiągnęliśmy zwycięstwo. Powitajcie zatem swego brata, najnowszego członka Domu Do'Urden.

- Kolejny mężczyzna - skomentowała Briza ze zrozumiałym obrzydzeniem, odsuwając się od posągu i od dziecka.

- Następnym razem pójdzie nam lepiej - uśmiechnęła się Opiekunka Malice, choć zastanawiała się, czy w ogóle będzie następny raz. Piąte stulecie jej życia dobiegało właśnie końca, a elfy drowy, nawet młode, nie były szczególnie płodne. Briza urodziła się, gdy Malice miała zaledwie sto lat, ale przez następne czterysta lat na świat przyszło tylko pięcioro dzieci. Nawet to niemowlę, Drizzt, było niespodzianką, a Malice wątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze da życie nowej istotce.

- Dość już tych rozważań - wyszeptała do siebie Malice, czując się zupełnie wyczerpana. -

Będzie jeszcze na nie odpowiedni moment - opadła z powrotem na krzesło i pograżyła się w miłych i okrutnie przyjemnych snach o rosnącej władzy.

* * *

Zaknafein przeszedł przez centralny filar kompleksu DeVir, z mieczem wygodnie przypiętym do pasa i z kapturem w dłoni. Gwar bitewny słabł stopniowo, wskazując, że walka dobiega już końca. Dom Do'Urden zwyciężył, dziesiąty dom pokonał czwarty, teraz pozostało już tylko usunąć dowody i świadków. Grupa pomniejszych kapłanek przemierzała pole bitwy, niosąc pomoc rannym Do'Urden i zmuszając trupy do powstania, by same mogły oddalić się z miejsca zbrodni. W Domu Do'Urden te ciała, które nie są zbyt uszkodzone, zostaną ożywione, by nadal służyć swym panom.

Zak odwrócił głowę i otrząsnął się wyraźnie, kiedy kapłanki przechodziły z komnaty do komnaty, a za nimi rósł rząd maszerujących zombie Do'Urden.

Choć Zak patrzył na tę grupę z niesmakiem, następna była jeszcze gorsza. Dwie kapłanki Do'Urden prowadziły oddział żołnierzy i stosując czar wykrywania wskazywały miejsca, gdzie ukryli się żywi DeVir. Jedna zatrzymała się w korytarzu zaledwie kilka kroków od Zaka. Palce miała wyciągnięte przed siebie, jakby trzymała się jakiejś nici, jakby jakaś makabryczna różdżka wskazywała jej drogę do żywego, drowiego ciała.

- Tam! - oznajmiła, wskazując fragment ściany. Żołnierze skoczyli w tym kierunku niczym stado wygłodniałych wilków i przedarli się przez tajne drzwi. Za nimi, w niewielkim pomieszczeniu kryły się dzieci domu DeVir. Dzieci szlachciców, nie zwykłego pospólstwa, zatem nie można ich było wziąć żywcem.

Zak przyspieszył kroku, by jak najszybciej znaleźć się z dala od tego miejsca, ale wyraźnie usłyszał rozpaczliwe krzyki dzieci, kiedy żołnierze kończyli dzieła. Zak zaczął biec. Wybiegł zza rogu, niemal zderzając się z Rizenem i Dininem.

- Nalfein nie żyje - oznajmił Rizen.

Zak natychmiast spojrział na młodszego syna Do'Urden.

- Zabiłem żołnierza DeVirów, który to zrobił - zapewnił go Dinin, nie ukrywając nawet pyszałkowatego uśmiechu.

Zak żył już niemal od czterystu lat i z pewnością dobrze się orientował w zwyczajach stosowanych przez swą ambitną rasę. Książęcy bracia weszli do budynku wraz z ostatnimi wojownikami, a między nimi i wrogiem był gruby mur tarcz i mieczy. W chwili kiedy zobaczyli pierwszego drowa z Domu DeVir, większość przeciwników zdążyła już przejść na stronę Domu Do'Urden. Zak wątpił, by którykolwiek z braci w ogóle widział walkę przeciwko DeViroom.

- Opowieść o rzezi w sali modlitewnej obiegała już żołnierzy - powiedział Rizen fechmistrzowi. Spisałeś się jak zwykle doskonale - jak zwykliśmy oczekiwać.

Zak spojrział na opiekuna z pogardą i poszedł dalej, przeszedł przez główną bramę i zanurzył

się w mrok świtu Menzoberranzan. Rizen był kolejnym partnerem Malice, jednym z wielu i nikim więcej. Kiedyś Malice z nim skończy albo odeśle go z powrotem w szeregi zwykłych żołnierzy, odbierając mu prawo do nazwiska Do'Urden, albo pozbędzie się go. Zak nie musiał okazywać mu szacunku.

Wyszedł poza ogrodzenie z grzybów i udał się na najwyższy punkt obserwacyjny, jaki udało mu się znaleźć. Kilka chwil później patrzył z podziwem na procesję armii Do'Urden, opiekuna i syna, żołnierzy i kleryków, na sznur dwóch tuzinów zombie, którzy podążali z powrotem do domu. Stracili i pozostawili za sobą całe mięso armatnie, ale szereg, który opuszczał ruiny Domu DeVir był dłuższy niż ten, który wszedł do nich tej nocy. Każdy zabity tej nocy niewolnik został zastąpiony przez dwóch z domu DeVir, a pięćdziesięciu lub więcej żołnierzy drowów, okazując typową dla swojej rasy lojalność, przeszło na stronę napastników. Zdrajcy ci zostaną przesłuchani - magicznie - przez kapłanki Domu Do'Urden, które sprawdzą ich prawdziwe zamiary.

Przejdą ten sprawdzian co do jednego. Elfy drowy były istotami walczącymi o przetrwanie, a nie zasady. Żołnierzom da się nowe imiona i zatrzyma w Domu Do'Urden przez kilka miesięcy, dopóki upadek domu DeVir nie stanie się starą i zapomniana opowieścią.

Zak nie poszedł za nimi od razu. Wyciął sobie drogę przez grzyby i znalazłszy cichy zakątek, położył się na dywanie z mchu, spoglądając na wieczny mrok skrywający sklepienie jaskini - i na wieczny mrok własnego istnienia.

Zrobiłby roztropnie, gdyby się nie odzywał. Był w końcu intruzem w najpotężniejszej części miasta. Pomyślał o świadkach, którzy mogliby usłyszeć jego słowa, o tych samych, którzy mogli widzieć upadek Domu DeVir, którzy z całego serca cieszyli się ze spektaklu. Zak nie mógł jednak milczeć po rzezi, jaką ujrzała ta noc. Jego krzyk ułożył się w modlitwę do boga, którego imienia nawet nie znał.

- Jakim miejscem jest świat, w którym żyję. Jaką mroczną ziemię nawiedził mój duch? - wyszeptał skargę, którą od zawsze nosił głęboko w sobie. - W świetle widzę moją skórę jako czarną. W ciemności lśni bielą gniewu, którego nie mogę poskromić. Gdybym miał odwagę odejść, opuścić to miejsce albo własne życie, albo otwarcie wystąpić przeciwko złu tego świata, przeciwko własnym pobratymcom, by szukać życia, które nie zmienia się w zło i które, jak żywię nadzieję, gdzieś na mnie czeka. Zwą mnie Zaknafein Do'Urden, choć nie jestem drowem, przez swe czyny lub z wyboru. Niech dowiedzą się, kim jestem naprawdę. Niech ich gniew spadnie na te stare ramiona, które już uginają się od ciężaru beznadziei Menzoberranzan.

Lekceważąc konsekwencje, fehmistrz wstał z ziemi i krzyknął - Menzoberranzan, czym do diabła jesteś?!

Chwilę później, kiedy echo nie przyniosło żadnej odpowiedzi od strony milczącego miasta, Zak strząsnął resztki chłodu ze swego zmęczonego ciała. Poczłł niejaką ulgę, kiedy poklepał się po biczu, który miał zawieszony u pasa - narzędziu, którym wyrwał język z ust matki opiekunki.

OCZY DZIECKA

Masoj, młody uczeń - co na tym etapie jego kariery czarodzieja oznaczało, iż był jedynie sprzątaczem, oparł się na swojej miotle i obserwował, jak Alton DeVir przechodzi przez drzwi do najwyższej komnaty spirali. Masoj niemal czuł sympatię dla studenta, który musiał tam wejść i stanąć twarzą w twarz z Pozbawionym Twarzy.

Czuł również podniecenie, ponieważ wiedział, że fajerwerki, jakie zaiskrzą pomiędzy Altonem a jego mistrzem bez twarzy, będą warte oglądania. Wrócił do zamiatania, wykorzystując miotłę jako wymówkę do zbliżenia się bardziej do drzwi.

- Zażyczyłeś sobie mojej obecności, Mistrzu Pozbawiony Twarzy - powtórzył Alton DeVir, trzymając jedną dłoń przed twarzą i mrugając, bo walczył z jaskrawym blaskiem trzech świec. Alton przeniósł niespokojnie ciężar ciała z jednej stopy na drugą, stojąc w zacienionych drzwiach komnaty.

Garbiąc się, Pozbawiony Twarzy przez cały czas stał odwrócony plecami do młodego DeVira. Lepiej załatwić to czysto, przypomniał sobie. Wiedział jednak, że czar, który właśnie przygotowuje, zabije Altona, zanim student zda sobie sprawę z losu swej rodziny, zanim Pozbawiony Twarzy zdoła wykonać ostatnie instrukcje Dinina Do'Urden. Zbyt wiele wisiąło na włosku. Lepiej załatwić to czysto.

- Zaży... - zaczął znów Alton, lecz roztropnie wstrzymał swe słowa i starał się odgadnąć sytuację, przed którą stanął. Niezwykle było zostać wezwanym do prywatnych komnat mistrza Akademii, zanim zdążyły się w ogóle zacząć dzisiejsze lekcje. Gdy Alton otrzymał wiadomość, obawiał się, że w jakiś sposób zawiódł na jednej ze swoich lekcji. Byłaby to śmiertelna pomyłka w Sorcere, Alton był tak blisko ukończenia szkoły, lecz niechęć zaledwie jednego mistrza mogła położyć temu kres.

Powodziło mu się dość dobrze w lekcjach z Pozbawionym Twarzy, a nawet wierzył, że ten tajemniczy mistrz go ceni. Czy to wezwanie mogło po prostu mieć na celu złożenie gratulacji przed zbliżającym się ukończeniem szkoły? Raczej nie, mimo swoich nadziei zdał sobie sprawę Alton. Mistrzowie Akademii drowów nieczęsto gratulowali studentom.

Wtedy Alton usłyszał cichy śpiew i zauważył, że mistrz jest w środku rzucania czaru. Usłyszał w sobie krzyk oznaczający coś nieprawidłowego, coś w tej całej sytuacji, co nie pasowało do ścisłych zwyczajów Akademii. Alton ustawił pewnie stopy i napiął mięśnie, podążając za radą motta, które było wbijane w myśli każdego studenta Akademii, przykazaniem, które utrzymywało drowy przy życiu w społeczeństwie tak poświęconym chaosowi: Bądź przygotowany.

* * *

Drzwi eksplodowały przed nim, zasypując pomieszczenie odłamkami kamienia i rzucając

Masoja plecami na ścianę. Gdy ujrzał Al - tona DeVir wydostającego się chwiejnym krokiem z komnaty, poczuł, że przedstawienie było warte zarówno narażenia się na niebezpieczeństwo, jak i nowego zadrapania na ramieniu. Z pleców i lewej ręki studenta unosiły się kłęby dymu, zaś na szlacheckiej twarzy DeVira widniał obraz największego przerażenia i bólu, jakie Masoj kiedykolwiek widział.

Alton potknął się i zamachał gwałtownie nogami, z desperacją starając się uzyskać trochę przestrzeni pomiędzy sobą a morderczym mistrzem. Udało mu się minąć drzwi prowadzące do następnej, niższej komnaty, gdy Pozbawiony Twarzy pojawił się w roztrzaskanych drzwiach.

Mistrz zatrzymał się i przeklął swój niecelny atak, zastanawiając się jednocześnie nad najlepszym sposobem zastąpienia drzwi. - Posprzątaj to! - warknął na Masoja, który znów opierał się niedbale dłońmi na czubku miotły, położywszy na nich podbródek.

Masoj posłusznie opuścił głowę i zaczął zamiatać kamienne odłamki. Podniósł jednak wzrok, gdy Pozbawiony Twarzy go mijał i ostrożnie ruszył za mistrzem.

Alton nie był w stanie uciec, a widok ten będzie zbyt dobry, by można go było opuścić.

* * *

Trzecie pomieszczenie, prywatna biblioteka Pozbawionego Twarzy, było najjaśniejszą komnatą w spirali, na każdej ścianie płonęły tuziny świec.

- Szlag niech trafi to światło - syknął Alton, próbując odegnać sprzed oczu rozmazane plamy i dostać się do przedsionka siedziby Pozbawionego Twarzy. Gdyby udało mu się wydostać z wieży i wyjść na dziedziniec Akademii, może zdołałby uratować życie.

Światem Altona była ciemność Menzoberranzan, ale Pozbawiony Twarzy, który spędził tak wiele dziesięcioleci przy świetle świec, przyzwyczał do używania światła, a nie ciepła.

Sala wejściowa zastawiona była krzesłami i skrzyniami, ale płonęła w niej tylko jedna świeca, a Alton widział wystarczająco dobrze, by omijać wszelkie przeszkody. Podbiegł do drzwi i chwycił ciężką klamkę. Obróciła się łatwo, ale kiedy Alton próbował wyjść, błysk niebieskiej energii rzucił go na podłogę.

- Do diabła z tym miejscem - syknął Alton. Drzwi były magicznie chronione. Znał czar, którym otwierało się takie magiczne drzwi, ale wątpił, by jego magia była wystarczająco silna, żeby rozproszyć czar mistrza. Pośród całego zamieszania i strachu słowa zaklęcia kołatały mu się bezładnie po głowie, zmieniając się w niemożliwy do odczytania bełkot.

- Nie uciekaj, DeVir - rozległ się z innej komnaty głos Pozbawionego Twarzy. - Nie przedłużaj swych mąk!

- Do diabła również z tobą - odpowiedział szeptem Alton. Zapomniał o głupim czarze. Nigdy nie przychodził mu na myśl, kiedy było trzeba. Rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając innych możliwości.

Po chwili spostrzegł coś niezwykłego w połowie wysokości bocznej ściany, w pustym

miejscu między dwiema wielkimi szafami. Alton cofnął się o kilka kroków, by zobaczyć osobliwość pod lepszym kątem, ale odkrył, że znalazł się w kręgu światła świecy, gdzie oczy mogły dostrzegać jednocześnie odcienie podczerwieni, jak i zwykłe barwy i kształty.

Potrafił odróżnić jedynie fragment ściany różniący się nieco temperaturą od reszty kamiennego muru. Inne drzwi? Alton mógł tylko mieć nadzieję, że odgadł prawidłowo. Skierował się raz jeszcze na środek pokoju, stanął dokładnie na wprost tajemniczego fragmentu ściany i zmusił swoje oczy, by ze spektrum podczerwieni przestawiły się na postrzeganie zwykłego światła.

Kiedy jego oczy wreszcie się dostroiły, widok, który ujrzały, bardzo zaskoczył młodego DeVira. Nie zobaczył żadnych drzwi ani przejścia do innej komnaty. Patrzył za to na siebie i część pokoju, w którym stał. Alton nigdy jeszcze w ciągu swego pięćdziesięcioletniego życia nie widział czegoś podobnego, ale słyszał, jak mistrzowie Sorcere mówią o takich rzeczach. To było lustro.

Odgłosy z położonej wyżej komnaty przypomniały Altonowi, że Pozbawiony Twarzy jest tuż za nim. Nie miał czasu na wahanie. Opuścił głowę i ruszył prosto w stronę lustra.

Może były to drzwi teleportujące do innej części miasta, a może zwykłe przejście do kolejnej komnaty. A może, pomyślał Alton, była to międzywymiarowa brama, która przeniesie go do dziwnego i nieznanego świata!

Kiedy zbliżył się do tego cudownego przedmiotu, pchało go do przodu oczekiwanie wspaniałej przygody - potem czuł jedynie uderzenie, sypiące się szkło i zwykłą kamienną ścianę.

Zresztą, może to było po prostu zwykłe lustro.

* * *

- Spójrz na jego oczy - wyszeptała Vierna do Mayi, kiedy oglądały najnowszego członka Domu Do'Urden.

Oczy dziecka rzeczywiście były godne uwagi. Choć patrzyło ono na świat dopiero od niecałej godziny, jego oczy biegały z zaciekawieniem na wszystkie strony. Widać w nich było wprawdzie charakterystyczną iskierkę mówiącą, że oczy widzą w podczerwieni, jednak znajoma czerwień tęczy została złamana była odcieniem niebieskiego, które to połączenie dawało niesamowity fiolet.

- Ślepy? - zastanawiała się Maya. - Może jednak będzie musiał zostać poświęcony Pajęczej Królowej.

Briza spojrzała na nie z zaciekawieniem. Mroczne elfy nie pozwalały żyć dzieciom posiadającym jakieś fizyczne ułomności.

- Nie jest ślepy - odpowiedziała Vierna, przesuwając dłonią nad twarzą dziecka i rzucając wściekle spojrzenie obu swym siostram. - Patrzy na moje palce.

Maya zobaczyła, że jej siostra mówi prawdę. Zbliżyła twarz do dziecka, przyglądając się jego dziwnym oczom.

- Co widzisz, Drizzcie Do'Urden? - zapytała cicho, nie tyle chcąc okazać dziecku czułość, ile nie chcąc przeszkadzać jego matce, która odpoczywała na krześle obok głowy kamiennego posągu.

- Co takiego widzisz, czego reszta z nas nie dostrzega?

* * *

Szkło trzeszczało pod stopami Altona, zadając jeszcze głębsze rany, kiedy przenosił ciężar ciała, próbując się podnieść. Co za różnica, pomyślał.

- Moje lustro! - usłyszał ryk Pozbawionego Twarzy i zobaczył rozwścieczonego mistrza stojącego tuż nad nim.

Jakże wielki wydawał się. teraz Altonowi! Wielki i potężny, zasłaniał zupełnie światło świecy, a jego postać była dziesięciokrotnie powiększona w oczach bezbronnej ofiary przez samą obecność w tym miejscu.

Następnie Alton poczuł rozlewającą się wszędzie kleistą substancję, która zaczęła pokrywać wszystko, szafy, ściany i samego Altona. Młody DeVir próbował podnieść się z podłogi, uciec, ale czar Pozbawionego Twarzy zaczął już działać, uwięził go niczym muchę w pajęczej sieci.

- Najpierw moje drzwi - ryknął na niego Pozbawiony Twarzy. - A teraz moje lustro! Czy wiesz, ile trudów kosztowało mnie zdobycie tak rzadkiego urządzenia?

Alton poruszał głową na boki, lecz nie w odpowiedzi na pytanie, tylko próbując uwolnić chociaż głowę od wiążącej go substancji.

- Dlaczego nie stanąłeś spokojnie i nie pozwoliłeś, bym zakończył wszystko w czysty sposób? - zagrzmiał Pozbawiony Twarzy, wyraźnie zdegustowany.

- Dlaczego? - wyseplenił Alton, wypluwając z ust kawałek pajęczyny. - Dlaczego chcesz mnie zabić?

- Bo stłukłeś mi lustro! - wypalił mistrz.

To oczywiście nie miało żadnego sensu - lustro potłukło się już po pierwszym ataku - ale dla mistrza, przypuszczał Alton, nie musiało to mieć ani za grosz sensu. Alton wiedział, że jest w beznadziejnej sytuacji, ale nadal próbował rozproszyć uwagę przeciwnika.

- Słyszałeś o moim domu, o Domu DeVir - powiedział. - Czwarty w mieście. Opiekunka Ginfae nie będzie zachwycona. Wysoka kapłanka zawsze dowiaduje się prawdy o takich sytuacjach.

- Dom DeVir? - Pozbawiony Twarzy roześmiał się. Może zresztą cierpienia, których zażądał Dinin Do'Urden, da się jeszcze zorganizować? Alton potłukł mu lustro!

- Czwarty dom! - syknął Alton.

- Głupi szczeniaku - roześmiał się Pozbawiony Twarzy. - Dom DeVir już nie istnieje, ani czwarty, ani czterdziesty czwarty, ani żaden.

Alton osunął się, choć sieci próbowały utrzymać go w poprzedniej pozycji. O czym mistrz

paplał?

- Wszyscy nie żyją - ciągnął Pozbawiony Twarzy. - Opiekunka Ginfae widzi teraz Lloth dużo wyraźniej. - Przerazenie widoczne na twarzy Altona wyraźnie ucieszyło zdeformowanego mistrza. - Wszyscy martwi - powtórzył. - Oprócz biednego Altona, który żyje, by posłuchać o nieszczęśliwym wypadku swej rodziny. Zaraz ulżymy jego cierpieniom! - Pozbawiony Twarzy podniósł ramiona, by rzucić czar.

- Kto? - krzyknął Alton.

Pozbawiony Twarzy zatrzymał się, najwyraźniej nie rozumiejąc.

- Który dom to zrobił? - wyjaśnił skazany na śmierć uczeń. - Albo które domy zawiązały spisek, by zgubić DeVira?

- Ach, powinieneś wiedzieć - odrzekł mistrz zachwycony sytuacją. - Chyba masz prawo poznać prawdę, zanim przyłączysz się do swoich krewnych w krainie śmierci. - Uśmiech stał się szerszy w miejscu, gdzie kiedyś były jego usta.

- Ale stłukłeś moje lustro! - ryknął mistrz. - Umieraj, głupcze! Sam znajdź odpowiedzi!

Pierś Pozbawionego Twarzy zadrżała nagle, a potem konwulsyjny dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem. Mistrz wymamrotał przekleństwo w języku, którego uczeń nigdy nie słyszał. Jakiś straszliwy czar przygotował dla niego, tak złowrogi, że jego inkantacja ułożona była w języku, którego Alton nie rozumiał, tak niewypowiedziane zły, że nawet wymówienie go zdawało się być trudne dla czarownika. Nagle Pozbawiony Twarzy przewrócił się na ziemię i umarł.

Alton spojrział z oszołomieniem na miejsce, gdzie kaptur mistrza łączył się z jego płaszczem - i zobaczył lotki bełtu. Alton patrzył przez chwilę, jak zatruta broń drży od siły uderzenia, a potem skierował spojrzenie na środek pokoju, gdzie spokojnie stał sprzątac.

- Świetna broń, Pozbawiony Twarzy! - wykrzyknął Masoj, obracając w dłoniach dwuręczną kuszę. Rzucił Altonowi nieprzyjemny uśmiech i nałożył na cięciwę kolejną strzałę.

* * *

Opiekunka Malice podniosła się z krzesła i stanęła chwiejnie na własnych nogach.

- Z drogi! - syknęła do swoich córek.

Maya i Vierna odskoczyły od posągu i od dziecka.

- Spójrz na jego oczy, Matko Opiekunko - odważyła się odezwać Vierna. - Są niezwykle.

Opiekunka Malice przyjrzała się uważnie dziecku. Wszystko było chyba w porządku, i dobrze, bowiem po śmierci Nalfeina trudno będzie Drizztowi zastąpić tak wartościowego syna.

- Oczy - powtórzyła Vierna.

Opiekunka posłała jej mordercze spojrzenie, ale pochyliła się, by zobaczyć, o co chodziło jej córce.

- Purpurowe? - powiedziała zaskoczona Malice. Nigdy nie słyszała o czymś podobnym.

- Nie jest ślepy - powiedziała szybko Maya, widząc na twarzy swej matki wahanie.

- Daj mi świecę - rozkazała Opiekunka Malice. - Zobaczmy, jak wyglądają jego oczy w świetle światła.

Maya i Vierna ruszyły w stronę świętej szafki, ale Briza zastąpiła im drogę.

- Tylko wysoka kapłanka może dotykać świętych przedmiotów - powiedziała tonem, który niebezpiecznie zbliżył się do groźby. Odwróciła się gwałtownie, sięgnęła do szafki i wyjęła z niej wypaloną do połowy świecę. Kleryczki zasłoniły twarze, a Opiekunka Malice rozsądnie położyła dłoń na oczach dziecka, kiedy Briza zapalała świecę. Dawała tylko małeńki płomień, ale dla oczu drowów wyglądał on jak oślepiający wybuch.

- Daj ją tutaj - powiedziała Malice po chwili przyzwyczajania się do światła. Briza zbliżyła świecę do Drizzta, a Malice powoli odsunęła dłoń.

- Nie płacz - zauważyła Briza, zaskoczona, że dziecko bez krzyku znosi takie ostre światło.

- Znowu purpura - wyszeptała Opiekunka, nie zwracając uwagi na swą córkę. - Oczy dziecka są purpurowe w obu światach.

Vierna wstrzymała oddech, kiedy raz jeszcze spojrzała na swego małego braciszka i jego uderzająco lawendowe tęczę.

- To twój brat - przypomniała jej Malice, domyślając się po westchnieniu Yierny, co może się zdarzyć. - Kiedy dorośnie i te oczy tak na ciebie spojrzą, pamiętaj, że to twój brat.

Vierna odwróciła się, z trudem powstrzymując się od odpowiedzi, której potem mogłaby żałować. Spotkania, które Malice odbywała z każdym niemal mężczyzną z domu Do'Urden i innymi, których udało się jej wywabić z ich domów, były niemal legendarne w Menzoberranzan. Kim była, by przypominać o poprawnym zachowaniu i normach? Vierna zagryzła wargi i miała nadzieję, że ani Briza, ani Malice nie czytały w tej chwili jej myśli.

W Menzoberranzan za takie plotkarskie myśli o wysokiej kapłance, niezależnie od tego, czy były prawdą, czy też nie, otrzymywało się bolesną karę.

Jej matka zmrużyła oczy i Vierna poczuła się, jakby została zdemaskowana. - Do ciebie należy przygotowanie go - powiedziała do niej Opiekunka Malice.

- Maya jest młodsza - ośmieliła się zaprotestować Vierna. - Gdybym mogła trzymać się swoich studiów, zdołałabym osiągnąć poziom wysokiej kapłanki w zaledwie kilka lat.

- Albo nigdy - stanowczo przypomniała jej opiekunka. - Zabierz dziecko to kaplicy. Przyzwyczaj je do słów i naucz wszystkiego, czego będzie potrzebowało, by w odpowiedni sposób zachowywać się jako książę słuźebny Domu Do'Urden.

- Zajmę się nim - zaproponowała Briza, a jej ręka podświadomie spoczęła na wężowym biczu. - Tak lubię pokazywać mężczyznom ich miejsce w świecie.

Malice zmierzyła ją wzrokiem. - Jesteś wysoką kapłanką. Masz inne obowiązki, ważniejsze niż przyzwyczajanie męskiego dziecka do słów. - Do Yierny zaś powiedziała - Dziecię jest twoje i nie rozczaruj mnie! Lekcje, które będziesz przekazywać Drizztowi, wzmocnią twoje własne

zrozumienie naszych zwyczajów. Próba „matkowania” pomoże ci w staniu się wysoką kapłanką. - Poczekaj chwilę, by Vierna zdążyła spojrzeć na swoje zadanie w pozytywnym świetle, po czym znów się odezwała, a jej głos ponownie brzmiał niezaprzeczalną groźbą. - Może ci to pomóc, lecz z pewnością może cię również zniszczyć!

Vierna westchnęła, lecz zachowała swe myśli dla siebie. Brzemię, jakie Opiekunka Malice rzuciła na jej ramiona, zajmie jej większość czasu przez przynajmniej dziesięć lat. Yiemie nie podobała się ta perspektywa, ona i to purpurowookie dziecko przez dziesięć długich lat. Wszelako alternatywa, gniew Opiekunki Malice Do'Urden, wydawała się znacznie gorsza.

* * *

Alton wypluł z ust kolejny kawałek pajęczyny. - Jesteś tylko chłopcem, uczniem - wyjąkał. - Dlaczego miałbyś...

- Zabić go? - dokończył myśl Masoj. - Nie, żeby cię ocalić, jeśli taka jest twoja nadzieja. - Splunął na ciało Pozbawionego Twarzy. - Spójrz na mnie, księcia szóstego domu, sprzątacza tego parszywego...

- Hun'ett - wtrącił się Alton. - Dom Hun'ett jest szóstym domem.

Młodszy drow przyłożył palec do wydętych warg. - Zaczekaj - powiedział z rozszerzającym się, złowrogim i pełnym sarkazmu uśmiechem. - Jesteśmy teraz, jak przypuszczam, piątym domem, ponieważ DeVir zostali unicestwieni.

- Jeszcze nie! - warknął Alton.

- Chwilowo - zapewnił go Masoj, kładąc palec na spuście kuszy. Alton cofnął się w głąb sieci. Wystarczająco złe było zostać zabitym przez mistrza, lecz hańba związana z zastrzeleniem przez chłopca...

- Wydaje mi się, że powinienem ci podziękować - powiedział Masoj. - Planowałem zabicie go od wielu tygodni.

- Dlaczego? - Alton naciskał na nowego napastnika. - Ośmieliłbyś się zabić mistrza Sorcere tylko dlatego, że twoja rodzina wtrąciła cię w służbę u niego?

- Ponieważ mnie lekceważył! - wrzasnął Masoj. - Byłem u niego w niewoli przez cztery lata, u tego pełzającego ścierwa. Czyściłem mu buty. Szykowałem balsamy dla tej obrzydliwej twarzy! Czy to nie wystarczało? Nie dla niego! - Znów splunął na ciało i ciągnął dalej, mówiąc bardziej do siebie niż uwięzionego studenta. - Szlachta pragnąca zostać czarodziejami ma tę przewagę, że służy jako uczniowie, zanim osiągnie odpowiedni wiek, by wstąpić do Sorcere.

- Oczywiście - rzekł Alton. - Sam trenowałem u...

- Chciał mnie trzymać z dala od Sorcere! - grzmiał Masoj, całkowicie ignorując Altona. - Kazałby mi iść zamiast tego do Melee - Maghtere, do szkoły wojowników. Szkoły wojowników! Do moich dwudziestych piątych urodzin są tylko dwa tygodnie. - Masoj podniósł wzrok, jakby nagle sobie przypomniał, że nie jest sam w komnacie. - Wiedziałem, że muszę go zabić - mówił

dalej, zwracając się teraz bezpośrednio do Altona. - A wtedy ty przyszedłeś i wszystko ułatwiłeś. Student i mistrz zabijający się nawzajem podczas walki? To już się wcześniej zdarzało. Kto by coś takiego zakwestionował? Sądzę więc, że powinienem ci podziękować, Altonie DeVir z Domu Niewartego Wzmianki - zakpił Masoj z niskim, powłóczyстым ukłonem. - Oczywiście, zanim cię zabiję.

- Zaczekaj! - krzyknął Alton. - Co osiągniesz zabijając mnie?

- Alibi.

- Ale masz alibi, a możemy zrobić je lepszym!

- Wyjaśnij - powiedział Masoj, który, co trzeba przyznać, nie spieszył się zbytnio.

Pozbawiony Twarzy był potężnym czarodziejem i pajęczyny nie znikną zbyt szybko.

- Uwolnij mnie - rzekł poważnie Alton.

- Czy jesteś tak głupi, za jakiego uważał cię Pozbawiony Twarzy? Alton beznamiętnie przyjął obelgę, dzieciak miał kuszę. - Uwolnij mnie, abym mógł przybrać tożsamość Pozbawionego Twarzy - wyjaśnił. - Śmierć mistrza wzbudzi podejrzenia, lecz jeśli mistrz nie zostanie uznany za zmarłego...

- A co z tym? - spytał Masoj, kopiąc ciało.

- Spal to - powiedział Alton, a jego desperacki plan zaczął nabierać wyrazistości. - Niech to będzie Alton DeVir. Nie ma już Domu DeVir, tak więc nie będzie żadnego śledztwa, żadnych pytań.

Masoj wydawał się sceptyczny.

- Pozbawiony Twarzy był praktycznie pustelnikiem - stwierdził Alton. - Zaś ja jestem bliski ukończenia szkoły. Z pewnością po trzydziestu latach nauki mogę poradzić sobie z nauczaniem na podstawowym szczeblu.

- A co ja będę z tego miał?

Alton spojrzał na niego oszołomionym wzrokiem, jakby odpowiedź była oczywista, i niemal zatopił się w splotach pajęczyny. - Mistrza w Sorcere, którego będziesz mógł nazywać mentorem. Kogoś, kto ułatwi ci drogę poprzez lata studiów.

- I kogoś, kto będzie mógł się pozbyć świadka, zaraz gdy stanie się on niewygodny - dodał ze szczwanym uśmiechem Masoj.

- A co ja bym z tego miał? - odparł Alton. - Miałbym, nie mając przy boku rodziny, rozgniewać Dom Hun'ett, piąty w mieście? Nie, młody Masoju. Nie jestem tak głupi, za jakiego uważał mnie Pozbawiony Twarzy.

Masoj zaczął stukać długim, spiczastym paznokciem o zęby, rozważając tę ewentualność. Sprzymierzeniec wśród mistrzów Sorcere? To dawało możliwości.

W umyśle Masoja błysnęła kolejna myśl. Otworzył stojącą obok Altona szafkę i zaczął przerzucać jej zawartość. Alton wzdrygnął się, gdy usłyszał stukające o siebie jakieś ceramiczne i

szklane pojemniki, rozmyślając o składnikach, może nawet w pełni wydestylowanych truciznach, które mogły zostać zniszczone przez beztroskę ucznia. Pomyślał, że być może Melee - Maghtere rzeczywiście byłoby lepszym wyborem dla niego.

Chwilę później młody drow znów wszedł w pole widzenia i Alton przypomniał sobie, że nie był w odpowiedniej sytuacji, by móc dokonywać takich osądów.

- To należy do mnie - oznajmił Masoj, pokazując Altonowi mały czarny przedmiot. Pieczołowicie wyrzeźbioną onyksową figurkę polującą panterę. - Dar od mieszkańca niższych planów za pomoc, jakiej mu udzieliłem.

- Pomogłeś takiemu stworzeniu? - nie mógł nie zapytać Alton, nie wierząc, że zwykły uczeń dysponował odpowiednimi środkami, by przeżyć spotkanie z takim nieprzewidywalnym i potężnym przeciwnikiem.

- Pozbawiony Twarzy... - Masoj znów kopnął ciało - zagarnął zasługi i statuetkę, lecz należą one do mnie! Wszystkie pozostałe przedmioty stąd przejdą oczywiście do ciebie. Znam magiczne dweomery większości i pokażę ci, co jest co.

Rozjaśniony nadzieją, że rzeczywiście przeżyje tak straszny dzień, Alton niezbyt przejmował się w tym momencie figurką. Wszystko, czego chciał, to uwolnić się z pajęczyn, by móc poznać prawdę o losie swego domu. Wtedy Masoj, zawsze wiecznie wprawiający w zdumienie młody drow, odwrócił się nagle i zaczął odchodzić.

- Gdzie idziesz? - spytał Alton.

- Po kwas.

- Kwas? - Alton dobrze ukrył swą panikę, choć miał potworne przeczucie, że wie, co Masoj ma zamiar zrobić.

- Chcę, by twoje przebranie wyglądało na autentyczne - wyjaśnił niedbale Masoj. - Jeśli tak się nie stanie, nie będzie zbyt dobrym przebraniem. Powinniśmy wykorzystać obecność sieci. Utrzyma cię w miejscu.

- Nie - zaczął protestować Alton, lecz Masoj odwrócił się do niego z paskudnym uśmiechem na twarzy.

- Oczywiście będzie trochę bólu i problemów, przez które będziesz musiał przejść - przyznał Masoj. - Nie masz rodziny i nie znajdziesz w Sorcere przyjaciół, ponieważ Pozbawiony Twarzy był pogardzany przez innych mistrzów. - Podniósł kuszę celując nią na poziomie oczu Altona i założył kolejny zatruty bełt. - Może wolałbyś śmierć?

- Idź po kwas! - krzyknął Alton.

- Po co? - syknął Alton, wymachując kuszą. - Po co miałbyś chcieć żyć, Altonie DeVir z Domu Niewartego Wzmianki?

- Dla zemsty - warknął Alton, a obecny w jego głosie gniew postawił pewnego siebie Masoja w stan czujności. - Nie nauczyłeś się jeszcze tego, że nic nie przydaje życiu więcej

celowości niż żądza zemsty!

Masoj opuścił kuszę i spojrzął z szacunkiem na uwięzionego drowa, niemal ze strachem. Mimo to uczeń Hun'ett nie był w stanie docenić powagi kryjącej się w obwieszczeniu Altona, dopóki student nie powtórzył, tym razem z pełnym gorliwością uśmiechem na twarzy. - Idź po kwas.

4

PIERWSZY DOM

Cztery cykle Narbondel - cztery pełne dni - później, do Domu Do'Urden przyleciał ponad otoczoną grzybami wybrukowaną ścieżką dryfujący w powietrzu, świecący, niebieski dysk. Strażnicy obserwowali z okien i z dziedzińca, jak cierpliwie płynął zaledwie metr nad ziemią. Rodzina dowiedziała się o nim kilka chwil później.

- Co to może być? - zapytała Zaknafeina Briza, kiedy oni, Dinin i Maya pojawili się na balkonie wyższego poziomu.

- Wezwanie? - Zak zapytał raczej niż odpowiedział na pytanie. - Nie dowiemy się, dopóki nie sprawdzimy. - Zak przestąpił nad balustradą i spłynął na podłogę dziedzińca. Briza skinęła Mayi i najmłodsza córka podążyła w ślad fechmistrza.

- Nosi znak Domu Baenre - krzyknął w górę Zak, kiedy tylko podszedł bliżej. Razem z Mayą podnieśli bramę, a dysk wśliznął się przez nią, nie wykonując żadnych wrogich ruchów.

- Baenre - powtórzyła Briza, odwracając głowę w stronę korytarza, w którym czekała Malice i Rizen.

- Chyba wzywają cię na audiencję, Matko Opiekunko - powiedział nerwowo Dinin.

Malice wyszła szybko na balkon, a jej mąż posłusznie poszedł za nią.

- Czy wiedzą o naszym ataku? - zapytała Briza językiem gestów, choć każdy mieszkaniec domu Do'Urden, zarówno szlachcic jak i zwykły drow, zadał już sobie wcześniej to pytanie. Dom DeVir został zniszczony zaledwie kilka dni wcześniej, a wezwanie Pierwszej Matki Opiekunki Menzoberranzan trudno było uznać za zbieg okoliczności.

- Każdy dom wie - odpowiedziała na głos Malice, uważając, że nie musi milczeć we własnym domu. - Czy dowody przeciwko nam są tak przytłaczające, że rada rządząca będzie musiała zadziałać? - Spojrzała twardo na Brizę, a jej oczy zmieniały kolor z purpury w podczerwieni na głęboką zieleń w normalnym świetle. - Musimy zadać sobie takie pytanie. - Malice przestąpiła nad balustradą balkonu, ale Briza chwyciła ją za skraj szaty.

- Nie masz chyba zamiaru tam pójść?

- Ależ oczywiście - odrzekła. - Opiekunka Baenre nie wezwałaby mnie, gdyby miała złe zamiary. Nawet jej potęga nie pozwala na lekceważenie zasad panujących w mieście.

- Jesteś pewna swego bezpieczeństwa? - zapytał szczerze zaniepokojony Rizen. Gdyby Malice zginęła, Briza przejęłaby dom, a Rizen wątpił, by najstarsza córka pragnęła u swego boku

jakiegoś mężczyzny. Nawet gdyby ta kobieta chciała partnera, Rizzen nie chciałby nim być. Nie był ojcem Brizy, nawet nie miał tyle lat ile ona. Najwyraźniej opiekunowi domu bardzo zależało na bezpieczeństwie Malice.

- Twoja troska mnie wzrusza - odpowiedziała Malice, wiedząc o prawdziwych troskach swego męża. Wyrwała się z uścisku Brizy i przestąpiła przez barierkę. Briza potrząsnęła głową i gestem rozkazała Rizzenowi, by poszedł z nią do domu, uważając, że niebezpiecznie jest wystawiać na widok tak dużą część rodziny.

- Potrzebujesz eskorty? - zapytał Zak, kiedy Malice usiadła na dysku.

- Z pewnością otrzymam ją, kiedy tylko znajdę się poza granicami swej posiadłości - odrzekła Malice. - Opiekunka Baenre nie wystawiłaby mnie na niebezpieczeństwo, kiedy znajduję się pod opieką jej domu.

- Racja - powiedział Zak. - Ale czy potrzebujesz eskorty z Domu Do'Urden?

- Gdyby jej oczekiwano, przyleciałyby dwa dyski, powiedziała Malice, ucinając sprawę. Opiekunkę zaczęły denerwować te niekończące się pytania. Była w końcu matką opiekunką, najsilniejszą, najstarszą i najmądrzejszą, nie mogła zatem pozwolić, by ktokolwiek kwestionował jej decyzje. Zwracając się do dysku, Malice powiedziała - Wykonaj powierzone ci zadanie i niech już będzie po wszystkim!

Zak niemal parsknął, słysząc słowa, jakie dobrała Malice.

- Opiekunko Malice Do'Urden - rozległ się magiczny głos z dysku. - Opiekunka Baenre pozdrawia cię. Zbyt wiele czasu minęło, od kiedy zasiadłyście we dwie do wspólnego stołu.

- Nigdy - pokazała Zakowi Malice. - Zabierz mnie zatem do domu Baenre! - zażądała Malice. - Nie będę tracić czasu na rozmowę z magicznymi ustami! - Najwyraźniej opiekunka Baenre oczekiwała zniecierpliwienia Malice, bowiem dysk poleciał do posiadłości Baenre, nie wypowiadając ani jednego słowa więcej.

Zak zamknął za nim bramę, a potem szybko wydał rozkazy żołnierzom. Malice nie życzyła sobie jawnego towarzystwa, ale ukryta sieć szpiegowska Do'Urden będzie śledzić każdy ruch dysku, aż do samej bramy posiadłości rządzącego domu.

* * *

Malice nie myliła się co do eskorty. Kiedy tylko dysk wyleciał poza teren Do'Urden, z ukrycia po obu stronach drogi wyłoniło się dwadzieścia wojowniczek Baenre, samych kobiet. Uformowały defensywny czworokąt wokół opiekunki. Strażniczki na szczytach czworokąta miały na plecach wyhaftowane wielkie czerwono - purpurowe pająki - oznakę wysokich kapłanek.

- Córki samych Baenre - zdumiała się Malice, bowiem tylko córki dostojników mogły dojść do tak wysokiej pozycji. Jakże dokładnie zadbała Pierwsza Matka Opiekunka o bezpieczeństwo Malice w czasie tej podróży!

Niewolnicy i pospólstwo drowów potykali się o siebie w szaleńczej próbie znalezienia się

jak najdalej od zbliżającego się pochodu, który powoli przemierzał wijące się uliczki Menzoberranzan. Żołnierze Domu Baenre nosili insygnia w widocznym miejscu, a nikt nie chciał się narażać na gniew Pierwszej Opiekunki.

Malice przewróciła tylko z niedowierzaniem oczyma i miała nadzieję, że zazna takiej władzy przed śmiercią.

Przewróciła oczyma ponownie, kiedy kilka minut później pochód dotarł do celu. Dom Baenre składał się z dwudziestu wysokich i majestatycznych stalagmitów, z których wszystkie połączone były z innymi za pomocą mostów o wysokich przesłach i parapetów. Z tysiąca rzeźb lśnił blask magicznego ognia, a około setki po królewsku ubranych strażników przechadzało się w doskonale utrzymywanych formacjach.

Jeszcze bardziej uwagę zwracało trzydzieści mniejszych stalaktytów Domu Baenre. Zwieszały się one z sufitu jaskini, a ich korzenie niknęły w ciemności. Niektóre z nich łączyły się czubkami ze stalagmitami, a inne wisiały swobodnie, niczym zatrute włócznie. Wokół nich zbudowano wijące się jak śruba balkony, wspaniale lśniące ogniem magii.

Również z magii zbudowano mur, który łączył podstawy zewnętrznych stalagmitów i otaczał cały kompleks. Była to gigantyczna sieć, srebrna na tle na ogół niebieskiego dziedzińca. Niektórzy mówią, że był to podarunek od samej Lloth, składający się z mocnych jak stal nici o grubości ramienia. Cokolwiek dotknęłoby ogrodzenia Baenre, nawet najostrzejsza z broni drowów, po prostu przykleiłoby się do niego, dopóki matka opiekunka nie zażyczyłaby sobie inaczej.

Malice i jej eskorta podążyły prosto do symetrycznej i z grubsza krągłej części muru pomiędzy najwyższymi z zewnętrznych wież.

Kiedy już się zbliżyły, mur otworzył się, pozostawiając szczelinę na tyle szeroką, że pochód mógł swobodnie przez nią przejść.

Malice przez cały czas starała się wyglądać tak, jakby nic nie robiło na niej wrażenia.

Setki ciekawskich żołnierzy przyglądały się procesji, kiedy ta zmierzała do centralnej budowli Baenre, wielkiej, lśniącej na purpurowo kaplicy. Zwykli żołnierze odłączyli się od eskorty, pozostały tylko cztery wysokie kapłanki, które odprowadziły Malice do środka.

Widok, jaki ujrziała za drzwiami kaplicy, nie zawiódł jej. W pomieszczeniu dominował centralny ołtarz otoczony rzędami ławek. Mogło tu swobodnie przebywać dwa tysiące drowów. Wszędzie porozstawiane były statuetki i rzeźby, zbyt liczne, by je policzyć, wszystkie lśniące spokojnym światłem. W powietrzu, wysoko nad ołtarzem unosił się czarno - czerwony wizerunek, który nieustannie zmieniał się i przedstawiał raz pająka, a raz piękną drowkę.

- To dzieło Grompha, mojego głównego czarodzieja. - Opiekunka Baenre siedziała na ołtarzu i najwidoczniej odgadła, że Malice, podobnie jak każdy, kto był tu pierwszy raz, była absolutnie zachwycona widokiem. - Nawet oni się do czegoś przydają.

- O ile pamiętają o swoim miejscu - odrzekła Malice, zsuwając się z nieruchomego dysku.

- Racja - powiedziała Opiekunka Baenre. - Mężczyźni bywają czasem tak bezczelni, szczególnie czarodzieje! Mimo tego chciałabym mieć Grompha częściej u swego boku. Został wyznaczony Arcymagiem Menzoberranzan i zawsze zajęty jest Narbondel i innymi takimi sprawami.

Malice skłoniła tylko głowę i utzymała język za zębami. Oczywiście, że wiedziała, iż syn Baenre został głównym magiem miasta. Każdy to wiedział. Każdy wiedział też, że córka Baenre była Mistrzynią Opiekunką Akademii, czyli sprawowała funkcję ustępującą prestiżem tylko kierowaniu całym domem. Malice nie wątpiła, że Opiekunka Baenre już wkrótce wplecie ten fakt do rozmowy.

Zanim Malice zdążyła zbliżyć się do ołtarza, z cienia wystąpiła jej najnowsza eskorta. Malice nie zdołała stłumić jęku, kiedy zobaczyła illithida, łupieżcę umysłu. Stał po prostu, wysoki na metr osiemdziesiąt, czyli o całą głowę wyższy od Malice, a różnicę stanowiła głównie niezwykle duża głowa istoty. Przypominała ona ociekającą śluzem ośmiornicę o pozbawionych źrenic, mlecznobiałych oczach.

Malice szybko doszła do siebie. Łupieżcy umysłu nie byli nieznani w Menzoberranzan, a pogłoski mówiły, że jeden z nich zaprzyjaźnił się z Opiekunką Baenre. Istoty te, o wiele inteligentniejsze i bardziej złe niż drowy, wzbudzały zawsze dreszcz obrzydzenia.

- Możesz nazywać go Methil - wyjaśniła Baenre. - Jego prawdziwego imienia nie potrafię wypowiedzieć. Jest przyjacielem.

Zanim Malice zdążyła odpowiedzieć, Baenre dodała - Oczywiście Methil daje mi przewagę w dyskusji, a ty nie jesteś przyzwyczajona do illithidów. - Następnie, gdy usta Malice otworzyły się w niedowierzaniu, Baenre odprawiła stwora.

- Czytasz moje myśli - zaprotestowała Malice. Niewielu było takich, którzy mogli przedrzeć się przez osłony wysokiej kapłanki, by odczytać jej myśli, a podobne próby były w społeczeństwie drowów uznawane za przestępstwo.

- Nie! - wyjaśniła Baenre, jakby się broniąc. - Wybacz mi, Opiekunko Malice. Methil czyta myśli, nawet wysokiej kapłanki, z taką łatwością, z jaką ty lub ja słyszemy słowa. On komunikuje się telepatycznie. Masz moje słowo, że nawet nie wiedziałam, że możesz coś ukrywać.

Malice poczekała, aż istota wyjdzie z wielkiej sali, a potem weszła po stopniach ołtarza. Pomimo wielkiego wysiłku nie mogła powstrzymać się od zerkania od czasu do czasu na zmieniający się wizerunek nad ołtarzem.

- Jak się wiedzie Domowi Do'Urden? - zapytała podejrzanie grzecznie Opiekunka Baenre.

- Dobrze - odrzekła Malice, bardziej w tej chwili zainteresowana obserwowaniem swej rozmówczyni niż samą rozmową. Na szczycie ołtarza były same, choć z pewnością około tuzina kleryczek przemierzało pograżoną w ciemności część sali, uważnie przyglądając się ich rozmowie.

Malice robiła wszystko co mogła, by ukryć pogardę dla Opiekunki Baenre. Malice była

stara, miała prawie pięćset lat, ale Baenre była starszą. Jej oczy widziały narodziny i upadek tysiąclecia, choć drowy rzadko żyły dłużej niż siedemset lat, a na pewno nie dłużej niż osiemset. Choć drowy zwykle nie zdradzały wyglądem swego wieku - Malice była równie piękna i świeża jak w dniu swych setnych urodzin - Opiekunka Baenre była zniszczona i pomarszczona. Zmarszczki wokół jej ust przypominały pajęczynę, a ciężkie powieki ledwo powstrzymywały się przed zamknięciem. Opiekunka Baenre powinna być martwa, zauważyła Malice, a jednak nadal żyje.

Opiekunka Baenre, choć od dawna nie powinno jej być wśród żywych, była w ciąży, a rozwiązanie miało nadejść już za kilka tygodni.

Również po tym względem Opiekunka Baenre różniła się od innych ciemnych elfów. Rodziła już dwadzieścia razy, dwukrotnie więcej niż ktokolwiek inny w Menzoberranzan, w tym piętnaście razy przyszyły na świat dziewczynki, z których każda została wysoką kapłanką! Dziesięcioro z dzieci Baenre było starszych od Malice!

- Ilu żołnierzy masz teraz pod swoją komendą? - zapytała Baenre, zbliżając się do Malice z zainteresowaniem.

- Trzystu - odpowiedziała Malice.

- Och - rzekła w zadumie stara drowka, przyciskając palec do warg. - A ja słyszałam, że trzystu pięćdziesięciu.

Malice skrzywiła się mimowolnie. Baenre drażniła się z nią, mówiąc o żołnierzach, którzy przyłączyli się podczas ataku na Dom DeVir.

- Trzystu - powtórzyła Malice.

- Oczywiście - rzekła Baenre, opierając się wygodnie.

- A Dom Baenre ma ich około tysiąca? - zapytała Malice, pragnąc tylko skierować rozmowę na inne tory.

- Ta liczba nie zmieniła się od wielu lat.

Malice zastanawiała się, dlaczego ta jędza ciągle żyje. Z pewnością co najmniej jedna z jej córek pragnęła zostać Opiekunką. Dlaczego nie wykończyły Opiekunki Baenre? I dlaczego żadna z nich, osiągnąwszy pewien wiek, nie zdecydowała się założyć własnego domu, co było normą dla szlachetnie urodzonych drowek, przekraczających pięćsetny rok życia? Przecież tak długo, jak mieszkały z Opiekunką Baenre, ich dzieci nie były nawet szlachciami!

- Czy słyszałaś, jaki los spotkał Dom DeVir? - Opiekunka Baenre zapytała prosto z mostu, zmęczona chyba wykrętami Malice.

- Jaki dom? - odpowiedziała pytaniem Malice. W tej chwili nie było w Menzoberranzan czegoś takiego jak Dom DeVir. Drowy myślały następująco: dom nie istnieje, dom nigdy nie istniał.

Baenre zarechotała.

- Oczywiście - odrzekła. - Teraz jesteś opiekunką dziewiątego domu. To spory zaszczyt.

Malice skłoniła głowę.

- Ale nie tak wielki, jak być opiekunką ósmego.

- Tak - zgodziła się Baenre - ale dziewiąty to tylko jedno miejsce od zasiadania w radzie rządzącej.

- To byłby wielki zaszczyt - odpowiedziała Malice. Zaczęła rozumieć, że Baenre wcale się z nianie drażni, lecz jej gratuluje i zachęca ją do sięgnięcia po jeszcze większe zaszczyty. Malice rozpogodziła się na tę myśl. Baenre cieszyła się najwyższą łaską Lloth. Jeśli ona cieszyła się z wyniesienia Domu Do'Urden, to samo czuła Pajęcza Królowa.

- Nie tak wielki, jak sobie wyobrażasz - powiedziała Baenre. - Jesteśmy grupą paplających starych bab, zbierającą się tylko po to, by znaleźć nowe sposoby na wetknięcie nosów w nie swoje sprawy.

- Miasto uznaje waszą władzę.

- A czy ma jakiś wybór? - roześmiała się Baenre. - Lepiej jednak pozostawić sprawy drowów opiekunkom poszczególnych domów. Lloth nie zniósłaby żadnej rady, która choćby w przybliżeniu mogła posiadać absolutną władzę. Czy nie uważasz, że Dom Baenre mógłby już dawno podbić całe Menzoberranzan, gdyby taka była wola Lloth?

Malice uniosła się dumnie na krzesle, oburzona tak aroganckimi słowami.

- Oczywiście nie teraz - wyjaśniła Baenre. - W dzisiejszych czasach miasto jest za duże. Ale dawno temu, kiedy nie było cię jeszcze na świecie, podobny podbój nie byłby dla Domu Baenre zbyt trudny. Ale nie zrobiliśmy tego. Lloth lubi różnorodność. Jest zadowolona, gdy domy się wzajemnie równoważą, walcząc jednak ramię przy ramieniu, kiedy sytuacja tego wymaga - przerwała na chwilę i poprosiła, by na jej ustach zagościł uśmiech. - I kiedy karzą domy, które utraciły jej łaskę.

Kolejne odwołanie do domu DeVir, zauważyła Malice, tym razem mówiące bezpośrednio o zadowoleniu Lloth. Malice zrezygnowała z obrażonej miny, dzięki czemu pozostała część rozmowy z Baenre - trwająca ponad dwie godziny - stała się dość przyjemna.

Mimo to, opuszczając na latającym dysku najpotężniejszy dom w Menzoberranzan, Malice nie uśmiechała się. Wobec tak otwartej demonstracji siły nie mogła zapomnieć, że były dwie przyczyny przywołania jej do domu Opiekunki Baenre: chciała ona prywatnie i w sekrecie pogratulować jej celnego uderzenia i jednocześnie wyraźnie ostrzec ją, by nie była zbyt ambitna.

5

WYCHOWANIE

Przez pięć długich lat Vierna poświęcała każdą niemal chwilę na opiekę nad maleńkim Drizztem. W społeczeństwie drowów czas ten polegał bardziej na indoktrynacji niż niańczeniu. Dziecko musiało nauczyć się porozumiewania i poruszania, podobnie jak dzieci innych

inteligentnych ras, ale oprócz tego wprowadzało się w zasady, które utrzymywały razem ich rasę.

W przypadku chłopca, którym był Drizzt, Vierna musiała poświęcić długie godziny na przypominanie o podrzędnej roli mężczyzn. Ponieważ cały niemal czas chłopiec spędzał w rodzinnej kaplicy, nigdy nie widywał mężczyzn, może poza ogólnymi świętami. Nawet kiedy cały dom zbierał się, by odprawić jakies ceremonie, Drizzt stał w ciszy u boku Yieray ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Kiedy Drizzt osiągnął wiek, w którym mógł zacząć wykonywać polecenia, rola Yierny zmniejszyła się nieco. Nadal jednak długie godziny schodziły jej na nauczaniu - teraz tajnego i milczącego języka twarzy, rąk i ciała. Często zdarzało się jednak, że wydawała mu po prostu polecenie wysprzątania całej kaplicy. Pomieszczenie zajmowało jedną piątą powierzchni wielkiej sali Domu Baenre, ale i tak mogła się w nim zmieścić cała rodzina Do'Urden, przy czym setka miejsc pozostawała nie zajęta.

Bycie nauczycielką nie było już teraz takie złe, ale Vierna pragnęła więcej czasu poświęcać swoim studiom. Gdyby Opiekunka Malice wyznaczyła Mayę do tego zadania, Vierna mogłaby już być wysoką kapłanką. Przed Yierną nadal było pięć lat opieki nad Drizztem, co znaczyło, że Maya może zostać wysoką kapłanką przed nią!

Vierna odeгнаła od siebie tę myśl. Nie mogła sobie pozwolić na takie zmartwienia. Zakończy swoją rolę nauczycielki już za kilka lat. W dniu swoich dziesiątych urodzin Drizzt zostanie mianowany księciem i będzie służył jednako wszystkim członkom rodziny. Vierna wiedziała, że jeśli Opiekunka Malice nie będzie zawiedziona jej postawą, zaskarbi sobie jej wdzięczność.

- Wyczyść dokładnie tamtą rzeźbę - rozkazała Vierna i wskazała na statwę nagiej drowki około siedem metrów nad podłogą. Młody Drizzt popatrzył na nią zaskoczony. Z pewnością nie uda mu się wspiąć po ścianie i wyczyścić całego posągu trzymając się jakiegoś uchwytu. Drizzt znał jednak cenę nieposłuszeństwa - a nawet wahania - wyciągnął więc w górę ramiona, szukając pierwszego uchwytu.

- Nie tak! - rzuciła Vierna.

- A jak? - odważył się zapytać Drizzt, nie mając pojęcia, o co chodzi jego siostrze.

- Unieś się do tego gargulca - wyjaśniła Vierna. Małeńka twarz Drizzta zmarszczyła się w skupieniu.

- Jesteś szlachcicem Domu Do'Urden! - krzyknęła na niego Vierna. - A w każdym razie któregoś dnia dostąpisz tego zaszczytu. W woreczku na szyi masz emblemat swego domu, przedmiot obdarzony potężną magią. - Vierna nie była pewna, czy Drizzt gotów jest na takie zadanie. Lewitacja była skomplikowaną manifestacją wewnętrznej magii drowów, z pewnością trudniejszą niż podświetlanie przedmiotów ogniem faerie lub przywoływanie kuł ciemności.

Emblemat Do'Urden wzmacniał te wewnętrzne zdolności, magię, która zwykle objawiała się

jako cecha dojrzałych drowów. Podczas gdy większość szlachetnie urodzonych drowów mogła unieść się w powietrze raz dziennie, dostojnicy domu Do'Urden, dzięki swej odznace, mogli to robić raz za razem.

Normalnie Vierna nie próbowałaby skłonić do zrobienia tego mężczyzny młodszego niż dziesięć lat, ale Drizzt pokazał w ciągu ostatnich dwóch lat taki potencjał, że uznała, iż próba nie przyniesie mu żadnej szkody.

- Ustal po prostu linię między sobą a rzeźbą - wyjaśniła. - A potem siłą woli unieś się do niej.

Drizzt spojrział w górę, na rzeźbę kobiety, a potem ustawił stopy tak, by były dokładnie w jednej linii z jej twarzą. Położył dłoń na swym naszyjniku, próbując dostroić się do emblematu. Już wcześniej czuł, że magiczna moneta posiadała jakiś rodzaj mocy, lecz odbierał ją jako mrowienie, dziecięcą intuicję. Teraz, kiedy Drizzt skoncentrował się, a jego podejrzenia zostały potwierdzone, wyraźnie poczuł wibracje magicznej energii.

Seria głębokich oddechów pomogła młodemu drowowi odegnąć rozpraszające uwagę myśli. Nie widział niczego poza rzeźbą, swoim celem. Poczuł, jak staje się lżejszy, jego pięty uniosły się, a potem stał już na jednym palcu, choć nie czuł w ogóle ciężaru swego ciała. Drizzt popatrzył na Yiernę, jego uśmiech stał się szerszy... a potem zwałił się na ziemię.

- Głupi mężczyzno! - syknęła Yiema. - Spróbuj jeszcze raz! Próbuj tysiąc razy, jeśli będziesz musiał! - Sięgnęła do bata przypiętego do pasa. - Jeśli ci się nie uda...

Drizzt odwrócił od niej wzrok, przeklinając się. Jego radość sprawiła, że czar się nie powiódł. Wiedział, że uda mu się, a poza tym nie bał się bicia. Skoncentrował się ponownie na rzeźbie i pozwolił, by przez jego ciało przepłynęła magiczna energia.

Vierna również wiedziała, że Drizztowi się w końcu uda. Miał bystry umysł, bystrzejszy niż ktokolwiek, kogo znała Yiema, wliczając w to kobiety Domu Do'Urden. Dzieciak był także uparty, nie pozwoli, by pokonała go magia. Wiedziała, że jeśli okaże się to konieczne, będzie stał pod tą rzeźbą, dopóki nie zemdleje z głodu.

Vierna patrzyła na serię niewielkich sukcesów i porażek, po ostatniej Drizzt spadł na ziemię z niemal czterech stóp. Vierna ruszyła w jego stronę, zastanawiając się, czy coś mu się stało. Drizzt, pomimo swoich sińców nawet nie zapłakał, lecz zajął swoje miejsce i zaczął się na nowo koncentrować.

- Jest na to za młody - rozległ się za Yierną głos. Odwróciła się, by zobaczyć stojącą nad sobą Brizę, na której twarzy jak przyklejony widniał wyraz niezadowolenia.

- Być może - odpowiedziała Vierna. - Ale nigdy nie wiadomo, dopóki się nie spróbuje.

- Wychłuszcz go, jeśli mu się nie uda - zasugerowała Briza, wyciągając zza pasa swój okrutny oręż. Spojrzała na bat z miłością, jakby był jej zwierzątkiem domowym i pozwoliła, by wąż owinał się jej wokół dłoni i dotknął językiem twarzy. - Dla inspiracji.

- Odłóż to - odrzekła Vierna. - Do mnie należy wychowanie Drizzta, a od ciebie nie chcę żadnej pomocy!

- Powinnaś uważać, jak się odzywasz do wysokiej kapłanki - ostrzegła Briza, a głowy węży, niczym przedłużenie jej myśli, skierowały się sycząc w stronę Yierny.

- A ty, by Opiekunka Malice nie spostrzegła, że wtrącasz się do mojego zadania - odparowała szybko Vierna.

Na dźwięk imienia Malice Briza szybko odłożyła bat.

- Twojego zadania - powtórzyła zgryźliwie Briza - Jesteś dla niego zbyt łagodna. Chłopców należy karać. Powinni znać swoje miejsce. - Domyślając się, że słowa Vierny nie zostały rzucone na wiatr, starsza siostra odwróciła się i wyszła.

Vierna pozwoliła, by ostatnie słowo należało do Brizy. Przybrana matka popatrzyła na Drizzta, który nadal próbował unieść się do rzeźby.

- Wystarczy! - rozkazała, widząc, że dziecko jest zmęczone: z trudem odrywało stopy od ziemi.

- Zrobię to! - rzucił do niej Drizzt.

Viernie podobała się ta determinacja, ale nie ton odpowiedzi. Może Briza miała trochę racji. Vierna odpięła swój węzłowy bat od pasa. Nieco inspiracji może tu bardzo dopomóc.

* * *

Vierna siedziała następnego dnia w kaplicy patrząc, jak Drizzt poleruje rzeźbę drowki. Tego dnia uniósł się na siedem metrów już za pierwszym razem.

Vierna nie potrafiła ukryć rozczarowania, kiedy Drizzt nie spojrzał na nią z uśmiechem, by podzielić się sukcesem. Patrzyła teraz, jak unosi się w powietrzu, a jego ramiona zmieniają się w rozmazane smugi, kiedy polerował statwę. Przede wszystkim jednak Vierna widziała blizny na odkrytych plecach Drizzta, ślady po jej wczorajszej „inspirującej” rozmowie. W infrawizji ślady bata widać było doskonale jako pasma ciepła w miejscu, gdzie skóra została zdarta.

Vierna rozumiała, jakie korzyści płyną z bicia dziecka, szczególnie chłopca. Rzadko zdarzało się, by jakiś mężczyzna podniósł broń przeciwko kobiecie, chyba że z rozkazu innej kobiety.

- Ile tracimy? - zastanawiała się na głos Vierna. • - Czym więcej mógłby zostać taki Drizzt?

Kiedy usłyszała swoje słowa brzmiące w powietrzu, szybko wymazała bluźniercze myśli z pamięci. Pragnęła zostać wysoką kapłanką Pajęczej Królowej, Lloth Bezlitosnej. Podobne myśli nie przystawały komuś o jej aspiracjach. Rzuciła swemu małemu bratu wściekłe spojrzenie, przelewając na niego całą winę i raz jeszcze wyjęła swoje narzędzie kary.

Będzie musiała znowu wychłostać Drizzta, tym razem za zdrażliwe myśli, jakie na nią zsyłał.

* * *

Taki związek między nimi trwał przez kolejnych pięć lat, podczas których Drizzt poznawał tajniki życia w społeczeństwie drowów poprzez niekończące się sprzątanie Domu Do'Urden. Poza uprzywilejowaną pozycją kobiet (tę lekcję zawsze pomagał mu przyswoić bat), najważniejsze wiadomości dotyczyły elfów żyjących na powierzchni, czyli faerie. Imperia zła często plątały się w sieci nienawiści do wymyślonych wrogów, a w całej historii świata nikt nie był w tym lepszy niż drowy. Od pierwszego dnia, w którym młody drow zrozumie mowę, uczy się go, że bezpośrednią przyczyną wszelkich złych wydarzeń w jego życiu są elfy żyjące na powierzchni.

Za każdym razem, kiedy kły bicza Yierny wgryzały się w jego ciało, Drizzt wykrzykiwał życzenia śmierci dla faerie. Uwarunkowana nienawiść rzadko jest uczuciem racjonalnym.

CZEŚĆ 2

FECHMISTRZ

Puste godziny, puste dni. W Odkryłem, że mam bardzo niewiele wspomnień z pierwszego okresu mojego życia, tych szesnastu lat, które przepracowałem jako sługa.

Minuty zlewały się w godziny, godziny w dni i tak dalej, aż w końcu cały ten czas wydał mi się długą i monotonną chwilą. Kilka razy udało mi się wyniknąć na balkon Domu Do'Urden i spojrzeć na magiczne światła Menzoberranzan. Podczas każdej z tych wypraw odkryłem, że wprawia mnie w trans podnoszące się, a potem opadające światło Narbondel, kolumny odmierzającej czas. Kiedy teraz o tym myślę, o tych długich godzinach patrzenia, jak magiczny ogień wędruje w górę i w dół kolumny, zadziwia mnie pustka moich młodszych dni.

Doskonale pamiętam podniecenie, które czułem za każdym razem, kiedy wymykałem się z domu i szedłem obserwować filar. Jakże to było banalne, a jednocześnie jakże satysfakcjonujące w porównaniu z resztą mojego życia.

Zawsze kiedy słyszę trzask bata, do głowy przychodzi mi inne wspomnienie - bardziej uczucie niż wspomnienie - które sprawia, że po plecach przebiega mi dreszcz. Oszalająca uderzenie i następujące po nim odrętwienie nie jest czymś, co można łatwo zapomnieć. Wgryzają się pod skórę, wysyłając falę magicznej energii do każdej części twego ciała, fale, które sprawiają, że wszystkie mięśnie napinają się niemalże do granic wytrzymałości.

Mimo to miałem więcej szczęścia niż inni. Moja siostra Vierna miała właśnie zostać wysoką kapłanką, kiedy przydzielono jej zadanie opieki nad mną, w dodatku był to okres, kiedy posiadała ona znacznie więcej energii, niż wykonywanie tego zadania wymagało. Może więc z tymi

pierwszymi dziesięcioma latami mego życia wiązało się więcej, niż jestem sobie w stanie przypomnieć. Vierna nigdy nie okazywała zagorzałej niegodziwości naszej matki - albo raczej naszej najstarszej siostry, Brizy. Może to były dobre czasy, tam w samotności kaplicy naszego domu. Może Vierna pozwoliła, by jej mały braciszek ujrzał bardziej jej czułą stronę.

A może nie. Choć uważam Yiernę za najdelikatniejszą z moich sióstr, jej słowa ociekają jadem Lloth tak samo, jak każdej innej kapłanki w Menzoberranzan. Wydaje mi się mało prawdopodobne, by ryzykowała swoje aspiracje dla małego dziecka, a tym bardziej małego dziecka płci męskiej.

Tego, czy lata te pełne były radości, mąconych tylko ciągłym naporem niegodziwości Menzoberranzan, czy też ten najwcześniejszy okres mojego życia boleśniejszy był jeszcze od lat, które po nim nastąpiły - tak bolesny, że mój umysł ukrył wspomnienia o nim - nie mogę być pewien. Pomimo wielkich wysiłków, nie potrafię sobie przypomnieć.

Więcej wspomnień wiązę z następnymi sześcioma latami, ale najwyraźniejszym z nich, z okresu, kiedy służyłem na dworze Opiekunki Malice, poza tajnymi wyprawami za teren domu, jest widok moich stóp.

Księżę służebny nie może nigdy podnosić wzroku.

- Driztt Do'Urden

6

OBURĘCZNY

Driztt natychmiast zareagował na wezwanie swojej matki, nie potrzebując bata Brizy, który popędzał go zwykle w takich przypadkach. Jakże często czuł ukąszenia tej przerażającej broni! Driztt nie pomyślał jednak o zemście za takie traktowanie. Po naukach, które otrzymał, obawiał się konsekwencji uderzenia jej - lub innej kobiety - o wiele za bardzo, by dopuścić do siebie podobne myśli.

- Czy wiesz, jaki dziś dzień? - zapytała go Malice, kiedy zjawił się u jej boku w mrocznym przedsionku kaplicy.

- Nie, Matko Opiekunko - odrzekł Driztt, nieświadomie wlepiając wzrok w buty. W jego krtani wezbrało pełne rezygnacji westchnienie, kiedy zobaczył ten niezmiennie taki sam widok własnych butów. W życiu musi być coś więcej niż zimny kamień i dziesięć poruszających się bez przerwy palców u nóg.

Wysunął jedną stopę z buta i zaczął bazgrać na kamiennej podłodze. Ciepło ciała pozostawiało wyraźne ślady w podcierwieni, a Driztt był wystarczająco szybki i zręczny, by wykonać prosty rysunek, zanim linie rozpląnęły się w powietrzu.

- Szesnaście lat - powiedziała mu Opiekunka Malice. - Oddychasz powietrzem Menzoberranzan od szesnastu lat. Ważna część twojego życia jest już za tobą.

Drizzt nie zareagował, nie widząc w tej deklaracji niczego istotnego ani ważnego. Jego życie było niekończącym się szeregiem rutynowych czynności. Jeden dzień, szesnaście lat, co za różnica? Jeśli jego matka uważała za ważne rzeczy, przez które przechodził od tak dawna jak pamiętał, to co czeka go w ciągu nadchodzących dziesięcioleci.

Udało mu się niemal dokończyć wizerunek drowki o szerokich ramionach - Brizy - gryzionej w tylną część ciała przez wielką żmiję.

- Spójrz na mnie - rozkazała Opiekunka Malice.

Drizzt znalazł się w kropce. Kiedyś jego naturalnym odruchem było patrzenie na osobę, z którą rozmawiał, ale Briza bardzo się postarała, by zabić w nim ten zwyczaj. Zadaniem księcia służebnego była służba, a jego oczy mogły jedynie oglądać istoty pełzające po podłodze, poza pajakami oczywiście. Drizzt musiał odwracać spojrzenie za każdym razem, kiedy jedno z tych ośmionogich zwierząt znalazło się w zasięgu jego wzroku. Pająki były za dobre dla kogoś takiego jak książę służebny.

- Spójrz na mnie - powtórzyła Malice, a w jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. Drizzt widywał już wcześniej jej wybuchy, jej gniew tak straszliwy, że zmiatał wszystkich i wszystko, co stanęło mu na drodze. Nawet Briza, tak pompatyczna i okrutna, starała się nie zbliżać do matki opiekunki, kiedy ta była zła.

Drizzt zmusił się do spojrzenia w górę, uważnie przyglądając się czarnym szatom swej matki, wykorzystując znajomy pajęczy wzór na obrzeżu sukni, by ocenić kąt, pod jakim patrzył. Oczekiwał, po każdym centymetrze, o który podniósł spojrzenie, uderzenia w głowę i gorącego pasma na plecach - stała za nim Briza, zawsze mająca pod ręką bat.

Potem ujrzał ją, potężną Matkę Opiekunkę Malice Do'Urden, jej czułe na ciepło oczy lśniąco czerwienią i jej twarz, wbrew oczekiwaniom nie ogrzaną rumieńcami gniewu. Drizzt nadal stał spięty, oczekując karzącego ciosu.

- Twoja rola księcia służebnego dobiegła końca - wyjaśniła Malice. - Jesteś teraz drugim synem Domu Do'Urden i przysługują ci wszystkie...

Spojrzenie Drizzta nieświadomie opadło na podłogę.

- Patrz na mnie! - wrzasnęła jego matka w nagłym wybuchu wściekłości.

Przerażony Drizzt spojrzał jej prosto w twarz, która teraz lśniła krwistą czerwienią. Kątem oka dostrzegł ciepło płynące z poruszającej się ręki Malice, nie był jednak na tyle głupi, by próbować uniknąć uderzenia. Po chwili leżał na podłodze, a na policzku zaczął wykwitać mu siniak.

Jednak nawet upadając Drizzt miał na tyle rozsądku, by patrzeć cały czas w twarz Opiekunki Malice.

- Nie jesteś już sługą! - zagrzmiała jego matka. - Jeśli będziesz się tak nadal zachowywał, przyniesiesz hańbę naszej rodzinie. - Chwyciła Drizzta pod szyję i brutalnie postawiła go na nogi.

- Jeśli przyniesiesz hańbę Domowi Do'Urden, wbiję ci igły w te purpurowe oczy - obiecała, przysuwając twarz do jego twarzy na kilka cali.

Drizzt nie mrugnął. Przez sześć lat, od kiedy Vierna przestała się nim opiekować, co zmusiło go do służenia całej rodzinie, poznał Opiekunkę Malice na tyle dobrze, że potrafił zrozumieć podteksty zawarte w jej groźbach. Była jego matką - o ile to cokolwiek zmieniało - ale nie wątpił, że podobałoby się jej wbijanie igieł w jego oczy.

* * *

- On jest inny - powiedziała Vierna. - I to nie tylko ze względu na kolor oczu.

- W jaki sposób? - zapytał Zaknafein, próbując zabrzmieć tak, jakby zainteresowanie było czysto zawodowe. Zak zawsze lubił

Yiernę bardziej niż pozostałe córki, ale po tym, jak niedawno mianowano ją wysoką kapłanką, zaczęła stawać się bardziej zadufana w sobie.

Vierna zwołniała nieco kroku - widać już było drzwi do przedsionka kaplicy.

- Trudno powiedzieć - przyznała. - Drizzt jest inteligentniejszy niż jakikolwiek chłopiec, jakiego spotkałam. Potrafił lewitować, kiedy miał pięć lat. A mimo to, kiedy został księciem służebnym, całe tygodnie kar musiały upłynąć, zanim zrozumiał, by patrzeć tylko na podłogę, jakby takie proste zadanie stało w sprzeczności z jego naturą.

Zaknafein pozwolił, by Vierna wyprzedziła go.

- W sprzeczności? - wyszeptał pod nosem, zastanawiając się nad implikacjami obserwacji Yierny. W sprzeczności, być może, ale dla zwykłego drowa, a nie, jak podejrzewał i miał nadzieję Zaknafein, dla jego własnego syna.

Wszedł za Yierną do mrocznego przedsionka. Malice jak zwykle siedziała na swoim tronie przy głowie kamiennego pająka, ale wszystkie pozostałe krzesła w komnacie zostały przesunięte pod ściany, mimo tego że obecna była cała rodzina. To miało być oficjalne spotkanie, zorientował się Zak, bowiem siedziała wygodnie tylko matka opiekunka.

- Opiekunko Malice - rozpoczęła Vierna uroczystym głosem. - Stawiam przed tobą Zaknafeina, jak zażądałaś.

Zak stanął obok Yierny i wymienił ukłony z Malice, lecz większą uwagę zwracał na najmłodszego Do'Urdena, który stał u boku swojej matki zupełnie nagi.

Malice podniosła ramię, by wszystkich uciszyć. Briza, która trzymała piwafwi, kontynuowała.

Wyraz radości przeciął twarz Drizzta, kiedy Briza, wyśpiewując odpowiednią inkantację, założyła na jego ramiona magiczny płaszcz.

- Witaj, Zaknafeinie Do'Urden - powiedział serdecznie Drizzt, ściągając na siebie osłupiałe spojrzenia wszystkich obecnych.

Opiekunka Malice nie pozwoliła mu się odezwać, a on nawet nie spytał jej o zgodę

- Jestem Drizzt, drugi syn Domu Do'Urden, a nie księżę służebny. Mogę teraz na ciebie spojrzeć - w twoje oczy, a nie na twoje buty. Matka mi to powiedziała. - Uśmiech Drizzta zniknął, kiedy ujrzał rozpaloną wściekłością twarz Opiekunki Malice.

Vierna stała jak zamurowana, z szeroko otwartymi ustami i oczyma rozwartymi z niedowierzaniem.

Zak również był zdziwiony, ale w inny sposób. Podniósł dłoń i zacisnął nią usta, by powstrzymać się od szerokiego uśmiechu, który z pewnością przerodziłby się w szczery, głośny śmiech. Zak nie pamiętał już, kiedy ostatnio widział twarz matki opiekunki aż tak jasną!

Briza, zajmując swą tradycyjną pozycję za Malice, sięgnęła zaraz po swój bicz, tak zaskoczona zachowaniem swego brata, że nie wiedziała co, do Dziewięciu Piekieł, ma zrobić. To był pierwszy raz, pomyślał Zak, kiedy najstarsza córka Malice zawahała się, mogąc wymierzyć zasłużoną karę.

Drizzt tymczasem ucichł i stał bez ruchu, zagryzając swoją dolną wargę, teraz oddalony o krok od swojej matki. Zak widział jednak, że w oczach młodego drowa nie zgasł uśmiech. Swoboda i brak szacunku dla pozycji i były czymś więcej niż pomyłką i bardziej znaczące niż zwykłe niewinne doświadczenie.

Fechmistrz wystąpił naprzód, by odwrócić uwagę matki opiekunki od Drizzta.

- Drugi synu? - zapytał, nadając swemu głosowi ton podziwu, co zarówno mile połechnało dumę Drizzta, jak rozproszyło koncentrację Malice. - Nadszedł zatem czas, byś rozpoczął ćwiczenia.

Malice pozwoliła, by jej gniew rozproszył się, co nie zdarzało się często.

- Zaznajomisz go tylko z podstawami, Zaknafeinie. Jeśli Drizzt ma zastąpić Nalfeina, jego miejsce w Akademii będzie w Sorcere. Zatem większość jego edukacji znajdzie się w zakresie obowiązków Rizzena, którego wiedza jest może ograniczona, lecz obejmuje sztuki magiczne.

- Dlaczego jesteś taka pewna, Opiekunko, że czary to jego przeznaczenie? - zapytał szybko Zak.

- Wydaje się być inteligentny - odrzekła Malice. Rzuciła Drizztowi gniewne spojrzenie. - W każdym razie przez większość czasu. Vierna doniosła nam o wielkich postępach, jakich dokonał ucząc się kontroli nad swymi wewnętrznymi mocami. Nasz dom potrzebuje nowego czarownika. - Malice mruknęła z namysłem, przypominając sobie, jak dumna była Opiekunka Baenre ze swego syna czarodzieja, Arcymaga miasta. Od spotkania z Pierwszą Matką Opiekunką Menzoberranzan minęło już szesnaście lat, ale Malice nie zapomniała nawet najdrobniejszego szczegółu tego wydarzenia. - Sorcere wydaje się być naturalnym wyborem.

Zak wyjął ze swej sakiewki monetę, rzucił ją w powietrze, złapał i zapytał - Możemy się przekonać?

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Malice, niezbyt zaskoczona tym, że Zak chciał udowodnić

jej pomyłkę. Zak nisko cenił magię, wołając rękojeść miecza od kryształowej pałeczki, która była składnikiem czaru pioruna.

Zak stanął przed Drizztem i podał mu monetę.

- Rzuć ją.

Drizzt wzruszył ramionami, zastanawiając się, o czym w ogóle rozmawiali jego matka i fehmistrz. Jak dotąd nie słyszał nawet o profesji, która jest dla niego planowana ani o miejscu zwanym Sorcere. Raz jeszcze wzruszając ramionami położył monetę na palcu wskazującym, pstryknął ją i zręcznie złapał w powietrzu. Potem podał ją znowu fehmistrzowi, patrząc na niego jakby pytał, co tak ważnego kryło się za tym banalnym zadaniem.

Zamiast wziąć monetę, fehmistrz wyjął z sakiewki drugą.

- Spróbuj obiema rękami - powiedział do Drizzta.

Drizzt raz jeszcze wzruszył ramionami, po czym jednym płynnym ruchem rzucił w powietrze obie monety i złapał je.

Zak rzucił okiem na Opiekunkę Malice. Każdy drow mógł wykonać to zadanie, ale łatwość, z jaką zrobił to ten młodzieniec, była miła dla oczu. Cały czas patrząc na opiekunkę Zak wyjął następne dwie monety.

- Połóż po dwie na każdej dłoni i rzuć je wszystkie na raz w powietrze - pouczył Drizzta.

Cztery monety poleciały w powietrze. Cztery zostały złapane. Jedyłą częścią ciała Drizzta, która się poruszyła, były jego ramiona.

- Oburęczny - powiedział Zak do Malice. - Jest wojownikiem. Jego miejsce jest w Melee - Magthere.

- Widziałam czarowników dokonujących takich czynów - odparowała Malice, niezadowolona z satysfakcji, jaką widziała na twarzy kłopotliwego fehmistrza. Zak był kiedyś oficjalnym mężem Malice, a od kiedy przestał nim być, wiele razy służył jej jako kochanek. Jego zręczność i sprawność nie ograniczały się tylko do użycia broni. Ale w parze z przyjemnością, której Zak dostarczał Malice, szło zaangażowanie uczuciowe, które zmusiło Malice do oszczędzenia mu życia ponad tuzin razy, a także było przyczyną wielu migren. Był najdoskonalszym fehmistrzem Menzoberranzan, co było kolejnym faktem, którego nie mogła ignorować, ale jego niechęć, a nawet pogarda dla Pajęcznej Królowej, wiele razy wpędzała Dom Do'Urden w kłopoty.

Zak podał Drizztowi następne dwie monety. Ciesząc się nową grą, Drizzt rzucił je w powietrze. Sześć poleciało w górę. Sześć spadło w dół, przy czym w każdej dłoni wylądowały trzy monety.

- Oburęczny - powiedział Zak z namaszczeniem. Opiekunka Malice pokazała mu gestem, by kontynuował, nie mogąc zdobyć się na zaprzeczenie gracji, z jaką poruszał się jej najmłodszy syn.

- Możesz zrobić to raz jeszcze? - zapytał Drizzta Zak. Poruszając obiema rękami

niezależnie, Drizzt po chwili położył sobie monety na każdej z dłoni. Zak kazał mu się na chwilę zatrzymać i wyjął kolejne cztery monety, tworząc na każdej dłoni stosy pięciu monet. Zak wstrzymał oddech i sprawdził, czy młody drow jest odpowiednio skoncentrowany (a także by potrzymać monety w dłoni na tyle długo, by ciepło jego ciała rozgrzało je, tym samym czyniąc je widocznymi w podczerwieni).

- Złap je wszystkie, Drugi Synu - powiedział z powagą. - Złap je wszystkie, albo wylądujesz w Sorcere, szkole magów. A to nie twoje miejsce!

Drizzt nadal nie rozumiał, o czym mówił Zak, ale wnioskując z miny i tonu głosu fehmistrza doszedł do wniosku, że musi to być coś ważnego. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić, a potem podrzucił w górę wszystkie monety. Dwie pierwsze złapał bez problemu, ale zobaczył, że pozostałe nie wylądają tak łatwo w jego dłoniach.

Drizzt zaczął działać, wykonał pełen obrót, a jego ręce zmieniły się w rozmazane smugi. Potem wyprostował się nagle i stanął przed Zakiem. Ręce miał spuszczone wzdłuż boków, a twarz wykrzywioną w zacięciu.

Zak i Opiekunka Malice wymienili spojrzenia, żadne z nich nie było pewne, co się właściwie stało.

Drizzt wyciągnął ramiona w stronę Zaka i powoli rozwarł pięści, jednocześnie uśmiechając się pewnie.

Pięć monet w każdej dłoni.

Zak gwizdnął cicho. On, fehmistrz Domu Do'Urden, potrzebował tuzina prób, aby wykonać tę sztuczkę z pięcioma monetami. Podszedł do Opiekunki Malice.

- Oburęczny - powiedział po raz trzeci. - Jest wojownikiem, a mnie zabrakło monet.

- Z iloma by sobie poradził? - szepnęła Malice, będąca wbrew sobie pod wrażeniem.

- A ile uda się nam zebrać? - odpalił Zaknafein z tryumfującym uśmiechem.

Opiekunka Malice roześmiała się na głos i potrząsnęła głową. Chciała wcześniej, aby Drizzt zastąpił Nalfeina na stanowisku czarownika domu, ale jej uparty fehmistrz jak zwykle nakłonił ją do zmiany zdania.

- No dobrze, Zaknafeinie - powiedziała, uznając swoją porażkę. - Drugi syn jest wojownikiem.

Zak skinął głową i zwrócił się do Drizzta.

- Może pewnego dnia zostanie fehmistrzem domu Do'Urden - dodała Malice, kiedy Zak odwrócił się do niej plecami. Sarkazm w jej głosie sprawił, że Zak zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Czy z nim - powiedziała, wykorzystując swoją przewagę - możemy oczekiwać czegoś mniej?

Rizzen, obecny opiekun rodziny, poruszył się niespokojnie. Wiedział, podobnie jak wszyscy

- nawet niewolnicy Domu Do'Urden - że Drizzt nie był jego synem.

* * *

- Trzy sale? - zapytał Drizzt, kiedy Zak wszedł do wielkiej sali treningowej w najbardziej na południe wysuniętej części kompleksu Do'Urden. Kule wielokolorowego magicznego światła zostały rozmieszczone na całej długości wysoko sklepionej kamiennej sali, i zalewały jej wnętrze łagodnym, przyćmionym blaskiem. Sala miała zaledwie troje drzwi: na wschód, prowadzące do zewnętrznej komnaty, która miała wyjście na balkon domu, jedno dokładnie na wprost Drizzta, na południowej ścianie, prowadzące do ostatniego pokoju w domu i te, przez które właśnie przeszli, a otwierające się na główny korytarz. Patrząc na ilość zamków, które właśnie zamykał Zak, Drizzt domyślił się, że nieczęsto będzie korzystał z tego wejścia.

- Jedna sala - poprawił go Zak.

- Ale są jeszcze dwoje drzwi - rozumował Drizzt, rozglądając się po komnacie. - Bez zamków.

- Ach - westchnął Zak. - Ich zamki są zrobione ze zdrowego rozsądku. Drizzt zaczął coś rozumieć. - Tamte drzwi - mówił dalej Zak, pokazując na południe - prowadzą do moich prywatnych komnat. Nie chciałbyś, abym kiedykolwiek cię w nich znalazł. Te drugie prowadzą do pokoju taktycznego, zarezerwowanego na czasy wojny. Kiedy - jeśli kiedykolwiek - zasłużysz na moje uznanie, może zaproszę cię, byś mi tam towarzyszył. Od tego dnia dzielą nas jednak lata, więc uważaj tę jedną wspaniałą salę - zatoczył łuk ramieniem - za swój dom.

Drizzt rozejrzał się, niezbyt zachwycony. Ośmielał się mieć nadzieję, że podobne traktowanie pozostało za nim razem z funkcją księcia służebnego. Taki układ jednak oznaczał, że wraca do sytuacji sprzed sześciu lat, kiedy był zamknięty w kaplicy wraz z Vierną. Ta sala nie była nawet tak duża jak kaplica, a jak na upodobania młodego drowa była również za ciasna. Następne pytanie zadał niemal warknięciem.

- Gdzie będę spał?

- W domu - odpowiedział Zak tonem informacyjnym. - Gdzie będę jadł?

- W domu.

Oczy Drizzta zmrużyły się, a twarz zaczęła płonąć rosnącym gorącem.

- A gdzie... - zaczął uparcie, zdecydowany przegadać fechmistrza.

- W domu - odpowiedział Zak tym samym ciężkim tonem, zanim Drizzt zdążył sformułować pytanie.

Drizzta stanął pewnie na nogach i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Będzie brudno - warknął.

- Lepiej żeby nie było - odwarknął Zak.

- To po co to wszystko? - zaczął Drizzt. - Odbierasz mnie mojej matce...

- Będziesz o niej mówił Opiekunka Malice - ostrzegł Zak. - Zawsze będziesz mówił o niej

Opiekunka Malice.

- Od mojej matki...

Zak przerwał mu po raz kolejny, tym razem nie słowami, lecz ciosem ciężkiej pięści.

Drizzt obudził się około dwudziestu minut później.

- Pierwsza lekcja - wyjaśnił Zak, stojąc swobodnie oparty o ścianę kilka stóp dalej. - Dla twojego własnego dobra. Zawsze będziesz mówił o niej Opiekunka Malice.

Drizzt przetoczył się na bok i próbował unieść na łokciu, ale kiedy tylko oderwał głowę od podłogi, odkrył, że pęka. Zak chwycił go i postawił na nogi.

- To nie takie łatwe, jak łapanie monet - zauważył fechmistrz. - Co?

- Blokowanie ciosu.

- Jakiego ciosu?

- Zgódź się po prostu, uparty dzieciaku.

- Drugi Synu! - poprawił go Drizzt, po raz kolejny obniżając groźnie głos i buntowniczo zakładając ręce na piersi.

Pięść Zaka uderzyła go w bok, w miejsce, o którym Drizzt nigdy nawet nie pomyślał, że tak boli.

- Potrzebujesz kolejnej drzemki? - zapytał spokojnie fechmistrz.

- Drudzy synowie mogą być dzieciakami - przyznał rozumnie Drizzt.

Zak potrząsnął głową z niedowierzaniem. To z pewnością będzie interesujące.

- Czas spędzony tutaj może się okazać dla ciebie przyjemny - powiedział do Drizzta, prowadząc go do długiej, grubej i kolorowej (choć większość kolorów była posępna) kurtyny. - Ale tylko wtedy, gdy nauczysz się trochę panować nad swoim językiem. - Silnym szarpnięciem opuścił kurtynę, odsłaniając najwspanialsze stojaki z bronią, jakie młody drow (i wielu starszych) kiedykolwiek widział. Broń drzewcowa każdego rodzaju, miecze, topory, młoty i każda inna broń, jaką Drizzt potrafił sobie wyobrazić - a także takie, których nigdy sobie nie wyobraził - wszystko to spoczywało w przeznaczonych do tego wnęce.

- Przyjrzyj się im - powiedział Zak. - Nie spiesz się. Poznaj te, które najlepiej leżą ci w dłoni, podporządkuj się dokładnie nakazom swej woli. Kiedy skończymy ćwiczenia, będziesz znał każdą z tych broni jak zaufanego przyjaciela.

Drizzt szedł wzdłuż stojaków z otwartymi szeroko oczyma, widząc teraz to miejsce jako potencjalne źródło doświadczeń zupełnie nowego rodzaju. Przez całe życie, przez szesnaście lat jego największym wrogiem była nuda. Teraz, jak się okazało, Drizzt odnalazł broń, którą będzie mógł ją zwalczyć.

Zak skierował się w stronę drzwi do swej prywatnej komnaty, uważając, że lepiej by Drizzt pozostał sam podczas tych pierwszych chwil niezdarnego posługiwania się bronią.

Fechmistrz zatrzymał się jednak, kiedy doszedł do drzwi i spojrzał na młodego Do'Urdena.

Drizzt machał długą i ciężką halabardą, bronią przewyższającą go dwukrotnie. Pomimo wielu prób nie udawało mu się zapanować nad jej wagą.

Zak usłyszał własny śmiech, który jednak przypomniał mu tylko o jego ponurych obowiązkach. Będzie ćwiczył Drizzta, jak wcześniej ćwiczył tysiące młodych drowów, na wojownika, przygotuje go do sprawdzianów w Akademii i życia w niebezpiecznym Menzoberranzan. Zrobi z Drizzta zabójcę.

Zak pomyślał, że będzie to zupełnie sprzeczne z naturą chłopca. Uśmiech zbyt często gościł na ustach Drizzta, a myśl o tym, że mógłby wbijać ostrze miecza w serce innej istoty, budziła w Zaku odrazę. Jednak tak postępowały drowy, a Zak nie potrafił przeciwstawić się temu przez czterysta lat. Odwracając wzrok od Drizzta zniknął w komnacie i zamknął za sobą drzwi.

- Czy oni wszyscy są tacy? - skierował pytanie do swego niemal pustego pokoju. - Czy wszystkie dzieci drowów posiadają tę niewinność, te proste uśmiechy, które nie potrafią poradzić sobie z brzydotą tego świata? - Zak ruszył do małego biurka, chcąc podnieść zasłonę zakrywającą wiecznie świecącą, szklaną kulę, która służyła tu za źródło światła. Zmienił zdanie, kiedy przypomniał sobie, z jaką radością Drizzt podszedł do stojaków z bronią, po czym ruszył do łóżka stojącego w kącie pokoju.

- A może jesteś wyjątkowy, Drizzcie Do'Urden? - mówił dalej, rzucając się na miękkie łóżko. - A skoro aż tak się różnisz, jaka jest tego przyczyna? Krew, moja krew, która płynie w twoich żyłach? A może lata, które spędziłeś ze swoją przybraną matką?

Zak zasłonił oczy ramionami i zaczął się zastanawiać nad wieloma pytaniami. Drizzt był inny niż wszyscy, zdecydował w końcu, ale nie wiedział nadal, czy powinien być wdzięczny sobie, czy Viernie.

Po pewnym czasie zmorzył go sen. Nie przyniósł jednak fehmistrzowi odpoczynku. Odwiedził go znajomy widok, żywe wspomnienie, które nigdy nie zgaśnie.

Zaknafein usłyszał po raz kolejny krzyki dzieci DeVir, kiedy żołnierze Do'Urden - których sam wytrenował - podcinali im gardła.

- On jest inny! - krzyknął Zak, podrywając się z łóżka. Otarł z twarzy zimny pot. - On jest inny. - Musiał w to uwierzyć.

7

MROczne Tajemnice

Naprawdę chcesz spróbować? - zapytał Masoj głosem pełnym niedowierzania.

Alton odwrócił swą ohydą twarz w stronę ucznia.

- Skieruj swe spojrzenie gdzie indziej, Pozbawiony Twarzy - powiedział Masoj, odwracając wzrok od potwornej twarzy swego mistrza. - Nie ja jestem powodem twojej frustracji. Pytanie było uzasadnione.

- Od ponad dekady studiujesz sztuki magiczne - odrzekł Alton. - A mimo tego obawiasz się poznania świata zmarłych u boku mistrza Sorcere.

- Nie bałbym się u boku prawdziwego mistrza - odważył się wyszeptać Masoj.

Alton zignorował komentarz, podobnie jak ignorował wiele komentarzy, które uczynił praktykujący u niego Hun'ett przez ostatnich szesnaście lat. Masoj był jedynym łącznikiem między Altonem a światem zewnętrznym, i podczas gdy Masoj miał potężną rodzinę, Alton miał tylko Masoja.

Przeszli do najwyżej położonej komnaty czteropokojowych kwater Altona. Płonęła tam jedna świeca, a jej światło tonęło w ciemnych zasłonach i czerni kamieni oraz dywanów. Alton opadł na swoje krzesło stojące za małym, okrągłym stolikiem i położył przed sobą ciężką księgę.

- Ten czar lepiej zostawić dla kapłanek - zaprotestował Masoj, siadając naprzeciwko mistrza. - Czarownicy rozkazują niższym światom. Umarli są tylko dla kapłanek.

Alton rozejrzał się z zaciekawieniem dookoła, a potem spojrział na Masoja marszcząc brwi, przy czym jego groteskowe rysy zostały jeszcze wyostrome przez migoczące światło świecy.

- Najwyraźniej nie mam kapłanki na zawołanie - wyjaśnił sarkastycznie Pozbawiony Twarzy. - Chciałbyś, abym spróbował z innym mieszkańcem Dziewięciu Piekieł?

Masoj zakotyłał się na krześle i potrząsnął bezradnie głową. Alton miał rację. Rok wcześniej Pozbawiony Twarzy starał się znaleźć odpowiedzi na swoje pytania korzystając z pomocy lodowego diabła. Istota zamroziła cały pokój, aż stał się w podczerwieni zupełnie czarny i zniszczyła ekwipunek alchemiczny wart majątek. Gdyby Masoj nie przywołał swego magicznego kota, który odwrócił uwagę diabła, ani on, ani Alton nie wyszliby żywi z pokoju.

- No cóż, dobrze - powiedział bez przekonania Masoj, krzyżując ręce na piersiach. - Przywołaj swego ducha i znajdź odpowiedzi.

Alton nie przegapił nieświadomego wzruszenia ramiona Masoja. Przez chwilę patrzył na ucznia, po czym wrócił do przygotowań.

Kiedy chwila rzucenia czaru stawała się bliższa, dłoń Masoja instynktownie powędrowała do kieszeni, do onyksowej figurki polującego kota, którą zdobył, kiedy Alton podszył się pod Pozbawionego Twarzy. Maleńka statuetka zawierała w sobie potężny czar, który pozwalał przywołać potężną panterę. Masoj używał figurki oszczędnie, nie rozumiejąc do końca jej ograniczeń i wiążących się z nią niebezpieczeństw.

- Tylko w potrzebie - przypomniał sobie Masoj, kiedy poczuł przedmiot w dłoni. Dlaczego było tak, że potrzeba pojawiała się zawsze, kiedy przebywał w towarzystwie Altona?

Pomimo swej brawury Alton tym razem dzielił obawy Masoja. Duchy i umarli nie byli tak groźni jak mieszkańcy niższych planów, ale potrafili być równie okrutni, choć bardziej wyrafinowani.

Alton potrzebował jednak odpowiedzi. Przez ponad półtorej dekady poszukiwał informacji

konwencjonalnymi sposobami, rozmawiał z uczniami i mistrzami - oczywiście nie wprost - o szczegółach wydarzeń związanych z upadkiem Domu DeVir. Wielu znało plotki o tamtej nocy, niektórzy potrafili nawet podać metody, które zastosował w walce zwycięski dom.

Nikt jednak nie podał nazwy tego Domu. W Menzoberranzan nikt nigdy nie wypowiedział niczego choćby przypominającego oskarżenie, nawet jeśli powszechnie się z nim zgadzano, jeśli nie miał na tyle silnych dowodów, by skłonić radę rządzącą do działania. Jeśli jakiemuś domowi nie udałby się atak i zostałyby to odkryte, gniew Menzoberranzan spadłby na niego, a jego imię zostałoby wkrótce zapomniane. Ale w przypadku skutecznie przeprowadzonej akcji, jak to było w przypadku Domu DeVir, ktokolwiek rzucałby oskarżenia, z pewnością szybko znalazłby się po niewłaściwej stronie bata.

Koła sprawiedliwości w mieście drowów kręciły się dzięki obawie przed publicznym ośmieszeniem, a nie jakiemuś kodeksowi honorowemu.

Alton poszukiwał teraz innych sposobów na zdobycie potrzebnych mu informacji. Próbował najpierw niższych wymiarów, lodowego diabła, lecz efekty były opłakane. Teraz w posiadaniu Altona znalazł się przedmiot, który mógł zakończyć jego problemy: księga napisana przez czarownika z powierzchni. W hierarchii drowów tylko kapłanki Lloth mogły mieć do czynienia ze zmarłymi, ale w innych społeczeństwach również czarodzieje komunikowali się ze światem duchów. Alton znalazł księgę w bibliotece Sorcere i przetłumaczył wystarczająco dużo, by, jak sądził, stworzyć duchowy kanał.

Złączył dłonie, energicznie otworzył księgę na zaznaczonej stronie i przejrzał po raz ostatni inkantację.

- Gotowy? - zapytał Masoja. - Nie.

Alton zignorował nie kończący się nigdy sarkazm swego ucznia i położył dłonie płasko na stole. Powoli zatopił się w transie.

- *Fey Innad...* - przerwał i chrząknął. Masoj, choć nigdy nie badał dokładnie czaru, wyłowił pomyłkę.

- *Fey Innuad de - min...* - kolejna przerwa.

- Niech Lloth będzie z nami - szepnął Masoj. Oczy Altona otworzyły się.

- Tłumaczenie - warknął. - Z dziwnego języka ludzkiego czarodzieja!

- Gibberyjskiego - sprostował Masoj.

- Mam przed sobą prywatną księgę czarów czarodzieja ze świata powierzchni - powiedział spokojnie Alton. - Arcymaga, jeśli wierzyć notatkom złodzieja, który ją ukrał i sprzedał naszym agentom. - Skoncentrował się ponownie i potrząsnął bezwłosą głową, próbując powrócić do transu.

- Prosty, głupi ork zdołał ukraść księgę czarów arcymagowi - wyszeptał retorycznie Masoj, pozwalając, by absurd sytuacji przemawiał sam za siebie.

- Czarodziej nie żył! - ryknął Alton. - Księga jest autentyczna!

- Kto ją tłumaczył? - spytał spokojnie Masoj.

Alton nie miał już ochoty na dyskusję. Ignorując wyraz zadowolenia na twarzy Masoja zaczął od początku.

- Fey Innuad de - min de - sul de - ket.

Masoj rozparł się na krześle i próbował przypomnieć sobie ostatnią lekcję, mając nadzieję, że jego chichot nie przeszkodzi Altonowi. Ani przez chwilę nie wierzył, że próby Altona do czegoś doprowadzą, ale nie chciał zakłócić bełkotu tego głupca i musieć słuchać go od początku.

Chwilę później, kiedy Masoj usłyszał podniecony szept Altona - Opiekunko Ginafae? - szybko skierował swą uwagę z powrotem na wydarzenia w pokoju.

Bez żadnych wątpliwości nad płomieniem świecy zaczęła pojawiać się niezwykła kula zielonkawego dymu, stopniowo przybierając bardziej określone kształty.

- Opiekunko Ginafae! - westchnął Alton, kiedy czar zaczął działać. Przed nim unosił się w powietrzu wizerunek jego zmarłej matki.

Duch rozejrzał się zaskoczony po pokoju.

- Kim jesteś? - zapytał w końcu.

- Jestem Alton. Alton DeVir, twój syn.

- Syn? - zapytała zjawą.

- Twoje dziecko.

- Nie przypominam sobie, bym miała tak brzydkie dzieci.

- To przebranie - odrzekł szybko Alton, rzucając okiem na Ma - soja. Jeśli wcześniej Masoj wątpił w Altona i śmiał się z niego, teraz okazywał szczery szacunek.

Uśmiechając się Alton mówił dalej.

- To tylko przebranie, bym mógł poruszać się swobodnie po mieście i dokonać zemsty na naszych wrogach!

- Jakim mieście?

- Menzoberranzan, oczywiście.

Duch wydawał się niczego nie pojmować.

- Czy jesteś Ginafae? - zapytał Alton. - Opiekunką Ginafae DeVir?

Twarcz ducha zmarszczyła się, najwyraźniej pytanie było trudne.

- Byłam... chyba.

- Matką Opiekunką Domu DeVir, Czwartego Domu Menzoberranzan - starał się pomóc Alton, coraz bardziej podekscytowany. - Wysoką Kapłanką Lloth.

Wspomnienie Pajęczej Królowej sprawiło, że duch zadrżał. - Och nie! - jęknął. Ginafae sobie przypominała. - Nie powinieneś być tego robić, mój oszpecony synu!

- To tylko przebranie - przerwał jej Alton.

- Muszę cię opuścić - ciągnął duch Ginafae, rozglądając się nerwowo. - Musisz mnie

uwolnić!

- Ale potrzebuję od ciebie pewnej informacji, Opiekunko Ginafae.
- Nie nazywaj mnie tak! - zaskrzeczał duch. - Nic nie rozumiesz! Znajduję się w niełasce

Lloth...

- Kłopoty - wyszeptał Masoj, nie okazując zaskoczenia.
- Tylko jedna odpowiedź! - zażądał Alton, nie chcąc pozwolić, by kolejna okazja na

poznanie nazwy wrogię domu przeszła mu koło nosa.

- Szybko! - zaskrzeczał duch.
- Jaki dom zniszczył DeVir.
- Dom? - zamyśliła się Ginafae. - Tak, pamiętam tę złą noc. To był Dom...

Kula dymu zachwiała się i straciła kształt, skręcając wizerunek Ginafae i zmieniając jej słowa w niezrozumiały bełkot. Alton poderwał się z krzesła.

- Nie! - krzyknął. - Musisz mi powiedzieć! Kim są moi wrogowie?
- Czy uznasz mnie za jednego z nich? - powiedział duch głosem, który znacznie różnił się od tego, którego używał wcześniej, głosem za którym kryła się moc i który sprawił, że z twarzy Altona odpłynęła krew. Obraz skręcił się i zmienił, stał się brzydki, brzydszy niż Alton.

Ohydniejszy niż cokolwiek, co można zobaczyć na Materialnym Planie.

Alton nie był rzecz jasna kapłanem i nigdy nie studiował religii drowów głębiej niż to, co wiedział każdy mężczyzna jego rasy. Wiedział jednak, czym była istota, która unosiła się przed nim w powietrzu, wyglądająca jak bryła stopionego wosku: yochlolem, sługą Lloth.

- Ośmielasz się przerywać cierpienia Ginafae? - syknął yochlol.
- Do diabła! - wyszeptał Masoj, powoli zsuwając się pod czarny obrus. Nawet on, choć tak wątpił w Altona, nie wierzył, że mogli się wpaćować w takie kłopoty.
- Ale... - mamrotał Alton.
- Nigdy więcej nie zakłócaj spokoju tego świata, nędzny czarodzieju! - ryknął yochlol.
- Nie próbowałem dostać się do Otchłani - zaprotestował słabo Alton. - Chciałem tylko

rozmawiać z...

- Z Ginafae! - dokończył za niego yochlol. - Upadła kapłanką Lloth. Gdzie chciałeś znaleźć jej ducha, głupi mężczyzno? Odpoczywającego na Olimpie, z fałszywymi bogami elfów powierzchni?

- Nie myślałem...
- Czy w ogóle to robisz? - warknął yochlol.
- Nie - odpowiedział cicho Masoj, starając się trzymać od wszystkiego tak daleko, jak to

możliwe.

- Nigdy więcej nie nachodź tego wymiaru - ostrzegł yochlol po raz ostatni. - Pajęcza Królowa nie jest pobłażliwa i nie ma litości dla wścibskich mężczyzn! - Ociekająca czymś twarz

istoty napuchła nagle, rozszerzając się poza granice kuli dymu. Alton usłyszał gulgotzące, oślisze odgłosy, a potem przewrócił się niemal o krzesło, oparł o ścianę i zasłonił oczy obronnym gestem.

Usta yochlola otworzyły się nieprawdopodobnie szeroko, po czym plunęły przed siebie mnóstwem małych przedmiotów. Trafiły one w Altona i w ścianę wokół niego. Kamienie? Po chwili jeden z przedmiotów odpowiedział na niewypowiedziane pytanie. Chwycił połę czarnej szaty Altona i zaczął wspinać się po jego odsłoniętym karku. Pajaki.

Fala ośmionogich bestii ruszyła naprzód pod stolikiem, zmuszając Masoja do desperackiego przeturlania się po podłodze w inną część pokoju. Udało mu się po chwili podnieść z podłogi, a kiedy się odwrócił, zobaczył, jak Alton wściekle się otrzepuje i podskakuje.

- Nie zabijaj ich! - wrzasnął Masoj. - Zabijanie pajaków jest zabronione przez...

- Do Dziewięciu Piekieł z kapłankami i ich prawami! - zaskrzeczał Alton.

Masoj ze zrezygnowaniem wzruszył ramionami, sięgnął między fałdy swej szaty i wyciągnął tę samą kuszę, którą zabił Pozbawionego Twarzy. Zważył w dłoni tę potężną broń i spojrzał na maleńkie pajęczki pełzające po pokoju.

- Przesada? - zapytał na głos. Nie słysząc odpowiedzi, raz jeszcze wzruszył ramionami i wystrzelił.

Ciężki bełt otarł się o ramię Altona, zacinając go głęboko. Czarownik rozejrzał się z niedowierzaniem, a potem spojrzał wściekle na Masoja.

- Miałeś jednego na ramieniu - wyjaśnił uczeń. Wrzaski Altona nie ustawały.

- Niewdzięczny? - syknął Masoj. - Głupi Altonie, wszystkie pajaki są po twojej stronie pomieszczenia. Pamiętasz? - Masoj odwrócił się i skierował do wyjścia. - Miłego polowania! - krzyknął jeszcze przez ramię. Złapał za klamkę, ale kiedy jego palce zacisnęły się wokół niej, powierzchnia drzwi zmieniła się w wizerunek Opiekunki Ginafae. Uśmiechnęła się złośliwie, za szeroko, a potem niesamowicie długi i mokry język wysunął się spomiędzy jej warg i polizał Masoja po twarzy.

- Alton! - krzyknął, odskakując w tył, poza zasięg ośliszej zjawy. Zauważył, że czarodziej jest w trakcie rzucania czaru, próbując utrzymać koncentrację, a chmara pajaków nadal wspina się po jego szatach.

- Jesteś już trupem - skomentował Masoj rzeczowym tonem i potrząsnął głową.

Alton zmagął się z formułą czaru, próbując zignorować obrzydzenie, aż w końcu udało mu się doprowadzić inkantację do końca. Podczas tylu lat studiów Altonowi nigdy nie przyszłoby do głowy zrobienie czegoś takiego: roześmiałby się, gdyby ktoś mu o tym powiedział. Teraz jednak to wyjście wydawało mu się o wiele bardziej rozsądne niż pełzająca zguba - yochlol.

Rzucił ognistą kulę pod własne stopy.

* * *

Nagi i bezwłosy Masoj wyczołgał się przez drzwi, byle dalej od szalejącego w pokoju

piekła. Płonący mistrz bez twarzy wyszedł następny, rzucił się na podłogę i zdarł z siebie płonąca i podartą szatę.

Patrząc, jak Altori gasi ostatnie płomienie, Masoj przypomniał sobie pewną miłą chwilę, która spowodowała, że zapomniał o wszystkim innym.

- Powinienem być go zabić, kiedy miałem go w sieci.

* * *

Niedługo, po tym jak Masoj wrócił do swego pokoju i studiów, Alton wsunął ozdobne metalowe bransolety, które stanowiły oznakę jego funkcji i wysliznął się poza budynek Sorcere. Poszedł w stronę szerokich schodów, które prowadziły w dół z Tier Breche i usiadł na nich, by popatrzeć na Menzoberranzan.

Jednak nawet miasto nie potrafiło oderwać myśli Altona od jego ostatniej porażki. Przez szesnaście lat zdążył zapomnieć o wszystkich swoich marzeniach i ambicjach, zaabsorbowany jedynie poszukiwaniem winnego domu. Przez szesnaście lat nic nie osiągnął.

Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie potrafił utrzymać tę farsę i nadzieję. Masoj, jego jedyny przyjaciel - o ile można go było tak nazwać - był już prawie w połowie studiów w Sorcere. Co zrobi Alton, kiedy Masoj ukończy je i powróci do Domu HmTett?

- Może powinienem próbować przez całe stulecia - powiedział na głos. - Tylko po to, by zabił mnie jakiś zdesperowany student, podobnie jak ja - jak Masoj - zamordował Pozbawionego Twarzy. Czy ten student również oszpeciłby się, by zająć moje miejsce? - Alton nie potrafił powstrzymać ironicznego śmiechu, kiedy pomyślał o wiecznym „pozbawionym twarzy mistrzu” w Sorcere. Kiedy Mistrzynie Opiekunka Akademii zaczęłaby coś podejrzewać? Za tysiąc lat? Dziesięć tysięcy? A może Pozbawiony Twarzy przeżyłby samo Menzoberranzan? Życie mistrza nie było takie złe, przypuszczał Alton. Wielu drowów sporo by poświęciło, aby dostąpić takiego zaszczytu.

Alton ukrył twarz w zgięciu ramienia i odegnał od siebie takie absurdalne myśli. Nie był prawdziwym mistrzem, a ukradziona funkcja nie przynosiła mu satysfakcji. Może Masoj powinien był zastrzelić go tamtego dnia, szesnaście lat temu, kiedy Alton był uwięziony w sieci Pozbawionego Twarzy.

Desperacja Altona pogłębiła się tylko, kiedy zastanowił się nad upływem czasu. Minęły niedawno jego siedemdziesiąte urodziny, więc ciągle był młody według norm drowów. Myśl, że upłynęła dopiero dziesiąta część jego życia, nie przyniosła mu tej nocy ulgi.

- Jak długo przetrwam? - zapytał sam siebie. - Ile czasu upłynie, zanim szaleństwo, jakim jest moje życie, pochłonie mnie? - Alton spojrzał w przestrzeń ponad dachami miasta. - Lepiej by się stało, gdyby Pozbawiony Twarzy mnie zabił - wyszeptał. - Bo teraz jestem Altonem z Domu Niewartego Wzmianki.

Masoj ochrzcił go tak pierwszego ranka po upadku Domu De Vir, ale wtedy, kiedy jego życie było zawieszona na bełcie kuszy, Alton nie rozumiał wszystkich implikacji swego nowego

tytułu. Menzoberranzan było jedynie zbiorem pojedynczych domów. Zwykły drow mógłby zostać przyjęty do któregoś z nich i zacząć nazywać go własnym, ale wygnanego szlachcica nie przyjałby żaden dom w mieście. Zostało mu jedynie Sorcere i nic więcej... dopóki ktoś nie odkryje jego prawdziwej tożsamości. Jaką karę wymierzono by mu za zbrodnię, jaką było zabicie mistrza? Może i popełnił ją Masoj, ale za Masojem stał dom. Alton był tylko wygnanym szlachcicem.

Usiadł na piętach i patrzył na wznoszące się ognie Narbondel. Kiedy minuty zmieniły się w godziny, desperacja i żal Altona przeszły niezwykłą przemianę. Zwrócił teraz swoją uwagę na pojedyncze domy, a nie na wieży, które tworzyły z nich miasto i zastanawiał się nad mrocznymi tajemnicami, które każdy z nich posiadał. Jeden z nich ukrywał sekret, który Alton pragnął z całego serca poznać. Jeden z nich stał z powierzchni ziemi Dom DeVir.

Zapomniał o nocnej porażce z Opiekunką Ginafae i yochlolem, zapomniał o rozpaczach nad przedwczesną śmiercią. Szesnaście lat to nie aż tak długo, uznał Alton. Miał przed sobą pewnie około siedmiuset lat życia. Jeśli okaże się to konieczne, Alton był gotów poświęcić każdą minutę czasu, jaki mu pozostał, by odnaleźć swych wrogów.

- Zemsta - warknął głośno, potrzebując i karmiąc się tym przypomnieniem jedyne go powodu, dla którego ciągle oddychał.

8

WIĘZY KRWI

Zak nacierał teraz serią wymierzonych nisko pchnięć. Drizzt próbował się szybko wycofać i stanąć pewnie na nogach, ale stały napór przeciwnika spychał go coraz dalej, tak że był zmuszony tylko się bronić. Coraz częściej Drizzt orientował się, że rękojeści jego broni są bliżej Zaka niż ich ostrza.

Zak pochylił się nagle do przodu i przedostał się pod ostrze broni Drizzta.

Drizzt wywinął swymi sejmitarami mistrzowski krzyż, ale musiał się przy nim wyprostować, by uniknąć śmiertelnego pchnięcia bronią mistrza. Drizzt wiedział, że to pułapka, a następny atak nie był dla niego zaskoczeniem. Zak przeniósł ciężar ciała na nogę za - kroczną i pchnął mieczami, mierząc w lędźwia Drizzta.

Drizzt zaklął cicho i wykonał sejmitarami krzyż, chcąc użyć skrzyżowanych ostrzy do złapania mieczy nauczyciela. Pod wpływem nagłego impulsu Drizzt zawahał się przechwytyjąc ostrza Zaka, i zamiast tego odskoczył w tył, otrzymując bolesne cięcie w wewnętrzną stronę uda. Wściekły rzucił obydwie sejmitary na podłogę.

Zak również odskoczył. Trzymał teraz miecze po bokach, a na jego twarzy widniał wyraz zaskoczenia. - Nie powinieneś być przegapić tego ruchu - powiedział bez ogródek.

- To parowanie nie jest dobre - odrzekł Drizzt.

Czekając na dalsze wyjaśnienia Zak dotknął czubkiem jednego z mieczy podłogi i oparł się

na broni. W minionych latach Zak ranił, a nawet zabijał uczniów za tak otwarty bunt.

- Dolny krzyż zatrzymuje atak, ale po co? - ciągnął Drizzt. - Kiedy kończę manewr, czubki mieczy są zbyt nisko, bym mógł wykonać skuteczny atak, a ty możesz wysliznąć mi się i uwolnić miecze.

- Ale obronisz się przed moim atakiem.

- Tylko po to, by nadzieć się na następny - spierał się Drizzt. - Najlepsze, co mogę osiągnąć w tej sytuacji to remis.

- Tak... - zgodził się Zak, nie w pełni rozumiejąc, na czym polegał problem jego ucznia.

- Przypomnij sobie własne nauki! - krzyknął Drizzt. - Każdy ruch powinien przynieść korzyść. Tak mnie uczyłeś, ale w dolnym krzyżu nie widzę żadnej korzyści.

- Cytujesz tylko część lekcji - rzucił Zak, teraz już również wściekły. - Dokończ zdanie albo w ogóle go nie zaczynaj! Każdy ruch powinien przynieść korzyść albo zlikwidować niekorzyść. Dolny krzyż broni cię przed podwójnym pchnięciem, a twój przeciwnik z pewnością zdobył znaczną przewagę, jeśli w ogóle próbuje tak odważnego manewru ofensywnego! Powrót do równowagi w takiej chwili jest jak najbardziej pożądany.

- To parowanie nie jest dobre! - powiedział uparcie Drizzt.

- Podnieś miecze - warknął na niego Zak, postępując groźnie krok w przód. Drizzt zawahał się, a Zak ruszył naprzód, wyciągając przed siebie miecze.

Drizzt rzucił się na ziemię, podniósł seymitary, by stawić czoło atakowi, zastanawiając się czy to lekcja, czy prawdziwa walka.

Fechmistrz nacierał wściekle, zadając cios za ciosem i spychając Drizzta coraz bardziej w tył. Drizzt bronił się dobrze i zaczął dostrzegać znajomy wzór w atakach Zaka, który atakował coraz niżej, zmuszając Drizzta do zbijania jego ostrzy z góry.

Drizzt domyślił się, że Zak chciał udowodnić swe racje czynem, a nie słowami. Widząc wściekłość na twarzy Zaka, Drizzt nie był jednak pewien, jak daleko fehmistrz mógł się posunąć. Jeśli Zak udowodni, że się nie mylił, czy znowu uderzy w łędźwia Drizzta? Z może w serce? Zak pochylił się, a Drizzt napiął wszystkie mięśnie i wyprostował się.

- Podwójne pchnięcie! - warknął fehmistrz, a jego miecze uderzyły.

Drizzt już na niego czekał. Wykonał dolny krzyż, uśmiechając się na widok pierścienia z metalu, który zamknął się wokół atakujących ostrzy. Potem Drizzt kontynuował ruch jednym tylko seymitarem, uważając, że w ten sposób z łatwością zbije oba ostrza Zaka. Teraz, uwolniwszy jedno ostrze, Drizzt wywinął nim w podstępny kontrataku.

Kiedy tylko Drizzt zaczął wykonywać manewr, Zak dostrzegł podstęp - sztuczkę, której się spodziewał. Zak opuścił czubek jednego ze swoich mieczy - ten bliższy rękojeści parującego ostrza Drizzta - na podłogę, a Drizzt, który starał się zachować równy nacisk na oba ostrza przeciwnika, stracił równowagę. Drizzt był wystarczająco szybki, by zatrzymać się, zanim zatoczył się za daleko,

ale kostki jego palców dotknęły kamiennej podłogi. Nadal uważał, że złapał Zaka w swą pułapkę i że uda mu się zakończyć jego genialną kontrę. Wykonał krok naprzód, by odzyskać pełną równowagę.

Fechmistrz pochylił się niemal do podłogi pod łukiem sejmitara Drizzta i wykonał półobrót, trafiając ciężkim obcasem w odsłonięte kolano Drizzta. Zanim Drizzt spostrzegł atak, leżał już na plecach.

Zak szybko odzyskał równowagę i stanął mocno na nogach. Zanim Drizzt zrozumiał niezwykłą kontr - kontrę, zobaczył stojącego nad sobą fehmistrza, którego miecz naciskał boleśnie na jego gardło.

- Czy masz coś jeszcze do powiedzenia? - warknął Zak.

- To parowanie nie jest dobre - odrzekł Drizzt.

Zak roześmiał się głośno. Rzucił miecz na podłogę, wyciągnął ramię i pomógł upartemu studentowi wstać. Uspokoił się szybko, odnalazł spojrzeniem lawendowe oczy Drizzta i odepchnął go na odległość ramienia. Zak zachwycił się łatwością ruchów Drizzta, tym jak trzymał sejmitary, które wyglądały jak przedłużenie jego ramion. Drizzt trenował dopiero od kilku miesięcy, ale opanował już posługiwanie się każdą niemal bronią z bogatej zbrojowni Domu Do'Urden.

Te sejmitary! Drizzt wybrał broń o zakrzywionych ostrzach, która dokładnie odpowiadała stylowi walki młodego wojownika. Dzierżąc tę broń młody drow, ciągle niemal dziecko, mógł pokonać połowę członków Akademii, a po plecach Zaka zawsze przebiegał dreszcz, kiedy pomyślał, jakie mistrzostwo osiągnie Drizzt po latach treningu.

Nie tylko fizyczne możliwości i potencjał Drizzta Do'Urden zmuszały Zaka do zadumy. Zak zorientował się już, że temperament Drizzta bardzo się różnił do temperamentu przeciętnego drowa. Drizzt miał w sobie niewinność i brak mu było choćby cienia złośliwości. Zak nie mógł nic poradzić na uczucie dumy, które nachodziło go, ilekroć spojrzał na Drizzta. Pod wszelkimi względami młody drow podporządkowywał się tym samym zasadom - moralności tak rzadko spotykanej w Menzoberranzan - co Zak.

Drizzt również dostrzegł podobieństwo, choć nie zdawał sobie sprawy jak niezwykli są on i Zak w złym świecie drowów. Uświadomił sobie, że „wujek Zak” był inny niż jakikolwiek mroczny elf, jakiego znał, choć do porównania miał tylko własną rodzinę i kilka tuzinów żołnierzy domu. Z pewnością Zak był inny niż Briza, najstarsza siostra Drizzta, z jej ślepym oddaniem tajemniczej religii Lloth. Z pewnością Zak był inny niż Opiekunka Malice, matka Drizzta, która nie odzywała się nigdy do Drizzta, a jeśli już to robiła, to tylko tonem rozkazu.

Zak potrafił uśmiechać się w sytuacjach, które nie przynosiły nikomu bólu. Był pierwszym drowem, jakiego Drizzt poznał, który wydawał się zadowolony ze swego miejsca w życiu. Zak był pierwszym drowem, którego śmiech słyszał Drizzt.

- Dobra próba - podsumował fehmistrz.

- W prawdziwej bitwie byłbym już martwy - odrzekł Drizzt.

- Z pewnością - powiedział Zak - ale po to właśnie trenujemy. Twój plan był mistrzowski, wycucie czasu doskonałe. Ale sytuacja była zła. Mimo to mówię, że to dobra próba.

- Spodziewałeś się jej - powiedział uczeń. Zak uśmiechnął się i skinął głową.

- Może dlatego, że widziałem już ten manewr w wykonaniu innego ucznia.

- Przeciwno tobie? - zapytał Drizzt, czując się już nieco mniej wyjątkowym, kiedy dowiedział się, że jego pomysły nie są takie wyjątkowe.

- Nie - odrzekł Zak z uśmiechem. - Widziałem, jak ta kontra zawodzi z tej samej pozycji co twoja.

Twarz Drizzta znowu się rozpromieniła.

- Myślimy podobnie - skomentował.

- Tak - powiedział Zak. - Ale moja wiedza urosła dzięki czterem setkom lat doświadczeń, podczas gdy ty nie masz jeszcze nawet dwudziestki. Zaufaj mi, mój uczniu. Dolny krzyż to dobre parowanie.

- Być może - odpowiedział na to Drizzt. Zak ukrył uśmiech.

- Kiedy wymyślisz lepszą kontrę, wypróbujemy ją. Ale do tego czasu zaufaj moim słowom. Wytrenowałem więcej żołnierzy, niż potrafię zliczyć, całą armię Do'Urden i dziesięć razy tyle, kiedy służyłem jako mistrz w Melee - Magthere. Uczyłem Rizzena, wszystkie twoje siostry i obu braci.

- Obu?

- Ja... - Zak przerwał na chwilę i spojrzał ciekawie na Drizzta. - Rozumiem - powiedział po chwili. - Nawet ci nie powiedziały. - Zak zastanawiał się, czy powiedzenie prawdy było jego zadaniem. Wątpił, by robiło to jakąkolwiek różnicę opiekunce Malice. Prawdopodobnie nie mówiła nic Drizztowi, bo nie uważała, by historia śmierci Nalfeina w ogóle była warta opowiadania.

- Tak, obu - zdecydował się. wyjaśnić Zak. - Miałeś dwóch braci w chwili swego urodzenia. Dinina, którego znasz i starszego brata, Nalfeina, czarownika o znacznej mocy. Nalfein został zabity w bitwie tej samej nocy, której ty po raz pierwszy odetchnąłeś.

- Przeciwno krasnoludom lub złośliwym gnomom? - wydyszał Drizzt, a jego oczy otworzyły się tak szeroko, jak oczy dziecka proszącego o przerażającą historijkę przed snem. - Czy bronił miasta przed złymi napastnikami lub potworami?

Zakowi z trudem przyszło rozwianie niewinnych złudzeń Drizzta.

- Wychowany w kłamstwach - wyszeptał, a na głos powiedział - Nie.

- Zatem walczył przeciwko straszliwшему jeszcze wrogowi! - naciskał Drizzt. - Złym elfom z powierzchni?

- Zginął z ręki drowa! - rzucił Zak, odbierając Drizztowi młodzieńczy entuzjazm.

Drizzt zamyślił się, by rozważyć możliwości, a Zak z trudem znosił wyraz niezrozumienia

na twarzy młodego drowa.

- Wojna z innym miastem? - zapytał posepnie Drizzt. - Nie wiedziałem...

Zak pozwolił, by tak zostało. Odwrócił się i cicho poszedł do swej komnaty. Niech Malice lub któraś z jej córek rozwieje niewinne marzenia Drizzta. Za jego plecami Drizzt chciał zadać kolejne pytania, ale zorientował się, że zarówno rozmowa jak i lekcja dobiegły końca. Zrozumiał również, że wydarzyło się właśnie coś ważnego.

* * *

Fechmistrz walczył z Drizztem całymi godzinami, a dni stapały się w tygodnie, zaś tygodnie w miesiące. Czas przestał się liczyć. Walczyli aż do krańcowego wyczerpania i wracali na salę ćwiczeń, kiedy tylko mogli się podnieść.

W trzecim roku, w wieku dziewiętnastu lat, Drizzt mógł bronić się przed fehmistrzem godzinami, próbując nawet od czasu do czasu ofensywnych manewrów.

Zakowi podobały się te dni. Po raz pierwszy od wielu lat spotkał kogoś, kto posiadał potencjał, by zmierzyć się z nim na równych prawach. Po raz pierwszy w życiu Zaka śmiech towarzyszył szczękowi adamantytowych ostrzy.

Patrzył, jak Drizzt rośnie wysoki, jak staje się uważny, gorliwy i inteligentny. Mistrzowie Akademii mieliby ciężkie zadanie broniąc się przed Drizztem nawet w pierwszym roku jego nauki!

Ta myśl elektryzowała fehmistrza tylko tak długo, jak pamiętał zasady Akademii, zasady życia drowów i to, co zrobiliby ze wspaniałym uczniem. O tym, jak skradliby uśmiech z lawendowych oczu Drizzta.

Część tego świata drowów przybyła do nich pewnego dnia w osobie Opiekunki Malice.

- Mów do niej z należnym szacunkiem - ostrzegł Zak Drizzta, kiedy Maya ogłosiła wejście matki opiekunki. Fehmistrz wystąpił dumnie o kilka kroków, by powitać głowę Domu Do'Urden.

- Pozdrowienia, Opiekunko - powiedział z niskim ukłonem. - Czemu zawdzięczam taki zaszczyt?

Opiekunka Malice roześmiała się, widząc, jak Zak zachowuje pozory grzeczności.

- Ty i mój syn spędzacie tu tyle czasu - powiedziała. - Przyszłam zobaczyć postępy, jakie zrobił.

- Jest dobrym wojownikiem - zapewnił ją Zak.

- Będzie musiał być - wyszeptła Malice. - Idzie do Akademii za niecały rok.

Zak zmrużył oczy słysząc słowa Malice.

- W Akademii nigdy nie widziano lepszego szermierza - warknął. Opiekunka odeszła od niego i stanęła przed Drizztem.

- Nie wątpię w twe umiejętności władania mieczem - powiedziała do chłopca, choć rzuciła szybkie spojrzenie Zakowi, wypowiadając te słowa. - Masz odpowiednią krew. Są inne wartości, które przesądzają o wartości wojownika - zalety serca. Stosunek do życia!

Drizzt nie wiedział, jak jej odpowiedzieć. Widział ją tylko kilka razy w ciągu tych trzech lat i nie zamienili wtedy nawet jednego słowa.

Zak dostrzegł zmieszanie na twarzy Drizzta i obawiał się, że chłopiec się potknie, dokładnie tak, jak życzyła sobie tego Opiekunka Malice. Wtedy Malice miałyby pretekst, by odebrać Drizzta Zakowi - znieważając fehmistrza przy okazji - i oddać go Dininowi lub innemu pozbawionemu uczuć zabójcy. Zak może i był najlepszym instruktorem szermierki, ale teraz, kiedy Drizzt nauczył się już posługiwać bronią, Malice chciała, by zabito jego uczucia.

Zak nie mógł sobie pozwolić na ryzyko. Za bardzo mu zależało na czasie spędzonym z Drizztem. Wyciągnął miecze z wysadzanych klejnotami pochew i rzucił się do przodu tuż obok Opiekunki Malice, krzycząc - Pokaż jej, młody wojowniku!

Oczy Drizzta zmieniły się w płomienie, kiedy ujrzał zbliżającego się nauczyciela. Sejmitary pojawiły się w jego dłoniach tak szybko, jakby cały czas w nich były.

I dobrze, że tak się stało! Zak dopadł Drizzta z furją, której ten nigdy u niego nie widział, większą nawet niż wtedy, gdy Zak pokazywał Drizztowi wartość dolnego krzyża. Kiedy miecz uderzał o sejmitar, wokół sypały się iskry, a Drizzt był zmuszony się cofać. Zaczęły go boleć ramiona od potężnej siły uderzeń Zaka.

- Co ty... - próbował zapytać Drizzt.

- Pokaż jej - warknął Zak, uderzając raz za razem.

Drizzt z trudem uniknął cięcia, które z pewnością by go zabiło. Nadal jednak zaskoczenie sprawiało, że mógł się jedynie bronić.

Zak odbił jeden z sejmitarów Drizzta, potem drugi i użył niezwyklej broni, wyrzucając nogę prosto w górę i trafiając Drizzta piętą wnoś.

Drizzt usłyszał trzask pękającej chrząstki i poczuł gorącą krew spływającą mu po twarzy. Rzucił się w bok, próbując utrzymać bezpieczną odległość do chwili odzyskania orientacji.

Po chwili zobaczył Zaka, który zbliżał się do niego bardzo szybko.

- Pokaż jej ! - warknął Zak wściekle.

Purpurowy blask ognia faerie migotał na skórze Drizzta, czyniąc go łatwiejszym celem. Zareagował w jedyny możliwy sposób: zsyłając na siebie i Zaka kulę ciemności. Wyczuwając następny ruch fehmistrza, Drizzt rzucił się na brzuch i odczołgał w bok, trzymając głowę przy ziemi - co okazało się dobrym posunięciem.

Kiedy zapadły ciemności, Zak natychmiast uniósł się trzy metry nad ziemię i przeniósł się w miejsce, w którym poprzednio leżał Drizzt.

Kiedy Drizzt znalazł się w innej części kuli ciemności, odwrócił się i zobaczył jedynie dolną część nóg Zaka. Nie musiał widzieć niczego więcej, by zrozumieć, że to jeden z zabójczych ataków na ślepo. Zak pociąłby go na kawałki, gdyby nie odczołgał się kawałek.

Wściekłość zastąpiła oszołomienie. Kiedy Zak opadł na ziemię i ruszył w stronę Drizzta, ten

pozwoił, by wściekłość poniosła go z powrotem w wir walki. Zakręcił się w piruecie na chwilę przed tym, jak zaatakował Zaka, wykonując jednym sejmitem długie cięcie, a drugim zdradliwe pchnięcie tuż nad linią wytyczoną przez pierwsze ostrze.

Zak uniknął pchnięcia i zablokował na odlew cięcia.

Drizzt jeszcze nie skończył. Wykonał jednym z sejmitarów serią krótkich ciosów, które zmusiły Zaka do cofnięcia się o tuzin kroków, z powrotem w magiczną ciemność. Musieli teraz obaj polegać na niezwykle czułym zmysle słuchu i instynkcie. Zak w końcu zdołał powstrzymać napór Drizzta, ale ten natychmiast ruszył znowu, kopiąc, kiedy tylko pozwalała na to sytuacja. Jedno z kopnięć prześliznęło się przez obronę Zaka, pozbawiając go powietrza.

Znowu znaleźli się poza kulą ciemności i teraz również Zak był widoczny w blasku ogni faerie. Fechmistrzowi było niedobrze, kiedy widział nienawiść na twarzy Drizzta, ale wiedział, że żadnemu z nich nie pozostawiono teraz wielkiego wyboru. Walka musiała być brudna, musiała być prawdziwa. Stopniowo Zak przeszedł do obrony i pozwolił Drizztowi, który eksplodował furją, zmęczyć się zadawaniem ciosów.

Drizzt uderzał i uderzał, nie pokazując po sobie w ogóle zmęczenia. Zak drażnił go, pokazując mu nie bronione pozornie miejsca, a Drizzt łatwo nabierał się na to, posyłając w nie pchnięcia, kopniaka lub cięcia.

Opiekunka Malice patrzyła w ciszy na przedstawienie. Nie mogła odmówić Zakowi pracy, którą włożył w jej syna. Drizzt był - fizycznie - bardziej niż gotowy do walki.

Zak wiedział jednak, że dla Opiekunki Malice sama umiejętność posługiwania się bronią nie wystarczy. Zak nie mógł dopuścić do rozmowy Drizzta z Malice. Nie spodobałoby jej się podejście jej syna do życia.

Drizzt zaczynał się męczyć, choć Zak widział, że część okazywanego znużenia to podstęp.

- No dalej - wyszeptał, po czym nagle „skręcił” kostkę, a łapiąc równowagę odstąpił się tak, by Drizzt nie mógł się oprzeć.

Oczekiwane pchnięcie nadeszło niczym błyskawica, a lewe ramię Zaka wykonało krótki ruch, który wybił sejmitar z dłoni Drizzta.

- Ha! - krzyknął Drizzt, który oczekiwał takiego manewru i wprowadził w życie swój drugi podstęp. Drugi sejmitar uderzył w ramię Zaka, nieuchronnie omijając blok.

Ale kiedy Drizzt zadawał drugie uderzenie, Zak był już na kolanach. Kiedy ostrze Drizzta przeszło nad jego głową nie wyrządzając mu krzywdy, Zak poderwał się na nogi i uderzył na odlew ręką, trafiając Drizzta prosto w twarz. Oszołomiony Drizzt cofnął się o krok i stał przez moment nieruchomo. Sejmitar wypadł mu z dłoni, a zamglone oczy nie mrugały.

- Zwód w zwodzie! - wyjaśnił spokojnie Zak. Drizzt osunął się nieprzytomny na podłogę.

Opiekunka Malice kiwnęła głową z aprobatą, kiedy Zak do niej podszedł.

- Jest gotów do Akademii - zauważyła.

Twarz Zaka skamieniała, a on sam nie odpowiedział.

- Vierna już w niej jest - kontynuowała Malice - i uczy w Arach - Tinilith, Szkole Lloth. To wielki zaszczyt.

Laur dla Domu Do'Urden, pomyślał Zak, ale miał na tyle rozsądku, by się nie odezwać.

- Dinin wkrótce odejdzie - powiedziała opiekunka.

Zak był zaskoczony. Dwoje dzieci służących jako mistrzowie w Akademii w tym samym czasie?

- Musiałaś się bardzo starać, by uzyskać podobne zaszczyty - odważył się powiedzieć.

Opiekunka Malice uśmiechnęła się.

- Długi wdzięczności.

- Po co? - zapytał Zak. - By chronić Drizzta? Malice roześmiała się na głos.

- Po tym co właśnie widziałam, sądzę, że to raczej Drizzt będzie chronił tamtą dwójkę!

Zak zagryzł wargę. Dinin nadal był dwukrotnie lepszym wojownikiem i dziesięciokrotnie bardziej bezlitosnym zabójcą niż Drizzt. Zak wiedział, że Malice miała inne plany.

- Trzy z pierwszych ośmiu domów będą przez następne dwie dekady reprezentowane w Akademii przez nie mniej niż czworo dzieci - stwierdziła Opiekunka Malice. - Syn Opiekunki Baenre będzie w tej samej klasie co Drizzt.

- Więc masz aspiracje - stwierdził Zak. - Jak wysoko zajdzie zatem Dom Do'Urden pod przewodnictwem Opiekunki Malice?

- Sarkazm będzie cię kosztował język - ostrzegła matka opiekunka. - Bylibyśmy głupi, gdybyśmy pozwolili się wymknąć takiej szansie na dowiedzenie się więcej o naszych rywalach!

- Pierwszych osiem domów - zamyślił się Zak. - Bądź ostrożna Opiekunko Malice. Nie zapomnij o tym, by obserwować rywali wśród niższych domów. Był kiedyś Dom DeVir, który popełnił taki błąd.

- Nikt nie zaatakuje nas od tyłu - syknęła Malice. - Jesteśmy dziewiątym domem, ale mamy większą władzę niż wiele innych. Nikt nie wbije nam noża w plecy. Wyżej w kolejce są łatwiejsze cele.

- Co działa na naszą korzyść - wtrącił Zak.

- O to w tym wszystkim chodzi, prawda? - zapytała Malice, uśmiechając się złośliwie.

Zak nie musiał odpowiadać, opiekunka znała jego uczucia. W rzeczywistości nie o to chodziło.

* * *

- Mów mniej, to szczęka wyleczy się szybciej - powiedział później Zak, kiedy został sam z Drizztem.

Drizzt rzucił mu złowrogie spojrzenie. Fechmistrz potrząsnął głową.

- Zostaliśmy wielkimi przyjaciółmi - powiedział.

- Tak właśnie myślałem - wymamrotał Drizzt.

- No to się zastanów - zbeształ go Zak. - Czy sądzisz, że Opiekunka Malice pozwoli na taki związek między fehmistrzem a jej najmłodszym - cennym - synem? Jesteś drowem, Drizzcie Do'Urden, i to ze szlachetnego rodu. Nie możesz mieć przyjaciół!

Drizzt wyprostował się, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- W każdym razie nie otwarcie - dodał Zak, kładąc dłoń na ramieniu młodzieńca. - Przyjaciele to słabość, niewybaczalna słabość. Opiekunka Malice nigdy się nie zgodzi... - przerwał, orientując się, że zastrasza własnego ucznia. - Cóż - przyznał cicho - przynajmniej my dwaj wiemy, kim jesteśmy.

Z jakiegoś powodu to Drizztowi nie wystarczało.

9

RODZINY

Chodź szybko - rozkazał Zak Drizztowi pewnego wieczoru, kiedy skończyli pojedynek. Drizzt z tonu głosu Zaka zorientował się, że dzieje się coś ważnego, i z tego, iż ten nawet nie zatrzymał się, by poczekać na Drizzta.

W końcu dołączył do Zaka na balkonie Domu Do'Urden, gdzie stały już Maya i Briza.

- Co się dzieje? - zapytał Drizzt.

Zak przyciągnął go do siebie i wskazał na drugi koniec wielkiej jaskini, w stronę północno - wschodniego krańca miasta. Światła błyskały i gasły nagle, w powietrze uniósł się słup ognia, który po chwili zniknął.

- Najazd - powiedziała obojętnie Briza. - Niższe domy, bez znaczenia dla nas.

Zak dostrzegł, że Drizzt nie rozumie.

- Jeden dom zaatakował inny - wyjaśnił. - Zemsta, być może, ale najprawdopodobniej próba wspięcia się wyżej w miejskiej hierarchii.

- Bitwa trwa od dawna - zauważyła Briza. - A światła ciągle błyskają.

Zak wyjaśniał sytuację zaskoczonemu drugiemu synowi domu.

- Atakujący powinni byli zasłonić pole bitwy kulami ciemności. To, że nie mogli tego zrobić, wskazuje na to, iż obrońcy spodziewali się ataku.

- Atakującym nie idzie za dobrze - zgodziła się Maya.

Drizzt z trudem wierzył własnym uszom. Bardziej nawet niepokojące niż same wieści był sposób, w jaki jego rodzina o nich rozmawiała. Byli tak spokojni, jakby nie miało miejsca nic niezwykłego.

- Atakujący nie mogą pozostawić świadków - mówił Zak. - W przeciwnym przypadku narażą się na gniew rady rządzącej.

- Ale my jesteśmy świadkami - zauważył Drizzt.

- Nie - odrzekł Zak. - Jesteśmy gapiami. Ta bitwa to nie nasza sprawa. Tylko szlachcice z zaatakowanego domu mają prawo rzucać oskarżenia przeciwko napastnikom.

- O ile jacyś szlachcice przeżyją - dodała Briza, której najwyraźniej podobał się spektakl.

Drizzt nie był pewien, czy podobają mu się nowe wiadomości. Choć mógł w każdej chwili wyjść, nie potrafił oderwać wzroku od widowiska, jakim była bitwa drowów. Cały dom Do'Urden był teraz na nogach, a żołnierze i niewolnicy biegali wokół, szukając dobrych punktów obserwacyjnych i wykrzykując komentarze na temat bitwy i pogłoski na temat atakujących.

Takie było społeczeństwo drowów w czasie makabrycznej gry i choć cała sytuacja wydawała się najmłodszemu członkowi domu Do'Urden zła, Drizzt nie mógł wyprzeć się tego, że wydarzenia tej nocy były ekscytujące. Nie mógł też zaprzeczyć, że na twarzy całej trójki stojącej z nim na balkonie malowało się zadowolenie.

* * *

Alton po raz ostatni przeszedł przez swe prywatne komnaty, by upewnić się, że wszelkie artefakty i księgi, które mogłyby wydać się choć trochę świętokradcze, były bezpiecznie schowane. Spodziewał się wizyty matki opiekunki, co mistrzowi Akademii nie związanemu z Arach - Tininlith, Szkołą Lloth, nie zdarzało się często. Alton był więcej niż ciekaw motywów wizyty tego konkretnego gościa, Opiekunki SiNafay Hun'ett, głowy piątego domu miasta i matki Masoja, partnera w spisku Altona.

Stukanie do kamiennych drzwi zewnętrznej komnaty poinformowało Altona, że goście już u niego są. Wygladził szaty i rozejrzał się raz jeszcze po pokoju. Drzwi otworzyły się, zanim Alton do nich doszedł i do pokoju weszła Opiekunka SiNafay. Jakże łatwo dokonała zmiany - weszła z absolutnej ciemności korytarza w światło świec komnaty Altona - mrugając tylko oczyma.

SiNafay była mniejsza, niż sądził Alton, drobna nawet według norm drowów. Miała nie więcej niż metr dwadzieścia wzrostu i ważyła na oko około dwudziestu pięciu funtów. Była matką opiekunką, a Alton wiedział, że mogła go zabić jednym czarem.

Alton odwrócił od niej posłusznie wzrok i starał się sam przekonać, że w tej wizycie nie było nic nadzwyczajnego. Napięcie wzrosło jednak, kiedy u boku matki stanął Masoj, a na jego twarzy zagościł ponury uśmiech.

- Pozdrowienia z Domu Hun'ett, Gelroosie - powiedziała Opiekunka SiNafay. - Dwadzieścia pięć lat lub więcej minęło, od kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy.

- Gelroos? - wyszeptał do siebie Alton. Przełknął ślinę, by zamaskować swoje zaskoczenie.

- Witam cię, Opiekunko SiNafay - udało mu się wymamrotać. - Czy naprawdę minęło tak wiele czasu?

- Powinieneś przychodzić czasem do domu - powiedziała opiekunka. - Twoje komnaty są ciągle puste.

Moje komnaty? Alton zaczął się czuć bardzo źle.

SiNafay nie przegapiła wyrazu jego oczu. Zmarszczyła brwi, a jej oczy zwięzły się groźnie.

Alton podejrzewał, że jego tajemnica została odkryta. Jeśli Pozbawiony Twarzy był członkiem rodziny Hun'ett, jakże Alton mógł oszukać matkę opiekunkę własnego domu? Rozejrzał się, szukając najlepszej drogi ucieczki albo sposobu, dzięki któremu mógłby chociaż zabić zdrajcę Masoja zanim SiNafay dostanie jego.

Kiedy znowu spojrzął na Opiekunkę SiNafay, ta zaczęła już inkantację jakiegoś czaru. Jej oczy otworzyły się szeroko, kiedy go zakończyła, a jej podejrzania znalazły potwierdzenie.

- Kim jesteś? - zapytała, a w jej głosie słychać było więcej ciekawości niż zmartwienia.

Nie było drogi ucieczki ani sposobu, by zabić Masoja, który stał tuż przy boku potężnej matki.

- Kim jesteś? - zapytała ponownie SiNafay, odpinając od pasa broń o trzech końcówkach, przerażający węzowy bat, który wstrzykiwał najboleśniejszą i najszybciej paralizującą truciznę znaną drowom.

- Alton - wymamrotał, nie musząc odpowiadać na pytanie. Wiedział, że ostrzeżona z łatwością wykryje każde jego kłamstwo. - Jestem Alton DeVir.

- DeVir? - Opiekunka SiNafay wyglądała na co najmniej zaintrygowaną. - Z Domu DeVir, który wyginął kilka lat temu?

- Jestem jedynym ocalałym - przyznał Alton.

- Zabiłeś Gelroosa, Gelroosa Hun'ett i zająłeś jego miejsce w Sorcere - rozumowała opiekunka, a jej głos zmienił się w syk. Zguba wisiła nad głową Altona.

- Ja nie... Nie mogłem wiedzieć, jak się nazywa... On chciał mnie zabić! - mamrotał Alton.

- Ja zabiłem Gelroosa - rozległ się głos z boku.

SiNafay i Alton odwrócili się do Masoja, który ponownie trzymał swą ulubioną kuszę.

- Tym - wyjaśnił młody Hun'ett. - W nocy, której upadł Dom DeVir. Okazja nadarzyła się, kiedy Gelroos z nim walczył. - Wskazał na Altona.

- Gelroos był twoim bratem - przypomniała mu Opiekunka SiNafay.

- Przeklinam jego kości! - syknął Masoj. - Przez cztery nędzne lata mu służyłem - służyłem mu, jakby był matką opiekunką! Chciał utrzymać mnie z dala od Sorcere, chciał mnie wysłać do Melee - Magthere.

Opiekunka spojrzała na Altona, a potem znowu na swojego syna.

- I pozwoliłeś mu żyć - rozumowała dalej, a na jej ustach pojawił się uśmiech. - Zabiłeś wroga i zawarłeś przymierze z nowym mistrzem za jednym zamachem.

- Jak mnie uczono - powiedział Masoj przez zaciśnięte zęby, nie wiedząc jaka kara lub pochwała teraz nastąpi.

- Byłeś tylko dzieckiem - zauważyła SiNafay, nagle zdając sobie sprawę z czasu, który upłynął od tamtej pory.

Masoj przyjął komplement w milczeniu.

Alton przyglądał się temu wszystkiemu z niecierpliwością.

- A co ze mną? - krzyknął. - Czy moje życie jest zgubione? SiNafay spojrzała na niego.

- Twoje życie jako Alton DeVir dobiegło końca tej nocy, kiedy upadł Dom DeVir. Tak więc pozostaniesz Pozbawionym Twarzy, Gelroosie Hun'ett. Przydadzą mi się twoje oczy w Akademii, by doglądać mego syna i moich wrogów.

Alton z trudem oddychał. Tak nagle zawarł przymierze z jednym z najpotężniejszych domów w Menzoberranzan! Przez jego głowę płynął potok pytań i możliwości, a najwyraźniejsze było to, które nękało go od niemal dwóch dziesięcioleci.

Jego przybrana matka opiekunka rozpoznała podniecenie.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Jesteś wysoką kapłanką Lloth - powiedział odważnie Alton, a jedna myśl zniweczyła wszelkie środki ostrożności. - Jest w twojej mocy ziszczyć moje najgłębsze pragnienie.

- Śmiesz prosić mnie o łaskę? - spytała SiNafay, ale widząc cierpienie na twarzy Altona, postanowiła dowiedzieć się, jaka to wielka tajemnica. - Dobrze.

- Który dom zniszczył moją rodzinę? - spytał Alton. - Zapytaj w świecie zmarłych, błagam Opiekunko SiNafay.

SiNafay zastanowiła się dokładnie nad pytaniem, a także nad implikacjami wyraźnego głodu zemsty Altona. Kolejna korzyść z przyjęcia go do rodziny?

- Tę wiadomość już posiadam - odrzekła. - Może kiedy udowodnisz swoją przydatność, powiem ci...

- Nie! - krzyknął Alton. Zamilkł natychmiast, orientując się, że przerwał matce opiekunce, za co wymierzano karę śmierci.

SiNafay wstrzymała jednak swój gniew.

- To pytanie musi być dla ciebie ważne, jeśli zachowujesz się tak głupio - powiedziała.

- Proszę - błagał Alton. - Muszę wiedzieć. Zabij mnie, jeśli chcesz, ale najpierw powiedz mi, kto to był.

SiNafay podobała się jego odwaga, a taka obsesja mogła się jej jedynie przydać.

- Dom Do'Urden - powiedziała.

- Do'Urden - powtórzył Alton, nie mogąc uwierzyć, że dom znajdujący się tak daleko w hierarchii mógł pokonać Dom DeVir.

- Nie podejmiesz przeciwko nim żadnych działań - ostrzegła go Opiekunka SiNafay. - Wybaczę ci lekkomyślność - tym razem. Teraz jesteś synem Domu Hun'ett, zawsze pamiętaj o swoim miejscu! - Pozwoliła, by na tym stało, wiedząc, że ktoś na tyle inteligentny, by przez tyle lat nie pozwolić się odkryć, nie będzie na tyle głupi, by nie podporządkować się matce opiekunce własnego domu.

- Chodź Masoj - powiedziała SiNafay do swego syna. - Zostawmy go samego, by mógł zastanowić się nad swoją nową tożsamością.

* * *

- Muszę ci coś powiedzieć, Opiekunko SiNafay - odważył się odezwać Masoj, kiedy wychodzili z Sorcere. - Alton DeVir jest bufonem. Może przynieść szkodę Domowi Hun'ett.

- Przetrwiał upadek swego domu - odrzekła SiNafay. - I zachował funkcję Pozbawionego Twarzy dzięki podstępowi przez dziewiętnaście lat. Bufon? Może, ale przydatny.

Masoj nieświadomie potarł miejsce, gdzie kiedyś miał brew, która nigdy nie odrosła.

- Musiałem cierpieć wybryki Altona De Vira przez te wszystkie lata - powiedział. - Ma sporo szczęścia, muszę przyznać i potrafi wydostać się z kłopotów, choć zwykle sam się w nie wcześniej pakuje!

- Nie obawiaj się - roześmiała się SiNafay. - Alton wnosi coś ważnego do naszego domu.

- Na co możemy liczyć?

- Jest mistrzem w Akademii - odrzekła SiNafay. - Dzięki niemu mam oczy tam, gdzie ich potrzebuję. - Zatrzymała syna i odwróciła go twarzą do siebie, by mógł dokładnie zrozumieć każde jej słowo. - Skarga Altona DeVira przeciwko Domowi Do'Urden może zadziałać na naszą korzyść. Był szlachcicem tego domu, ma prawo oskarżać.

- Chcesz użyć oskarżenia Altona DeVira, by popchnąć wielkie domy do ukarania Domu Do'Urden? - zapytał Masoj.

- Wielkie domy bardzo niechętnie zadziałają w sprawie, która wydarzyła się prawie dwadzieścia lat temu - odpowiedziała SiNafay. - Dom Do'Urden zniszczył Dom DeVira niemal doskonale - czysty cios. Otwarte oskarżenie Do'Urden niezawodnie ściągnęłoby gniew wielkich domów na nas samych.

- Po co nam zatem Alton DeVir? - zapytał Masoj. - Jego skarga na nic nam się nie zda.

Opiekunka odpowiedziała na to - Jesteś jedynie mężczyzną i nie potrafisz zrozumieć złożoności hierarchii władzy. Jeśli skargę Altona DeVira szepnie się w odpowiednie uszy, rada rządząca mogłaby patrzeć w inną stronę, kiedy jakiś dom wywierałby zemstę w imieniu Altona.

- Po co? - zauważył Masoj, nie rozumiejąc. - Ryzykowałabyś przegranie bitwy, by zniszczyć niższy dom?

- Tak samo myślał Dom DeVir o Domu Do'Urden - wyjaśniła SiNafay. - W naszym świecie musimy jednakowo zajmować się niższymi i wyższymi domami. Wszystkie wielkie domy mądrze by zrobiły, gdyby uważnie przyglądały się posunięciom Daermon N'a'shezbaernon, dziewiątego domu, znanego jako Do'Urden. Ma on teraz zarówno mistrza, jak i mistrzynię, służących w Akademii i trzy wysokie kapłanki, oraz czwartą, która niedługo nią zostanie.

- Cztery wysokie kapłanki? - zamyślił się Masoj. - W jednym domu. - Tylko trzy z największych ośmiu domów miały więcej. Zwykle siostry aspirujące do tak wysokich godności

wywoływały konflikty, co nieodwołalnie zmniejszało ich szeregi.

- A szeregi armii Do'Urden liczą ponad trzystu pięćdziesięciu żołnierzy - ciągnęła SiNafay. - Z których każdy jest szkolony przez najlepszego fechmistrza w mieście.

- Zaknafeina Do'Urden, oczywiście - przypomniał sobie Masoj.

- Słyszałeś o nim?

- To imię często wymienia się w Akademii, nawet w Sorcere.

- Dobrze - zamruczała SiNafay. - Zrozumiesz zatem wagę misji, którą dla ciebie przeznaczyłam.

W oczach Masoja zabłysło światelko.

- Wkrótce będzie tu nowy Do'Urden - wyjaśniła SiNafay. - Nie mistrz, lecz uczeń. Ze słów tych niewielu, którzy widzieli Drizzta w czasie treningu, będzie on równie dobrym wojownikiem jak Zaknafein. Nie możemy do tego dopuścić.

- Chcesz, bym zabił chłopca? - zapytał gorliwie Masoj.

- Nie - odrzekła SiNafay. - Jeszcze nie. Chcę, byś dowiedział się o nim wszystkiego, byś zrozumiał motywy każdego jego czynu. Kiedy przyjdzie czas na uderzenie, musisz być gotowy.

Masojowi podobało się to zadanie, ale jedna rzecz nadal go niepokoiła.

- Ciągłe musimy się zastanowić nad Altonem - powiedział. - Jest niecierpliwy i śmiały. Jakie byłyby konsekwencje dla Domu Hun'ett, gdyby zaatakował Dom Do'Urden, zanim nadejdzie odpowiedni czas?

Czy mógłby wywołać otwartą wojnę w mieście, w której Dom Hurfett widziany by był jako napastnik?

- Nie obawiaj się, mój synu - odrzekła Opiekunka SiNafay. - Jeśli Alton DeVir popełni straszliwy błąd, będąc w przebraniu Gelroosa Hun'ett, przedstawimy go jako oszusta nie związanego z naszą rodziną. Będzie przestępcą bez domu, na którego wszędzie będą czekać egzekutorzy.

Wyjaśnienie uspokoiło Masoja, ale opiekunka SiNafay, tak dobrze znająca się na zwyczajach społeczeństwa drowów rozumiała, jakie ryzyko podjęła, kiedy przyjęła Altona DeVira do swego domu. Jej plan wydawał się dobry, a możliwe korzyści - eliminacja rosnącego w siłę Domu Do'Urden - były bardzo kuszące.

Ale również zagrożenia były bardzo realne. Choć nie było nic dziwnego w tym, że jeden dom skrycie zniszczył inny, nie można było ignorować konsekwencji porażki. Wcześniej tej nocy niższy dom zaatakował dom rywali i, jak głosiła plotka, nie udało mu się. Następnego dnia rada rządząca będzie musiała zachować pozory sprawiedliwości i ukarać napastników. Opiekunka SiNafay była kilkakrotnie świadkiem tej „sprawiedliwości”.

Żaden członek domu agresora - nie wolno jej nawet było pamiętać ich nazw - nigdy nie przeżył.

* * *

Zak obudził Drizzta wcześnie rano następnego dnia.

- Chodź - powiedział. - Wolno nam dzisiaj wyjść z domu. Myśli o spaniu natychmiast opuściły Drizzta.

- Wyjść z domu? - powtórzył. Przez dziewiętnaście lat Drizzt nigdy nie wyszedł poza adamantytowe ogrodzenie kompleksu Do'Urdenów. Patrzył tylko na świat Menzoberranzan z balkonu.

Zak czekał na niego, kiedy Drizzt szybko zgarnął swe miękkie buty i piwafwi.

- Nie będzie dzisiaj lekcji? - zapytał Drizzt.

- Zobaczymy - odrzekł Zak, ale myślał sobie, że Drizzt stanie w obliczu najbardziej zaskakującego doświadczenia w życiu. Któremuś domowi nie powiódł się atak, a rada rządząca wezwała wszystkich szlachciców miasta, by przedstawili dowody wymiarowi sprawiedliwości.

Briza pojawiła się w korytarzu tuż za drzwiami sali treningowej.

- Szybko - rzuciła. - Opiekunka Malice nie chce, by nasz dom był wśród ostatnich przybywających na spotkanie!

Sama matka opiekunka, dryfując na lśniącym błękitnym dysku - bowiem matki opiekunki rzadko przechadzały się po mieście - wyprowadziła procesję Do'Urden przez główną bramę. Obok niej szła Briza, za nimi Maya i Rizen, a w ostatnim szeregu Drizzt i Zak. Vierna i Dinin, w związku z ich obowiązkami w Akademii, stawili się na wezwanie rady rządzącej z inną grupą.

Tego dnia całe miasto było w ruchu, grzmiąc plotkami o nieudanym ataku. Drizzt szedł przez całe to zamieszanie z szeroko otwartymi oczyma, patrząc z zachwytem na wspaniale zdobione domy drowów. Niewolnicy z podrzędnych ras - gobliny, orki, a nawet giganci - uciekali im z drogi, rozpoznając, że Malice, siedząca na swoim dysku, jest matką opiekunką. Pospolite drowy przerywały rozmowy i z szacunkiem milczały, kiedy przechodziła obok nich szlachecka rodzina.

Kiedy szli przez miasto do jego północno - zachodniej części, gdzie znajdował się oskarżony dom, znaleźli się w uliczce, którą zablokowała karawana sprzecających się duergarów, szarych krasnoludów. Tuzin wozów było splątanych w jedną masę - najwyraźniej w wąskiej uliczce spotkały się dwie grupy duergarów i żadna z nich nie chciała ustąpić pierwszeństwa.

Briza odpięła od pasa wężowy bat i rozpędziła kilka istot, oczyszczając drogę Malice, która podleciała do przywódców obu grup.

Krasnoludy spojrzały na nią wściekle, dopóki nie zorientowały się, z kim mają do czynienia.

- Prosimy o wybaczenia, pani - wymamrotał jeden z nich. - Nieszczęśliwy wypadek, to wszystko.

Malice rzuciła okiem na zawartość najbliższego wozu, skrzynki z odnóżami wielkich krabów i innymi delikatesami.

- Spowolniliście moją podróż - powiedziała Malice spokojnie.

- Przybyliśmy do waszego miasta w nadziei na handel - wyjaśnił duergar. Rzucił groźne spojrzenie swemu rywalowi, a Malice zrozumiała, że to konkurenci, być może przywożący te same dobra do tego samego domu.

- Wybaczę wam bezczelność... - powiedziała łaskawie, nadal spoglądając na skrzynki.

Dwaj duergarowie wiedzieli już, co się stanie. Zak także.

- Będziemy dziś dobrze jedli - wyszeptał do Drizzta z szelmowskim uśmiechem. -

Opiekunka Malice nie przepuści takiej okazji.

- ...jeśli znajdziecie sposób na dostarczenie połowy tych dóbr do bramy Domu Do'Urden jeszcze dzisiejszej nocy - dokończyła Malice.

Duergarowie zaczęli protestować, ale szybko zamilkli. Ależ oni nienawidzili handlować z elfami drowami!

- Zostaniecie wynagrodzeni - mówiła dalej Malice. - Dom Do'Urden nie jest biedny. Razem nadal będziecie mieli wystarczająco dużo towarów, by zadowolić dom, do którego przyjechaliście.

Żaden z duergarów nie mógł zaprzeczyć temu rozumowaniu, ale w takich warunkach, po tym jak obrazili matkę opiekunkę, wiedzieli, że zapłata nie będzie dla nich satysfakcjonująca. Ale przecież dla szarych krasnoludów takie właśnie było ryzyko robienia interesów w Menzoberranzan. Ukłonili się grzecznie, po czym zajęli się oczyszczaniem drogi dla procesji drowów.

* * *

Dom Teken'duis, pechowi łupieżcy z poprzedniej nocy, zabarykadowali się w swej składającej się z dwóch stalagmitów siedzibie, spodziewając się tego, co stać się musiało. U ich bram zebrała się cała szlachta Menzoberranzan, ponad tysiąc drowów, a na ich czele stanęła Opiekunka Baenre i pozostałych siedem matek opiekunek z rady rządzącej. Co gorsza dla oskarżonych, pod ich domem zebrały się również trzy szkoły Akademii, zarówno instruktorzy, jak i uczniowie.

Opiekunka Malice poprowadziła swą procesją do czoła zgromadzenia, tuż za rządzące opiekunki. Jako opiekunka dziewiątego domu, zaledwie jeden stopień od rady, miała prawo do zajęcia takiego miejsca, a inne drowy szybko schodziły jej z drogi.

- Dom Teken'duis rozgniewał Pajęczą Królową! - ogłosiła Opiekunka Baenre głosem wzmocnionym czarami.

- Tylko dlatego, że się im nie udało - wyszeptał Zak do Drizzta. Briza rzuciła obu mężczyznom wściekłe spojrzenie. Opiekunka Baenre wezwała do siebie trójkę młodych drowów, dwie kobiety i mężczyznę.

- To jedyni ocaleli z Domu Freth - wyjaśniła. - Czy możecie nam powiedzieć, sieroty z Domu Freth - zapytała ich - kto ostatniej nocy zaatakował waszą siedzibę?

- Dom Teken'duis! - krzyknęły zgodnie.

- Wiele razy próbowali - skomentował Zak. Briza odwróciła się raz jeszcze.
- Cisza! - wyszeptała ostro. Zak trzasnął Drizzta w tył głowy.
- Tak - zgodził się. - Bądź cicho!

Drizzt zaczął protestować, ale Briza już się odwróciła, a uśmiech Zaka był za szeroki, by się z nim spierać.

- Jest zatem wolą rady rządzącej - mówiła Opiekunka Baenre - by Dom Teken'duis poniósł konsekwencje swoich czynów!

- A co z sierotami z Domu Freth? - rozległo się pytanie z tłumu.

Opiekunka Baenre pogłaskała po głowie najstarszą z kobiet, kapłankę, która niedawno skończyła studia w Akademii.

- Szlachcicami się urodzili i szlachcicami pozostaną - powiedziała Baenre. - Dom Baenre roztacza nad nimi opiekę. Teraz będą nosić nazwisko Baenre.

Przez zgromadzenie przeszły rozczarowane szepty. Troje szlachciców, w tym dwie kobiety, stanowiło sporą wygraną. Każdy dom w mieści chętnie by ich przyjął do siebie.

- Baenre - wyszeptała Briza do Malice. - Jakby jeszcze potrzebowali więcej kapłanek!
- Szesnaście wysokich kapłanek to jak widać za mało - odpowiedziała Malice.
- Bez wątpienia Baenre wezmą również wszystkich ocalałych żołnierzy Domu Freth - rozumowała Briza.

Malice nie była tego taka pewna. Opiekunka Baenre stąpała po bardzo cienkiej linii, nawet przyjmując ocalałych szlachciców. Gdyby Dom Baenre stał się zbyt potężny, Lloth nie byłaby zadowolona. W takiej sytuacji jak ta, kiedy dom został niemal zupełnie zniszczony, zwykli żołnierze, którzy ocaleli, byli zwykle rozdzielani między zainteresowane domy. Malice czekałaby z niecierpliwością na taką aukcję. Żołnierze nie byli tani, ale teraz Malice z radością powitałaby szansę na powiększenie szeregów swojej armii, szczególnie jeśli był wśród nich ktoś władający magią.

Opiekunka Baenre zwróciła się do winnego domu.

- Dom Teken'duis! - zawołała. - Złamaliście nasze prawa i zostaliście na tym przyłapani. Walczcie, jeśli chcecie, ale wiedźcie, że ściągnęliście na siebie zgubę! - Jednym ruchem dłoni nakazała działanie Akademii, wykonawcy wyroku.

W ośmiu miejscach wokół Domu Teken'duis zostały umieszczone wielkie piece, a doglądały ich nauczycielki z Arch - Tinilith i najlepsi uczniowie tej szkoły. Kiedy kapłanki otworzyły bramy do niższych planów, płomienie nagle ożyły i wystrzeliły w niebo. Drizzt przyglądał się wszystkiemu uważnie, mając nadzieję, że gdzieś dojrzy Dinina lub Yiernę.

Mieszkańcy niższych wymiarów, wielkie, pokryte śluzem i plujące ogniem potwory o wielu ramionach przeszły przez bramy. Stojące najbliżej wysokie kapłanki cofnęły się przed tą groteskową hordą. Istoty łatwo wstąpiły w służbę. Kiedy Opiekunka Baenre dała sygnał, gorliwie

rzuciły się, by zniszczyć Dom Teken'duis.

Przy wątej bramie domu eksplodowały zaklęcia ochronne, ale dla przywołanych z zaświatów istot była to niewielka przeszkoda.

Wtedy do akcji włączyli się czarownicy i uczniowie Sorcere, obrzucając Dom Teken'duis błyskawicami, kulami kwasu i ognia.

Uczniowie i mistrzowie Melee - Magthere, szkoły wojowników, wycelowali swe wielki kusze i wypalili w okna, przez które mogła próbować ucieczki skazana na zagładę rodzina.

Horda potworów wpadła do środka. Rozbłysła błyskawica i zagrzmiał grom.

Zak spojrział na Drizzta i jego uśmiech zastąpiło zmarszczenie brwi. Podekscytowany - a z pewnością było się czym ekscytować - Drizzt miał na twarzy wyraz podziwu.

W domu rozbrzmiały pierwsze krzyki zgubionej rodziny, krzyki tak straszne, że odebrały Drizztowi całą przyjemność, z jaką patrzył na rozgrywające się wydarzenia. Złapał Zaka za ramię, obrócił go twarzą do siebie i spojrział na niego prosząc o wyjaśnienie.

Jeden z synów Teken'duis, uciekając przed dziesięciorękim, wielkim potworem, wybiegł na parapet jednego z umieszczonych wysoko okien. Trafił go jednocześnie tuzin bełtów, ale zanim mężczyzna padł martwy, trzy oddzielne błyskawice uniosły jego ciało z parapetu, a potem rzuciły w dół.

Groteskowy potwór wyciągnął swą wielką łapę i wciągnął je z powrotem do środka, by je pożreć.

- Sprawiedliwość drowów - powiedział Zak chłodno. Nie dał Drizztowi żadnego wsparcia. Chciał, by brutalność tej chwili wyryła się w umyśle drowa na całe jego życie.

Oblężenie trwało jeszcze ponad godzinę, a kiedy dobiegło końca, kiedy mieszkańcy niższych planów zostali odprawieni przez bramy, zaś uczniowie i nauczyciele Akademii wyruszyli w drogę powrotną do Tier Breche, z Domu Teken'duis pozostała zaledwie górka stopionego kamienia.

Drizzt patrzył na to wszystko przerażony, ale bał się zbyt konsekwencji ucieczki. Wracając do Domu Do'Urden, nie zwracał już uwagi na piękno Menzoberranzan.

10

KRWAWA PLAMA

- Zaknafein wyszedł z domu? - zapytała Malice.

- Wysłałam jego i Rizzena do Akademii, by dostarczyli Viernie wiadomość - wyjaśniła Briza. - Nie wrócą jeszcze przez wiele godzin, na pewno nie przed zgaśnięciem ogni Narbondel.

- To dobrze - powiedziała Malice. - Obie rozumiecie swoje role w tej farsie?

Briza i Maya skinęły głowami.

- Nigdy nie słyszałam o podobnym oszustwie - zauważyła Maya. - Czy to konieczne?

- Planowano to dla innego członka tego domu - odpowiedziała Briza, szukając potwierdzenia u Opiekunki Malice. - Prawie cztery stulecia temu.

- Tak - zgodziła się Malice. - To samo miano zrobić Zaknafeinowi, ale nieoczekiwana śmierć Opiekunki Yarchy, mojej matki, zepsuła plany.

- Wtedy właśnie zostałam matką opiekunką - powiedziała Maya.

- Tak - odpowiedziała Malice. - Choć nie miałam jeszcze za sobą nawet stu lat życia i nie ukończyłam nawet studiów w Arach - Tinilith. To nie był dobry czas w historii Domu Do'Urden.

- Ale przetrwałyśmy - powiedziała Briza. - Wraz ze śmiercią Opiekunki Yarchy Nalfein i ja zostaliśmy szlachcicami w tym domu.

- Nigdy nie przeprowadzono tego testu na Zaknafeinie - stwierdziła Maya.

- Poprzedza go zbyt wiele obowiązków - odpowiedziała Malice.

- Jednak wypróbujemy go na Drizzcie - powiedziała Maya.

- Kara wymierzona Domowi Teken'duis przekonała mnie, że należy działać - powiedziała na to Malice.

- Tak - zgodziła się Briza. - Czy widziałyście wyraz twarzy Drizzta w czasie egzekucji?

- Ja tak - odpowiedziała Maya. - Nie podobało mu się.

- To nie pasuje do drowa wojownika - powiedziała Malice. - Tak więc spada na nas ten obowiązek. Drizzt uda się do Akademii już niedługo. Musimy splamić jego ręce krwią drowa, by zabić jego niewinność.

- Wydaje się to być wielkim problemem dla chłopców - warknęła Briza. - Jeśli Drizzt nie potrafi przystosować się do naszego sposobu życia, dlaczego nie oddać go po prostu Lloth?

- Nie urodzę więcej dzieci! - warknęła Malice w odpowiedzi. - Każdy członek tej rodziny jest ważny, jeśli mamy do czegoś dojść w tym mieście! - W sekrecie Malice liczyła na coś jeszcze, próbując skierować Drizzta na złe tory drowów. Nienawidziła Zaknafeina tak bardzo, jak bardzo go pragnęła, a przemiana Drizzta w drowa wojownika, prawdziwie pozbawionego serca wojownika na pewno bardzo dotknie fechmistrza.

- Zatem zaczynajmy - ogłosiła Malice. Klasnęła w dłonie, a do pomieszczenia weszła wielka skrzynia na ośmiu pajęczych nogach. Tuż za nią wszedł zdenerwowany goblin niewolnik.

- Podejdz, Byuchyuch - powiedziała Malice łagodnie. Niewolnik posłusznie uklęknął przed tronem i czekał spokojnie, aż matka opiekunka zakończy inkantację długiego i skomplikowanego czaru.

Briza i Maya patrzyły z podziwem na umiejętności matki. Skóra goblina napięła się i wybrzuszyła, a po chwili pociemniała. Kilka minut później niewolnik wyglądał dokładnie jak drow mężczyzna.

Byuchyuch oglądał się teraz z zadowoleniem, nie rozumiejąc, że transformacja była preludium do śmierci.

- Teraz jesteś drowem żołnierzem - powiedziała mu Maya. - I moim rycerzem. Musisz zabić jednego podrzędnego wojownika, by zająć miejsce wolnego drowa w Domu Do'Urden!

Po dziesięciu latach służby u złych mrocznych elfów goblin był bardziej niż chętny do wykonania tego zadania.

Malice wstała i udała się w stronę wyjścia z komnaty.

- Chodźcie - rozkazała, a jej dwie córki, goblin i ożywiona skrzynia poszli za nią gęsiego.

Natknęli się na Drizzta w pokoju ćwiczeń, kiedy polerował ostre jak brzytwa klingi swych sejmitarów. Poderwał się na nogi na widok nieoczekiwanych gości.

- Witaj, mój synu - powiedziała Malice tonem bardziej matczynym, niż Drizztowi było kiedykolwiek dane usłyszeć. - Przejdziesz dzisiaj pewien test, proste zadanie, konieczne byś mógł rozpocząć studia w Melee - Magthere.

Maya wysunęła się przed matkę.

- Jestem najmłodsza, poza tobą - oznajmiła. - Mam zatem prawo wyzwania, z którego teraz korzystam.

Drizzt stał nieruchomo zdezorientowany. Nigdy nie słyszał o niczym takim. Maya przyzwała do siebie skrzynię i uroczyście otworzyła jej wieko.

- Masz swą broń i swoje piwafwi - wyjaśniła. - Nadszedł czas, byś otrzymał kompletny rynsztunek szlachcica Domu Do'Urden. - Wyjęła ze skrzyni parę czarnych butów i podała je Drizztowi.

Drizzt chętnie zdjął stare buty i wsunął na nogi nowe. Były niezwykle miękkie, a także magicznie przystosowane dokładnie do kształtu jego stopy. Drizzt wiedział, jaka jest w nich magia: pozwolą mu poruszać się w absolutnej ciszy. Zanim skończył je podziwiać, Maya dała mu kolejny podarunek, jeszcze wspanialszy.

Drizzt upuścił na podłogę swe piwafwi i wziął srebrzystą zbroję kolczą. We wszystkich krainach nie było doskonalszej i trwalszej zbroi niż kolczuga drowów. Ważyła nie więcej niż ciężka koszula i zginała się równie łatwo jak jedwabny szal, a mimo to mogła powstrzymać pchnięcie włócznią równie pewnie jak wykuta przez krasnoludy zbroja płytowa.

- Walczysz dwiema broniąmi - powiedziała Maya. - Nie potrzebujesz zatem tarczy. Ale włóż swe sejmitary do tego, to odpowiednie dla drowa szlachcica. - Wręczyła Drizztowi pas z czarnej skóry, na którego sprzączce przytwierdzono wielki szmaragd i przy którym wisały dwie pochwy bogato wysadzone klejnotami i drogimi kamieniami.

- Przygotuj się - powiedziała do Drizzta Malice. - Musisz zasłużyć na te podarunki. - Kiedy Drizzt zaczął przymierzać prezenty, Malice stanęła obok przemienionego goblina, który zaczął orientować się, że walka nie będzie łatwym zadaniem.

- Kiedy go zabijesz, przedmioty będą twoje - obiecała Malice. Uśmiech goblina stał się natychmiast szerszy. Istota nie potrafiła zrozumieć, że nie ma najmniejszych szans z Drizztem.

Kiedy Drizzt znowu zapiął swe piwafwi, Maya przedstawiła go fałszywemu żołnierzowi.

- To jest Byuchyuch - powiedziała. - Mój wojownik. Musisz pokonać go, by zdobyć te przedmioty... i należne ci miejsce w rodzinie.

Nie wątpiąc w swe umiejętności i myśląc, że walka będzie zwykłym sparingiem, Drizzt zgodził się szybko.

- Zaczynamy zatem - powiedział, wyciągając sejmitary. Malice skinęła uspokajająco do Byuchyucha, a goblin wziął miecz i tarczę, które przygotowała dla niego Maya i ruszył w stronę Drizzta.

Drizzt zaczął powoli, chcąc wy badać przeciwnika przed przejściem do ataku. Po krótkiej chwili Drizzt zobaczył, jak nieporadnie Byuchyuch trzyma miecz i tarczę. Nie wiedząc nic o prawdziwej naturze swego przeciwnika, zastanawiał się, jak drow może aż tak nie radzić sobie z bronią. Zastanawiał się, czy Byuchyuch zastawia na niego pułapkę i z tą myślą nadal zachowywał środki ostrożności.

Po kilku chwilach niekontrolowanych machnięć Byuchyucha Drizzt zdecydował się na przejście inicjatywy. Uderzył jednym z sejmitarów w tarczę Byuchyucha. Goblin - drow odpowiedział nieporadnym pchnięciem, a Drizzt wybił mu miecz z dłoni, po czym wolnym sejmitarem wymierzył cięcie, które zatrzymało się na kilka milimetrów przed klatką piersiową Byuchyucha.

- Za łatwo - wyszeptał do siebie Drizzt. Ale prawdziwy test dopiero się rozpoczynał.

Briza natychmiast rzuciła na goblina otępiający czar, zamrażając go w pozycji, w której stał. Świadomy swego losu Byuchyuch próbował uciec, ale czar zatrzymał go w miejscu.

- Zakończ uderzenie - powiedziała Malice Drizztowi. Drizzt popatrzył na sejmitar, potem na Malice, nie wierząc własnym uszom.

- Rycerz Mayi musi zginąć - syknęła Briza.

- Nie mogę... - zaczął Drizzt.

- Zabij! - ryknęła Malice i tym razem jej słowa miały ciężar magicznego rozkazu.

- Pchnij! - rozkazała Briza.

Drizzt poczuł, że ich słowa zmuszają go do działania. Myśl o zabiciu bezbronnego przeciwnika była tak ohydna, że skoncentrował całą swą wolę, by oprzeć się nakazowi. Choć udało mu się sprzeciwić rozkazom przez kilka sekund, odkrył, że nie potrafi cofnąć broni.

- Zabij! - krzyczała Malice.

- Uderz! - wrzeszczała Briza.

Trwało to przez kilka straszliwych sekund. Na brwiach Drizzta zawisły krople potu. Potem wola młodego drowa pękła. Jego sejmitar wślizgnął się gładko pomiędzy żebra Byuchyucha i odnalazł serce nieszczęśliwej istoty. Wtedy Briza uwolniła goblina spod swego czaru, by pozwolić Drizztowi zobaczyć agonię na twarzy fałszywego drowa i usłyszeć jęk, kiedy Byuchyuch osunął się

na podłogę.

Drizzt nie mógł zaczerpnąć tchu, kiedy patrzył na splamione krwią ostrze.

Wtedy zaczęła działać Maya. Uderzyła Drizzta w ramię swą buławą, przewracając go na ziemię.

- Zabiłeś mojego rycerza - warknęła. - Teraz musisz walczyć ze mną!

Drizzt wstał z podłogi, z dala od rozwścieczonej kobiety. Nie chciał walczyć, ale zanim zdążył odrzucić swoją broń, Malice odczytała jego myśli i ostrzegła go - Jeśli nie będziesz walczył, Maya cię zabije!

- To nie w porządku... - zaprotestował Drizzt, ale jego słowa zniknęły w brzęku adamantytu, kiedy sparował silne uderzenie jednym z sejmitarów.

Teraz już zaczął, czy mu się to podobało, czy nie. Maya była wyszkoloną wojowniczką - wszystkie kobiety spędzały wiele godzin na ćwiczeniach z bronią - i była silniejsza od Drizzta. Ale Drizzt był synem Zaka, najlepszym uczniem, a kiedy przyznał przed sobą, że nie ma sposobu, by wymknąć się z tej pułapki, ruszył na Mayę z jej buławą i tarczą wykorzystując każdy manewr, jakiego go nauczono.

Sejmitary falowały i podskakiwały w tańcu, na który Briza i Maya patrzyły z podziwem. Malice nic prawie nie widziała, była bowiem w trakcie rzucania kolejnego potężnego czaru. Malice nie wątpiła, że Drizzt pokona swą siostrę, włączyła więc swoje przewidywania do planu.

Drizzt nadal się bronił, mając nadzieję, że jego matka okaże odrobinę zdrowego rozsądku. Chciał odepchnąć Mayę, zmusić ją do potknięcia się i zakończyć walkę stawiając ją w beznadziejnej pozycji. Drizzt musiał wierzyć, że Briza i Malice nie zmuszą go do zabicia Mayi, jak to zrobiły z Byuchyuchem.

W końcu Maya się pośliznęła. Wyciągnęła tarczę, by zatrzymać cięcie sejmitara, ale blok wytrącił ją z równowagi. Drugie ostrze Drizzta wystrzeliło naprzód, tylko po to, by zadrasnąć pierś Mayi i zmusić ją do cofnięcia się.

Czar Malice złapał broń w połowie ruchu.

Zakrwawione ostrze ożyło i Drizzt zobaczył, że trzyma w dłoni ogon węża, który obraca kły przeciwko niemu!

Magiczny wąż plunął trucizną w oczy Drizzta, oślepiając go. Chłopak poczuł po chwili ukąszenie bata Brizy. Wszystkie sześć węży straszliwej broni wgryzło się w jego plecy, rozdzierając jego nową zbroję i pogrążając go w paraliżującym bólu. Upadł na ziemię, bezbronny wobec bata Brizy, który uderzał raz za razem.

- Nigdy nie uderzaj drowki! - krzyczała, bijąc Drizzta do nieprzytomności.

Godzinę później Drizzt otworzył oczy. Był w łóżku, a Opiekunka Malice stała nad nim. Wysoka kapłanka zajęła się jego ranami, ale ból pozostał jako żywe przypomnienie lekcji. Ale nie było nawet w połowie tak żywe jak krew, która splamiła sejmitar Drizzta.

- Dostaniesz inną zbroję - powiedziała mu Malice. - Jesteś teraz drowem wojownikiem. Zasłużyłeś na to - odwróciła się i wyszła z pokoju, pozostawiając Drizzta jego bólowi i złamanej niewinności.

* * *

- Nie wysyłaj go tam - przekonywał Zak tak spokojnie, jak tylko potrafił. Patrzył na Opiekunkę Malice, ponurą królową na wysokim tronie z kamienia i czarnego aksamitu. U jej boku jak zwykle stały posłusznie Briza i Maya.

- Jest drowem wojownikiem - odrzekła Malice, nadal panując nad swoim głosem. - Musi iść do Akademii. Tak jest zawsze.

Zak rozejrzał się bezradnie. Nienawidził tego miejsca, przedsionka kaplicy z posągami Pajęczej Królowej, które patrzyły na niego z każdego możliwego miejsca i z Malice siedzącą - górującą - nad nim na miejscu oznaczającym jej potęgę.

Zak odepchnął od siebie te wizje i odzyskał odwagę, przypominając sobie, że teraz miał się o co spierać.

- Nie wysyłaj go! - warknął. - Oni go zniszczą!

Dłonie opiekunki Malice zacisnęły się na poręczach jej kamiennego tronu.

- Drizzt już teraz umie więcej niż połowa tych z Akademii - powiedział szybko Zak, zanim gniew opiekunki zdążył wybuchnąć. - Daj mi jeszcze dwa lata, a uczynię z niego najwspanialszego szermierza w Menzoberranzan!

Malice oparła się wygodnie. Po tym co widziała, nie mogła zaprzeczyć, że Zakowi może się udać dotrzymać obietnicy.

- Idzie - powiedziała spokojnie. - Szkolenie drowa wojownika polega na czymś więcej, niż na nauce władania bronią. Drizzt musi opanować inne lekcje.

- Lekcje zdrady? - syknął Zak, zbyt wściekły, by troszczyć się o konsekwencje. Drizzt przekazał mu, co zrobiła Malice i jej córki, a Zak był na tyle mądry, by zrozumieć ich postępowanie. Ich „lekcje” niemal złamały chłopca i być może na zawsze odebrały mu ideały, których się tak mocno trzymał. Drizztowi może być teraz trudniej pozostać przy jego moralności i zasadach, kiedy wytrącano spod niego piedestał czystości.

- Uważaj na to, co mówisz, Zaknafein - ostrzegła go Malice.

- Walczę z pasją! - rzucił fehmistrz. - Dlatego wygrywam. Twój syn również walczy z pasją - nie pozwól, by Akademia mu to odebrała!

- Zostawcie nas - rozkazała Malice swoim córkom. Maya skłoniła się i wypadła z pomieszczenia. Briza wyszła za nią nieco wolniej, zatrzymując się, by spojrzeć z zaciekawieniem na Zaka.

Zak nie odwzajemnił spojrzenia, ale na chwilę pograżył się w fantazjach na temat swego miecza i uśmiechu Brizy.

- Zaknafeinie - zaczęła Malice, raz jeszcze pochylając się w jego stronę. - Tolerowałam twe bluźniercze przekonania przez tyle lat, tylko dzięki twemu talentowi do walki. Uczyłeś dobrze moich żołnierzy, a twoja miłość do zabijania drowów, szczególnie kapłanek Pajęczej Królowej, pomogła w wyniesieniu Domu Do'Urden. Nie jestem, ani nigdy nie byłam niewdzięczna. Ale ostrzegam cię teraz, po raz ostatni, że Drizzt jest moim synem, nie swego ojca! Pójdzie do Akademii i nauczy się tego, co musi umieć, by zostać księciem Do'Urden. Jeśli będziesz przeszkadzał w tym, co się musi stać, Zaknafeinie, nie będę więcej przymykała oczu na twoje wybryki! Twoje serce zostanie ofiarowane Lloth.

Zak stanął mocno na ziemi, skinął krótko głową, a potem odwrócił się na pięcie i wyszedł, próbując znaleźć jakieś wyjście z tej mrocznej i beznadziejnej sytuacji.

Kiedy szedł głównym korytarzem, znowu usłyszał krzyki umierających dzieci Domu DeVir, dzieci, którym nigdy nie dano szansy na ujrzenie zła, które legło się w Akademii. Może lepiej, że nie żyją.

11

PNURY WYBÓR

Zak wyjął z pochwy jeden ze swoich mieczy i zaczął podziwiać jego doskonałe wykończenie. Jego miecz, jak większość broni drowów, wykuty został przez szare krasnoludy, a potem przywieziony do Menzoberranzan. Rzemiosło duergarów było wspaniałe, ale to praca, którą poświęciły później broni drowy, czyniła ją tak wyjątkową. Żadna z ras na powierzchni Podmroku nie mogła dorównać drowom w sztuce zaklinania broni. Żaden miecz nie pragnął krwi bardziej niż taki, który pobłogosławiły kapłanki Lloth, który przesiąkł wyjątkową emanacją Podmroku, tą magiczną energią, która istnieje tylko w owym pozbawionym światła świecie.

Inne rasy, głównie krasnoludy i elfy powierzchni, również szczyliły się wykonywaną przez siebie bronią. Piękne miecze i potężne młoty wisiały na ścianach jako eksponaty, zawsze też czekał gdzieś w pobliżu bard gotowy opowiedzieć ich historię, która najczęściej zaczynała się od słów: „Działo się to dawno temu...”

Broń drowów była inna, nigdy nie służyła jako eksponat. Używano jej jako narzędzia teraźniejszości, a nie pretekstu do wspomnień, a jej przeznaczenie pozostawało niezmienione, dopóki jej ostrze nadawało się do walki - do zabijania.

Zak podniósł ostrze do oczu. W jego dłoniach miecz stawał się czymś więcej niż narzędziem prowadzenia wojny. Był przedłużeniem jego gniewu, odpowiedzią na istnienie, z którym nie mógł się pogodzić.

Była to również jego odpowiedź na inny problem, który także nie miał rozwiązania.

Wszedł do sali treningowej, w której Drizzt był zajęty wykonywaniem ataków z półobrotu, za cel obrawszy treningowego manekina. Zak zatrzymał się, patrząc na ćwiczącego drowa,

zastanawiając się, czy Drizzt kiedykolwiek pomyśli o szermierce jako o rodzaju tańca. Jak te sejmitary fruwały w dłoniach Drizzta! Falując z niewysłowioną precyzją, każde ostrze wydawało się wyprzedzać ruch tego drugiego, a ich łuki uzupełniały się doskonale.

Młody drow mógł wkrótce zostać niezrównanym wojownikiem, mistrzem przewyższającym samego Zaknafeina.

- Czy potrafisz przetrwać? - wyszeptał Zak. - Czy masz serce drowa wojownika? - Zak miał nadzieję, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”, ale tak czy inaczej, Drizzt był już zgubiony.

Zak spojrział raz jeszcze na swój miecz i wiedział już, co musi zrobić. Wyciągnął z pochwy jego siostrzane ostrze i ruszył zdecydowanie w stronę Drizzta.

Drizzt zobaczył go i stanął w gotowości.

- Ostatnia walka, zanim odejdę do Akademii? - roześmiał się. Zak zatrzymał się, by przyjrzeć się uśmiechowi Drizzta. Fasada?

A może młody drow wybaczył już sobie to, co zrobił rycerzowi Mayi. To się nie liczyło, przypomniał sobie Zak. Nawet jeśli Drizzt otrząsnął się z cierpień, które przeznaczyła dla niego jego matka, Akademia go zniszczy. Fehmistrz nie odezwał się. Wykonał zamiast tego serię cięć i pchnięć, które zmusiły Drizzta do rozpaczliwej obrony. Drizzt walczył spokojnie, nie zdając sobie jeszcze sprawy, że to spotkanie z jego mentorem to coś więcej, niż zwykły sparing.

- Będę pamiętał wszystko, czego mnie nauczyłeś - obiecał Drizzt, unikając pchnięcia i wykonując śmiały kontratak. - Wyrwę swe imię w salach Melee - Magthere i sprawię, że będziesz ze mnie dumny.

Grobowa mina Zaka zaskoczyła Drizzta, a kiedy następny atak fehmistrza okazał się być wymierzony w jego serce, Drizzt oniemiał. Chłopak odskoczył, odbijając ostrze desperackim ruchem i o włos mijając się ze śmiercią.

- Jesteś aż tak pewny siebie? - warknął Zak, uparcie podążając za Drizztem.

Drizzt otrząsnął się, kiedy ich ostrza spotkały się w dźwięczącej furii.

- Jestem wojownikiem - powiedział. - Drowem wojownikiem!

- Jesteś tancerzem! - odrzekł na to Zak drwiącym tonem. Uderzył mieczem w blokujące ostrze Drizzta z taką siłą, że ramię młodego drowa zdrętwiało.

- Oszustem! - krzyczał Zak. - Pretendujesz do tytułu, którego nawet nie możesz zacząć rozumieć!

Drizzt przeszedł do ofensywy. W jego lawendowych oczach płonął ogień, a cięcia sejmitarów nabrały nowej siły.

Zak jednak nie znał zmęczenia. Odpierał ataki i kontynuował lekcję.

- Wiesz, co się czuje, kiedy popełni się morderstwo? - rzucił. - Czy pogodziłeś się już z czynem, który popełniłeś?

Jedyną odpowiedzią Drizzta było wściekłe warknięcie i kolejny atak.

- Co za przyjemność kryje się we wbiciu miecza w ciało wysokiej kapłanki - drwił Zak. -
Widzieć, jak ciepło opuszcza jej ciało, a jej usta szepczą do ciebie ciche klątwy! A może słyszałeś
kiedyś krzyk zabijanych dzieci?

Driztt przerwał atak, ale Zak nie pozwolił mu na odpoczynek. Fehmistrz przeszedł do
ofensywy, każdy cios wymierzając w żywotne organy.

- Jakże głośne są te krzyki - ciągnął Zak. - Odbijają się całymi stuleciami w twojej głowie.
Ścigają cię po wszystkich ścieżkach twojego życia.

Zak zatrzymał się, by Driztt mógł zrozumieć każde jego słowo.

- Nigdy ich nie słyszałeś, prawda, tancerzu? - Fehmistrz rozłożył szeroko ramiona, jakby w
zaproszeniu. - Chodź zatem i zabij po raz drugi - powiedział, klepiąc się po żołądku. - W brzuch,
tam gdzie najbardziej boli, by moje krzyki mogły odbijać się w twoich wspomnieniach. Udowodnij,
że jesteś drowem wojownikiem, za którego się podajesz!

Czubki sejmitarów Driztta powoli opadły na podłogę. Chłopiec już się nie uśmiechał.

- Wahasz się - roześmiał się Zak. - To twoja szansa, by rozgłosić swoje imię. Jedno
pchnięcie, a twoja reputacja dotrze do Akademii jeszcze przed tobą. Inni uczniowie, a nawet
mistrzowie będą szeptać twoje imię, kiedy będziesz przechodził. „Driztt Do'Urden”, będą mówić.
„To ten chłopak, który pokonał najlepszego fehmistrza w Menzoberranzan”. Czy tego pragniesz?

- Niech cię szlag - syknął Driztt, ale nadal nie ruszał do ataku.

- Drow wojownik? - zganił go Zak. - Nie przyjmuj tak łatwo tytułu, którego nawet nie
zaczęłeś rozumieć!

Driztt ruszył wtedy z wściekłością, jakiej nigdy nie czuł. Nie chciał zabić swego
nauczyciela, lecz tylko go pokonać, zakończyć szyderstwa płynące z ust Zaka pokazem walki zbyt
doskonałym, by można go było wyśmiać.

Driztt był genialny. Za każdym ruchem szły trzy następne, zadawał ciosy wysoko i nisko, z
lewej i z prawej. Zak odkrył, że częściej opiera ciężar ciała na piętach niż na palcach stóp, i był
zbyt zajęty bronieniem się przed nieustającymi atakami swego ucznia, by myśleć w ogóle o
przejściu do ofensywy. Pozwolił Drizttowi zatrzymać inicjatywę przez kilka minut, obawiając się
zakończenia, które uznał już za najkorzystniejsze.

Zak poczuł, że nie może już dłużej znieść oczekiwania. Jednym mieczem wykonał leniwe
pchnięcie, a Driztt wybił mu broń z ręki.

Kiedy młody drow ucieszył się już ze zwycięstwa, Zak wsunął pustą dłoń do sakiewki i
wyjął magiczną szklaną kulkę - jedną z tych, które tak często pomagały mu w bitwie.

- Nie tym razem, Zaknafeinie! - oznajmił Driztt, kontrolując swe ataki, przypominając sobie
wszystkie te okazje, gdy Zak obracał udawaną przegraną na swoją korzyść.

Zak ścisnął kulkę w palcach, ciągle nie będąc pewnym tego, co ma zrobić.

Driztt natarł serią cięć, potem kolejną, licząc na przewagę, jaką dała mu utrata broni przez

przeciwnika. Pewien swej pozycji Drizzt zaatakował nisko i mocno pojedynczym pchnięciem.

Choć Zak był rozkojarzony, udało mu się odeprzeć atak jedynym pozostałym mu mieczem. Drugi sejmitar Drizzta uderzył w czubek jego miecza, przyszpilając go do podłogi. Tym samym szybkim jak błyskawica ruchem Drizzt uwolnił pierwsze ostrze i wywinął je, zatrzymując pchnięcie kilka centymetrów przed gardłem Zaka.

- Mam cię! - krzyknął młody drow.

Odpowiedź Zaka przysłała w eksplozji światła jaśniejszego niż cokolwiek, co sobie Drizzt wyobrażał.

Zak zamknął wcześniej oczy, ale Drizzt, zaskoczony, nie zdążył zareagować na nagłą zmianę. Jego głowa płonęła w agonii, a on sam zatoczył się w tył, próbując oddalić się od światła i od fehmistrza.

Mając cały czas ciasno zamknięte oczy Zak nie musiał nic widzieć. Pozwolił, by prowadził go jego czuły słuch, a zataczający się i jęczący Drizzt był teraz łatwym celem. Jednym ruchem Zak odpiął od pasa bat i uderzył nim, chwytając kostki Drizzta i przewracając go na podłogę.

Fehmistrz zbliżał się do niego wiedząc, że idzie w dobrym kierunku.

Drizzt czuł, że jest celem polowania, ale nie rozumiał dlaczego. Światło oślepiło go, a poza tym nie wiedział, dlaczego Zak nadal walczy. Drizzt usiadł, a nie mogąc uciec z pułapki, zaczął zastanawiać się, jak ma sobie poradzić bez zmysłu wzroku. Musiał poczuć fale bitwy, usłyszeć odgłosy napastnika i przewidzieć nadchodzące ciosy.

Podniósł sejmitary w samą porę, by zablokować cięcie, które rozplatałoby mu czaszkę.

Zak nie spodziewał się parowania. Odsunął się i spróbował z innego kąta. Po raz drugi cios zablokowano.

Ciekawość zaczęła rozpraszać mordercze instynkty Zaka, a fehmistrz wykonał serie ataków, które pocięłyby na strzępy wielu z tych, którzy by je widzieli.

Oślepiiony Drizzt poradził sobie z nimi, każdemu ciosowi Zaka przeciwstawiając własne ostrze.

- Zdrada! - krzyknął Drizzt, a w jego głowie nadal huczał ból spowodowany wybuchem światła. Zablokował kolejny atak i spróbował stanąć na nogi, zdając sobie sprawę z tego, że niedługo już będzie mu się udawało bronić przed fehmistrzem siedząc na podłodze.

Jednak ból kłującego światła był dla Drizzta zbyt wielki, a on sam, prawie nieprzytomny osunął się z powrotem na kamienie, tracąc przy tym jeden sejmitar. Odwrócił się gwałtownie, wiedząc, że Zak się zbliża.

Z dłoni wybito mu drugi sejmitar.

- Zdrada - warknął ponownie Drizzt. - Czy aż tak nienawidzisz przegrywać?

- Nic nie rozumiesz? - krzyknął na niego Zak. - Przegrać znaczy umrzeć! Możesz wygrać tysiąc walk, ale przegrywasz zawsze tylko jedną! - przystawił miecz do gardła Drizzta. To będzie

jeden czysty cios. Wiedział, że powinien to zrobić, z litości, zanim mistrzowie Akademii zrobią to za niego.

Zak rzucił swój miecz przez pokój, potem wyciągnął puste dłonie, złapał Drizzta za koszulę i postawił go na nogi.

Stali twarzą w twarz, nie widząc się nawzajem zbyt wyraźnie i nie potrafiąc przerwać krępującej ciszy. Po długiej chwili czar magicznego światła wygasł i w pokoju było znowu tak jak dawniej. Zaprawdę, mroczne elfy spojrzały na siebie w zupełnie innym świetle.

- Sztuczka kapłanek Lloth - wyjaśnił Zak. - Zawsze mają taki czar światła pod ręką. - Pełen napięcia uśmiech przeciął mu twarz, próbując złagodzić gniew Drizzta. - Mam jednak odwagę przyznać, że używałem takiego światła przeciw samym kapłankom, a nawet wysokim kapłankom więcej niż kilka razy.

- Zdrada - syknął Drizzt po raz trzeci.

- Tak działamy - odrzekł Zak. - Nauczysz się.

- Tak działacie - syczał Drizzt. - Uśmiechasz się, mówiąc o mordowaniu kapłanek Pajęczej Królowej. Tak bardzo lubisz zabijać? Zabijać drowy?

Zak nie znalazł odpowiedzi na takie oskarżenie. Słowa Drizzt raniły go, ponieważ zawierały ziarno prawdy, a także dlatego, że Zak zaczął postrzegać swe zamiłowanie do zabijania kapłanek jako tchórzliwą ucieczkę od nie rozwiązanych problemów.

- Zabiłbyś mnie - powiedział sucho Drizzt.

- Ale nie zabiłem - odparował Zak. - A ty żyjesz, by pójść do Akademii, by wbito ci sztylet w plecy, bo jesteś ślepy na rzeczywistość tego świata, bo wypierasz się tego, czym jest twój lud. Albo staniesz się jednym z nich - warknął Zak. - Tak czy inaczej, Drizzt Do'Urden, jakiego znałem, z pewnością umrze.

Twarz Drizzta wykrzywiła się, a on sam nie znajdował nawet słów, by odeprzeć oskarżenia Zaka. Poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, choć jego serce szalało. Zaczął iść, ale przez wiele kroków patrzył ciągle na Zaka.

- Idź zatem, Drizzcie Do'Urden! - krzyknął za nim Zak. - Idź do Akademii i kąp się w blasku swego talentu. Pamiętaj jednak, jakie są konsekwencje posiadania takich umiejętności. Zawsze są konsekwencje!

Zak skierował się do swych prywatnych komnat. Drzwi do pokoju zamknęły się za fechmistrzem z tak ostatecznym hukiem, że Zak odwrócił się na pięcie, by spojrzeć na pusty kamień.

- Idź zatem, Drizzcie Do'Urden - wyszeptał. - Idź do Akademii i dowiedz się, kim naprawdę jesteś.

* * *

Dinin przyszedł po brata wcześniej następnego ranka. Drizzt wyszedł powoli z sali

treningowej, oglądając się co chwila przez ramię, by zobaczyć, czy nie pojawi się Zak, by zaatakować go lub objąć na pożegnanie.

W sercu wiedział, że tak się nie stanie.

Drizzt myślał, że są przyjaciółmi, myślał, że więzy między nim i Zakiem daleko wykraczają poza zwykłe lekcje walki mieczem. Młody drow nie znał odpowiedzi na wiele wirujących w jego głowie pytań, a osoba, która była jego nauczycielem przez ostatnich pięć lat, nie miała mu nic do zaproponowania.

- Ogień płonie na Narbondel - zauważył Dinin, kiedy wyszli na balkon. - Nie możemy się spóźnić na twój pierwszy dzień w Akademii.

Drizzt spojrział na miliardy kolorów i kształtów, które składały się na Menzoberranzan.

- Czym jest to miejsce? - wyszeptał, zdając sobie sprawę, jak mało zna swą ojczyznę poza murami własnego domu. Słowa Zaka - wściekłość Zaka - działały silnie na Drizzta, przypominając mu jego ignorancję i sugerując, że ścieżka, którą miał przed sobą, pogrążona jest w mroku.

Inna para oczu obserwowała uważnie, jak Dinin i Drizzt wychodzą z Domu Do'Urden.

Alton DeVir siedział w milczeniu, opierając się o wielki grzyb, dokładnie tak, jak to robił każdego dnia poprzedniego tygodnia, i wpatrywał się w kompleks Do'Urdenów.

Daermon N'a'shezbaernon, Dziewiąty Dom Menzoberranzan. Dom, który zamordował jego opiekunkę, siostry, braci i wszystko, co kiedykolwiek było z domu DeVir... poza Altonem.

Alton myślał o dniach Domu DeVir, kiedy Opiekunka Ginfae zbierała razem członków rodziny, by mogli rozmawiać o swoich planach na przyszłość. Alton, w chwili upadku Domu DeVir zwykły student, miał teraz znacznie szersze spojrzenie na tamte czasy. Dwadzieścia lat obarczyło go bagażem doświadczeń.

Ginfae była najmłodszą opiekunką wśród rządzących rodzin, a jej potencjał wydawał się niewyczerpany. Wtedy zaś pomogła patrolowi gnomów, użyła swych pochodzących od Lloth mocy, by powstrzymać drowy, które zastawiły pułapkę na małych ludzi w jaskiniach poza Menzoberranzan - tylko dlatego, że Ginfae pragnęła śmierci jednego z grupy napastników, czarodzieja z trzeciego domu miasta, domu, o którym mówiono, że będzie następnym celem Domu DeVir.

Pajęcza Królowa zwróciła uwagę na broń, jaką posłużyła się Ginfae. Głębinowe gnomy były najgorszymi wrogami drowów w całym Podmroku. Kiedy Ginfae wypadła z łask Lloth, Dom DeVir był już zgubiony.

Alton spędził dwadzieścia lat próbując poznać swoich wrogów, próbując odkryć, która z rodzin wykorzystała pomyłkę jego matki i wycięła w pień jego pobratymców. Dwadzieścia długich lat, a potem jego przybrana opiekunka, SiNafay Hun'ett zakończyła jego poszukiwania tak nagle, jak on sam je wcześniej zaczął.

Teraz Alton siedział i przypatrywał się domowi, tylko jedno wiedząc na pewno - przez

dwadzieścia lat jego wściekłość ani trochę nie osłabła.

CZEŚĆ 3

AKADEMIA.

Akademia.

To miejsce, w którym propaguje się kłamstwa scalające społeczeństwo drowów, fałszerstwa powtarzane tyle razy, że wydają się prawdziwe nawet wobec przeczących im dowodów. Lekcje o prawdzie i sprawiedliwości, które przyjmują młode drowy, są tak jawnie sprzeczne z codziennym życiem w Menzoberranzan, że trudno zrozumieć, jak ktokolwiek może im wierzyć. A mimo to wierzy.

Nawet teraz, po tylu dziesięcioleciach, myśli o tym miejscu przeraża mnie, nie ze względu na fizyczny ból ani wszechobecne uczucie śmierci - szedłem wieloma drogami, które pod tym względem były równie niebezpieczne. Akademia Menzoberranzan przeraża mnie, kiedy pomyślę o tych, którzy przeżyli, absolwentach żyjących, rozkoszujących się życiem - wśród niegodziwych kłamstw, które tworzą ich świat.

Żyją z przekonaniem, że można zrobić wszystko, o ile ujdzie ci to płazem, samospelnienie jest dla nich najważniejszą rzeczą w życiu, lecz przychodzi ono tylko do tych, którzy są wystarczająco silni lub sprytni, by odebrać je z rąk tych, którzy już na nie nie zasługują. W Menzoberranzan nie ma miejsca na współczucie, a to właśnie współczucie, a nie strach, przynosi równowagę większości ras. Ta równowaga, działając dla wielu różnych celów, poprzedza prawdziwą wielkość.

Kłamstwa otaczają drowy strachem i nieufnością, zabijają przyjaźń czubkiem pobłogosławionego przez Lloth miecza. Nienawiść i ambicje pielęgnowane przez tych amoralnych wyrzutków są zgubą mego ludu, słabością, którą oni widzą jako siłę...

Nie wiem, jak udało mi się przeżyć Akademię, jak odkryłem kłamstwa na tyle wcześnie, by użyć ich jako kontrastu i wzmocnienia dla ideałów, które są mi najdroższe.

Sądzę, że zdołałem to zrobić dzięki Zaknafeinowi, mojemu nauczycielowi. Przez doświadczenia jego długiego życia, które sprawiły, że zgorzkniał i które tyle go kosztowały, ja usłyszałem krzyki - krzyki protestu przeciwko morderczej zdradzie. Krzyki wściekłości przywódcyń społeczeństwa drowów, wysokich kapłanek Pajęczej Królowej, które odbijały się echem w mojej głowie, które na zawsze w niej pozostaną. Krzyki zabijanych dzieci.

- Drizzt Do'Urden

12

TEN WRÓG, „ONI”

Mając na sobie strój szlachcica, ze sztyletem ukrytym w bucie - pomysł Dinina - Drizzt wspinał się na szerokie schody prowadzące do Tier Breche, Akademii drowów. Drizzt znalazł się na ich szczycie i przeszedł między olbrzymimi kolumnami, pod natarczywymi spojrzeniami dwóch strażników, studentów ostatniego roku Melee - Magthere.

Na dziedzińcu znajdowały się ze dwa tuziny drowów, ale Drizzt prawie ich nie zauważył. W myślach miał jedynie trzy budowle. Po lewej stał spiczasty stalagmit wieży Sorcere, szkoły magów. Drizzt spędzi tam pierwsze sześć miesięcy dziesiątego i ostatniego roku nauki tutaj.

Dokładnie przed nim była imponująca budowla, Arach - Tinilith, szkoła Lloth, wycięta z jednego kamienia na podobieństwo wielkiego pająka. Zgodnie z normami drowów był to najważniejszy budynek Akademii, zarezerwowany tylko dla kobiet. Mężczyźni mieszkali w Arach - Tinilith tylko w czasie ostatnich sześciu miesięcy studiów.

Podczas gdy Sorcere i Arach - Tinilith były dość wdzięcznymi budowlami, najważniejszy dla Drizzta budynek znajdował się pod ścianą, po jego prawej stronie. Piramida Melee - Magthere, szkoły wojowników. Ten budynek będzie domem Drizzta przez następne dziewięć lat. Jego towarzyszami będą, jak się zorientował, mroczne elfy z dziedzińca - wojownicy jak on sam, którzy zaraz rozpoczną trening. Klasa, w której było dwudziestu pięciu drowów, była niezwykle liczna jak na szkołę wojowników.

Co jeszcze dziwniejsze, kilku z tych początkujących studentów było szlachcicami. Drizzt zastanawiał się, jak jego umiejętności będą się miały do tego, co potrafią i jak jego spotkania z Zaknafeinem przygotowały go do starcia z tymi, którzy przecież również trenowali ze swoimi fehmistrzami.

Myśli te nieuchronnie doprowadziły Drizzta do ostatniego spotkania z jego mentorem. Szybko odegnał wspomnienie nieprzyjemnego pojedynku, a także niewygodne spostrzeżenia i pytania Zaka. Teraz nie było czasu na podobne rozważania. Melee - Magthere było tuż przed nim, największy sprawdzian i największa lekcja w jego dotychczasowym życiu.

- Witaj - rozległ się za nim głos. Drizzt odwrócił się, by spojrzeć na innego nowicjusza, który nosił przy pasie miecz i sztylet, i który wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany niż Drizzt - uspokajający widok.

- Kelnozz z Domu Kenafm, piętnastego domu - powiedział nowicjusz.

- Drizzt Do'Urden z Daermon N'a'shezbaernon, Domu Do'Urden, Dziewiątego Domu Menzoberranzan - odpowiedział automatycznie Drizzt, dokładnie w taki sposób, jakiego nauczyła go opiekunka Malice.

- Szlachcic - zauważył Kelnozz, rozumiejąc co oznaczał fakt, że Drizzt nosił to samo nazwisko, co jego dom. Kelnozz pokłonił się nisko. - Jestem zaszczycony twą obecnością.

Drizztowi zaczynało się to wszystko podobać. Po tym jak traktowano go w domu, niezbyt często myślał o sobie jako o szlachcicu. Jednak miła chwila szybko minęła wraz z nadejściem mistrzów.

Drizzt zobaczył swego brata, Dinina, ale udawał - tak jak mu nakazał - że go nie widzi i nie oczekiwał specjalnego traktowania. Drizzt ruszył do Melee - Magthere wśród pozostałych uczniów, kiedy baty zaczęły trzaskać, a mistrzowie zaczęli wykrzykiwać, co się stanie, jeśli będą się ociagać. Spędzono ich kilkoma bocznymi korytarzami do owalnej komnaty.

- Siadajcie lub stójcie, jak chcecie! - warknął jeden z mistrzów. Widząc, że dwóch uczniów szepcze coś na boku, mistrz wyjął bat i - trzask! - powalił jednego z nich z nóg.

Drizzt nie mógł uwierzyć, jak szybko w pomieszczeniu zrobiło się cicho.

- Jestem Hatch'net - zaczął mówić mistrz. - Mistrz Wiedzy. Ten pokój będzie waszą salą wykładową przez pięćdziesiąt cykli Narbondel. - Spojrzał na ozdobne pasy uczniów. - Nie wnosicie tu broni!

Hatch'net przeszedł powoli przez pokój, upewniając się, że wszystkie pary oczu śledzą uważnie jego ruch.

- Jesteście drowami - rzucił nagle. - Rozumiecie, co to znaczy? Czy wiecie skąd przyszlście, czy znacie historię naszego ludu? Menzoberranzan nie zawsze było naszym domem, podobnie jak inne jaskinie Podmroku. Kiedyś stąpaliśmy po świecie powierzchni.

Odwrócił się nagle i stanął twarzą w twarz z Drizztem.

- Co wiesz o powierzchni? - syknął Mistrz Hatch'net. Drizzt wzdrygnął się i pokręcił głową.

- Wstrętne miejsce - ciągnął Hatch'net, odwracając się do reszty grupy. - Każdego dnia, kiedy blask wspina się po Narbondel, wielka kula ognia unosi się w puste niebo, przynosząc godziny światła jaśniejszego niż karzące czary kapłanek Lloth! - Rozłożył ramiona i spojrzął w górę, a jego twarz wykrzywił straszliwy grymas.

Wokół niego studenci z trudem oddychali.

- Nawet w nocy, kiedy kula ognia chowa się za krawędzią świata - mówił dalej Hatch'net, jakby opowiadał przerażającą historię na dobranoc - nie można uciec przed niezliczonymi

niebezpieczeństwami powierzchni. Wspomnienia tego, co przyniesie następny dzień, kropki światła, a czasem mniejsza kula srebrnego ognia szpecą błogosławioną czerń nieba. Niegdyś nasz lud przemierzał świat powierzchni - powtórzył zrozpaczonym tonem. - Dawno temu, dawniej, niż istnieją wielkie domy. W tych odległych czasach chodziliśmy ramię w ramię z bladokórnymi elfami, faerie!

- To nie może być prawdą! - krzyknął któryś ze studentów.

Hatch'net spojrział na niego poważnie, zastanawiając się, czy osiągnie więcej bijąc studenta za przeszkodzenie mu, czy pozwalając grupie przyłączyć się.

- To prawda! - odrzekł, decydując się na drugie rozwiązanie. - Uważaliśmy faerie za swych przyjaciół, nazywaliśmy ich rodziną! Nie mogliśmy wiedzieć, w naszej niewinności, że były uosobieniem zdrady i zła. Nie mogliśmy wiedzieć, że obrócą się nagle przeciwko nam i odepchną nas od siebie, wyrzynając nasze dzieci i starców! Złe faerie ścigały nas bez litości przez świat powierzchni. My prosiliśmy o pokój, a ich odpowiedzią były miecze i strzały!

Przerwał, a jego twarz wykrzywił złośliwy uśmiech. - I wtedy znaleźliśmy naszą boginię!

- Chwała Lloth! - rozległ się ogłuszający krzyk. Hatch'net znowu pozwolił, by niesubordynacja pozostała nie ukarana, wiedząc, że ten komentarz wciska słuchaczy jeszcze głębiej w sieć jego rozumowania.

- W rzeczy samej - odparł mistrz. - Chwała Pajęcznej Królowej. To ona wzięła osieroconą rasę pod swoją opiekę i pomogła nam walczyć z wrogami. To ona poprowadziła opiekunki naszej rasy do rajy Podmroku. To ona - ryknął, podnosząc w górę zaciśniętą pięść - daje nam teraz siłę i magię, byśmy mogli odpłacić naszym wrogom!

- Jesteśmy drowami! - krzyczał Hatch'net. - Wy jesteście drowami, którymi nikt już nie będzie pomiatał, władcami wszystkiego, czego zapragniecie, zdobywcami ziem, które zapragniecie zamieszkać!

- Powierzchni? - rozległo się pytanie.

- Powierzchni? - powtórzył Hatch'net ze śmiechem. - Kto chciałby wracać do tego upadłego miejsca? Niech faerie je mają! Niech płoną w ogniu lejącym się z nieba! My zajęliśmy Podmrok, gdzie czujemy pod stopami dudniący rdzeń świata, gdzie kamienie pokazują gorąco mocy świata!

Drizzt siedział w milczeniu, chłonąc każde słowo wielokrotnie ćwiczony przemowy utalentowanego oratora. Drizzt wpadł, podobnie jak inni nowi uczniowie, w hipnotyczne konstrukcje przemowy Hatch'neta. Hatch'net był mistrzem Wiedzy w Akademii przez ponad dwa stulecia, był niemal najbardziej szanowanym mężczyzną w Menzoberranzan. Opiekunki rządzących rodzin rozumiały dobrze wartość jego wyćwiczonego języka.

Tak to było każdego dnia, nie kończący się potok nienawistnej retoryki wymierzonej przeciwko wrogom, których żaden z uczniów nigdy nawet nie widział. Elfy powierzchni nie były jedynym celem ataków Hatch'neta. Krasnoludy, gnomy, ludzie, niziołki i wszystkie inne rasy

powierzchni - a nawet rasy podziemia - duergary, z którymi często handlowały drowy i u boku których często walczyły - wszyscy oni znaleźli swe miejsce w wywodach Hatch'neta.

Drizzt zrozumiał, dlaczego do owalnej sali nie można było przynosić broni. Kiedy wychodził codziennie z lekcji, zaciskał pięści z wściekłości, podświadomie szukając rękojeści sejmitarów. Z częstych bójek między studentami wnioskował, że inni czuli się podobnie. Zawsze jednak przeważającym czynnikiem, który utrzymywał nad nimi pewną kontrolę, były kłamstwa mistrza na temat niebezpieczeństw na powierzchni, które wytwarzały między uczniami szczególną więź - przekonanie, że mają wystarczająco dużo wrogów poza sobą nawzajem.

* * *

Długie, męczące godziny w owalnej sali nie pozostawiały uczniom zbyt wiele czasu na poznanie się. Mieszkali w tych samych koszarach, ale liczne obowiązki poza lekcjami z Hatch'netem - służenie starszym studentom i mistrzom, przygotowywanie posiłków, sprzątanie budynku - nie dawały im czasu na odpoczynek. Pod koniec pierwszego tygodnia byli na krawędzi wyczerpania, co jednak tylko pomagało Hatch'netowi w osiągnięciu pożądaných efektów. Drizzt przyjmował taki stan rzeczy ze stoickim spokojem, uważając, że to i tak lepiej, niż kiedy służył swej matce i siostrze jako ksiądz służebny. Pierwsze tygodnie w Melee - Magthere przyniosły jednak Drizztowi jedno wielkie rozczarowanie. Tęsknił za ćwiczeniami praktycznymi.

Pewnej nocy usiadł na brzegu łóżka i przysunął swój sejmitar do lśniących oczu, przypominając sobie długie godziny, które spędzał ćwicząc z Zaknafeinem.

- Mamy lekcję za dwie godziny - przypomniał mu leżący obok Kelnozz. - Odpocznij trochę.

- Czuję, że broń wypada mi z ręki - powiedział cicho Drizzt. - Sejmitar jest cięższy, nie wyważony.

- Wielka walka odbędzie się już za dziesięć cykli Narbondel - rzekł Kelnozz. - Odbędziesz tam wszystkie ćwiczenia! Nie obawiaj się, bo biegłość, którą utraciłeś w czasie lekcji z mistrzem Wiedzy wkrótce powróci. Przez następnych dziewięć lat rzadko będziesz wypuszczał tę broń z ręki!

Drizzt wsunął sejmitar z powrotem do pochwy i położył się na pościeli. Podobnie jak to często bywało w jego dotychczasowym życiu - a także jak się obawiał również w przyszłości - musiał pogodzić się z panującymi tu zasadami.

* * *

- Ta część waszego szkolenia dobiega końca - ogłosił Mistrz Hatch'net rankiem pięćdziesiątego dnia. Inny mistrz, Dinin, wszedł do komnaty, prowadząc magiczne żelazne pudło wypełnione drewnianymi kijami o najróżniejszych kształtach i rozmiarach, obłożonymi miękkim materiałem.

- Wybierzcie kij najbardziej przypominający broń, którą władacie - wyjaśnił Hatchnet, kiedy Dinin przechadzał się po pokoju. Podeszedł do swego brata, a oczy Drizzta spoczęły na

odpowiedniej broni - dwóch lekko wygiętych kijach o długości lekko ponad metr. Drizzt podniósł je w górę i wykonał proste cięcie. Ich waga, ciężar i wyważenie odpowiadały sejmitarom, do których tak się przyzwyczyły jego dłonie.

- Na chwałę Daermon N'a'shezbaernon - wyszeptał Dinin i ruszył dalej.

Drizzt wywinął bronią raz jeszcze. Nadszedł czas, by sprawdzić, na co przydały się lekcje z Zakiem.

- W waszej klasie musi być kolejność - powiedział Hatchnet, kiedy Drizzt oderwał wzrok od broni. - Po to właśnie jest wielka walka. Pamiętajcie, zwycięzca może być tylko jeden!

Hatch'net i Dinin zebrali studentów przed budynkiem Melee - Magthere i wprowadzili ich do tunelu między dwoma pajakami strażnikami na tyłach Tier Breche. Dla każdego ze studentów był to pierwszy raz, kiedy opuszczał Menzoberranzan.

- Jakie są zasady? - zapytał Drizzt Kelnozza, który szedł przy jego boku.

- Jeśli mistrz mówi, że przegrałeś, to przegrałeś - odrzekł Kelnozz.

- A zasady pojedynku? - zapytał Drizzt. Kelnozz rzucił mu pełne niedowierzania spojrzenie.

- Wygrać - powiedział krótko, jakby nie istniała inna odpowiedź na to pytanie.

Nieco później znaleźli się w dość dużej jaskini, arenie, na której odbywały się wielkie walki. Ostro zakończone stalaktyty patrzyły na nich z góry, a stalagmity czyniły z podłogi labirynt pełen dziur pułapek i ślepych zaułków.

- Wybierzcie strategię i znajdźcie miejsca, w których zaczniecie - powiedział do nich mistrz Hatch'net. - Walka rozpocznie się, kiedy doliczę do stu.

Dwudziestu pięciu uczniów ruszyło do akcji, niektórzy się zatrzymywali, by się przyjrzeć ukształtowaniu terenu, inni biegiem ruszyli w mrok labiryntu.

Drizzt zdecydował się znaleźć wąski korytarz, by się upewnić, że będzie walczył jeden na jednego, i właśnie ruszył na poszukiwania, kiedy ktoś złapał go za ramię.

- Drużyna? - zaproponował Kelnozz.

Drizzt nie odpowiedział, nie wiedząc, ile jest wart jego kolega. Wolał tradycyjne zasady walki.

- Inni łączą się w drużyny - naciskał Kelnozz. - Niektórzy w trójki. Razem możemy mieć szansę.

- Mistrz powiedział, że może być tylko jeden zwycięzca - zastanawiał się Drizzt.

- Dlaczego nie ty, skoro już nie ja - odpowiedział Kelnozz z chytrym uśmiechem. -

Pokonajmy innych, a potem rozstrzygniemy sprawę między sobą.

Wydawało się to rozsądne, a ponieważ Hatch'net doliczał właśnie do siedemdziesięciu pięciu, Drizzt miał niewiele czasu, by rozważyć inne możliwości. Klepnął Kelnozza w ramię i poprowadził swego nowego sprzymierzeńca do labiryntu.

Wszędzie w jaskini porozwieszano kładki, by dać sędziom możliwość obserwowania walki

z góry. Było ich tam teraz tuzin, wszyscy niecierpliwie oczekiwali pierwszych starć, by móc ocenić talent młodych uczniów.

- Sto! - krzyknął Hatch'net z wysokiej półki.

Kelnozz ruszył przed siebie, ale Drizzt zatrzymał go w wąskim korytarzu między dwoma stalagmitami.

- Pozwól im do nas przyjść - pokazał Drizzt gestami. Ugiął nogi w gotowości. - Niech zmęczą się walką z innymi. Cierpliwość to nasz sprzymierzeniec!

Kelnozz odprężył się, dochodząc do wniosku, że dobrze zrobił, sprzymierzając się z Drizztem.

Ich cierpliwość nie była testowana zbyt długo, bo chwilę później wysoki i agresywny student wpadł na ich stanowisko, trzymając w dłoni długi kij ukształtowany na podobieństwo włóczni. Ruszył wprost na Drizzta, uderzając drzewcem broni, a potem wywijając nią, z zamiarem zadania szybkiego, morderczego ciosu.

Dla Drizzta był to najprostszy z ataków - za prosty, bo Drizzt nie mógł uwierzyć, że wyszkolony student atakuje innego wyszkolonego ucznia w tak prymitywny sposób. Drizzt przekonał się na czas, że napastnik rzeczywiście wybrał tę metodę ataku, zastosował więc odpowiedni blok. Drewniane sejmity wykonały półobrót, odbijając włócznię i kierując jej czubek ponad ramieniem przeciwnika.

Atakujący, kompletnie zaskoczony tak zaawansowanym odbiciem odkrył, że jest odsłonięty i wytracony z równowagi. Ułamek sekundy później, zanim napastnik zdążył się zorientować, co się dzieje, Drizzt dotknął jego piersi najpierw jednym, a potem drugim sejmitem.

Miękkie, niebieskie światło pojawiło się na twarzy ucznia, a kiedy Drizzt spojrział w miejsce, z którego emanowało, zobaczył mistrza dzierżącego różdżkę, który obserwował z kładki ich walkę.

- Zostałeś pokonany - powiedział mistrz do wysokiego ucznia. - Upadnij tam, gdzie stoisz! Uczeń rzucił wściekle spojrzenie Drizztowi i posłusznie położył się na kamieniach.

- Chodź - powiedział Drizzt do Kelnozza, patrząc na światło błyskające z różdżki mistrza. - Wszyscy w okolicy wiedzą już, gdzie jesteśmy. Musimy poszukać nowego szańca.

Kelnozz zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na lekki krok swego towarzysza. Dobrze zrobił wybierając Drizzta, ale wiedział już, po jednym krótkim starciu, że jeśli na placu boju zostaną tylko oni dwaj - co było możliwe - nie będzie miał żadnych szans na zostanie zwycięzcą.

Razem wypadli zza zakrętu, prosto na dwóch przeciwników. Kelnozz ruszył za jednym z nich, który rzucił się szybko do ucieczki, a Drizzt stanął twarzą w twarz z drugim, dzierżącym w dłoniach miecz i sztylet.

Twarz Drizzta przeciął szeroki uśmiech pewności siebie, kiedy jego przeciwnik zajął pozycję obronną, wykonując rutynowe parowania o podobnym stopniu trudności, jaki prezentował

właściciel włóczni, którego Drizzt zostawił za sobą.

Kilka zgrabnych uników i cięć, kilka uderzeń w wewnętrzną stronę ostrza broni przeciwnika i miecz oraz sztylet znalazły się po bokach właściciela. Drizzt zakończył pojedynek podwójnym pchnięciem w klatkę piersiową przeciwnika.

Pojawiło się oczekiwane błękitne światło.

- Zostałeś pokonany - rozległ się głos mistrza. - Upadnij tam, gdzie stoisz.

Wściekły, uparty uczeń zamachnął się na Drizzta. Drizzt zablokował cios jednym sejmitarem i ciął drugim w nadgarstek przeciwnika, posyłając drewniany miecz na podłogę.

Napastnik zacisnął palce na posiniaczonym nadgarstku, ale to był najmniejszy z jego kłopotów. Oślepiające uderzenie błyskawicy trafiło go w pierś i rzuciło dziesięć stóp w tył, prosto na jeden ze stalagmitów. Uczeń usunął się na podłogę wyjąc z bólu, a wokół jego spalonego ciała tworzyła się na tle zimnego kamienia otoczka gorąca.

- Zostałeś pokonany! - powiedział jeszcze raz mistrz.

Drizzt ruszył na pomoc rannemu, ale mistrz powiedział po prostu - Nie!

Wtedy u boku Drizzta znalazł się znowu Kelnozz.

- Uciekł - zaczął, ale na widok leżącego ucznia wybuchnął śmiechem. - Jeśli mistrz mówi, że przegrałeś, to przegrałeś! - powtórzył Kelnozz.

- Chodź - mówił dalej Kelnozz. - Bitwa rozgorzała na dobre. Zabawmy się trochę!

Drizzt sądził, że jego towarzysz jest trochę zbyt butny jak na kogoś, kto jeszcze nie podniósł dziś broni. Wzruszył ramionami i poszedł za nim.

Następne starcie nie było takie łatwe. Trafili na skrzyżowanie korytarzy, w którym stała grupa trzech szlachciców z przywódczych domów, jak zobaczyli zarówno Drizzt, jak i Kelnozz.

Drizzt ruszył na dwóch uzbrojonych w miecze, którzy stali po jego lewej, a Kelnozz starł się z trzecim. Drizzt nie miał doświadczenia w walce z wieloma przeciwnikami, ale Zak nauczył go techniki takiej potyczki. Z początku bronił się tylko, a potem wpadł w wygodny rytm i pozwolił przeciwnikom się zmęczyć, by popełnili błędy.

Przeciwnicy byli przebiegli i znali się dość dobrze. Ich ataki uzupełniały się, spadając na Drizzta z różnych stron.

- Oburęczny - powiedział kiedyś Zak o Drizzcie, który teraz dorastał do tego tytułu. Jego sejmitary pracowały niezależnie od siebie, a jednak zachowywały doskonałą harmonię, odpierając każdy atak.

Z pobliskiej kładki obserwowali ich Mistrzowie Hatch'net i Dinin, przy czym ten pierwszy był bardziej niż trochę pod wrażeniem, a Dinin puchł z dumy.

Drizzt zobaczył, jak na twarzach jego przeciwników pojawia się frustracja, po czym poznał, że wkrótce nadarzy się okazja do zadania ciosu. Wtedy przeciwnicy zdublowali swój ruch, wykonując identyczne pchnięcie, przy czym ich miecze znajdowały się w odległości kilkunastu

centymetrów od siebie.

Drizzt odsunął się w bok i wykonał cięcie z góry, odbijając oba ostrza sejmitem trzymanym w lewej ręce. Potem zmienił kierunek, opadł na jedno kolano, mając przeciwników w jednej linii i zadał dwa ciosy prawą ręką. Jego sejmitar trafił najpierw jednego, potem drugiego dokładnie w pachwinę.

Zgodnie wypuścili broń, chwycili się za zranione miejsca i osunęli na kolana. Drizzt poderwał się na nogi, próbując znaleźć słowa przeprosin.

Hatchnet skinął głową z aprobatą, kiedy obaj mistrzowie kierowali światło na pokonanych.

- Pomocy! - krzyknął Kelnozz zza oddzielającej ich ściany stalagmitów.

Drizzt rzucił się szczupakiem w szczelinę w ścianie, poderwał błyskawicznie na nogi i wykończył czwartego przeciwnika, który ukrył się tu, by zadać pchnięcie w plecy. Drizzt zatrzymał się, by zastanowić się nad swoim ostatnim ciosem. Nie wiedział nawet, że drow tam był, ale wymierzył doskonale!

Hatch'net gwizdnął cicho, kiedy kierował światło na twarz najnowszej ofiary Drizzta.

- Jest dobry! - szepnął.

Drizzt zobaczył Kelnozza zepchniętego serią udanych ataków do defensywy niedaleko od siebie. Drizzt znalazł się między walczącymi i odbił atak, który z pewnością zakończyłby walkę na niekorzyść Kelnozza.

Ten przeciwnik, władający dwoma mieczami, okazał się być najtrudniejszym przeciwnikiem Drizzta jak do tej pory. Zaatakował go skomplikowaną serią fint i cięć, zmuszając go do cofnięcia się.

- Berg'inyon z Domu Baenre - wyszeptał Hatch'net do Dinina. Dinin zrozumiał, jak ważna jest ta walka i miał nadzieję, że jego brat sprostą wyzwaniu.

Berg'inyon nie przyniósł wstydu swojej rodzinie. Jego ruchy były zgrabne i szybkie, i obaj z Drizztem tańczyli przez wiele minut, nie uzyskując nad sobą przewagi. Odważny Berg'inyon wykonał wtedy manewr najbardziej chyba znany Drizztowi: podwójne pchnięcie dolne.

Drizzt wykonał dolny krzyż doskonale, odpowiednie w tej sytuacji parowanie, zgodnie z naukami Zaknafeina. Niezadowolony jak zwykle Drizzt zareagował pod wpływem impulsu, zręcznie wyrzucając stopę między rękojeściami swych broni i wymierzając kopniaka w twarz przeciwnika. Ogłuszony syn Domu Baenre upadł na przeciwległą ścianę.

- Wiedziałem, że to parowanie nie jest dobre! - krzyknął Drizzt, już teraz ciesząc się z następnej okazji, kiedy będzie mógł pokazać nową obronę przed podwójnym pchnięciem Zakowi.

- Jest dobry - szepnął znowu Hatch'net do swego rozpromienionego towarzysza.

Oszołomiony Berg'inyon nie potrafił sobie poradzić z mającym przewagę przeciwnikiem. Otoczył się kulą ciemności, ale Drizzt wpadł w nią bez wahania, zawsze chętny do walki na ślepo.

Drizzt zaatakował syna Domu Baenre serią ciosów, kończąc ją cięciem w odsłonięty kark

Berg'inyona.

- Jestem pokonany - oznajmił młody Baenre, czując kij. Na ten głos Mistrz Hatch'net rozproszył ciemność. Berg'inyon położył obie bronie na kamieniach i osunął się na nie. Na jego twarzy pojawiło się niebieskie światło.

Drizzt nie mógł powstrzymać uśmiechu. Czy był tu ktoś, kogo nie mógłby pokonać?

Poczuł wtedy uderzenie w tył głowy, które powaliło go na kolana. Udało mu się spojrzeć w tył dokładnie na czas, by zobaczyć odchodzącego Kelnozza.

- Głupiec - roześmiał się Hatch'net, kierując światło na Drizzta, a potem spoglądając na Dinina. - Dobry głupiec.

Dinin skrzyżował ramiona na piersiach, a jego twarz lśniła teraz wstydem i gniewem.

Drizzt poczuł na policzku zimny kamień, ale myślał tylko o przeszłości, tylko o sarkastycznym, lecz boleśnie celnym powiedzeniu Zaknafeina: „Tak działamy!”

13

CENA WYGRANEJ

Zdradziłeś mnie - powiedział Drizzt Kelnozzowi, kiedy tej samej nocy znaleźli się w barakach. Pokój wokół nich był czarny, a ich rozmowy nie słyszeli inni uczniowie, wyczerpani walką i nie kończącymi się obowiązkami.

Kelnozz spodziewał się tego spotkania. Już wcześniej rozpoznał naiwność Drizzta, w chwili kiedy Drizzt pytał go o zasady walki. Doświadczony drow wojownik, szczególnie szlachcic, powinien orientować się w nich lepiej, powinien rozumieć, że jedyną zasadą rządzącą jego życiem jest dążenie do zwycięstwa. Teraz, z czego zdawał sobie sprawę Kelnozz, głupi Drizzt nie zaatakuje go za wcześniejszy czyn - zemsta powodowana złością nie leżała w jego naturze.

- Dlaczego? - zapytał Drizzt, nie mogąc doczekać się odpowiedzi od pewnego siebie mieszczucha z Domu Kenafin.

Drizzt zadał pytanie tak głośno, że Kelnozz rozejrzał się wokół nerwowo. Powinni już spać o tej porze, a gdyby mistrz usłyszał, że się kłócą...

- Czego nie rozumiesz? - odpowiedział Kelnozz w języku gestów, a ciepło jego rąk było doskonale widoczne dla widzących w podczerwieni oczu Drizzta. - Zrobiłem to, co musiałem zrobić, choć teraz uważam, że mogłem poczekać nieco dłużej. Może gdybyś pokonał jeszcze kilku, skończyłbym wyżej, niż na trzecim miejscu w klasie.

- Gdybyśmy walczyli razem, jak to ustaliliśmy, mógłbyś wygrać, a w najgorszym wypadku być drugi - odpowiedział Drizzt, a szybkie ruchy dłoni odzwierciedlały jego gniew.

- Z całą pewnością drugi - odrzekł Kelnozz. - Od początku wiedziałem, że nie miałbym z tobą szans. Jesteś najlepszym szermierzem, jakiego widziałem.

- Nie w rankingu mistrzów - warknął głośno Drizzt.

- Ósmy to nie tak źle - szepnął Kelnozz. - Berg'inyon jest dziesiąty, a jest z domu rządzącego w Menzoberranzan. Powinieneś być szczęśliwy, że nikt nie będzie ci zazdrościł twojej pozycji. - Szelest za drzwiami zmusił Kelnozza do powrotu do języka znaków. - Posiadanie wyższego miejsca oznacza tylko, że więcej uczniów będzie chciało umieścić sztylety w moich plecach.

Drizzt pozwolił, by słowa Kelnozza pozostały bez komentarza, nie mógł bowiem uwierzyć, by podobna zdrada miała miejsce w Akademii.

- Berg'inyon był najlepszym wojownikiem, jakiego widziałem w czasie walki - pokazał gestami. - Miał cię jak na widelcu, dopóki nie stanąłem po twojej stronie.

Kelnozz uśmiechnął się twardo.

- Jeśli o mnie chodzi, to Berg'inyon może zostać kucharzem w jakimś podrzędnym domu - wyszeptał jeszcze ciszej niż poprzednio - bo posłanie syna Domu Baenre było zaledwie kilka łóżek od miejsca, w którym rozmawiali. - Jest dziesiąty, a ja, Kelnozz Kenafin, jestem trzeci!

- Ja jestem ósmy - powiedział Drizzt, a w jego głosie zabrzmiało więcej gniewu niż zazdrości. - Ale mógłbym pokonać cię każdą bronią.

Kelnozz wzruszył ramionami, co w podczerwieni wyglądało, jakby nagle urósł.

- Ale nie pokonałeś - pokazał gestami. - Wygrałem starcie.

- Starcie? - sapnął Drizzt. - Zdradziłeś mnie, to wszystko!

- Ale kto stał po wszystkim na nogach? - przypomniał mu Kelnozz. - Kogo pokazało niebieskie światło różdżki mistrza?

- Honor wymaga, by pojedynek miał reguły - warknął Drizzt.

- Jest jedna reguła - odszczeknął Kelnozz. - Wolno ci zrobić wszystko, co ujdzie ci na sucho. Wygrałem starcie, Drizzcie Do'Urden i mam wyższą pozycję! Tylko to się liczy!

W gorączkowej dyskusji ich głosy podniosły się za bardzo. Drzwi do pokoju otworzyły się na oścież i do pomieszczenia wkroczył mistrz, którego sylwetka wyraźnie odznaczała się na tle niebieskich świateł. Obaj uczniowie zgodnie położyli się i zamknęli oczy i usta.

Słowa, które wypowiedział na koniec Kelnozz wstrząsnęły Drizztem do głębi. Zdał sobie sprawę, że jego przyjaźń z Kelnozzem dobiegła końca - a być może, że nigdy jej nie było.

* * *

- Widziałeś go? - zapytał Alton, stukając niecierpliwie palcami w niewielki stolik stojący w najwyższej komnacie jego apartamentów. Alton rozkazał młodszemu uczniowi Sorcere naprawić zniszczenia w pokoju, ale wypalone ślady na ścianach pozostały - jako pamiątka po kuli ognia Altona.

- Tak - odrzekł Masoj. - Słyszałem o talencie, jaki ma do broni.

- Ósmy w klasie po wielkiej walce - powiedział Alton. - Dobry wynik.

- Powinien być pierwszy - powiedział Masoj. - Pewnego dnia otrzyma to miejsce. Będę na

niego uważał.

- Nie pożyje na tyle długo, by zająć to miejsce! - obiecał Alton. - Dom Do'Urden szczydzi się bardzo purpurowookim młodzieńcem, zdecydowałem więc, że będzie on pierwszym celem mojej zemsty. Jego śmierć przyniesie ból zdradliwej Opiekunce Malice!

Masoj dostrzegł rodzący się problem i zdecydował się zdusić go w zarodku.

- Nie skrzywdzisz go - ostrzegł Altona. - Nawet się do niego nie zbliżysz.

Ton głosu Altona stał się nie mniej ponury.

- Czekałem dwie dekady... - zaczął.

- Możesz więc poczekać jeszcze kilka - rzucił Masoj. - Przypominam ci, że przyjąłeś zaproszenie Opiekunki SiNafay do Domu Hun'ett. Takie przymierze wymaga posłuszeństwa. Opiekunka SiNafay - nasza matka opiekunka - złożyła na moje ramiona obowiązek zajęcia się Drizztem Do'Urden, a ja wykonam jej rozkaz.

Alton oparł się na krzesło i położył to, co pozostało z jego przeżartej kwasem żuchwy na smukłym nadgarstku, uważnie zastanawiając się nad słowami swego cichego współnika.

- Opiekunka SiNafay ma plany, które dadzą ci zemstę, o jakiej marzysz - mówił dalej Masoj. - Ostrzegam cię teraz, Altonie De - Vir - syknął, podkreślając nazwisko. - Jeśli rozpoczniesz wojnę z Domem Do'Urden albo choćby zmusisz ich do obrony jakimś czynem nie uzgodnionym z Opiekunką SiNafay, ściągniesz na siebie gniew Domu Hun'ett. Opiekunka SiNafay przedstawi cię jako oszusta i mordercę i ukarze w każdy sposób, na jaki pozwoli rada rządząca!

Alton nie miał niczego, co mógłby przeciwstawić groźbie. Był wyrzutkiem, bez rodziny poza Hun'ett. Jeśli SiNafay obróci się przeciwko niemu, nie będzie już miał sprzymierzeńców.

- Jaki plan ma SiNafay...Opiekunka SiNafay... dla Domu Do'Urden? - zapytał spokojnie. - Powiedz mi o mojej zemście, bym mógł przetrwać lata oczekiwania.

Masoj wiedział, że teraz musi postąpić ostrożnie. Matka nie zabroniła mu mówić Altonowi o przyszłym rozwoju wypadków, ale gdyby chciała, żeby DeVir je znał, sama by mu o nich opowiedziała.

- Powiedzmy tylko, że potęga Domu Do'Urden wzrosła i nadal rośnie, aż do momentu, kiedy stanie się prawdziwym zagrożeniem dla wszystkich wielkich domów - zamruczał Masoj, kochając te intrygi poprzedzające wojnę. - Choćby upadek Domu DeVir, obmyślony doskonale, nie pozostawiono żadnych śladów. Wielu możliwych Menzoberranzan odetchnęłoby lżej, gdyby...

Pozwolił, by na tym stanęło, sądząc, że i tak za dużo już powiedział.

Po błysku w oczach Altona Masoj poznał, że udało mu się kupić cierpliwość DeVira.

* * *

W Akademii młody Drizzt zaznał wielu rozczarowań, szczególnie w pierwszym roku, kiedy tak wiele elementów społeczeństwa drowów, elementów, o których mówił Zaknafein, uparcie starało się złamać Drizzta. Ważył lekcje nienawiści i nieufności, jakie dawali mistrzowie w obu

rękach, w jednej trzymając poglądy mistrzów i ich wykłady, a w drugiej te same słowa, ale rozumiane w kontekście logiki jego starego mentora. Prawda wydawała mu się tak dwuznaczna, tak trudna do zdefiniowania. Dzięki temu badaniu Drizzt odkrył, że nie może uciec przed jednym faktem: przez całe życie jedyną zdradą, jaką widział - i to jak często - była zdrada popełniana przez drowy.

Fizyczny trening w Akademii, całe godziny pojedynków i ćwiczeń w ukrywaniu się bardziej podobały się młodemu Drizztowi. Tutaj, z bronią w rękę, uwolnił się od pytań o prawdę.

Tu się doskonalił. Jeśli Drizzt przyszedł do Akademii z wyższym poziomem wyszkolenia niż jego koledzy, po kilku miesiącach przepaść między nimi tylko się powiększyła. Nauczył się patrzeć poza przyjęte manewry obronne i ofensywne, których uczyli mistrzowie i tworzył własne metody, innowacje, które niemal zawsze dorównywały - a zwykle nawet przewyższały - techniki standardowe.

Z początku Dinin słuchał z rosnącą dumą, jak inni mistrzowie chwalili zdolności jego młodszego brata. Komplementy stały się tak częste, że najstarszy syn Opiekunki Malice zaczął być zaniepokojony. Dinin był najstarszym synem Domu Do'Urden, co uzyskał dzięki zabiciu Nalfeina. Drizzt, pokazując potencjał, dzięki któremu mógł zostać jednym z najlepszych fechtistrzów w Menzoberranzan, był teraz drugim synem domu i być może miał na oku tytuł Dinina.

Również koledzy Drizzta nie przegapili jego rosnącego geniuszu w wojennym tańcu. Często oglądali go ze zbyt bliskiej odległości! Patrzyli na Drizzta z palącą zazdrością, zastanawiając się, czy kiedyś będą mogli stawić czoła wirującym sejmitarom. Pragmatyzm był zawsze bardzo dobrze wykształcony u drowów. Młodzi uczniowie spędzili większość życia obserwując starszych członków swych rodzin, obracających każdą sytuację tak, by wyglądała na korzystną. Każdy z nich doceniał wartość Drizzta jako sprzymierzeńca, tak więc, kiedy w następnym roku nadszedł czas na wielką walkę, Drizzt otrzymał wiele propozycji współpracy.

Najbardziej zaskakująca nadeszła od Kelnozza z Domu Kenafin, który pogrążył Drizzta dzięki zdradzie rok wcześniej.

- Połączymy się znowu, tym razem na szczycie klasy? - zapytał wyniośle młody wojownik, dołączając do Drizzta w tunelu prowadzącym do jaskini. Stanął przed Drizztem swobodnie, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Opierał dłonie na rękojeściach broni, a na jego twarzy gościł otwarty, przyjacielski uśmiech.

Drizzt nie mógł wydusić z siebie słowa. Odwrócił się i odszedł, celowo oglądając się czujnie za siebie.

- Co cię tak dziwi? - naciskał Kelnozz, próbując dotrzymać mu kroku.

Drizzt odwrócił się do niego.

- Jak mogę sprzymierzyć się z kimś, kto mnie zdradził? - syknął. - Nie zapomniałem o twoim podstępie!

- O to chodzi - spierał się Kelnozz. - W tym roku jesteś uważniejszy, a ja byłbym głupcem, próbując takiego manewru po raz kolejny!

- Jak inaczej mógłbyś wygrać? - powiedział Drizzt. - W otwartej walce mnie nie pokonasz. - Jego słowa nie były częścią przechwałką, lecz tylko faktem, który Kelnozz przyjął równie łatwo jak Drizzt.

- Drugie miejsce jest równie zaszczytne - stwierdził Kelnozz. Drizzt spojrzał na niego. Wiedział, że Kelnozz nie przystanie na nic, poza absolutnym zwycięstwem.

- Jeśli spotkamy się w walce - powiedział chłodno - to tylko jako wrogowie.

Odszedł po raz drugi, ale tym razem Kelnozz nie poszedł za nim.

* * *

Szczyście oddało Drizztowi sprawiedliwość, bowiem jego pierwszym przeciwnikiem, pierwszą ofiarą nie był nikt inny jak jego były partner. Drizzt znalazł Kelnozza w tym samym korytarzu, którego użyli jako bastionu rok wcześniej i zakończył walkę pierwszą kombinacją ciosów. Drizztowi udało się jakoś powstrzymać dłoń, choć naprawdę chciał z całej siły wbić w żebra Kelnozza drewniany seymitar.

Potem Drizzt ruszył w cienie, wybierając uważnie drogę, aż liczba studentów zaczęła się zmniejszać. Drizzt, ze swoją reputacją musiał być podwójnie ostrożny, bowiem koledzy z roku mogli chcieć zakończyć jego udział w walce wcześniej. Działając sam Drizzt musiał rozpoznać dokładnie sytuację przed każdą walką, zanim się w nią zaangażował, by upewnić się, że w zakamarkach labiryntu nie kryją się sprzymierzeńcy jego przeciwnika.

To była arena Drizzta, miejsce, w którym czuł się najwygodniej, z radością podejmował wyzwania. Po dwóch godzinach pozostało tylko pięciu wojowników, a po następnych dwóch godzinach zabawy w kotka i myszkę, na placu boju stało dwóch ostatnich: Drizzt i Berg'inyon Baenre.

Drizzt wyszedł na otwarty teren.

- Wychodź, uczniu Baenre! - zawołał. - Walczmy otwarcie i honorowo!

Obserwujący wszystko z kładki Dinin pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Likwiduje całą swą przewagę - stwierdził Mistrz Hatch'net, stojący u boku najstarszego syna Domu Do'Urden. - Jako lepszy szermierz przestraszył Berg'inyona i sprawił, że ten przestał być pewnym swych ruchów. A teraz twój brat stoi na otwartej przestrzeni, pokazując swoją pozycję.

- Ciągle głupiec - wymamrotał Dinin.

Hatch'net zauważył Berg Mnyona skradającego się za stalagmitem kilka jardów za Drizztem.

- Wszystko wyjaśni się za chwilę.

- Boisz się? - krzyknął Drizzt w ciemność. - Jeśli naprawdę zasługujesz na pierwsze

miejsce, wyjdź i walcz ze mną otwarcie. Udowodnij swe słowa, Berg'inyonie Baenre, albo nigdy ich nie wypowiadaj!

Kiedy za Drizztem rozległ się oczekiwany dźwięk, chłopiec był już w półobrocie.

- Walka to więcej niż szermierka! - krzyknął syn Domu Baenre wyskakując z ukrycia, a w jego oczach widać było radość z przewagi, którą, jak sądził, posiadał.

Berg'inyon zachwiał się, zaczepiając nogą o drut, który przeciągnął tam Drizzt i upadł płasko na twarz. Drizzt natychmiast stanął nad nim, przykładając mu czubek sejsmitara do karku.

- Tego się nauczyłem - odpowiedział ponuro.

- Zatem Do'Urden zostaje mistrzem - stwierdził Hatch'net, oświetlając twarz pokonanego syna Baenre, Potem Hatch'net starł z twarzy Dinina pełen dumy uśmiech. - Najstarsi synowie powinni uważać na drugich synów o takich umiejętnościach.

* * *

Choć Drizzt nie czuł dumy ze swego zwycięstwa w drugim roku, był bardzo zadowolony ze swych rosnących umiejętności. Ćwiczył w każdej wolnej chwili, a obowiązków miał z upływem lat coraz mniej - najmłodszy uczniowie ćwiczyli najciężej - dzięki czemu mógł poświęcać więcej czasu samokształceniu. Uwielbiał taniec ostrzy i harmonie ruchów. Sejsmitary zostały jego jedynymi przyjaciółmi, jedyną rzeczą, jakiej odważył się zaufać.

Wygrał wielką walkę również na trzecim roku, a także rok później, pomimo że zawiązano przeciwko niemu wiele spisków. Dla mistrzów stało się oczywiste, że nikt w klasie Drizzta nigdy go nie pokona i rok później wyznaczyli go do wielkiej walki z uczniami o trzy lata od niego starszymi. Ich też pokonał.

Akademia, bardziej niż wszystko inne w Menzoberranzan, była ściśle zhierarchizowana, a choć Drizzt naruszał tę hierarchię swymi umiejętnościami, nie można było zmienić jego miejsca jako ucznia. Jako wojownik miał spędzić w Akademii dziesięć lat, czyli nie tak długo w porównaniu do trzydziestu lat studiów czarodziejów w Sorcere lub pięćdziesięciu lat szkolenia kapłanek w Arach - Tinilith. Podczas gdy wojownicy rozpoczynali szkolenie w wieku dwudziestu lat, czarodzieje mogli zacząć studia w wieku lat dwudziestu pięciu, a kapłanki musiały poczekać aż do czterdziestki.

Pierwsze cztery lata w Melee - Magthere poświęcano walce jeden na jednego oraz posługiwaniu się bronią. Mistrzowie nie mieli Drizztowi wiele do pokazania po szkoleniu i naukach, które odebrał u Zaknafaena.

Później jednak lekcje stawały się trudniejsze. Młodzi wojownicy spędzali pełne dwa lata na nauce taktyki walki w grupie, a kolejne trzy lata poświęcali na stosowanie tej taktyki w walce u boku oraz przeciwko czarodziejom i kapłankom.

Ostami rok w Akademii poszerzał wykształcenie wojowników. Pierwsze sześć miesięcy spędzali oni w Sorcere, ucząc się podstawowych zasad władania magią, a następne sześć,

preludium do ukończenia szkoły, pod kierunkiem kapłanek z Arach - Tinilith.

Przez wszystkie te lata uczniów poddawano indoktrynacji, wpajano im ideały tak bliskie sercu Pajęczej Królowej, kłamstwa o nienawiści, które utrzymywały społeczeństwo drowów w stanie kontrolowanego chaosu.

Dla Drizzta Akademia stała się osobistym wyzwaniem, prywatną klasą wewnątrz nieprzeniknionej zasłony z sejmitarów. Wewnątrz tych stworzonych przez siebie adamantytowych ścian Drizzt odkrył, że może ignorować wiele z niesprawiedliwości, którą widział wokół siebie i że w jakiś sposób potrafi oddzielić ją od słów, które mogłyby zatruć mu serce. Akademia była miejscem nieustającej ambicji i zdrady, wylęgarnią głodu władzy, który określał całe życie drowów.

Drizzt obiecał sobie, że przetrwa to nie zmieniony.

Jednak w miarę upływu lat, kiedy rzeczywistość zaczęła napierać na niego mocniej, Drizzt coraz częściej znajdował się w sytuacjach, których nie mógł zbyć machnięciem ręki.

14

NALEŻNY SZACUNEK

Cicho szli tunelem wijącym się, niczym szepczący wiatr, każdy krok stawiając ostrożnie i po każdym zatrzymując się w nasłuchiwanie. Byli studentami dziewiątego roku, ostatniego w Melee - Magthere i ćwiczyli poza Menzoberranzan równie często jak na terenie miasta. U ich pasów nie wisiały już patyki, teraz były tam adamantytowe ostrza, doskonale wykute i śmiertelnie ostre.

Czasami tunel zamykał się wokół nich, szeroki tylko na tyle, by mógł się przez niego przecisnąć jeden mroczny elf. Innymi razy znajdowali się w wielkich jaskiniach, których ściany i sufity pozostawały poza zasięgiem ich wzroku. Byli drowami wojownikami, uczonymi działania w każdym z możliwych krajobrazów Pod - mroku i znającymi zachowania wszystkich wrogów, jakich mogliby napotkać.

Patrole ćwiczebne - tak nazywał te ćwiczenia Mistrz Hatch'net, choć ostrzegał uczniów, że owe „ćwiczebne patrole” mogą doprowadzić do spotkania z prawdziwymi, a do tego wrogimi potworami.

Drizzt, znajdujący się na pierwszym miejscu w swojej klasie, prowadził grupę, a Mistrz Hatch'net i dziesięciu innych szło za nim w odpowiednim szyku. Z dwudziestu pięciu uczniów pozostało tylko dwudziestu dwóch. Jednego odesłano - i następnie stracono - za nieudaną próbę zabójstwa wyższego rangą studenta, drugi został zabity na arenie w czasie ćwiczeń, a trzeci umarł z przyczyn naturalnych - sztylet w sercu naturalnie powoduje śmierć.

W innym pobliskim tunelu Berg'inyon Baenre, który zajmował w klasie drugie miejsce, prowadził Mistrza Dinina i pozostałą część klasy na podobne ćwiczenia.

Dzień po dniu Drizzt i inni starali się utrzymać stałą gotowość. Przez trzy miesiące ćwiczeń grupa napotkała tylko jednego potwora, łowcę jaskiniowego, podobnego do kraba - mieszkańca Podmroku. Nawet on dostarczył rozrywki tylko na krótką chwilę, a praktycznych ćwiczeń w ogóle, bowiem uciekł między skały, zanim patrol drowów zdążył się do niego zbliżyć.

Tego dnia Drizzt czuł się inaczej. Może to było coś w głosie Mistrza Hatch'neta, a może dźwięczenie kamieni w jaskini, subtelne wibracje, które mówiły podświadomie Drizztowi, że w labiryncie są inne istoty. Tak czy inaczej Drizzt wiedział wystarczająco dużo, by zaufać swoim instynktom i nie był zaskoczony, kiedy w korytarzu przed nim zaśniło ciepło ciała. Pokazał reszcie patrolu, by się zatrzymał, a potem błyskawicznie wspiął się na półkę ponad wejściem do bocznego tunelu.

Kiedy intruz wszedł do głównego tunelu, zaraz znalazł się na ziemi z dwoma sejmitemami przystawionymi do karku. Drizzt cofnął się natychmiast, kiedy rozpoznał w ofierze innego ucznia drowa.

- Co ty tu robisz? - zapytał Mistrz Hatch'net. - Wiesz, że po tunelach poza Menzoberranzan można chodzić tylko jako członek patrolu!

- Proszę o wybaczenie, Mistrzu - błagał student. - Przynoszę wieści o alarmie.

Wszyscy członkowie patrolu tłoczyli się wokół, ale Hatch'net ode - gwał ich groźnym spojrzeniem i rozkazał Drizztowi rozmieszczenie ich na pozycjach obronnych.

- Zginęło dziecko - kontynuował uczeń. - Księżniczka z Domu Baenre! W tunelach widziano potwory!

- Jakie potwory? - zapytał Hatch'net. Głośny trzask, niczym odgłos uderzających o siebie kamieni, odpowiedział na jego pytanie.

- Hakowe poczwary! - pokazał Hatch'net Drizztowi. Drizzt nigdy nie widział tych bestii, ale wiedział o nich wystarczająco dużo, by zrozumieć, dlaczego mistrz nagle przeszedł na język gestów. Hakowe poczwary polowały używając zmysłu słuchu czulszego niż jakiegokolwiek innej istoty w Podmroku. Drizzt natychmiast przekazał wiadomość innym i po chwili wszyscy leżeli w absolutnej ciszy. Do takiej właśnie sytuacji przygotowywali się przez ostatnie dziesięć lat i tylko spocone dłonie pokazywały, że drowy nie są tak spokojne, na jakie chciałyby wyglądać.

- Czar ciemności nie powstrzyma hakowych poczwary - pokazał Hatch'net swoim żołnierzom. - To też - pokazał na pistoletową kuszę i założoną na nią zatrutą strzałkę, często używaną przez drowy broń pierwszego uderzenia. Hatch'net odłożył kuszę i wyjął smukły miecz.

- Trzeba znaleźć szczelinę w pancerzu tych istot - przypomniał wszystkim - i wbić w nią ostrze, docierając do ciała. - Poklepał Drizzta po ramieniu i ruszyli razem przed siebie, a reszta uczniów wyciągnęła się za nimi w szereg.

Trzaski rozbrzmiewały teraz wyraźniej, ale odbijając się echem od ścian tunelu były dla młodych drowów nieco mylące. Hatch'net pozwolił Drizztowi prowadzić i był szczerze

zaskoczony, jak szybko uczeń nauczył się odróżniać prawdziwy dźwięk od echa. Krok Drizzta stał się pewniejszy, choć wielu członków patrolu rozglądało się niespokojnie, niepewnych jak daleko i po której stronie znajduje się zagrożenie.

Wtem pojedynczy dźwięk zatrzymał wszystkich w miejscu, dźwięk zagłuszający trzaski i odbijający się wszędzie echem, otaczający patrol szaleńczym hałasem. To był krzyk dziecka.

- Księżniczka Domu Baenre! - pokazał Hatch'net Drizztowi. Mistrz zaczął wydawać rozkazy, ale Drizzt nie czekał, aż oddział ustawi się w szyku bojowym. Krzyk sprawił, że po plecach przeszły mu ciarki, a kiedy rozbrzmiał znowu, w jego lawendowych oczach zapłonęły ponure ognie.

Drizzt ruszył biegiem, a zimny metal szabel wyznaczał mu drogę.

Hatch'net zorganizował patrol w grupę pościgową. Nie chciał stracić tak utalentowanego ucznia jak Drizzt, ale rozważał także korzyści płynące z postępowania chłopca. Jeśli inni członkowie grupy zobaczą, jak najlepszy z nich ginie wykazując się głupotą, będzie to lekcja, którą nieprędko zapomną.

Drizzt wypadł zza zakrętu i pobiegł wzdłuż prostej, popękanej ściany. Nie słyszał teraz echa, lecz szcękanie wyczekujących potworów i stłumione krzyki dziecka.

Jego czułe uszy wyłapały kroki patrolu gdzieś za nim, a on wiedział, że jeśli je słyszy, słyszą je również hakowe poczwary. Drizzt nie potrafił zrezygnować z pasji i pośpiechu. Wspiął się na półkę wiszącą dziesięć stóp nad podłogą, mając nadzieję, że biegnie ona przez całą długość korytarza. Kiedy prześliznął się za ostatni z zakrętów, z trudem odróżnił ciepło potworów i ich pancerzy, które temperaturą bardzo przypominały otaczające kamienie.

Zobaczył pięć wielkich bestii, dwie przyciśnięte do ścian i strzegące korytarza, a trzy pozostałe ściśnięte w ślepej uliczce i bawiące się jakimś - płaczącym - przedmiotem.

Drizzt opanował nerwy i poczołgał się dalej półką, wykorzystując wszelkie posiadane umiejętności krycia się, by przejść obok strażników. Zobaczył wtedy księżniczkę, leżącą u stóp jednego z potworów. Urywany szloch powiedział Drizztowi, że dziecko żyje. Drizzt nie miał zamiaru walczyć z potworami, jeśli nie okazałoby się to konieczne, miał za to nadzieję, że uda mu się przemknąć obok nich i wykraść dziecko.

Wtedy patrol wypadł zza zakrętu, zmuszając Drizzta do działania.

- Strażnicy! - krzyknął ostrzegawczo, prawdopodobnie ratując życie pierwszej czwórce z grupy. Uwaga Drizzta szybko zwróciła się na ranne dziecko, kiedy jedna z hakowych poczwary podniosła swą ciężką, pazurzastą łapę, by je zmiażdżyć.

Bestia była dwukrotnie wyższa od Drizzta, do tego co najmniej pięciokrotnie cięższa. Była całkowicie opancerzona i uzbrojona w potężne pazurzaste łapy oraz długi i mocny dziób. Trzy takie potwory stały między Drizztem i dzieckiem.

W tej straszliwej, krytycznej chwili Drizzt nie miał czasu myśleć o takich szczegółach. Jego

obawa o dziecko była większa niż strach przed niebezpieczeństwem. Był drowem wojownikiem, żołnierzem wytrenowanym i wyposażonym do walki, a dziecko było samotne i bezbronne.

Dwie z hakowych poczwara ruszyły w stronę półki, dokładnie tak, jak chciał tego Drizzt. Wstał i przeskoczył nad nimi, lądując niczym rozmazana plama u boku trzeciej istoty. Potwór zapomniał o dziecku, kiedy sejmitary zaczęły uderzać w jego dziób, uderzając raz za razem w pancerz, rozpaczliwie szukając szczeliny.

Hakowa poczwara cofnęła się, zaskoczona furią napastnika i nie mogąc nadażyć za rozmazanymi, kłującymi ruchami sejmitarów.

Drizzt wiedział, że ma przewagę nad tym jednym, ale zdawał sobie również sprawę, że pozostałe dwa będzie miał niedługo na plecach. Nie czekał na to. Ześliznął się z półki i stanął z boku potwora, blokując mu drogę ucieczki, opadł między jego potężne nogi i podciął go, przewracając na ziemię. Po chwili stał już na potworze i wściekle kłuł go oboma sejmitarami.

Hakowa poczwara starała się rozpaczliwie kontratakować, ale jej pancerna skorupa była zbyt sztywna, by potwór mógł się zgiąć w pasie.

Drizzt wiedział, że jego sytuacja jest bardziej jeszcze desperacka. W korytarzu już walczone, ale Hatch'net i inni najwyraźniej nie potrafili przełamać oporu strażników i powstrzymać dwóch pozostałych poczwara przed atakiem na jego plecy. Rozsądek nakazywał, by Drizzt zmienił pozycję i zajął postawę defensywną.

Jednak kolejny rozpaczliwy krzyk dziecka zabił w Drizzcie zdrowy rozsądek. Wściekłość zapłonęła w jego oczach tak wyraźnie, że nawet głupia hakowa poczwara zdała sobie sprawę, iż jej życie dobiega końca. Drizzt położył ostrze jednego sejmitara na ostrzu drugiego, tworząc z nich charakterystyczne „V” i wbił je w tył czaszki potwora z całą siłą, jaką dysponował. Widząc niewielkie pęknięcie na pancerzu istoty, Drizzt skrzyżował rękojeści broni i wbił sejmitary w szczelinę pancerza. Potem złączył rękojeści, wbijając się w miękkie ciało i mózg potwora.

Ciężki pazur rozorał ramiona Drizzta, rozrywając piwafwi i zachlapując je krwią. Chłopak rzucił się naprzód, przeturlał po podłodze i stanął na nogi, obracając się zranionymi plecami do ściany. W jego stronę ruszyła tylko jedna hakowa poczwara, druga podnosiła właśnie dziecko.

- Nie! - krzyknął Drizzt. Ruszył naprzód, ale uderzenie potwora rzuciło go na plecy. Potem jak sparaliżowany patrzył, jak poczwara kładzie kres krzykom dziecka.

W oczach Drizzta determinacja zmieniła się we wściekłość. Stojąca w pobliżu hakowa poczwara rzuciła się na niego, chcąc rozgnieść go o ścianę. Drizzt rozszyfrował jej plan i nie próbował nawet zejść jej z drogi. Zamiast tego odwrócił swe sejmitary i oparł je rękojeściami o ścianę nad swymi ramionami.

Kiedy uderzył w niego czterystukilowy potwór, nawet jego pancerz nie mógł ochronić go przed adamantytowymi ostrzami. Przygniótł Drizzta do ściany, ale robiąc to, wbił sobie sejmitary w brzuch.

Istota odskoczyła, próbując wyrwać sejmitary, ale nie udało jej się uciec od furii Drizzta Do'Urden, który wściekle przekręcił ostrza w ciele przeciwnika, a następnie odepchnął się od ściany wspomagany siłą swego gniewu, przewracając potwora na plecy.

Dwaj wrogowie Drizzta nie żyli, podobnie jeden ze strażników w korytarzu, ale Drizzt nie znalazł w tym pocieszenia. Trzecia hakowa poczwara stała teraz nad nim, kiedy rozpaczliwie próbował wyrwać broń z ciała ofiary. Drizzt musiał ratować się ucieczką.

Wtedy przybył drugi patrol, a Dinin i Berg'inyon wpadli w ślepią uliczkę, idąc tą samą półką, której wcześniej użył Drizzt. Hakowa poczwara odwróciła się od Drizzta dokładnie w chwili, kiedy pojawili się dwaj wojownicy.

Drizzt zignorował pieczenie pleców i swoje popękane bez wątpienia żebra. Oddech miał teraz urywany, ale także to nie miało żadnego wpływu na jego działanie. Udało mu się uwolnić jedno z ostrzy i trzymając je w dłoni natarł na potwora od tyłu. Znalazłszy się między trzema drowami, hakowa poczwara poległa w ciągu kilku sekund.

Korytarz został wreszcie oczyszczony, a mroczne elfy biegały wszędzie, sprawdzając dokładnie ślepy zaułek. Stracili tylko jednego ucznia, walcząc przeciwko strażnikom.

- Księżniczka Domu Barrison'derarmgo - zauważył jeden z uczniów z patrolu Dinina patrząc na ciało dziecka.

- Nam mówiono, że z Domu Baenre - powiedział inny uczeń. Drizzt nie przegapił tej rozbieżności.

Berg'inyon Baenre precyzyjnie przycisnął się do przodu, by zobaczyć, czy to naprawdę jego młodsza siostra.

- Nie z mojego domu - powiedział z wyraźną ulgą. Potem roześmiał się, kiedy po chwili przyjrzał się zwłokom dokładniej. - Nawet nie księżniczka! - stwierdził.

Drizzt przyglądał się temu z ciekawością, zauważając obojętność i spokój większości swych towarzyszy.

Inny uczeń potwierdził spostrzeżenia Berg'inyona.

- Chłopiec! - wykrzyknął. - Ale z jakiego domu?

Mistrz Hatch'net pochylił się nad maleńkim ciałem i zdjął z jego karku sakiewkę. Wysypał jej zawartość na dłoń, pokazując wszystkim emblemat jakiegoś niższego domu.

- Bachor się zgubił - roześmiał się, rzucając pustą sakiewkę na ziemię i wkładając jej zawartość do kieszeni. - Bez znaczenia.

- Dobra walka - dodał szybko Dinin. - Tylko jedna ofiara. Wracajcie do Menzoberranzan dumni z zadania, które dzisiaj wykonaliście.

Drizzt trzasnął ostrzami swych sejmitarów w geście protestu.

Mistrz Hatch'net zignorował go.

- Przyjąć szyk i wracamy - powiedział innym. - Wszyscy się dziś dzielnie spisaliście. -

Potem spojrzął na Drizzta, zatrzymując go w miejscu.

- Poza tobą! - syknął Hatch'net. - Nie mogę zignorować faktu, że powaliłeś dwie bestie i pomogłeś przy trzeciej, ale naraziłeś resztę z nas swoją głupią brawurą!

- Ostrzegłem o strażnikach - wyjąkał Drizzt.

- Do diabła z twoim ostrzeżeniem - krzyknął mistrz. - Odszedłeś bez rozkazu! Zignorowałeś przyjęte metody prowadzenia bitwy! Wprowadziłeś nas tu na ślepo! Spójrz na ciało swego martwego kolegi! - Hatch'net szalał, wskazując na martwego ucznia w korytarzu. - Jego krew jest na twoich rękach!

- Chciałem uratować dziecko - spierał się Drizzt.

- Wszyscy chcieliśmy je uratować! - odparował Hatch'net. Drizzt nie był tego taki pewien.

Co dziecko robiłoby samotnie

w tych korytarzach? Jaki to dziwny zbieg okoliczności, że grupa hakowych poczwara, tak rzadko widywanych w okolicach Menzoberranzan, stała się materiałem treningowym dla „patrolu ćwiczebnego”. Mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że korytarze roiły się od prawdziwych patroli doświadczonych wojowników, czarodziejów, a nawet kapłanek.

- Wiedziałeś, co jest za zakrętem tunelu - powiedział spokojnie Drizzt, mrużąc oczy.

Uderzenie w ranę na plecach przeszło ciało Drizzta potwornym bólem, niemal zwalając go z nóg. Odwrócił się i zobaczył Dinina.

- Nie mów już ani słowa - ostrzegł Dinin szorstkim szeptem. - Albo wytnę ci język.

* * *

- Dziecko było przynętą - powiedział Drizzt, kiedy został sam na sam z Dininem w jego pokoju.

Odpowiedzią Dinina było mocne uderzenie w policzek.

- Poświęcili je na potrzeby treningu - warknął młodszy Do'Urden. Dinin zadał kolejny cios, ale Drizzt zablokował go przedramieniem.

- Wiesz, że mówię prawdę - powiedział. - Wiedziałeś o tym od początku.

- Naucz się, gdzie jest twoje miejsce, Drugi Synu - odpowiedział Dinin, otwarcie grożąc Drizztowi. - W Akademii i w rodzinie. - Dinin cofnął się o krok.

- Do Dziewięciu Piekieł z Akademią! - syknął Drizzt w twarz Dinina. - Jeśli w rodzinie jest podobnie... - zauważył, że Dinin miał teraz w rękach miecz i sztylet.

Drizzt odskoczył, wyciągając swe sejmitary.

- Nie chcę z tobą walczyć, bracie - powiedział. - Wiedz jednak, że jeśli zaatakujesz, będę się bronił. Wyjdzie stąd tylko jeden z nas.

Dinin dobrze się zastanowił nad swym następnym ruchem. Jeśli zaatakuje i wygra, nie będzie się już musiał obawiać o swoją pozycję w rodzinie. Z pewnością nikt, nawet Opiekunka Malice, nie będzie miała nic przeciwko karze, jaką wymierzy niepokornemu bratu. Ale Dinin

widział swego brata w czasie walki. Dwie hakowe poczwary! Nawet Zaknafeinowi z trudem przyszloby takie zwycięstwo. Dinin wiedział również, że jeśli nie zrealizuje swojej groźby i pozwoli, by Drizzt go upokorzył, mógłby zapewnić Drizztowi przewagę psychiczną w ich przyszłych zmaganiach, być może nawet prowokując zdradę, której od dawna się spodziewał po drugim synu.

- Co się tu dzieje? - głos dobiegł od strony drzwi. Bracia ujrzeni w nich ich siostrę, Yiernę, mistrzynię w Arach - Tinilith. - Odłóżcie broń - syknęła. - Dom Do'Urden nie może sobie pozwolić na wewnętrzne spory!

Zdając sobie sprawę, że udało mu się wyplątać z niezręcznej sytuacji, Dinin posłusznie odłożył miecz, Drizzt postąpił podobnie.

- Uważajcie się za szczęśliwców - powiedziała Vierna - bo nie opowiem Opiekunce Malice o waszej głupocie. Nie byłaby łaskawa, za to rękę.

- Z jakiego powodu pojawiłaś się nie zapowiedziana w Melee - Magthere? - zapytał starszy syn, zaniepokojony obecnością siostry. On również był mistrzem w Akademii, i nawet będąc mężczyzną, zasługiwał na szacunek.

Vierna rozejrzała się po korytarzu i zamknęła za sobą drzwi.

- By ostrzec mych braci - wyjaśniła cicho. - Mówi się o zemście na naszym domu.

- Dokonanej przez którą rodzinę? - zapytał Dinin. Drizzt stał tylko w ciszy i pozwolił, by pozostała dwójka dokończyła rozmowę. - I za co?

- Za wyeliminowanie Domu DeVir, jak sadzę - odrzekła Vierna.

- Wiemy niewiele, gdyż plotki są niejasne. Chciałam was jednak ostrzec, żebyście w nadchodzących miesiącach trzymali gardę szczególnie wysoko.

- Dom DeVir upadł wiele lat temu - powiedział Dinin. - Jaka kara mogłaby na nas za to spaść?

Vierna wzruszyła ramionami.

- To tylko plotki - powiedziała. - Ale plotek należy słuchać!

- Oskarżono nas o niecny uczynek? - zapytał Drizzt. - Nasza rodzina musi odnaleźć tego, co rzuca fałszywe oskarżenia.

Vierna i Dinin wymienili uśmiechy.

- Niecny? - roześmiała się Vierna.

Wyraz twarzy Drizzta wiele mówił o jego dezorientacji.

- Tej nocy, kiedy się urodziłeś - wyjaśnił Dinin - Dom DeVir zakończył swe istnienie.

Doskonały atak, dziękuję bardzo.

- Dom Do'Urden? - sapnął Drizzt, nie mogąc pogodzić się z najnowszymi wiadomościami. Oczywiście Drizzt wiedział o takich bitwach, ale miał zawsze nadzieję, że jego rodzina jest ponad takie mordercze działania.

- Jeden z najlepszych najazdów historii - pochwaliła się Yiema.

- Żaden świadek nie został przy życiu.

- To... nasza rodzina... wybiliśmy inną rodzinę?

- Uważaj na słowa, Drugi Synu - ostrzegł go Dinin. - Dokonano tego bezbłędnie. W oczach Menzoberranzan to się nigdy nie stało.

- Ale Dom DeVir już nie istnieje - odparł Drizzt.

- Do ostatniego dziecka - powiedział Dinin ze śmiechem. Tysiąc różnych pytań przeleciało Drizztowi przez głowę, pytań, na które musiał znaleźć odpowiedzi. Szczególnie jedno płonęło mu teraz przed oczami.

- Gdzie był tamtej nocy Zaknafein? - zapytał.

- W kaplicy Domu DeVir, oczywiście - odrzekła Vierna. - Zaknafein świetnie się odnajduje w tej roli.

Drizzt zatoczył się, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Wiedział, że Zak zabijał już drowy, zabijał kapłanki Lloth, ale Drizzt przyjmował, że fehmistrz działał zawsze z konieczności, w samoobronie.

- Powinieneś okazywać swemu bratu więcej szacunku - skarciła go Vierna. - Wyciągnąć broń przeciwko Dininowi! Zawdzięczasz mu swe życie!

- Wiesz o tym? - roześmiał się Dinin, rzucając Yiemie zaciekawione spojrzenie.

- Byliśmy tamtej nocy połączeni - przypomniała mu Vierna. - Oczywiście, że wiem.

- O czym wy mówicie? - zapytał Drizzt, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Miałeś być trzecim synem w rodzinie - wyjaśniła Yiema. - Trzecim żyjącym synem.

- Słyszałem o moim bracie Nal... - imię ugrzęzło Drizztowi w gardle, kiedy zaczął wszystko rozumieć. O Nalfeinie wiedział jedynie to, że został zabity przez innego drowa.

- W czasie studiów w Arach - Tinilith dowiesz się, że trzeci synowie są zwykle poświęceni Lloth - kontynuowała Vierna. - Tak miało być z tobą. W nocy, kiedy się urodziłeś, w nocy, kiedy Dom Do'Urden walczył z Domem DeVir, Dinin awansował na miejsce najstarszego syna - rzuciła bratu chytre spojrzenie, krzyżując dumnie ramiona na piersiach.

- Mogę teraz o tym mówić - uśmiechnęła się Vierna do Dinina, który skinał głową. - Wydarzyło się to zbyt dawno temu, by można było w jakikolwiek sposób karać Dinina.

- O czym wy mówicie? - pytał Drizzt. Zaczęła go ogarniać panika. - Co zrobił Dinin?

- Wbił miecz w plecy Nalfeina - powiedziała spokojnie Vierna. Drizzt prawie zwymiotował. Ofiara? Morderstwo? Zniszczenie rodziny, nawet dzieci? O czym oni mówili?

- Okazuj szacunek swemu bratu! - rozkazała Vierna. - Zawdzięczasz mu życie.

- Ostrzegam was obu - szepnęła, patrząc na Drizzta i łamiąc zadowolenie Dinina. - Dom Do'Urden może znaleźć się w stanie wojny. Jeśli któryś z was zaatakuje drugiego, ściągnięcie na siebie gniew swoich siostr i Opiekunki Malice - czterech wysokich kapłanek. - Pewna, że jej groźba

była wystarczająca, Yiema odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

- Pójdę już - wyszeptał Drizzt, chcąc schować się w jakimś ciemnym kącie.

- Pójdiesz, kiedy cię odeślę! - rzucił Dinin. - Pamiętaj, gdzie twoje miejsce, Drizzcie Do'Urden, w Akademii i w rodzinie.

- Tak jak ty pamiętałeś o swoim i Nalfeina?

- Bitwa przeciwko DeVir została wygrana - odpowiedział Dinin, nie czując się obrażony. - Mój czyn nie wystawił rodziny na niebezpieczeństwo.

Drizzta ogarnęła kolejna fala obrzydzenia. Czuł się tak, jakby podłoga unosiła się, by go połknąć i niemal miał nadzieję, że tak się stanie.

- Żyjemy w trudnym świecie - powiedział Dinin.

- Takim go czynimy - odparował Drizzt. Chciał mówić dalej, mówić o Pajęczej Królowej i niemoralnej religii, która sankcjonuje takie niszczycielskie i zdradzieckie czyny. Powstrzymał się jednak. Dinin chciał jego śmierci, teraz to rozumiał. Drizzt rozumiał również, że jeśli da swemu bratu pretekst, by obrócić przeciwko niemu kobiety rodziny, Dinin z niego skorzysta.

- Musisz się nauczyć - powiedział Dinin, panując już nad sobą - akceptować rzeczywistość, w jakiej żyjesz. Musisz nauczyć się rozpoznawać swych wrogów i niszczyć ich.

- Wszystkimi dostępnymi środkami - stwierdził Drizzt.

- Jak prawdziwy wojownik! - odpowiedział Dinin ze złym śmiechem.

- Czy naszymi wrogami są elfy drowy?

- Jesteśmy drowami wojownikami! - oznajmił twardo Dinin. - Robimy co konieczne, by przeżyć.

- Jak to zrobiliście w noc moich narodzin - rozumował Drizzt, choć teraz nie było już wściekłości w jego zrezygnowanym głosie. - Byliście wystarczająco sprytni, by uszło wam to płazem.

Odpowiedź Dinina, choć oczekiwana, bardzo zabolęła młodszego drowa.

- To się nigdy nie stało.

15

PO CIEMNEJ STRONIE

Jestem Drizzt...

- Wiem, kim jesteś - odpowiedział mag student, nauczyciel Drizzta w Sorcere. - Twoja reputacja cię wyprzedza. Większość członków Akademii słyszała o tobie i o twym talencie. Drizzt pokłonił się nisko, nieco zawstydzony.

- Ten talent nie na wiele ci się tu przyda - kontynuował mag. - Mam przeszkolić cię w sztukach magii, ciemnej stronie magii, jak ją nazywamy. To sprawdzian twego umysłu i serca. Broń z metalu nie znajdzie tu zastosowania. Magia to prawdziwa moc naszego ludu!

Drizzt przyjął te słowa bez komentarza. Wiedział, że cechy, które chwalił młody mag, były również nieodłącznymi cechami prawdziwego wojownika. Atrybuty fizyczne odgrywały niewielką rolę w stylu walki Drizzta. Silna wola i doskonałe manewry, wszystko to, co jak sądził mag, mogli posiadać tylko czarodzieje, pomagało Drizztowi wygrać wszystkie jego walki.

- Pokażę ci przez następne miesiące wiele cudów - ciągnął mag. - Artefakty przerastające twą wyobraźnię i czary o mocy, jakiej nigdy nie widziałeś!

- Czy poznam twoje imię? - zapytał Drizzt, próbując nadać swemu głosowi ton podziwu. Drizzt dowiedział się już całkiem sporo o magii od Zaknafeina, głównie o słabościach osób nią władających. Ponieważ magia była przydatna również w czasie pokoju, czarodzieje cieszyli się wysoką pozycją w społeczeństwie, tuż za kapłankami Lloth. To w końcu czarodzieje rozpalali Narbondel, zegar miasta i to czarodzieje rozpalali ogień faerie na rzeźbach i domach.

Zaknafein nie darzył czarodziejów szacunkiem. Potrafili zabijać szybko i na odległość, ale kiedy się do nich podeszło, nie potrafili obronić się przed mieczem.

- Masoj - powiedział Mag. - Masoj Hun'ett z Domu Hun'ett, rozpoczynam trzydziesty i ostatni rok studiów. Wkrótce zostanę pełnoprawnym czarodziejem Menzoberranzan i otrzymam wszelkie przywileje związane z tym stanowiskiem.

- Witaj zatem, Masoju Hun'ett - odrzekł Drizzt. - Ja też mam jeszcze rok nauki w Akademii, bowiem wojownicy spędzają w niej tylko dziesięć lat.

- Pomniejszy talent - zauważył szybko Masoj. - Czarodzieje studiują trzydzieści lat, zanim w ogóle uzna się ich za zdolnych do uprawiania tej sztuki.

Raz jeszcze Drizzt przyjął zniewagę ze spokojem. Chciał już mieć tę część szkolenia za sobą, a potem zakończyć rok i raz na zawsze wydostać się z Akademii.

* * *

Drizzt uznał, że sześć miesięcy pod kierunkiem Masoja były jego najlepszym okresem w Akademii. Nie to, żeby zależało mu na Masoju, czarodziej bowiem ciągle szukał okazji, by pokazać Drizztowi jego niższość. Drizzt czuł, że między nim a Masojem istnieje rodzaj współzawodnictwa, jakby mag przygotowywał ich do przyszłego konfliktu. Młody wojownik radził sobie z tym i próbował wynieść z lekcji, ile tylko się dało.

Drizzt odkrył, że radzi sobie z magią całkiem nieźle. Każdy drow, również wojownik, posiadał w pewnym stopniu talent magiczny i nieco wrodzonych zdolności. Nawet dzieci drowów potrafiły przywoływać kule ciemności lub otoczyć sylwetkę przeciwnika pierścieniem nieszkodliwych płomieni. Drizzt z łatwością korzystał z tych umiejętności, a po kilku tygodniach udało mu się wykonać kilka sztuczek i rzucić parę pomniejszych czarów.

Mroczne elfy wśród swych wrodzonych zdolności posiadały także odporność na magiczne ataki i to właśnie Zaknafein uznawał za największą słabość czarodziejów. Czarodziej mógł rzucić najpotężniejszy ze swoich czarów, ale jeśli ofiarą był elf drow, mogło się okazać, że cały wysiłek

poszedł na marne. Pewność dobrze wymierzonego cięcia zawsze bardziej pociągała Zaknafaína, po tym zaś, jak Drizzt zobaczył kilka nieudanych czarów podczas pierwszych tygodni z Masojem, zaczął doceniać lekcje, które otrzymał.

Czerpał mimo tego wiele radości z lekcji, których udzielał mu Masoj, szczególnie z władania magicznymi przedmiotami zgromadzonymi w wieży Sorcere. Drizzt posługiwał się różdżkami i laskami o niezwykłej mocy i przećwiczył kilka ataków mieczem tak magicznym, że dłonie swędziły od trzymania jego rękojeści.

Masoj również przyglądał się uważnie Drizztowi w czasie szkolenia, badając każdy jego ruch, szukając jakiejś słabej strony, którą mógłby wykorzystać, gdyby Dom Hun'ett i Dom Do'Urden miały znaleźć się w stanie wojny. Masoj kilkakrotnie miał okazję do wyeliminowania Drizzta i czuł w sercu, że byłoby to mądre posunięcie. Ale instrukcje, które otrzymał od Opiekunki SiNafay, były jasne i niezmiennie.

Matka Masoja w sekrecie doprowadziła do tego, że został on instruktorem Drizzta. Takie sytuacje zdarzały się często, szkolenia dla wojowników przeprowadzali pojedynczo studenci wyższych lat Sorcere. Kiedy powiedziała Masojowi o tym układzie, przypomniła mu również szybko, że jego spotkania z młodym Do'Urden mają być tylko rozpoznaniem. Nie wolno mu było robić niczego, co mogłoby choćby zasugerować, że konflikt między domami nastąpi wkrótce. Masoj miał na tyle rozumu, by się nie sprzeciwiać.

Był jednak jeszcze jeden czarodziej, kryjący się w cieniach, tak zdesperowany, że nawet ostrzeżenia matki opiekunki nie mogły go powstrzymać.

* * *

- Mój uczeń Masoj poinformował mnie o postępach, które czynisz - powiedział pewnego dnia Drizztowi Alton DeVir.

- Dziękuję, Mistrzu Pozbawiony Twarzy - odpowiedział z wahaniem Drizzt, nieco przerażony tym, że mistrz Sorcere zaprosił go na prywatną audiencję.

- Jak odbierasz magię, młody wojowniku? - zapytał Alton. - Czy Masoj wywarł na tobie wrażenie?

Drizzt nie wiedział, co odpowiedzieć. W istocie magia nie wywarła na nim wrażenia jako profesja, ale nie chciał obrazić uprawiającego ją mistrza.

- Czuję, że ta sztuka przekracza moje możliwości - powiedział taktownie. - Dla innych to potężna broń, aleja czuję, że moje talenty bliżej są związane z mieczem.

- Czy twoją bronią mógłbyś pokonać kogoś władającego magią? - syknął Alton. Szybko ugryzł się w język, nie chcąc zdradzić swych zamiarów.

Drizzt wzruszył ramionami.

- Każdy ma swoje miejsce w walce - odpowiedział. - Kto mógłby stwierdzić, że ktoś jest potężniejszy? Jak w każdej walce, zależałoby to od walczących.

- A co z tobą? - kusił Alton. - Pierwszy w klasie, rok po roku. Mistrzowie Melee - Magthere wysoko sobie cenią twój talent.

Raz jeszcze Drizzt zaczerwienił się ze wstydu. Coraz bardziej interesowało go, skąd mistrz i uczeń z Sorcere tyle o nim wiedzą.

- Czy zdołałbyś odeprzeć atak magicznych mocy? - zapytał Alton. - Wykonany przez, powiedzmy, mistrza Sorcere?

- Nie... - zaczął Drizzt, ale Alton za bardzo był pogrążony we własnych słowach, by w ogóle go usłyszeć.

- Dowiedzmy się zatem! - krzyknął Pozbawiony Twarzy. Wyciągnął cienką różdżkę i skierował w Drizzta błyskawicę.

Drizzt rzucił się na ziemię, zanim jeszcze różdżka wypaliła. Błyskawica wyłamała drzwi najwyższej z komnat Altona i wpadła do sąsiedniego pomieszczenia, tłukąc naczynia i osmalając ściany.

Drizzt wstał z podłogi w innej części pokoju, trzymając już gotowe sejmitary. Ciągle nie był pewien zamiarów mistrza.

- Ilu uda ci się uniknąć? - drwił Alton, zataczając różdżką kręgi. - A co z innymi czarami, którymi dysponuję - atakującymi umysł, a nie ciało?

Drizzt starał się pojąć cel tej lekcji i swoją w niej rolę. Czy miał zaatakować mistrza?

- To nie są ćwiczebne ostrza - ostrzegł, wyciągając przed siebie sejmitary.

Kolejna błyskawica ryknęła, zmuszając Drizzta do kolejnego uniku.

- A czy to są ćwiczenia, głupi Do'Urdenie? - warknął Alton. - Czy wiesz, kim jestem?

Nadszedł czas zemsty Altona - do diabła z rozkazami Opiekunki SiNafay!

Kiedy Alton miał właśnie wyjawić prawdę Drizztowi, za jego plecami pojawiła się ciemna postać i powaliła go na ziemię. Mistrz próbował uciec, ale do podłogi przygniatała go wielka, czarna pantera.

Drizzt opuścił czubki mieczy, nie potrafił zrozumieć, co się tu działo.

- Wystarczy, Guenhwyar! - rozległ się głos za Altonem. Za leżącym mistrzem i wielką kocicą stał Masoj.

Pantera posłusznie zesza z Altona i podeszła do swego pana. Zatrzymała się pod drogą, by spojrzeć na Drizzta, który stał w gotowości na środku pokoju.

Drizzt był tak oczarowany bestią, płynnym ruchem jej mięśni i inteligencją lśniąca w jej oczach, że nie zwrócił w ogóle uwagi na mistrza, który przed chwilą go atakował, choć Alton właśnie wstawał z podłogi, najwyraźniej przygnębiony.

- Mój zwierzak - wyjaśnił Masoj. Drizzt patrzył z zachwytem, jak Masoj odsyła kocicę do jej świata, zamykając ją w maleńkiej onyksowej figurce, którą trzymał w dłoni.

- Skąd masz taką towarzyszkę? - zapytał Drizzt.

- Nigdy nie lekceważ mocy magii - odrzekł Masoj, wkładając figurkę do głębokiej kieszeni. Jego uśmiech zmienił się w gniewny grymas, kiedy przeniósł spojrzenie na Altona.

Drizzt również spojrzał na pozbawionego twarzy mistrza. Fakt, że uczeń zaatakował mistrza wydał się młodemu wojownikowi bardzo dziwny. Sytuacja z każdą minutą stawała się coraz bardziej zagadkowa.

Alton wiedział, że przekroczył granicę i że będzie musiał zapłacić wysoką cenę za swą głupotę, jeśli nie znajdzie sposobu na wyplątanie się z tego.

- Czy pojąłeś dzisiejszą lekcję? - zapytał Masoj Drizzta, choć Alton wiedział, że pytanie skierowane było do niego.

Drizzt potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, po co to wszystko było - powiedział szczerze.

- Pokaz słabości magii - wyjaśnił Masoj, próbując ukryć prawdę o tym starciu. - By pokazać ci, w jak niekorzystnej sytuacji stawia się mag, będąc pod zbyt wielkim wpływem emocji. By pokazać ci słabość maga ogarniętego obsesją - spojrzał na Altona - rzucania czarów. Słabości, jaka pojawia się, gdy czarodziejowi bardzo zależy na pokonaniu ofiary.

Drizzt zorientował się od razu, że jest to kłamstwo, ale nie mógł zrozumieć, co oznaczały wydarzenia tego dnia. Dlaczego zaatakował go mistrz Sorcere? Dlaczego Masoj, ciągle przecież student, tak ryzykował, by go obronić?

- Nie zajmujemy już czasu mistrza - powiedział Masoj, mając nadzieję, że uda mu się rozproszyć ciekawość Drizzta. - Chodź ze mną do sali treningowej. Pokażę ci Guenhwyvar, moje magiczne zwierzę.

Drizzt popatrzył na Altona, zastanawiając się, co zrobi teraz nieprzewidywalny mistrz.

- Idź - powiedział spokojnie Alton, wiedząc, że kłamstwo, którym zasłonił go Masoj będzie również jego jedyną ochroną przed gniewem adoptowanej matki opiekunki. - Jestem pewien, że dzisiejsza lekcja dużo dała - powiedział, patrząc na Masoja.

Drizzt spojrzał znowu na Masoja, a potem jeszcze raz na Altona. Nie odzywał się już, chcąc dowiedzieć się więcej o Guenhwyvar.

* * *

Kiedy Masoj i Drizzt znaleźli się sam na sam, pierwszy z nich wyjął polerowaną figurkę o kształcie pantery i wezwał do siebie Guenhwyvar. Mag odetchnął spokojniej, kiedy pokazał kocicę Drizztowi, bo ten nie mówił już nic o incydencie z Altonem.

Drizzt nigdy wcześniej nie natknął się na równie piękny magiczny przedmiot. Wyczuwał w Guenhwyvar siłę i godność, które leżały w naturze magicznego zwierzęcia. Smukłe mięśnie i pełne gracji ruchy uosabiały umiejętność polowania, którą tak wysoko ceniły drowy. Drizzt był pewien, że mógłby się wiele nauczyć patrząc po prostu na kocicę.

Masoj pozwolił im bawić się i uprawiać razem zapasy przez kilka godzin, wdzięczny, że

Guenhwyvar pomogła mu wyrównać szkodę, której dokonał Alton.

Drizzt zapomniał już o spotkaniu z pozbawionym twarzy mistrzem.

* * *

- Opiekunka SiNafay nie byłaby wyrozumiała - ostrzegł Altona Masoj, kiedy później tego dnia zostali sami.

- Powiesz jej - stwierdził spokojnie Alton. Był tak sfrustrowany tym, że nie udało mu się zabić Drizzta, że prawie go to nie obchodziło.

Masoj pokręcił głową.

- Ona nie musi wiedzieć.

Na zniekształconej twarzy Altona pojawił się podejrzliwy uśmiech.

- Czego chcesz? - zapytał nieśmiało. - Niedługo kończysz studia. Co jeszcze mógłby zrobić mistrz dla Masoja?

- Nic - odpowiedział Masoj. - Niczego od ciebie nie chcę.

- Dlaczego zatem? - nalegał Alton. - Nie chcę, by ciągnęły się za mną jakieś długi. Z tym wydarzeniem musimy coś zrobić, tutaj i teraz!

- Już po wszystkim - odrzekł Masoj. Alton nie był jednak przekonany.

- Co osiągnę, mówiąc Opiekunce SiNafay o twojej głupocie? - dowodził Masoj. - Prawdopodobnie cię zabije, a wtedy nadchodząca wojna z Do'Urden nie miałaby podstaw. Jesteś ogniwem, którego potrzebujemy, by usprawiedliwić atak. Pragnę tej bitwy. Nie zaryzykuję jej dla nikłej przyjemności, jaką znalazłbym w torturowaniu cię.

- Byłem głupi - przyznał Alton. - Nie planowałem śmierci Drizzta, kiedy go tu wzywałem, chciałem go tylko zobaczyć i dowiedzieć się czegoś o nim, bym mógł bardziej się cieszyć, kiedy nadejdzie czas jego śmierci. Ale kiedy zobaczyłem go przed sobą, przeklętego Do'Urdena...!

- Rozumiem - powiedział szczerze Masoj. - Patrząc na niego czułem dokładnie to samo.

- Nie masz osobistej urazy do Domu Do'Urden.

- Nie do domu - wyjaśnił Masoj. - Do niego! Obserwowałem go od prawie dekady, studiowałem jego ruchy i podejście do życia.

- Nie podoba ci się to, co zobaczyłeś? - zapytał Alton z nadzieją w głosie.

- On tu nie pasuje - odrzekł ponuro Masoj. - Po sześciu miesiącach u jego boku czuję, że znam go słabiej niż kiedykolwiek. Nie okazuje ambicji, a jednak zwyciężał w wielkiej walce przez dziewięć lat z rzędu. To się nigdy nie zdarzyło! Ma również talent do magii - mógłby być czarodziejem, bardzo potężnym czarodziejem, gdyby zdecydował się na ten tok studiów.

Masoj zacisnął pięści, szukając słów, które przekazałyby jego prawdziwe uczucia do Drizzta.

- To wszystko jest dla niego takie łatwe - powiedział. - Nie ma w jego czynach poświęcenia, żadnych blizn, które oznaczałyby jego ciężką pracę na drodze wybranej profesji.

- Ma talent - zauważył Alton. - Ale ćwiczysz ciężiej niż ktokolwiek, kogo widziałem.

- Nie o to chodzi - jęknął sfrustrowany Masoj. W Drizzcie Do'Urden było coś znacznie mniej uchwytne, co denerwowało młodego Hun'ett. Nie wiedział w tej chwili, co to takiego, bo nigdy nie spotkał tego u żadnego mrocznego elfa i dlatego, że jemu samemu było to tak obce. Tym, co martwiło Masoję oraz innych uczniów i mistrzów, był fakt, że Drizzt poznał wszystkie tajniki walki, którą drowy tak wysoko ceniły, ale nie oddał w zamian swojej pasji. Drizzt nie zapłacił ceny, którą płacili inne dzieci drowów na długo przed tym, zanim wstąpiły do Akademii.

- To nieważne - powiedział Masoj po kilku minutach milczenia. - Dowiem się więcej o młodym Do'Urden, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

- Myślałem, że zakończyłeś ćwiczenia z nim - powiedział Alton. - Idź do Arach - Tinilith na ostatnie sześć miesięcy treningów, a tam się nie dostaniesz.

- Obaj kończymy studia za te sześć miesięcy - wyjaśnił Masoj. - Będziemy razem służyć w siłach patrolowych.

- Wielu się w nich znajdzie - przypomniał mu Alton. - Tuziny patroli przemierzają korytarze w tej okolicy. Możesz nawet nie zobaczyć Drizzta w ciągu najbliższych lat.

- Już zatroszczyłem się o to, byśmy służyli w tej samej grupie - odrzekł Masoj. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej figurkę pantery.

- Porozumienie między tobą a młodym Do'Urdenem - zrozumiał Alton i uśmiechnął się z podziwem.

- Wygląda na to, że Drizztowi spodobał się mój zwierzak - zaśmiał się Masoj.

- Może za bardzo? - ostrzegł Alton. - Trzymaj sejmity z dala od swoich pleców.

Masoj roześmiał się na głos.

- Może to nasz przyjaciel Do'Urden powinien trzymać z dala od swoich pleców pazury pantery!

16

ŚWIĘTOKRADZTWO

Ostatni dzień - westchnął Drizzt z ulgą, przymierzając ceremonialne szaty. O ile pierwszych sześć miesięcy ostatniego roku, kiedy poznawał tajniki magii w Sorcere uznawał za najlepsze, ostatnie sześć w szkole Lloth były najgorsze. Każdego dnia Drizzt i jego koledzy musieli słuchać niekończących się hymnów pochwalnych na cześć Pajęczej Królowej, opowieści i proroctw o jej potędze i o nagrodach, jakie zsyłała na lojalnych wykonawców jej woli.

„Niewolników”, lepiej by było powiedzieć, bo nigdzie w tej wielkiej szkole bogini drowów nie słyszał słowa nawet odrobinę odpowiadającego znaczeniem słowu miłość. Jego lud czcił Lloth, kobiety w Menzoberranzan oddawały jej każdą chwilę swego życia. Ich poświęcenie było jednak powodowane egoizmem. Duchowne Pajęczej Królowej aspirowały do urzędu wysokiej kapłanki

tylko ze względu na związaną z nim władzę.

Sercu Drizzta wydawało się to bardzo złe.

Drizzt przeszedł przez sześć miesięcy w Arach - Tinilith ze swym zwykłym spokojem, patrząc pod nogi i nie odzywając się za wiele. Teraz, nareszcie, nadszedł ostatni dzień, Ceremonia Zakończenia, wydarzenie najdroższe drowom, podczas którego, jak obiecała mu Vierna, można ujrzeć prawdziwą chwałę. Lloth.

Drizzt wyszedł powoli ze swego małego, prosto urządzonego pokoju. Obawiał się, że ceremonia będzie dla niego osobistą próbą. Jak do tej pory bardzo niewielka część otaczającego go świata miała dla niego jakiś sens i zastanawiał się, pomimo zapewnień siostr, czy wydarzenia tego dnia naprawdę pozwolą mu spojrzeć na rzeczywistość tak, jak widzą ją jego pobratymcy. Obawy Drizzta zmieniły się w spowijającą go całego spiralę, z której nie potrafił się wyrwać.

Być może tak naprawdę bał się tego, że obietnica Yierny się sprawdzi.

Drizzt osłonił oczy, kiedy wchodził do ceremonialnej sali Arach - Tinilith. Na środku pomieszczenia płonął ogień, w ósmionogim palenisku, które ukształtowano - jak wszystko tutaj - na podobieństwo pająka. Mistrzynie, opiekunka Akademii oraz dwanaście pozostałych wysokich kapłanek, służących jako instruktorki w Arach - Tinilith, wśród nich siostra Drizzta, usiadły ze skrzyżowanymi nogami w kręgu wokół paleniska. Drizzt i jego koledzy ze szkoły wojowników usiedli za nimi wzdłuż ścian.

- *Ma ku!* - rozkazała mistrzyni opiekunka, a wszystkie dźwięki poza trzaskiem ognia umilkły. Drzwi do pokoju otworzyły się ponownie i weszła przez nie młoda kapłanka. Miała być pierwszą, która ukończy w tym roku Arach - Tinilith, jak powiedziano Drizztowi, najlepszą studentką szkoły Lloth. Tak więc miał jej przypaść największy zaszczyt tej ceremonii. Zdjęła szaty i naga weszła do kręgu kapłanek, po czym stanęła blisko płomieni, plecami do mistrzyni opiekunki.

Drizzt zagryzł wargę, zawstydzony i nieco podniecony. Nigdy nie widział kobiety w takim świetle i podejrzewał, że pot na jego czole miał inne źródło niż gorąco bijące od paleniska. Szybkie spojrzenie po pokoju powiedziało mu, że jego koledzy muszą czuć to samo.

- *Bae - go si 'n 'ee calamay* - wyszeptała mistrzyni opiekunka, a z paleniska wydobył się czerwony dym, pogrążając pomieszczenie w półmroku. Miał charakterystyczny zapach, ciężki i słodki. Kiedy Drizzt wdychał aromatyczne powietrze, poczuł, jakby stał się lżejszy i miał niedługo oderwać się od podłogi!

Płomienie w palenisku nagle strzeliły wyżej, zmuszając Drizzta do odwrócenia wzroku od blasku. Kapłanki rozpoczęły rytualną inkantację, choć słowa były Drizztowi nieznane. Nie zwracał na nie zresztą uwagi, był bowiem bardziej zajęty utrzymaniem własnych myśli, które rozpląwały się pod wpływem oszałamiającej mgiełki.

- *Glabezu* - jęknęła mistrzyni opiekunka, a Drizzt rozpoznał wezwanie, imię mieszkańca niższych planów. Spojrzał na rozgrywające się w pokoju wydarzenia i zobaczył, że mistrzyni

opiekunka trzyma w dłoni wężowy bat.

- Skąd ona go wzięła? - wymamrotał Drizzt, a potem zorientował się, że powiedział to na głos i miał nadzieję, że nie zakłócił uroczystości. Ulżyło mu, kiedy rozejrzał się wokół i zobaczył, że wielu jego kolegów mamrocze do siebie, a niektórzy z trudem utrzymują równowagę.

- Wezwij go - powiedziała mistrzyni opiekunka do studentki. Młoda kapłanka z ociąganiem rozłożyła ramiona i wyszeptala

- Glabezu.

Płomienie tańczyły na krawędzi paleniska. Dym dmuchnął Drizztowi w twarz, zmuszając do zaciągnięcia się. Jego nogi stały się zupełnie bezwładne, choć jednocześnie wydały mu się bardziej czułe, żywsze niż kiedykolwiek wcześniej.

- *Glabezu* - usłyszał, jak studentka powtarza to głośniej, usłyszał również ryk płomieni. Otoczyła go jasność, ale z jakiegoś powodu nie przejął się tym zbyt. Błądził wzrokiem po pokoju, nie mogąc się na niczym skoncentrować, nie mogąc dopasować dziwnych, tańczących postaci do słów ceremonii.

Usłyszał, jak wysoka kapłanka dyszy i domyślił się, że przywołanie dobiegnie zaraz końca. Usłyszał trzask wężowego bata i krzyki studentki „*Glabezu!*”, tak pierwotne, tak potężne, że przesywały Drizzta i innych mężczyzn na wylot. Płomienie usłyszały wezwanie. Strzelały wyżej i wyżej, a potem zaczęły przybierać pewien kształt. Jeden widok przykuł uwagę wszystkich obecnych w pokoju - i miał zatrzymać ją na długo. Wielki łeb psa o rogach kozy pojawił się wśród płomieni, najwyraźniej przyglądając się młodej drowce, która odważyła się wymówić jego imię.

Gdzieś za postacią z innego wymiaru trzasnął bat, a studentka powtórzyła wezwanie, błaganie, modlitwę.

Wielki mieszkaniec niższych wymiarów wyszedł z płomieni. Aura zła otaczająca istotę zmroziła Drizzta. Glabezu miał ponad dwa i pół metra wzrostu, a wydawał się znacznie większy, z jego muskularnymi ramionami, zakończonymi szczypcami zamiast dłoni i drugą parą mniejszych ramion, zwykłych, które wyrastały mu ze środka klatki piersiowej.

Instynkt Drizzta podpowiedział mu, by zaatakował potwora i uratował studentkę, ale kiedy rozejrzał się w poszukiwaniu wsparcia, odkrył, że mistrzyni opiekunka i reszta nauczycielek pogrążyła się znowu w inkantacji, tym razem w każdym słowie okazując podniecenie.

Drizzt zatrzęsł się, z trudem panując nad sobą, a jego wściekłość walczyła z dezorientującym dymem, który wdychał. Instynktownie sięgnął do pasa po rękojeści sejmitarów.

Wtedy jego nogi dotknęła czyjaś dłoń.

Spojrzał w dół i zobaczył kapłankę, która prosiła, by się z nią połączył - co zaczęli robić wszyscy w pomieszczeniu.

Dym nadal na niego działał.

Kapłanka kusiła go, jej palce delikatnie drapały skórę jego nogi.

Drizzt przeczesał jej gęste włosy, próbując znaleźć w tym zamieszaniu jakiś stały punkt. Nie podobała mu się ta utrata kontroli, ta ocieężałość umysłowa, która odebrała mu refleks i czujność.

Jeszcze mniej podobała mu się scena rozgrywająca się wokół. Jego dusza podpowiadała mu, że dzieją się tu złe rzeczy. Wyrwał się z uścisku kapłanki i przeszedł zataczając się przez pokój, potykając się o zajęte sobą pary. Dostał się do wyjścia tak szybko, jak pozwoliły mu płaczące się nogi, a potem zamknął za sobą drzwi.

Drizzt oparł się ciężko o chłodną, kamienną ścianę, trzymając się za brzuch. Nie zatrzymał się nawet, by zastanowić się, co właściwie zrobił, wiedział tylko, że musi się wydostać ze wstrętnego pokoju.

Tuż za nim wyszła Vierna w rozpiętej sukni. Drizzt, który dochodził powoli do siebie, zaczął zastanawiać się, jaką cenę będą miały jego czyny. Spojrzał w twarz siostry, na której ku swemu zdziwieniu nie dostrzegł pogardy.

- Wolisz być na osobności - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Drizzta. Nie uczyniła ruchu, by okryć odsłonięte ciało. - Rozumiem.

Drizzt złapał ją za rękę i odepchnął od siebie.

- Co to za szaleństwo? - krzyknął.

Twarcz Yierny wykrzywiła się, kiedy zaczęła rozumieć, dlaczego jej brat opuścił ceremonię.

- Odmawiasz wysokiej kapłance! - syknęła. - Zgodnie z prawem mogłaby cię zabić za nieposłuszeństwo!

- Nawet jej nie znam - odpalił Drizzt. - Czy mam...

- Masz zrobić to, co ci kazano!

- Nie chcę jej - wyjąkał Drizzt. Odkrył, że nie może uspokoić rąk.

- A myślisz, że Zaknafain chciał Opiekunkę Malice? - odrzekła Vierna, wiedząc, że odwołanie do jego bohatera z pewnością zaboli Drizzta. Widząc, że rzeczywiście zadała ból swemu bratu, Vierna złagodziła ton swego głosu i wzięła go za ramię.

- Chodź z powrotem do pokoju - szepnęła. - Jest jeszcze czas. Zimne spojrzenie Drizzt zatrzymało ją w miejscu niczym czubek sejmitarów.

- Pajęcza Królowa jest boginią naszego ludu - przypomniała mu Vierna. - Jestem jedną z tych, które przekazują jej wolę.

- Nie byłbym z tego taki dumny - odrzekł Drizzt, trzymając się swego gniewu, który pozwalał mu odeprzeć falę strachu, która mogła go złamać.

Vierna uderzyła go w twarz.

- Wracaj na ceremonię! - zażądała.

- Całuj pająka w nos - odrzekł Drizzt. - I niech jego szczypce wyrwą ci język z ust.

Teraz to Vierna nie mogła uspokoić ruchów rąk.

- Powinieneś uważać, co mówisz do wysokiej kapłanki - ostrzegła.

- Do diabła z twoją Pajęczą Królową! - syknął Drizzt. - Zresztą jestem pewien, że sam ją zabrał wieki temu!

- Ona daje nam moc! - zaskrzeczała Vierna.

- Kradnie nam wszystko, co czyni nas bardziej wartościowymi od kamieni, po których chodzimy! - odkrzyknął Drizzt.

- Świętokradca! - zadrwiła z niego Vierna, a słowo wysunęło się z jej ust jak wężowy bat mistrzyni opiekunki.

Złowrogi, przerażony krzyk rozległ się gdzieś w środku pokoju.

- Związek zła - wymamrotał Drizzt, odwracając głowę.

- Jest w tym cel - odrzekła Vierna, szybko odzyskując panowanie nad sobą.

Drizzt spojrział na nią oskarżycielsko.

- Czy miałaś podobne doświadczenia?

- Jestem wysoka kapłanką - brzmiała krótka odpowiedź. Ciemność otoczyła Drizzta, a fala wściekłości był tak silna, że niemal pozbawiła go przytomności.

- Podobało ci się?

- Dało mi moc - warknęła Vierna. - Nie pojdziesz tego.

- A co cię to kosztowało?

Cios Vierny niemal przewrócił go na ziemię.

- Chodź ze mną - powiedziała, łapiąc go za koszulę. - Jest miejsce, które chcę ci pokazać.

Wyszli z budynku Arach - Tinilith i przeszli przez dziedziniec Akademii. Drizzt zawahał się, kiedy doszli do kolumn, które oznaczały wejście do Tier - Breche.

- Nie mogę przejść między nimi - przypomniał swej siostrze. - Nie skończyłem jeszcze Melee - Magthere.

- To formalność - odrzekła Vierna, nie zwalniając kroku. - Jestem mistrzynią w Arach - Tinilith. Mogę sama dać ci dyplom.

Drizzt nie był pewien, czy Vierna mówi prawdę, ale naprawdę była mistrzynią w Arach - Tinilith. O ile obawiał się postanowień Akademii, nie chciał ponownie rozgniewać Yierny.

Szedł za nią do podstawy kamiennych schodów, a potem wijącymi się uliczkami miasta.

- Do domu? - odważył się zapytać po chwili.

- Jeszcze nie - usłyszał krótką odpowiedź. Drizzt nie zadawał już więcej pytań.

Skęcili gwałtownie przy wschodniej ścianie wielkiej jaskini i doszli do wejścia do trzech wąskich tuneli, z których wszystkie chronione były przez wielkie skorpiony. Vierna zatrzymała się na chwilę, by zastanowić się, którądy powinna iść i ruszyła dalej, wchodząc w najmniejszy z tuneli.

Minuty zmieniły się w godzinę, a oni ciągle szli. Korytarz poszerzył się i wkrótce doprowadził ich do katakumb krzyżujących się chodników. Drizzt szybko stracił orientację, ale Vierna szła bardzo pewnie.

Potem, za niskim łukiem podłoga gwałtownie opadła, a oni znaleźli się na wąskiej półce wiszącej nad szeroką rozpadliną. Drizzt spojrział na siostrę z zaciekawieniem, ale nie odezwał się, widząc, że właśnie pogрузzyła się w głębokiej koncentracji. Wymamrotała kilka prostych rozkazów, a potem puknęła sobie i Drizzta w czoło.

- Chodź - rozkazała, a potem oboje spłynęli na podłogę rozpadliny.

Kamienie otulone były lekką mgiełką, płynącą z niewidocznego gorącego źródła. Drizzt czuł niebezpieczeństwo i zło. Niegodziwość wisiała tu w powietrzu jak mgła.

- Nie obawiaj się - pokazała mu gestami Vierna. - Rzuciłam na nas czar maskujący. Nie widzą nas.

- Oni? - zapytały dłonie Drizzta, ale zanim jeszcze dokończył pytanie, usłyszał gdzieś z boku szuranie. Spojrział w tamtym kierunku i zobaczył wieki gład, na którym siedziała nieszczęsna postać.

Z początku Drizzt myślał, że to drow i od pasa w górę rzeczywiście był to mroczny elf, choć zniekształcony i blady. Jednak jego dolna część przypominała pająka o ośmiu pajęczych nogach, które wspierały odwłok. Istota trzymała w dłoniach napięty łuk, ale wydawała się zupełnie zdezorientowana, jakby nie potrafiła powiedzieć, czy coś weszło do jej leża.

Vierna wydawała się zadowolona z niesmaku, który pojawił się na twarzy jej brata.

- Przyjrzyj się mu dobrze, młodszy bracie - pokazała. - Zapamiętaj los tych, którzy rozniewają Pajęczą Królową.

- Co to jest? - zapytał gestami Drizzt.

- Drider - wyszeptała mu do ucha Vierna. A potem znowu językiem gestów dodała - Lloth nie jest łaskawą boginią.

Drizzt patrzył jak zahipnotyzowany, jak drider zmienia pozycję na głazie, rozglądając się w poszukiwaniu intruzów. Drizzt nie wiedział, czy był to mężczyzna, czy kobieta, tak bardzo był zniekształcony korpus istoty, ale wiedział, że nie miało to znaczenia. Istota nie była tworem naturalnym i nie pozostawi po sobie potomstwa, niezależnie od płci. Było to tylko umęczone ciało, nic więcej, nienawidzące siebie najprawdopodobniej bardziej niż czegokolwiek innego.

- Ja jestem łaskawa - kontynuowała Vierna, choć wiedziała, że uwaga jej brata skoncentrowana jest całkowicie na driderze. Oparła się wygodnie o kamienną ścianę.

Drizzt odwrócił się nagle rozumiejąc, co miała na myśli. Wtedy Vierna wtopiła się w kamień.

- Do widzenia, mały braciszku - powiedziała na pożegnanie. - I tak zasługujesz na coś gorszego.

- Nie! - ryknął Drizzt i rzucił się na pustą ścianę, po chwili czując ukąszenie wbijającej się w nogę strzały. Sejmitary błysnęły w jego dłoniach, kiedy odwracał się, by stawić czoła zagrożeniu. Drider celował właśnie, by strzelić raz jeszcze.

Drizzt chciał odskoczyć w bok i schronić się za jednym z głazów, ale zraniona noga stała się nagle sztywna i bezużyteczna. Trucizna.

Drizzt podniósł sejmitar w samą porę, by odbić drugą strzałę i opadł na kolano, by sprawdzić zranioną nogę. Czuł, jak trucizna dostaje się do krwi, ale z determinacją złamał drzewce strzały i skierował uwagę na dridera. Miał nadzieję, że trucizna nie jest śmiertelna. Teraz jego jedynym zmartwieniem było wydostać się ze szczeliny.

Rzucił się do ucieczki, szukając osłoniętego miejsca, z którego mógłby spokojnie polecieć na półkę, ale nagle znalazł się twarzą w twarz z innym driderem.

Topór zaciął go w ramię, o włos mijając się z celem. Drizzt zablokował powracające uderzenie i pchnął przeciwnika drugim sejmitem, który drider zatrzymał innym toporem.

Drizzt uspokoił się teraz i był pewien, że pokona tego przeciwnika, nawet przy ograniczeniu swobody poruszania się - w każdym razie do chwili, kiedy strzała wbiła się w jego plecy.

Drizzt runął do przodu od siły uderzenia, ale zdążył zatrzymać kolejny atak stojącego przed nim przeciwnika. Drizzt opadł na kolana, a potem twarzą na ziemię.

Kiedy dzierżący topór drider, myśląc, że Drizzt nie żyje, ruszył w jego kierunku, chłopak przetoczył się po ziemi tak, że znalazł się dokładnie pod brzuchem istoty. Pchnął sejmitem całą swoją siłą, a potem odsunął się, by nie oblały go soki dridera.

Ranny drider próbował ratować się ucieczką, ale upadł na bok, pokrywając kamienną podłogę swoimi wnętrznościami. Drizzt nie miał jednak nadziei. Również jego ramiona były teraz zdrętwiałe, a kiedy kolejna istota zbliżyła się do niego, nie miał jak z nią walczyć. Próbował nie stracić przytomności, szukając jakiegoś wyjścia, walcząc aż do gorzkiego końca. Powieki stały się ciężkie...

Wtedy Drizzt poczuł, jak jego szaty łapie jakaś dłoń, która potem stawia go ostro na nogi i rzuca o kamienną ścianę.

Otworzył oczy i zobaczył twarz siostry.

- Żyje - usłyszał jej słowa. - Musimy szybko wracać i zająć się jego ranami.

Zobaczył przed sobą kolejną postać.

- Myślałam, że to najlepszy sposób - przepraszała Vierna.

- Nie możemy sobie pozwolić na jego utratę - rozległa się obojętna odpowiedź. Drizzt rozpoznał głos z przeszłości. Zwalczył mgłę i zmusił się do koncentracji.

- Malice - wyszeptał. - Matka.

Jej wściekły cios przywrócił mu zmysły.

- Opiekunka Malice! - warknęła zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. - Nigdy o tym nie zapominaj!

Drizzt czuł, że jej chłód walczy z chłodem trucizny, a ulga, którą poczuł widząc ją, zniknęła szybko, kiedy zdał sobie sprawę, że zalewają go fale zimna.

- Musisz poznać swoje miejsce! - ryknęła Malice, powtarzając rozkazy, które prześladowały Drizzta przez całe życie. - Słuchaj mnie teraz - rozkazała, a Drizzt zaczął słuchać. - Vierna przyprowadziła cię tu na śmierć! Okazała ci łaskę! - Malice spojrzała zawiedziona na córkę. - Rozumiem wolę Pajęczej Królowej lepiej niż ona! - mówiła dalej opiekunka, przy każdym słowie opryskując Drizzta śliną. - Jeśli raz jeszcze powiesz złe słowo o Lloth, naszej bogini, sama cię tu przyprowadzę! Ale nie po to, by cię zabić, to by było za proste. - Wykręciła głowę Drizzta tak, by mógł zobaczyć groteskowe pozostałości dridera, którego zabił.

- Wrócisz tu - zapewniła go Malice - by zostać driderem.

CZEŚĆ 4

GUENHWYVAR

*Co to za oczy co widzą
Ból przeszywający mą dusze?
Co to za oczy co widzą
Kretę ścieżki mych krewniaków,
Idących śladem swoich zabawek:
Strzały, bełtu i miecza?
Twój... tak, twój,
Szybki bieg i prężne mięśnie,
Miękkie łapy, tnące pazury,
Broń, czekająca na okazje,
Splamiona krwią
Lub morderczą zdradą.
Twarzą w twarz, moje lustro,
Odbicie w nieruchomej sadzawce.
Chciałbym zatrzymać wizerunek
Mojej własnej twarzy.
Chciałbym zatrzymać serce
W piersi, by nie pękło.
Pozostań przy dumnym honorze swego ducha,*

*Potężna Guenhwyvar,
Pozostań u mego boku,
Najdroższa przyjaciółko.*

- Drizzt Do'Urden

17

POWRÓT DO DOMU

Drizzt ukończył szkołę - formalnie - w terminie i z najwyższą pozycją w klasie. Może Opiekunka Malice szepnęła słówko odpowiedniej osobie, łagodząc wybryk swego syna, ale Drizzt sądził, że nikt z obecnych na ceremonii nie pamiętał, że w ogóle wychodził.

Przeszedł przez ozdobną bramę Domu Do'Urden, ściągając na siebie spojrzenia zwykłych żołnierzy, a potem wznosił się na balkon.

- Jestem więc w domu - wyszeptał. - Cokolwiek to znaczy.

Po tym co się stało w leżu dridera, Drizzt zastanawiał się, czy Dom Do'Urden będzie jeszcze jego domem. Opiekunka Malice oczekiwała go. Nie odważył się spóźnić.

- Dobrze, że wróciłeś do domu - powiedziała Briza, kiedy zobaczyła, że wznosi się na balkon.

Drizzt przeszedł powoli obok swej najstarszej siostry, próbując dokładnie przyjrzeć się okolicy. Dom, powiedziała Briza, ale dla Drizzta Dom Do'Urden wydawał się tak obcy, jak Akademia pierwszego dnia nauki. Dziesięć lat nie stanowiło tak długiego czasu w życiu drowa, ale Drizzta ta dekada nieobecności bardzo oddaliła od tego miejsca.

Maya przyłączyła się do nich w wielkim korytarzu prowadzącym do przedsionka kaplicy.

- Witaj, Książę Drizzcie - powiedziała, a Drizzt nie wiedział, czy w jej głosie brzmiał sarkazm, czy nie. - Słyszeliśmy o zaszczytach, których dostąpiłeś w Melee - Magthere. Twój talent napawa Dom Do'Urden dumą. - Wbrew swym słowom Maya nie potrafiła ukryć szyderczego uśmiechu, kiedy kończyła myśl. - Rada jestem, że nie zostałeś pożywieniem driderów.

Spojrzenie Drizzt starło uśmiech z jej twarzy.

Maya i Briza wymieniły niepewne spojrzenia. Wiedziały o karze, jaką Vierna wymierzyła ich bratu, a także o tym, jak ostro skarciła go Opiekunka Malice. Obie położyły dłonie na rękojeściach węzowych batów, nie wiedząc, jak głupi lub niebezpieczny stał się ich młodszy brat.

Ale to nie przez Opiekunkę Malice lub siostry Drizzt rozglądał się uważnie, zanim postawił pierwszy krok. Wiedział, jak wyglądała sytuacja z jego matką i wiedział, jak jej nie rozgniewać. Był jednak inny członek rodziny, który wywoływał u Drizzta zarówno zmieszanie, jak i gniew. Ze wszystkich krewniaków tylko Zaknafein udawał kogoś, kim nie był. Idąc do kaplicy Drizzt rozglądał się nerwowo, zastanawiając się, kiedy wreszcie zobaczy Zaka.

- Kiedy wyruszasz na patrol? - zapytała Maya, wyrywając Drizzta z zamyślenia.

- Za dwa dni - odpowiedział Drizzt obojętnie, ciągle wodząc wzrokiem po bocznych korytarzach. Kiedy znalazł się u drzwi przedsionka, nadal nigdzie nie było śladu fehmistrza. Może stał w środku, u boku Malice.

- Wiemy o twoich wybrykach - rzuciła Briza nagle stając się zimna, i oparła rękę na drzwiach przedsionka. Drizzt nie był zaskoczony jej wyznaniem. Zaczynał już oczekiwać podobnych komentarzy od kapłanek Pajęczej Królowej.

- Dlaczego nie mogłeś się po prostu cieszyć ceremonią? - dodała Maya. - Mamy szczęście, że mistrzyni i opiekunka Akademii były zbyt zajęte sobą, by zauważyć, co robisz. Przyniósłbyś hańbę naszemu domowi!

- Mogłeś sprawić, że Opiekunka Malice znalazłaby się w niełasce Lloth - dodała szybko Briza.

To byłoby najlepsze, co mógłbym dla niej zrobić, pomyślał Drizzt. Szybko odegnał od siebie takie myśli, pamiętając o umiejętności czytania umysłu, którą posiadała Briza.

- Miejmy nadzieję, że się tak nie stało - powiedziała ponuro Maya do swojej siostry. - Fala wojny zawisła nad nami.

- Wiem, gdzie jest moje miejsce - zapewnił ich Drizzt. Pokłonił się nisko. - Wybaczcie mi siostry i wiedzcie, że prawda świata drowów otwiera się szybko przed moimi młodymi oczyma. Nigdy już nie zawiodę w ten sposób Domu Do'Urden.

Siostry były tak zadowolone z deklaracji, że dwuznaczność słów Drizzta uszła ich uwadze. Wtedy Drizzt, nie chcąc przesadzić, przeszedł obok nich przez drzwi i zauważył z ulgą, że Zaknafeina nie było w środku.

- Chwała Pajęczej Królowej! - krzyknęła za nim Briza. Drizzt zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. Ukłonił się po raz drugi.

- Tak jak powinno być - wyszeptał.

* * *

Skradający się za grupką Zak starał się domyślić, jaką cenę zapłacił Drizzt za dziesięcioletni pobyt w Akademii.

Zniknął uśmiech, który zawsze rozświecał twarz Drizzta. Zniknęła też, jak przypuszczał Zak, niewinność, która różniła go od reszty mieszkańców Menzoberranzan.

Zak oparł się ciężko o ścianę w jednym z bocznych korytarzy. Dotarły do niego tylko fragmenty rozmowy u drzwi przedsionka. Najwyraźniej słyszał płynące z głębi serca wyznanie przywiązania do Lloth.

- Co ja zrobiłem? - zapytał się fehmistrz. Wyjrzał zza rogu korytarza, ale drzwi do przedsionka były już zamknięte.

- Zaprawdę, kiedy patrzę na drowa - drowa wojownika! - którego ceniłem najbardziej, wstydzę się swego tchórzostwa - lamentował Zak. - Co takiego stracił Drizzt, a co ja mogłem

uratować?

Wyjął z pochwy smukły, wąski miecz i dotknął delikatnymi palcami jego ostrej jak brzytwa klingi.

- Byłabyś doskonalszym ostrzem, gdybyś zakosztowała krwi Drizzta Do'Urden. Gdybyś uwolniła chłopca od niekończącego się cierpienia życia! - Opuścił czubek miecza na podłogę.

- Ale jestem tchórzem - powiedział. - Zawiodłem wtedy, gdy mogłem nadać swemu nędzemu życiu jakieś znaczenie. Drugi Syn Domu Do'Urden żyje, jak się wydaje, ale Drizzt Do'Urden, mój Oburęczny, od dawna jest martwy. - Zak spojrział w pustkę, gdzie stał wcześniej Drizzt, a jego twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie. - Oszust przeżył. Drow wojownik.

Broń Zaka stuknęła o podłogę, a jego twarz pochyliła się, by spotkać otwarte dłonie, jedyną tarczę, jaką kiedykolwiek znał Zaknafein Do'Urden.

* * *

Drizzt spędził następny dzień na odpoczynku, głównie w swoim pokoju, próbując nie wchodzić w drogę innym członkom swojej rodziny. Malice odesłała go bez słowa, a Drizzt nie chciał spotykać się z nią ponownie. Niewiele miał również do powiedzenia Brizie i Mayi, obawiając się, że wcześniej czy później zaczną rozumieć prawdziwe znaczenie jego bluźnierczych poglądów. Przede wszystkim jednak Drizzt nie chciał widzieć Zaknafeina, mentora, którego niegdyś uważał za wybawienie od otaczającej go rzeczywistości, jedyne światło w mroku Menzoberranzan.

To również, uważał teraz Drizzt, było tylko kłamstwem.

Drugiego dnia pobytu w domu, kiedy Narbondel zaczęło cykl światła, drzwi do komnaty Drizzta otworzyły się i pojawiła się w nich Briza.

- Audjencja u Matki Opiekunki - powiedziała ponuro.

Przez głowę Drizzta przebiegło tysiąc pytań, kiedy szedł korytarzami za swą siostrą. Czy Malice i inni odkryli prawdziwe uczucia, jakie żywił do złej bogini? Jaka kara na niego czekała? Podświadomie Drizzt zauważył pajęcze rzeźby na wejściu do kaplicy.

- Powinieneś lepiej poznać to miejsce i czuć się w nim swobodniej - skarciła go Briza, zauważając jego niepokój. - To miejsce najwyższej chwały naszego ludu.

Drizzt opuścił spojrzenie i nie odpowiedział - nie odważył się również myśleć o uszczypliwych komentarzach, które mógłby teraz wypowiedzieć. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy oprócz oczekiwanych Rizzena, Mayi i Zaknafeina zobaczył w pokoju Dinina i Yiernę.

- Wszyscy obecni - powiedziała Briza, zajmując miejsce u boku matki.

- Na kolana - rozkazała Malice, a cała rodzina opadła na klęczki. Matka opiekunka okrążyła ich powoli, a każdy opuszczał głowę, kiedy przechodziła obok niego.

Malice zatrzymała się przy Drizzcie.

- Dziwi cię obecność Dinina i Yierny - powiedziała. Drizzt spojrział na nią. - Czy nie

rozumiesz metod, którymi się posługujemy, by przetrwać?

- Myślałem, że mój brat i siostra pozostaną jeszcze w Akademii - wyjaśnił Drizzt.

- To nie zadziałałoby na naszą korzyść - odrzekła Malice.

- Czy nie daje to domowi siły, by jego członkowie zasiadali w Akademii? - odważył się zapytać Drizzt.

- To prawda - odrzekła Malice. - Ale dzieli to jego siłę. Czy słyszałeś, że nadchodzi wojna?

- Słyszałem, że istnieją pewne oznaki kłopotów - powiedział Drizzt, patrząc na Yiernę. - Ale nic bliższego.

- Oznaki? - sapnęła Malice zła, że jej syn nie rozumie doniosłości chwili. - Są wyraźniejsze niż to, co zwykle dociera do domów, które mają upaść! - odwróciła się od Drizzta i zwróciła do całej grupy. - W plotkach kryje się prawda - ogłosiła.

- Kto? - zapytała Briza. - Który dom spiskuje przeciwko Domowi Do'Urden?

- Nikt niższy od nas rangą - odrzekł Dinin, choć pytanie nie było skierowane do niego, a on nie powinien odzywać się nie pytany.

- Skąd to wiesz? - zapytała Malice, pozwalając, by Dininowi uszło to na sucho. Malice rozumiała, jaką wartość miał Dinin i wiedziała, że jego głos w dyskusji jest ważny.

- Jesteśmy dziewiątym domem w mieście - wywodził Dinin. - Ale wśród nas są cztery wysokie kapłanki, z których dwie są byłymi mistrzyniami z Arach - Tinilith - spojrzał na Zaka. - Mamy również dwóch byłych mistrzów z Melee - Magthere, a Drizzt został najlepszym uczniem tej szkoły. Mamy niemal czterystu żołnierzy, z których wszyscy mają za sobą sprawdzian bojowy. Tylko kilka domów jest silniejszych.

- Do czego zmierzasz? - zapytała ostro Briza.

- Jesteśmy dziewiątym domem - roześmiał się Dinin. - Ale niewiele wyższych od nas mogłoby nas pokonać...

- I żaden niższy - dokończyła za niego Opiekunka Malice. - Dobrze rozumujesz, Starszy Synu. Doszłam do tych samych wniosków.

- Któryś z wielkich domów obawia się Domu Do'Urden - podsumowała Vierna. - Musi nas wyeliminować, by chronić własną pozycję.

- Też tak uważam - odrzekła Malice. - To niezwykle, bowiem wojny zwykle inicjowane są przez niższe domy, pragnące wspiąć się nieco w hierarchii.

- Musimy zatem bardzo uważać - powiedziała Briza.

Drizzt słuchał uważnie tej rozmowy, próbując domyślić się, o co w niej chodzi. Nie spuszczał oczu z Zaknafeina, który klęczał bez ruchu u jego boku. Co myślał o tym wszystkim bezduszny fehmistrz, zastanawiał się Drizzt. Czy myśl o wojnie podniecała go, czy chciał zabić więcej mrocznych elfów?

Zak nie dał po sobie nic poznać. Usiadł w milczeniu i, sądząc po jego zachowaniu, nawet

nie słuchał rozmowy.

- To nie Baenre - powiedziała Briza, a jej słowa brzmiały jak prośba o potwierdzenie. - Z pewnością nie stanowimy dla nich jeszcze zagrożenia!

- Musimy mieć nadzieję, że masz rację - odrzekła ponuro Malice, żywo pamiętając wyprawę do rządzącego domu. - Najprawdopodobniej jest to któryś ze słabszych domów nad nami, obawiający się o swą niestabilną pozycję. Jak do tej pory nie zdobyłam dowodów przeciwko żadnemu z nich, musimy więc przygotować się na najgorsze. Dlatego wezwałam Yiernę i Dinina do siebie.

- Jeśli poznamy wrogów - zaczął porywczo Drizzt. Spoczęły na nim wszystkie oczy. Źle było, że najstarszy syn odzywał się nieproszony, ale w przypadku drugiego syna, który dopiero opuścił Akademię, mogło to być uznane za bluźnierstwo.

Pragnąc poznać poglądy wszystkich, opiekunka Malice raz jeszcze wybaczyła zniewagę.

- Mów dalej - nakazała.

- Jeśli poznamy swych wrogów - powiedział cicho Drizzt - to czy nie możemy ujawnić spisku?

- A po co? - syknęła na niego Briza. - Spisek bez działania to nie zbrodnia.

- A może użyjemy zdrowego rozsądku? - naciskał Drizzt, opierając się nieprzychylnym spojrzeniom, które wlepili w niego wszyscy w pomieszczeniu oprócz Zaka. - Jeśli jesteśmy silniejsi, niech się poddadzą bez walki. Zajmijmy pozycję, która nam przysługuje i przestańmy być zagrożeniem dla słabszego domu.

Malice chwyciła Drizzta za poły płaszcza i postawiła go na nogi.

- Wybaczam ci głupie myśli - ryknęła. - Tym razem! - Rzuciła go na podłogę, a po chwili spadły na niego ciche reprimendy rodzeństwa.

Raz jeszcze wyraz twarzy Zaka nie pasował do min reszty obecnych. Zak zakrył usta dłonią, by ukryć swe oszołomienie. Może jednak zostało trochę Drizzta Do'Urden, którego znał. Może Akademia nie zabiła do końca jego ducha.

Malice spojrzała na resztę rodziny, a w jej oczach widać było wściekłość.

- To nie czas, by się bać! To czas - krzyknęła, wyciągając w górę smukły palec - by marzyć! Jesteśmy Domem Do'Urden, Daermon N'a'shezbaernon, o sile przerastającej wyobrażenia wszystkich wielkich domów. Jesteśmy nieznaną stroną tej wojny. Mamy przewagę pod każdym względem!

- Dziewiąty dom? - roześmiała się. - Niedługo będzie przed nami tylko siedem domów!

- A co z patrolem? - wtrąciła się Briza. - Czy mamy pozwolić, by drugi syn poszedł na niego sam, odsłonięty?

- Od patrolu rozpocznie się zdobywanie przez nas przewagi - powiedziała Malice mrużąc oczy. - Będzie w nim Drizzt, a wraz z nim członkowie co najmniej czterech domów wyższych niż

nasz.

- Któryś z nich może zaatakować - stwierdziła Briza.

- Nie - zapewniła Malice. - Nasi wrogowie nie ujawnią się tak szybko, jeszcze nie. Zabójca musiałby pokonać poza tym dwóch Do'Urdenów.

- Dwóch? - zapytała Vierna.

- Lloth okazała nam swą łaskę - wyjaśniła Malice. - Dinin poprowadzi patrol Drizzta.

Oczy najstarszego syna rozbłyły.

- Zatem Drizzt i ja możemy zostać zabójcami w tej wojnie - wyszeptał.

Uśmiech zniknął z twarzy opiekunki.

- Nie uderzysz bez mojej zgody - ostrzegła głosem tak zimnym, że Dinin natychmiast pojął konsekwencje nieposłuszeństwa. - Jak to się zdarzało w przeszłości.

Drizzt nie przegapił odniesienia do Nalfeina, swego zabitego brata. Matka wiedziała! Malice nie zrobiła nic, by ukarać swego syna mordercę. Teraz Drizzt podniósł dłoń do twarzy, by zasłonić wyraz przerażenia, który mógł zesłać na niego kłopoty.

- Masz tam zdobywać wiadomości - powiedziała Opiekunka Malice do Dinina. - Masz chronić swego brata, a Drizzt ma chronić ciebie. Nie zniwelujcie naszej przewagi zabijając jednego z was - zły uśmiech pojawił się na jej kościstej twarzy. - Ale jeśli dowiecie się, kto jest naszym wrogiem...

- Jeśli pojawi się odpowiednia okazja... - dokończyła Briza, odgadując nikczemne myśli matki i uśmiechając się złowrogo.

Malice popatrzyła na najstarszą córkę z aprobatą. Briza będzie dobrą spadkobierczynią domu!

Uśmiech Dinina stał się jeszcze szerszy. Nic nie cieszyło go bardziej niż szansa na dokonanie zabójstwa.

- Idźcie zatem, moja rodzino - powiedziała Malice. - Pamiętajcie, że obserwują nas nieprzyjazne oczy, patrzą na każdy nasz ruch, czekają na odpowiednią chwilę, by uderzyć.

Zak jak zwykle pierwszy wyszedł z kaplicy, tym razem jeszcze szybciej. To nie nadzieja na prowadzenie kolejnej wojny ożywiała jego ruchy, choć myśl o zabijaniu kapłanek Pajęczej Królowej bardzo go cieszyła. To raczej pokaz naiwności Drizzta, jego niezrozumienia dla sposobów działania drowów, przywrócił Zakowi nadzieję.

Drizzt patrzył na niego, myśląc, że energia w ruchach Zaka oznaczała chęć zabijania. Drizzt nie wiedział, czy ma iść za fechmistrzem, czy pozwolić mu odejść, zlekceważyć go tak, jak to robił z większością otaczającego go świata. Decyzję podjęto za niego, kiedy Opiekunka Malice stanęła mu na drodze i zatrzymała go w kaplicy.

- Tobie powiem tak - zaczęła, kiedy zostali sami. - Słyszałeś, jaką misję dla ciebie przeznaczyłam. Nie zniosę porażki!

Drizzt cofnął się przed siłą jej głosu.

- Chronić swego brata - usłyszał ponure ostrzeżenie. - Albo oddam cię pod sąd Lloth.

Drizzt rozumiał, co z tego wyniknie, ale opiekunka i tak wyjaśniła mu to z radością.

- Nie spodoba ci się życie dridera.

* * *

Błyskawica uderzyła ponad czarnymi wodami podziemnego jeziora, trafiając w zbliżające się wodne trolle. W jaskini rozbrzmiewały odgłosy bitwy.

Drizzt zapędził jednego z potworów - skragów, jak je nazywano - w ślepią uliczkę na małym półwyspie, odcinając nędznej istocie drogę do wody. Zazwyczaj samotny drow stojący naprzeciw wodnego trolla nie miałby przewagi, ale, jak przekonali się pozostali członkowie patrolu w ciągu kilku ostatnich tygodni, Drizzt nie był zwykłym drowem.

Skrag zbliżał się, nieświadom niebezpieczeństwa. Pojedynczy, rozmazany ruch Drizzta pozbawił istotę wyciągniętych ramion. Drizzt szybko dokończył dzieła, zbyt dobrze znając możliwości regeneracyjne trolli.

Kolejny skrag wyskoczył z wody tuż za jego plecami.

Drizzt spodziewał się tego, ale nie dał po sobie poznać, że zauważył drugiego przeciwnika. Koncentrował się na tym przed sobą, zadając głębokie rany bezbronnemu, ale ciągle stojącemu trollowi.

Kiedy potwór za nim już miał wbić mu pazury w plecy, Drizzt opadł na kolana i krzyknął - Teraz!

Ukryta pantera, do tej pory przyczajona w cieniu u podstawy półwyspu, nie wahała się. Jeden długi skok umieścił Guenhwyvar na pozycji do ataku, który powalił niespodziewającego się niczego skra - ga, zanim ten zdążył zareagować.

Drizzt zakończył walkę ze swoim trollem i odwrócił się, by podziwiać dzieło pantery. Wyciągnął rękę, a wielka kocica otarła się o nią. Jak blisko byli teraz ze sobą, pomyślał Drizzt.

Uderzyła kolejna błyskawica, na tyle blisko, by Drizzt na chwilę stracił wzrok.

- Guenhwyvar! - krzyknął Masoj Hun'ett, który rzucił przed chwilą czar. - Do mnie!

Pantera otarła się jeszcze o nogi Drizzta, po czym ruszyła, by usłuchać rozkazu. Kiedy wzrok powrócił, Drizzt poszedł w drugą stronę, nie chcąc widzieć, jak pantera jest karcona, co działo się zawsze, kiedy on i kocica działali razem.

Masoj patrzył na plecy odchodzącego Drizzta, pragnąc umieścić błyskawicę dokładnie pomiędzy łopatkami młodego Do'Urdena. Czarodziej Domu Hun'ett zauważył jednak Dinina Do'Urden, który patrzył na niego uważnie z boku.

- Naucz się lojalności! - krzyknął Masoj na Guenhwyvar. Zbyt często pantera opuszczała go, by walczyć u boku Drizzta. Masoj wiedział, że kocica czuła się lepiej u boku wojownika, ale wiedział również, jak bezbronny był czarodziej rzucający czar. Masoj chciał, by Guenhwyvar była

u jego boku, chroniła go przed wrogami - rzucił jeszcze raz okiem na Dinina - i „przyjaciółmi”.

Rzucił figurkę pod stopy.

- Odejdź! - rozkazał.

Kawałek dalej Drizzt zaatakował kolejnego skraga, również tym razem szybko kończąc walkę. Masoj pokręcił głową, widząc ten pokaz szermierki. Każdego dnia Drizzt stawał się silniejszy.

- Daj rozkaz, by zabić go niedługo, Opiekunko SiNafay - wyszeptał Masoj. Czarodziej nie wiedział, jak długo jeszcze będzie zdolny do wykonania zadania i już zastanawiał się, czy będzie w stanie pokonać Drizzta.

* * *

Drizzt osłonił oczy wypalając rany martwego trolla ogniem. Tylko ogień dawał pewność, że rany stwora nie zrosną się, pozwalając mu nawet zmartwychwstać.

Bitwa wygasła, zauważył Drizzt, a po chwili na całym placu rozbłysły pochodnie. Zastanawiał się, czy zginął którykolwiek z dwunastu towarzyszy, ale zastanawiał się także, czy go to obchodzi. Byli inni, którzy chcieli zająć ich miejsca.

Drizzt wiedział, że ma jedną towarzyszkę, na której mu zależało - Guenhwyvar - i że wróciła ona bezpiecznie do domu na Planie Astralnym.

- Uformować szyk! - rozległ się rozkaz Dinina, kiedy niewolnicy, gobliny i orki ruszyli, by szukać skarbów trolli i odzierać skragi ze wszystkiego, co posiadali.

Kiedy płomienie ogarnęły ciało trolla, przy którym stał Drizzt, chłopak rzucił pochodnię do wody, a potem przystanął na chwilę, by przyzwyczaić oczy do ciemności.

- Kolejny dzień - powiedział cicho. - Kolejny pokonany wróg.

Lubił emocje związane z patrolowaniem, dreszcz niebezpieczeństwa i świadomość, że obracał broń przeciwko złym potworom.

Jednak nawet tutaj Drizzt nie potrafił uciec przed letargiem, który przeżarł jego życie, wszechogarniającą rezygnacją, która szła za nim krok w krok. Bowiem, choć prowadzone właśnie bitwy toczono przeciwko potworom Podmroku, zabijanym z konieczności, Drizzt nie zapomniał spotkania w kaplicy Domu Do'Urden.

Wiedział, że będzie musiał niedługo obrócić swe sejmity przeciwko drowom.

* * *

Zaknafein spojrział na Menzoberranzan, co robił bardzo często, od kiedy patrol Drizzta wyruszył z miasta. Zak był rozdarty między chęcią opuszczenia miasta i walczenia u boku Drizzta oraz nadzieją, że patrol powróci z wiadomością, że Drizzt nie żyje.

Czy Zak będzie kiedyś potrafił znaleźć rozwiązanie dylematu związanego z najmłodszym Do'Urdenem? Fehmistrz wiedział, że nie może opuścić domu. Opiekunka Malice bacznie go obserwowała. Zak wiedział, że wyczuła, jak cierpi z powodu Drizzta, a to się jej z całą pewnością

nie podobało. Zak często bywał jej kochankiem, ale poza tym niewiele ich łączyło.

Zak przypomniał sobie czasy, kiedy on i Malice kłócili się o Viernę, kolejne wspólne dziecko, całe stulecia temu. Vierna była kobietą, jej los przesądzono od chwili urodzin, a Zak nie mógł nic zrobić, by powstrzymać zalewającą ją falę religii Pajęczej Królowej.

Czy Malice bała się, że uda mu się wpłynąć na postępowanie chłopca? Najwyraźniej tak, choć Zak nie był pewien, czyjej obawy były uzasadnione. Nawet on sam nie wiedział, jaki wpływ ma na Drizzta.

Wyglądał teraz przez okno, w milczeniu obserwując powracające patrole - czekając jak zwykle na bezpieczny powrót Drizzta, ale w sekrecie mając nadzieję, że jego dylemat zostanie rozwiązany przez pazury i kły jakiegoś potwora.

18

TAJEMNA KOMNATA

Witaj, Pozbawiony Twarzy - powiedziała wysoka kapłanka, !W mijając Altona w drzwiach do jego prywatnej komnaty.

- I ja cię witam, Mistrzynie Vierno - odrzekł Alton, próbując ukryć strach. Vierna Do'Urden przychodząca do niego w takiej chwili nie mogła być kierowana zbiegiem okoliczności. - Czemu zawdzięczam wizytę mistrzyni Arach - Tinilith?

- Już nie mistrzyni - powiedziała Vierna. - Wróciłam do domu. Alton zamilkł, by przeanalizować wiadomość. Wiedział, że Dinin Do'Urden również zrezygnował z pozycji w Akademii.

- Opiekunka Malice znowu połączyła rodzinę - mówiła dalej Vierna. - Istnieją pogłoski o wojnie. Słyszałeś je, jak sądzę?

- Tylko plotki - wyjąkał Alton, zaczynając rozumieć, dlaczego Vierna zjawiała się u niego. Dom Do'Urden wykorzystał wcześniej Pozbawionego Twarzy w swoim spisku - próbując zabić Altona! Teraz, kiedy w Menzoberranzan szeptano o wojnie, opiekunka Malice odnawiała swą sieć szpiegów i zabójców.

- Słyszałeś je? - zapytała ostro Vierna.

- Niewiele - westchnął Alton, nie chcąc rozgniewać potężnej kobiety. - Nie tyle, by was powiadomić. Do tej pory nie wiedziałem nawet, że chodzi o Dom Do'Urden, dowiaduję się od ciebie. - Alton mógł tylko mieć nadzieję, że Vierna nie rzuciła na niego czaru wykrycia kłamstwa.

Vierna odprężyła się, najwyraźniej uspokojona wyjaśnieniem.

- Słuchaj uważniej plotek, Pozbawiony Twarzy - powiedziała. - Mój brat i ja opuściliśmy Akademię, więc musisz być tutaj okiem i uchem Do'Urdenów.

- Ale... - wyjąkał Alton.

Vierna uniosła dłoń, by go uciszyć.

- Wiemy o porażce przy ostatniej transakcji - powiedziała. Skłoniła się nisko, co wysokiej kapłance zdarzało się w obecności mężczyzny bardzo rzadko. - Opiekunka Malice wyraża ubolewanie, że eliksir, który otrzymałeś za zabicie Altona DeVir nie przywrócił rysów twojej twarzy.

Alton niemal się zachłysnął, dopiero teraz rozumiejąc, dlaczego ponad trzydzieści lat temu nieznajomy posłaniec przyniósł mu słoik jakiegoś lekarstwa. Zamaskowana postać była agentem Domu Do'Urden, który przyszedł zapłacić Pozbawionemu Twarzy za zabicie Altona! Oczywiście Alton nigdy nie wypróbował eliksiru. Przy jego szczęściu zadziałałby i przywrócił rysy twarzy Altona DeVir.

- Tym razem twoja zapłata cię nie zawiedzie - mówiła dalej Vierna, choć Alton, oszołomiony sytuacją prawie jej nie słuchał. - Dom Do'Urden posiada laskę czarodzieja, ale nie ma czarodzieja godnego jej noszenia. Należała do Nalfeina, mojego brata, który zginął w czasie bitwy w Domu DeVir.

Alton pragnął rzucić się na nią. Ale nawet on nie był na tyle głupi.

- Jeśli dowiesz się, który dom spiskuje przeciwko Domowi Do'Urden - obiecała Vierna - laska będzie twoja! Prawdziwy skarb za tak niewielką przysługę.

- Zrobię, co będę mógł - odrzekł Alton, nie potrafiąc znaleźć innych słów wobec tak niezwyklej propozycji.

- To wszystko, o co cię prosi Opiekunka Malice - powiedziała Vierna i opuściła czarodzieja, pewna, że Dom Do'Urden zapewnił sobie wiernego agenta na terenie Akademii.

* * *

- Dinin i Vierna Do'Urden zrezygnowali ze swych funkcji - powiedział Alton z podnieceniem, kiedy tego samego wieczoru przyszła do niego jego przyszywana matka opiekunka.

- To już wiem - odrzekła SiNafay Hun'ett.

Rozejrzała się z pogardą po zaśmieconym i spalonym pokoju, a potem przysiadła na małym stoliczku.

- To nie wszystko - powiedział szybko Alton, nie chcąc, by SiNafay była zła, że niepokoi ją z powodu wiadomości, które są jej znane. - Miałem dziś gościa, Mistrzynie Yiernę Do'Urden!

- Coś podejrzewa? - warknęła SiNafay.

- Nie, nie! - odrzekł Alton. - Wręcz przeciwnie. Dom Do'Urden chce zatrudnić mnie jako szpiega, jak kiedyś zatrudnił Pozbawionego Twarzy, by mnie zabił!

SiNafay zamilkła, oniemiała, a potem wybuchła śmiechem.

- Och, ironio życia! - krzyknęła.

- Słyszałem, że Dinin i Vierna zostali wysłani do Akademii tylko po to, by doglądać edukacji ich brata - zauważył Alton.

- Doskonała przykrywka - odpowiedziała SiNafay. - Vierna i Dinin zostali wysłani jako

szpiedzy ambitnej Opiekunki Malice. Moje gratulacje.

- Teraz podejrzewają kłopoty - stwierdził Alton, siadając naprzeciw opiekunki.

- To prawda - zgodziła się SiNafay. - Masoj wyruszył na patrol z Drizztem, ale Dom Do'Urden zdołał umieścić z nimi Dinina.

- Zatem Masoj jest w niebezpieczeństwie - rozumował Alton.

- Nie - powiedziała SiNafay. - Dom Do'Urden nie wie, że Dom Hun'ett stanowi dla niego zagrożenie, w przeciwnym razie nie przychodziłby do ciebie po informacje. Opiekunka Malice zna twoją tożsamość.

Na twarzy Altona pojawiło się przerażenie.

- Nie prawdziwą - roześmiała się SiNafay. - Wie, że Pozbawiony Twarzy to Gelroos Hun'ett, a nie przysłałaby do Hun'etta, gdyby podejrzewała nasz dom.

- Mamy więc świetną okazję, by pogrążyć Dom Do'Urden w chaosie! - krzyknął Alton. - Jeśli wskażę na inny dom, choćby Baenre, nasza pozycja ulegnie wzmocnieniu! - roześmiał się, rozważając możliwości. - Malice nagrodzi mnie laską o wielkiej mocy - bronią, którą obrócę w odpowiedniej chwili przeciwko niej!

- Opiekunka Malice! - poprawiła go twardo SiNafay. Mimo tego że ona i Malice miały zostać wkrótce otwartymi wrogami, SiNafay nie mogła pozwolić mężczyźnie okazywać braku szacunku matce opiekunce. - Czy sądzisz, że mógłbyś wprowadzić ją w błąd?

- Kiedy Mistrzynie Vierna wróci...

- Nie podzielisz się taką informacją z pomniejszą kapłanką, głupi DeVirze. Staniesz przed Opiekunką Malice. Jeśli przejrzy twoje kłamstwa, wiesz, co się stanie z twoim ciałem?

Alton przełknął głośno ślinę.

- Jestem gotów zaryzykować - powiedział, krzyżując ręce na stole.

- Co z Domem Hun'ett, kiedy wyjdzie na jaw największe kłamstwo? - zapytała SiNafay. - Co będziemy mieć, kiedy Opiekunka Malice pozna prawdziwą tożsamość Pozbawionego Twarzy?

- Rozumiem - odrzekł strapiony Alton. - Co mamy zatem zrobić? Co ja mam zrobić?

Opiekunka SiNafay zastanawiała się już nad następnym ruchem.

- Zrezygnujesz ze swej funkcji - powiedziała w końcu. - Powrócisz do Domu Hun'ett pod moją opiekę.

- Taki czyn mógłby również wskazać Opiekunce Malice Dom Hun'ett - powiedział Alton.

- Mógłby - odrzekła SiNafay. - Ale tak będzie najbezpieczniej. Pójdę do Opiekunki Malice w udawanym gniewie, powiedziec jej, by nie wciągała Domu Hun'ett w swoje kłopoty. Jeśli chce uczynić członka mej rodziny swym informatorem, powinna przyjść do mnie po pozwolenie - którego tym razem jej nie udzielię!

SiNafay uśmiechnęła się na myśl o możliwościach płynących z takiego spotkania.

- Mój gniew, mój strach mógłby skierować uwagę Malice na któryś z wielkich domów, a

może nawet spisek kilku domów - powiedziała, ciesząc się z dodatkowych możliwości. - Opiekunka Malice z pewnością będzie miała o czym myśleć i czym się przejmować!

Alton nie słyszał ostatnich komentarzy SiNafay. Słowa o jej pozwoleniu „tym razem” dały mu do myślenia.

- Czy wtedy po nie przysłała? - odważył się zapytać, choć jego słowa były ledwo słyszalne.

- Co masz na myśli? - zapytała SiNafay nie nadążając za myślami Altona.

- Czy Opiekunka Malice przysłała do ciebie? - mówił dalej Alton, przerażony, ale pragnący znać odpowiedź. - Trzydzieści lat temu. Czy Opiekunka SiNafay dała pozwolenie Gelroosowi Hun'ettowi na zostanie agentem, zabójcą mającym dokończyć eliminację DeVirów?

Na twarzy SiNafay pojawił się szeroki uśmiech, ale zniknął w oka mgnieniu, kiedy opiekunka rzuciła stolikiem przez cały pokój, chwyciła Altona za poły szaty i przyciągnęła go na kilka centymetrów od swojej wykrzywionej twarzy.

- Nigdy nie mieszaj osobistych uczuć z polityką! - warknęła małeńka, ale niezwykle silna opiekunka, a w jej głosie brzmiała wyraźna groźba. - I nigdy więcej nie zadawaj mi takiego pytania!

Rzuciła Altona na podłogę, ale nie oderwała od niego badawczego wzroku.

Alton od początku wiedział, że był tylko pionkiem w intrydze pomiędzy Domem Hun'ett a Domem Do'Urden, niezbędnym ogniwem, dzięki któremu Opiekunka SiNafay będzie mogła zrealizować swe zdradzieckie plany. Od czasu do czasu osobista nienawiść do Domu Do'Urden sprawiała, że Alton zapominał o swej podrzędnej roli w konflikcie. Patrząc teraz z podłogi na obnażoną siłę SiNafay, zdał sobie sprawę z tego, że przekroczył granice swej pozycji.

* * *

Przy końcu gęstwiny grzybów, w południowej ścianie jaskini, w której zbudowano Menzoberranzan, znajdowała się niewielka, silnie strzeżona jaskinia. Za żelaznymi drzwiami było pojedyncze pomieszczenie, które służyło tylko jako miejsce spotkań rady rządzącej miasta.

Dym z setki słodko pachnących świec wypełniał powietrze. Matkom opiekunkom się to podobało. Po prawie pół wieku studiowania zwojów w świetle świec w Sorcere, Alton nie miał nic przeciwko światłu, ale w samej komnacie czuł się nieswojo. Usiadł na końcu stołu w kształcie pająka, na niskim, prostym krześle przeznaczonym dla gości rady. Między ośmioma włochatymi nogami stołu umieszczono trony matek opiekunek, wszystkie wysadzone klejnotami i lśniące w blasku świec.

Po chwili weszły opiekunki, pompatyczne i złowrogie, wszystkie rzucały mężczyźnie pogardliwe spojrzenia. SiNafay, siedząca u boku Altona, położyła mu dłoń na kolanie i mrugnęła do niego uspokajająco. Nie odważyłaby się zwołać zebrania rady, gdyby nie była pewna, że przynosi ważne nowiny. Matki opiekunki uważały swe miejsca za czysto honorowe i nie lubiły się spotykać, jeśli czasy nie były naprawdę kryzysowe.

U szczytu pąjęczego stołu siedziała Opiekunka Baenre, najpotężniejsza osoba w Menzoberranzan, stara i zniszczona kobieta o złośliwych oczach i ustach nie przyzwyczajonych do uśmiechu.

- Jesteśmy już, SiNafay - powiedziała Baenre za wszystkie przybyłe, kiedy każdy zajął wyznaczone krzesło. - Z jakiego powodu zwołałaś radę?

- By przedyskutować wymierzenie kary - odrzekła SiNafay.

- Kary? - powtórzyła Baenre, zaskoczona. Ostatnie lata były w mieście niezwykle spokojne, a od incydentu z konfliktem Teken'duis - Freth nic się nie wydarzyło. O ile wiedziała Pierwsza Opiekunka, nie zdarzyło się nic, co wymagałoby ukarania, a na pewno nic tak rażącego, by trzeba było zwołać radę rządzącą. - Kto na nią zasłużył?

- To niejedna osoba - wyjaśniła Opiekunka SiNafay. Spojrzała na wszystkich obecnych, badając ich zainteresowanie. - To dom - powiedziała ostro. - Daermon N'a'shezbaernon, Dom Do'Urden. - Odpowiedzią były pełne niedowierzania okrzyki, czego SiNafay się spodziewała.

- Dom Do'Urden? - zapytała Opiekunka Baenre, zaskoczona, że ktokolwiek wskazuje na Opiekunkę Malice. Z tego co wiedziała Baenre, Malice pozostawała w łaskach Pąjęczej Królowej, a Dom Do'Urden miał dwoje instruktorów w Akademii.

- O jaką zbrodnię oskarżasz Dom Do'Urden? - zapytała jedna z opiekunek.

- Czy to słowa strachu, SiNafay? - musiała zapytać Baenre. Kilka z opiekunek rządzących wyrażało swe zaniepokojenie Domem Do'Urden. Wiadomo było powszechnie, że Opiekunka Malice pragnęła miejsca w radzie rządzącej, a jeśli wziąć pod uwagę siłę jej domu, miała wszelkie podstawy do tego, by się o nie starać.

- Mam odpowiedni powód - podkreśliła SiNafay.

- Inni w to wątpią - odrzekła Opiekunka Baenre. - Powinnaś wyjaśnić oskarżenie, i to szybko, jeśli droga ci jest twoja reputacja.

SiNafay wiedziała, że gra idzie o coś więcej niż reputacja - w Menzoberranzan fałszywe oskarżenie było zbrodnią równą zabójstwu.

- Wszyscy pamiętamy upadek Domu DeVir - zaczęła SiNafay. - Siedem z nas zasiadało w radzie rządzącej u boku Opiekunki Ginafae DeVir.

- Domu DeVir już nie ma - przypomniała jej Opiekunka Baenre.

- Przez Dom Do'Urden - powiedziała odważnie SiNafay. Teraz rozległy się groźne sapnięcia.

- Jak śmiesz mówić coś takiego? - zapytał ktoś.

- Trzydzieści lat! - powiedział ktoś inny. - O sprawie już zapomniano!

Opiekunka Baenre uciszyła wszystkich, zanim protesty przemieniły się w otwarty atak - co w sali rady zdarzało się często.

- SiNafay - powiedziała sucho. - Nie można rzucać takich oskarżeń. Nie można nawet tego

rozważać tak długi czas po wydarzeniu! Znasz nasze prawa. Jeśli Dom Do'Urden rzeczywiście popełnił ten czyn, zasługuje tylko na nasze pochwały, a nie na karę, bowiem wykonał atak doskonale. Dom DeVir już nie istnieje. Nie ma go!

Alton poprawił się na krześle, czując coś pomiędzy wściekłością a desperacją. SiNafay daleka była od niepokoju. Wszystko przebiegało dokładnie tak, jak zaplanowała i jak miała nadzieję.

- Ależ istnieje! - odrzekła, wstając z fotela. Zdjęła kaptur z głowy Altona. - W tej osobie!

- Gelroos? - zapytała Opiekunka Baenre, nic nie rozumiejąc.

- Nie Gelroos - odrzekła SiNafay. - Gelroos Hun'ett umarł tej nocy, kiedy ginął Dom DeVir.

Ten mężczyzna, Alton DeVir przyjął funkcję i tożsamość Gelroosa, ukrywając się przed atakami Domu Do'Urden!

Baenre szepnęła jakieś polecenie opiekunce po swojej prawej stronie, a potem zaczekała, aż ta wypowie słowa czaru. Baenre pokazała SiNafay gestem, by usiadła, a potem zwróciła się do Altona.

- Jak się nazywasz - kazała mu powiedzieć.

- Jestem Alton DeVir - powiedział Alton, czerpiąc siłę z tożsamości, którą tak długo ukrywał. - Syn Opiekunki Ginafae i uczeń Sorcere w nocy ataku Domu Do'Urden.

Baenre spojrzała na opiekunkę u swego boku.

- Mówi prawdę - zapewniła ją opiekunka. Wokół stołu rozległy się szepty, wśród których słysząc było głównie podziw.

- To dlatego zebrałam radę rządzącą - wyjaśniła szybko SiNafay.

- No dobrze, SiNafay - powiedziała Opiekunka Baenre. - Gratulacje, Altonie DeVir, za pomysłowość i instynkt przetrwania. Jak na mężczyznę pokazałeś wielką odwagę i mądrość. Z pewnością oboje wiecie, że rada nie może wymierzyć kary za czyn popełniony tak dawno. Po co nam to? Opiekunka Malice jest w łaskach Pajęcznej Królowej, a jej dom ma wielką przyszłość. Musisz pokazać nam lepszy powód, jeśli mamy uderzyć na Dom Do'Urden.

- Nie pragnę tego - odrzekła szybko SiNafay. - Ta sprawa po trzydziestu latach nie leży już w gestii rady rządzącej. Dom Do'Urden ma zaiste wielką przyszłość, mając cztery wysokie kapłanki i wiele innych broni, z których jedną jest ten chłopiec, Drizzt, najlepszy w klasie - celowo wspomniała o Drizzcie, wiedząc, że jego imię zadźwięczy boleśnie w uszach Opiekunki Baenre. Jej syn, Berg'inyon spędził dziewięć lat, znajdując się w klasyfikacji tuż za wspaniałym młodym Do'Urdenem.

- To po co nas kłopotujesz? - zapytała Opiekunka Baenre, a w jej głosie zabrzmiał gniew.

- By prosić was o przymknięcie oczu - powiedziała cicho SiNafay. - Alton jest teraz Hun'ettem, jest pod moją opieką. Domaga się zemsty za zbrodnię popełnioną na jego rodzinie, a jako żyjący członek zaatakowanych ma prawo do oskarżenia.

- Dom Hun'ett za nim stanie? - zapytała Opiekunka Baenre, teraz zaciekawiona i rozbawiona.

- Tak - potwierdziła SiNafay. - Tak postąpi Dom Hun'ett!

- Zemsta? - zapytała inna opiekunka, również bardziej rozbawiona niż rozgniewana. - Czy strach? Dla mnie wygląda to tak, że opiekunka Domu Hun'ett wykorzystuje nędznego DeVira do własnych celów. Dom Do'Urden aspiruje do wyższej pozycji, zaś Opiekunka Malice pragnie zasiadać w radzie rządzącej, a to zagrożenie dla Domu Hun'ett, prawda?

- Czy to zemsta, czy ostrożność, moja prośba - prośba Altona DeVira - musi zostać uznana za legalną - odrzekła SiNafay. - Dla wspólnej korzyści. - Uśmiechnęła się niegodziwie i spojrzała wprost na Pierwszą Opiekunkę. - Ku korzyści naszych synów, w ich poszukiwaniu chwały.

- Zaiste - odrzekła Opiekunka Baenre ze śmiechem, który brzmiał bardziej jak kaszel. Wojna między Hun'ett i Do'Urden przyniesie wszystkim korzyści, ale nie tak, jak się tego spodziewała SiNafay. Malice była potężną opiekunką, a jej rodzina zasługiwała na miejsce wyższe niż dziewiąte. Jeśli dojdzie do walki, Malice pewnie zasiądzie w radzie, zastępując w niej SiNafay.

Opiekunka Baenre spojrzała na pozostałe opiekunki i z wyrazu ich twarzy dowiedziała się, że myślały podobnie. Niech Hun'ett i Do'Urden walczą, cokolwiek się stanie, groźba ze strony Opiekunki Malice zostanie zlikwidowana. Być może, miała nadzieję Baenre, pewien młody Do'Urden padnie w walce, co postawi jej syna na miejscu, na które zasługiwał.

Pierwsza Opiekunka wypowiedziała słowa, które chciała usłyszeć SiNafay, ciche przyzwolenie rady rządzącej Menzoberranzan.

- Sprawa jest rozwiązana, siostry - ogłosiła Opiekunka Baenre, wywołując zgodne skinienia głów opiekunek. - Jak to dobrze, że się dziś wcale nie spotkałyśmy.

19

OBIEŃNICE CHWAŁY

Znalazłeś trop? - wyszeptał Drizzt, idąc u boku wielkiej pantery. Poklepał Guenhwyvar po żebrach i poznał po rozluźnionych mięśniach kocicy, że w pobliżu nie ma wrogów.

- Uciekły - powiedział Drizzt, wpatrując się w pustkę korytarza przed sobą. - „Ohydne gnomy”, tak powiedział o nich mój brat, kiedy znaleźliśmy ślady przy sadzawce. Ohydne i głupie. - Wsunął sejmitar do pochwy i przyklęknął obok pantery, delikatnie drapiąc Guenhwyvar po plecach. - Są na tyle cwane, by uciec naszemu patrolowi.

Kocica popatrzyła na niego, jakby rozumiała każde słowo, a Drizzt położył dłoń na głowie swej najlepszej przyjaciółki. Drizzt pamiętał dobrze swą radość, tydzień wcześniej, kiedy Dinin ogłosił - ku wściekłości Masoja Hun'etta - że Guenhwyvar zostanie wystawiona w szpicie patrolu razem z Drizztem.

- Kocica jest moja! - przypomniał Masoj Dininowi.

- A ty jesteś mój! - odrzekł na to Dinin, dowódca patrolu, kończąc dyskusję. Kiedy tylko pozwalała na to magia figurki, Masoj przywoływał Guenhwyvar z Planu Astralnego i nakazywał jej udać się naprzód, co zapewniało Drizztowi odrobinę bezpieczeństwa i towarzystwo.

Po nieznanym wzorach ciepła na ścianach Drizzt poznał, że wyszli poza granice swego terenu. Celowo odszedł od reszty patrolu dalej niż mu radzono. Drizzt ufał, że Guenhwyvar zatroszczy się o nich, a mając innych daleko za sobą mógł się odprężyć i nacieszyć spokojem. Minuty spędzone w samotności dawały mu czas, którego potrzebował, by uporać się ze swymi pomieszaniem emocjami. Guenhwyvar, nigdy nie osądzająca i zawsze zgadzająca się, była dla Drizzta doskonałym słuchaczem.

- Zaczynam się zastanawiać, czy to wszystko jest coś warte - wyszeptał Drizzt do kocicy. - Nie wątpię w przydatność takich patroli - tylko w tym tygodniu pokonaliśmy tuzin potworów, które mogły przynieść wielką szkodę miastu - ale po co to wszystko?

Spojrzał głęboko w oczy pantery i odnalazł w nich współczucie, wiedząc, że w jakiś sposób Guenhwyvar rozumie jego dylemat.

- Może nadal nie wiem, kim jestem - zamyślił się Drizzt. - Ani kim jest mój lud. Zawsze kiedy znajdę wskazówkę prowadzącą mnie do prawdy, kieruje mnie ona na ścieżkę, którą boję się pójść, do wniosków, których nie potrafię przyjąć.

- Jesteś drowem - rozległa się za nim odpowiedź. Drizzt odwrócił się nagle i zobaczył kilka kroków za sobą Dinina, na którego twarzy widać było poważne obawy.

- Gnomy są poza naszym zasięgiem - powiedział Drizzt, chcąc rozproszyć obawy brata.

- Czy nie nauczyłeś się jeszcze, co znaczy być drowem? - zapytał Dinin. - Czy nie rozumiałeś, jakimi torami toczyła się nasza historia i dokąd prowadzi nas nasza przyszłość?

- Znam naszą historię taką, jak jej uczą w Akademii - odrzekł Drizzt. - To były pierwsze lekcje, jakie otrzymaliśmy. Zaś naszej przyszłości, a także miejsca, w którym jesteśmy teraz, nie rozumiem.

- Znasz naszych wrogów - stwierdził Dinin.

- Niezliczonych wrogów - odrzekł Drizzt z głębokim westchnieniem. - Wypełniają szczeliny Podmroku, zawsze czekając, aż opuścimy gardę. Nie zrobimy tego, a nasi wrogowie ugną się pod naszą siłą.

- Ależ nasi najwięksi wrogowie nie czają się w pozbawionych światła jaskiniach naszego świata - powiedział Dinin z chytrym uśmiechem. - Do nich należy świat dziwny i zły. - Drizzt wiedział o kim mówi Dinin, ale podejrzewał, że jego brat coś ukrywa.

- Faerie - wyszeptał Drizzt, a słowo to wywołało w nim burzę uczuć. Przez całe życie uczono go o tych złych kuzynach, o tym, jak wypędziły drowy do wnętrza świata. Zajęty codziennymi obowiązkami Drizzt nie myślał o nich zbyt często, ale zawsze, gdy przyszły mu do głowy, używał ich nazwy niczym litanii przeciwko wszystkiemu, czego nienawidził w życiu.

Gdyby Drizzt mógł jakoś obwinić elfy z powierzchni - jak obwinał je każdy drow - za niesprawiedliwość społeczeństwa drowów, mógłby znaleźć jakąś nadzieję na przyszłość swego ludu. Racjonalnie Drizzt musiał odrzucić legendy o wojnach elfów jako kolejne z niekończącego się strumienia kłamstw, ale w sercu czepiał się desperacko ich słów.

Spojrzał ponownie na Dinina.

- Faerie - powtórzył. - Czymkolwiek są.

Dinin roześmiał się z niewyczerpanego sarkazmu brata, stał się on dla niego codziennością.

- Są takie, jak się o nich uczyłeś - zapewnił Drizzta. - Bez wartości i zło ponad nasze wyobrażenie, ciemnicy naszego ludu, którzy wygnali nas tysiąclecia temu, którzy zmusili...

- Znam opowieści - przerwał mu Drizzt, zaniepokojony coraz głośniejszym tonem głosu swego brata. Drizzt obejrzał się przez ramię. - Jeśli patrol dobiegł już końca, dołączmy do pozostałych bliżej miasta. To miejsce jest zbyt niebezpieczne na takie rozmowy. - Wstał z podłogi i ruszył z powrotem, mając u boku Guenhwyvar.

- Nie tak niebezpieczne jak miejsce, w które cię niebawem poprowadzę - powiedział Dinin z tym samym chytrym uśmiechem.

Drizzt odwrócił się i spojrzał na brata ciekawie.

- Myślę, że się domyślasz - kusił Dinin. - Wybrano nas, bo jesteśmy najlepszą z grup patrolowych, a ty z pewnością odegrałeś wielką rolę w zapewnieniu nam takiego zaszczytu.

- Wybrano nas do czego?

- Za dwa tygodnie opuścimy Menzoberranzan - wyjaśnił Dinin. - Podróż zabierze wiele dni i zaprowadzi nas wiele mil od miasta.

- Jak długo? - zapytał Drizzt, bardzo zaciekawiony.

- Dwa tygodnie, może trzy - odrzekł Dinin. - Ale warto poświęcić ten czas. Będziemy tymi, mój młodszy bracie, którzy wywrą zemstę na naszych najbardziej zniechęconych wrogach, którzy wymierzą wspaniałe cios w imieniu Pajęczej Królowej!

Drizzt myślał, że rozumie, ale myśl była zbyt niezwykła, by mógł być pewnym.

- Elfy! - wykrzyknął Dinin. - Wybrano nas do wyprawy na powierzchnię!

Drizzt nie cieszył się tak otwarcie jak jego brat, niepewny tego, co może przynieść taka misja. Przynajmniej zobaczy, jak jest na powierzchni i stanie twarzą w twarz z prawdą o elfach. Coś bardziej realnego dla Drizzta, rozczarowanie, które znał od tylu lat, przytępiło jego radość, przypomniało mu, że o ile prawda o elfach może być wytłumaczeniem mrocznego świata jego ludu, może też odebrać mu coś bardzo ważnego. Nie wiedział, co powinien czuć.

* * *

- Powierzchnia! - zamyślił się Alton. - Moja siostra była tam raz na wyprawie. Wspaniałe doświadczenie, powiedziała. - Spojrzał na Masoja, nie wiedząc jak interpretować rozpaczliwy wyraz jego twarzy. - A teraz wyrusza tam twój patrol. Zazdroszczę ci.

- Ja nie idę - stwierdził Masoj.

- Dlaczego? - zachłysnął się Alton. - To rzadka okazja. Menzoberranzan - ku niezadowoleniu Lloth, czego jestem pewien - nie wysyła wypraw na powierzchnię od dwóch dekad. Do następnej wyprawy może upłynąć następnych dwadzieścia lat, a wtedy nie będziesz już służył w patrolach.

Masoj wyrzwał przez małe okienko w pokoju Altona w Domu Hun'ett i rozejrzał się po dziedzińcu.

- Poza tym - mówił dalej Alton - na górze, gdzie nie ma wścibskich oczu, mógłbyś pozbyć się obu Do'Urdenów. Dlaczego nie chcesz iść?

- Czy zapomniałeś o orzeczeniu, w którym sam miałeś udział? - zapytał Masoj, pokazując placem na Altona. - Dwie dekady temu mistrzowie Sorcere zdecydowali, że żaden czarodziej nie może się zbliżyć do powierzchni!

- Oczywiście - odrzekł Alton, przypominając sobie spotkanie. Sorcere wydawało mu się tak odległą przeszłością, choć w domu Hun'ett mieszkał zaledwie od kilku tygodni. - Uznaliśmy, że magia drowów może działać inaczej - nieprzewidywalnie - pod otwartym niebem - wyjaśnił. - W czasie wyprawy dwadzieścia lat temu...

- Znam tę opowieść - warknął Masoj i dokończył zdanie za Altona. - Wysłana przez czarodzieje ognista kula urosła do niezwykłych rozmiarów i zabiła kilku drowów. Niebezpieczny efekt uboczny, jak nazywają to mistrzowie, choć ja uważam, że ten czarodziej pozbył się po prostu kilku wrogów tak, by wyglądało to na przypadek!

- Prawda! - zgodził się Alton. - Tak głosi plotka. Ale pod nieobecność dowodów... - nie dokończył myśli, widząc, że nie przynosi to ulgi Masojowi. - To było tak dawno temu - powiedział, próbując pozostawić mu promień nadziei. - Nie ma żadnego sposobu?

- Nie ma - odrzekł Masoj. - Wszystko toczy się tak wolno w Menzoberranzan. Wątpię, by czarodzieje w ogóle rozpoczęli śledztwo w tej sprawie.

- Szkoda - powiedział Alton. - To by była wymarzona okazja.

- Dość tego! - skarcił go Masoj. - Opiekunka SiNafay nie dała mi polecenia, by wyeliminować Drizzta Do'Urden i jego brata. Zostałeś już ostrzeżony, by trzymać swe pragnienia dla siebie. Kiedy opiekunka nakaze mi działać, nie zawiodę jej. Okazję można stworzyć.

- Mówisz tak, jakbyś już wiedział, jak umrze Drizzt Do'Urden - powiedział Alton.

Masoj uśmiechnął się, sięgając do kieszeni i wyciągając z niej figurkę, swego bezmyślnego, magicznego sługę, któremu głupi Drizzt tak bardzo zaufał.

- Ależ wiem - odrzekł, głaszcząc delikatnie figurkę Guenhwyvar. - Wiem.

* * *

Członkowie wybranego patrolu szybko zorientowali się, że nie będzie to zwykła misja. W ciągu następnego tygodnia w ogóle nie wychodzili na patrole wokół Menzoberranzan. Byli zamiast

tego dzień i noc zamknięci w koszarach Melee - Magthere. Przez cały niemal czas siedzieli wokół owalnego stołu w pokoju konferencyjnym, słuchając szczegółowych planów czekającej ich przygody, a także, ciągle na nowo, Mistrza Wiedzy Hatch'neta i jego opowieści o złych elfach.

Drizzt słuchał celowo tych historii, pozwalając sobie, nakazując nawet, zaplątanie się w hipnotycznej sieci wykładowcy. Opowieści musiały być prawdziwe. Drizzt nie wiedział, czego się będzie trzymał, jeśli się okaże, że nie są.

Dinin przejął kontrolę nad taktyczną stroną misji, pokazywał mapy długich tuneli, którymi będzie podróżować grupa, męcząc jej członków, dopóki nie zapamiętali dokładnie trasy.

Tego również słuchali chętnie - oprócz Drizzta - i z trudem powstrzymywali swój entuzjazm od wybuchnięcia w formie dzikiego krzyku. Kiedy tydzień przygotowań dobiegał końca, Drizzt zauważył, że jednego z członków grupy z nimi nie było. Z początku Drizzt podejrzewał, że Masoj przygotowuje się do wyprawy w Sorcere, ze swymi starymi mistrzami. Lecz kiedy zbliżał się czas wymarszu, a plany taktyczne były sprecyzowane, Drizzt zrozumiał, że Masoj do nich nie dołączy.

- Gdzie nasz czarodziej? - zapytał Drizzt pod koniec jednego ze spotkań.

Dinin, niezadowolony z tego, że się mu przerywa, spojrzał groźnie na brata.

- Masoj z nami nie idzie - odpowiedział, wiedząc, że inni mogą podzielać niepokój Drizzta, a na podobne uczucie nie mogli sobie pozwolić w takich trudnych chwilach.

- Sorcere postanowiło, że żaden czarodziej nie wyruszy na powierzchnię - wyjaśnił Mistrz Hatch'net. - Masoj Hun'ett zaczeka na wasz powrót w mieście. Wielka to dla was strata, bowiem Masoj wiele razy udowodnił swą wartość. Nie bójcie się jednak, pójdzie z wami kapłanka z Arach - Tinilith.

- A co z... - zaczął Drizzt, zagłuszając pełne zadowolenia szepty innych.

Dinin uciął krótko rozmowę, łatwo odgadując, jak będzie brzmiało pytanie.

- Kocica należy do Masoja - powiedział obojętnie. - Zostaje.

- Mógłbym porozmawiać z Masojem - poprosił Drizzt. Ostre spojrzenie Dinina dało mu odpowiedź na pytanie.

- Nasza taktyka na powierzchni będzie inna - powiedział do całej grupy, ucinając szepty. - Powierzchnia to świat dużych odległości, a nie zamkniętych przestrzeni i krętych korytarzy. Kiedy już spostrzeżemy naszych nieprzyjaciół, musimy ich otoczyć, by zmniejszyć odległości. - Spojrzał prosto na swego młodszego brata. - Nie musimy posiadać szpicy, a w takiej walce magiczna kocica mogłaby sprawić więcej kłopotów, niż przynieść korzyści.

Drizztowi musiała wystarczyć taka odpowiedź. Kłótnia nic nie da, nawet jeśli skłoni Masoja do pożyczenia pantery - w co w głębi serca wątpił. Odegnął od siebie marzenia i zmusił się do słuchania słów brata. Miało to być największe wyzwanie w życiu młodego Drizzta, a także największe niebezpieczeństwo.

Przez ostatnie dwa dni, kiedy plany bitwy były rozkładane na najmniejsze szczegóły, Drizzt czuł, że jest coraz bardziej podekscytowany. Nerwowa energia sprawiała, że cały czas pociły mu się dłonie, a oczy bez przerwy rozglądały się niespokojnie dookoła.

Pomimo rozczarowania związanego z Guenhwyvar Drizzt nie mógł zaprzeczyć, że z niecierpliwością oczekuje wymarszu. To była przygoda, której zawsze pragnął, odpowiedź na pytanie o naturę jego ludu. Tam w górze, w wielkiej pustce obcego świata, mieszkały elfy powierzchni, niewidoczny koszar, który stał się wrogiem publicznym jednoczącym wszystkie drowy. Drizzt pozna chwałę bitwy, wyrwie zemstę na najbardziej znienawidzonych wrogach. Wcześniej Drizzt zawsze walczył z konieczności, w salach treningowych lub przeciwko głupim potworom, które zapędziły się zbyt blisko jego domu.

Drizzt wiedział, że teraz będzie inaczej. Teraz cięcia i pchnięcia będą zadawane z siłą, którą otrzyma od swych emocji, a poprowadzi je honor jego ludu i odwaga, która każe uderzać w ciemności. Musiał w to uwierzyć.

Drizzt leżał na posłaniu w nocy przed wymarszem i wykonywał przed sobą zwolnione manewry sejmityrami.

- Tym razem... - wyszeptał do ostrzy, podziwiając ich taniec w zwolnionym tempie. - Tym razem zaśpiewacie pieśń sprawiedliwości!

Położył sejmityramy obok łóżka i przewrócił się na bok, próbując usnąć.

- Tym razem - powiedział ponownie zaciskając zęby, z oczyma lśnącymi determinacją.

Czy te zapewnienia były wyrazem przekonania, czy nadziei? Drizzt odegnał to natarczywe pytanie, nie mając już siły na tego typu wątpliwości. Nie brał już pod uwagę możliwości rozczarowania, nie było na to miejsca w sercu drowa wojownika.

Dla Dinina, który przyglądał się Drizztowi z cienia przy drzwiach, brzmiało to tak, jakby jego młodszy brat próbował sam się przekonać, że mówi prawdę.

20

TEN OBCY ŚWIAT

Czternastu członków patrolu przemierzało wijące się tunele i olbrzymie jaskinie, które nagle otwierały się tuż przed nimi. Niestłyszalni dzięki magicznym butom i niemal niewidzialni w swych piwafwi komunikowali się tylko językiem gestów. Przez większość drogi nachylenie gruntu było ledwo wyczuwalne, choć czasem grupa musiała wspinać się skalnymi kominami, gdzie każdy krok i każdy uchwyt dla rąk zbliżał ich do celu. Przekroczyli granice ziem kontrolowanych przez potwory lub inne rasy, ale znienawidzone gnomy, a nawet krasnoludy duergary, mądrze siedziały w swych kryjówkach. Niewielu było w Podmroku takich, którzy świadomie zaatakowałyby wyprawę wojenną drowów.

Pod koniec tygodnia wszystkie drowy zauważyły, że krajobraz się zmienia. Byli na

głębokości przytłaczającej mieszkańców powierzchni, ale drowy były przyzwyczajone do stałej obecności nad głową tysięcy ton skał. Za każdy zakręt wchodzili z uczuciem, że sklepienie uniesie się i odleci w nieskończoną pustkę nieba.

Owiewał ich wiatr, nie śmierdzące siarką podmuchy unoszące się znad źródeł magmy, ale wilgotne powietrze, nasycone setkami zapachów obcych drowom. Na górze była wiosna, ale drowy, mieszkające w świecie, w którym nie było pór roku, nic o niej nie wiedziały. Powietrze pełne było zapachów kwiatów i drzew. W zwodniczym aromacie Drizzt musiał raz po raz przypominać sobie, że miejsce, do którego idą, jest w całości złe i niebezpieczne. Może te zapachy były tylko diabelską sztuczką, przynętą dla niespodziewających się niczego istot, mającą zwabić je do morderczego świata powierzchni.

Kapłanka Arach - Tinilith, która szła z wyprawą, podeszła do jednej ze ścian i przycisnęła do niej policzek, patrząc przez wąską szczelinę.

- Ta wystarczy - powiedziała chwilę później. Rzuciła czar widzenia i po raz drugi spojrzała w maleńkie pęknięcie, nie szersze niż na palec.

- Jak przez to przejdziemy? - pokazał jeden z członków patrolu. Dinin zauważył gesty i przerwał rozmowę zmarszczeniem brwi.

- Na górze jest dzień - ogłosiła kapłanka. - Musimy tu poczekać.

- Jak długo? - zapytał Dinin, wiedząc, że jego patrol nie może się doczekać wypełnienia misji.

- Nie wiem - odrzekła kapłanka. - Nie dłużej niż pół cyklu Narbondel. Zdejmijmy bagaże i odpocznijmy, skoro mamy okazję.

Dinin wolałby iść dalej, byle tylko zająć czymś żołnierzy, ale nie ośmielił się sprzeciwić kapłance. Przerwa okazała się niedługa, bo kilka godzin później kapłanka zajrzała znowu w szczelinę i ogłosiła, że czas wyruszać.

- Ty pierwszy - powiedział Dinin do Drizzta. Drizzt spojrzał nieufnie na brata, nie mając pojęcia, jak miałby się precyzyjnie przemieszczać przez taką szczelinę.

- Chodź - pouczyła go kapłanka, która trzymała kulę o wielu otworach. - Przejdź obok mnie i idź dalej.

Kiedy Drizzt przeszedł obok kapłanki, przekazała ona kuli rozkaz i ustawiła ją nad głową Drizzta. Zawirowały wokół niego czarne płatki, czarniejsze niż jego skóra, i poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Inni patrzyli ze zdziwieniem, jak ciało Drizzta zwęża się do grubości włosa i staje się dwuwymiarowym obrazem, cieniem swego właściciela.

Drizzt nie rozumiał, co się dzieje, ale szczelina nagle się przed nim rozszerzyła. Wsunął się w nią, odkrył, że w swej obecnej formie porusza się siłą woli i przepłynął swobodnie przez zakręty i łuki maleńkiego kanału. Następnie znalazł się w długiej jaskini dokładnie naprzeciwko wyjścia z

niej.

Była bezksiężycowa noc, ale nawet ona wydawała się drowowi jasna. Drizzt poczuł, że coś ciągnie go w stronę wyjścia, w stronę otwartego świata powierzchni. Pozostali wojownicy zaczęli wysuwać się ze szczeliny, a ostatnia wyszła z niej kapłanka. Drizzt pierwszy poczuł dreszcz, kiedy jego ciało wróciło do zwykłej formy. Po kilku chwilach wszyscy sprawdzali broń.

- Zostanę tutaj - powiedziała kapłanka Dininowi. - Dobrego polowania. Pajęcza Królowa patrzy.

Dinin raz jeszcze ostrzegł żołnierzy przed niebezpieczeństwami powierzchni, a potem ruszył do przedniej części jaskini, niewielkiej dziury w kamiennej ostrodze wysokiej góry.

- Za Pajęczą Królową - ogłosił Dinin. Uspokoił oddech i poprowadził ich przez wyjście, pod otwarte niebo.

Pod gwiazdy! Podczas gdy wszyscy zdawali się być zdenerwowani pod tymi niezwykłymi światłkami, Drizzt nie mógł oderwać wzroku od milionów lśniących na niebie punktów. Skąpany w świetle gwiazd Drizzt poczuł takie uniesienie, że nawet nie zauważył radosnego śpiewu, który przypłynął do nich na skrzydłach wiatru.

Dinin usłyszał pieśń, a miał na tyle doświadczenia, by rozpoznać w niej wołanie elfów powierzchni. Przykucnął i rozejrzał się po okolicy, koncentrując się na pojedynczym ognisku, które płonęło w odległej, zalesionej dolinie. Ponaglił swych żołnierzy do działania - gasząc zachwyty, który lśnił w oczach jego brata.

Drizzt widział na twarzach swych towarzyszy niecierpliwość, która tak ostro kontrastowała z jego własnym wewnętrznym spokojem.

Podjeżdżał, że w całej tej sytuacji coś było bardzo złe. W głębi serca Drizzt wiedział, że to nie jest świat, który przedstawili mu mistrzowie Akademii. Czuł się niezwykle bez kamiennego sklepienia nad głową, ale nie było to uczucie nieprzyjemne. Jeśli gwiazdy rzeczywiście były przypomnieniem tego, co ma przynieść następny dzień, jak mówił Mistrz Hatch'net, to z pewnością ten dzień nie będzie taki straszny.

Uczucie wolności, które go teraz przepełniało, zakłócone było tylko przez zakłopotanie, bo Drizzt nie wiedział, czy to on padł ofiarą otumanienia zmysłów, czy też jego towarzysze widzieli świat przez zaślepienie oczy.

Składało się to na ramionach Drizzta wielkim ciężarem - czy jego uczucie ulgi było słabością, czy prawdą, którą odbierało jego serce?

- To krewniacy naszych grzybów - zapewniał wszystkich Dinin, kiedy przechodzili pod drzewami. - Nie są szkodliwe.

Mimo to młodsze drowy były spięte i trzymały broń w pogotowiu, podskakując, ilekroć nad ich głowami przebiegła wiewiórka albo gdzieś w oddali zaśpiewał ptak. Świat mrocznych elfów był światem ciszy, zupełnie innym niż tętniący życiem las. W Pod - mroku każda żywa istota mogła

zrobić krzywdę komuś, kto naruszał jej teren. Nawet śpiew świerszcza brzmiał dla drowów alarmująco.

Dinin prowadził dobrze i wkrótce śpiew faerie zagłuszył wszystkie odgłosy lasu, a ognisko zaczęło przebłyskiwać między drzewami. Elfy powierzchni były najczujniejszą z ras, więc ludzie - a nawet sprytnie niziołki - nie miały szans na zaskoczenie ich.

Tej nocy łowcami były jednak drowy, lepiej wyszkolone w skradaniu się niż najdoskonalsi złodzieje. Ich kroków nie było słyhać, nawet kiedy stąpali po suchych liściach, a ich zbroje, dopasowane doskonale do kształtów ich smukłych ciał, zginały się w ruchu nie wydając dźwięku. Niezauważeni podeszli do skraju polanki, na której tańczyła i śpiewała grupa faerie.

Oszołomiony radością, z jaką bawiły się elfy, Drizzt prawie nie zwracał uwagi na rozkazy wydawane w milczeniu przez jego brata. Wśród zgromadzonych tańczyło kilkoro dzieci, ale można je było poznać tylko po wzroście, bo zachowywały się tak jak dorośli. Wydawały się wszystkie tak niewinne, tak pełne życia i radości, tak wyraźnie związane ze sobą przyjaźnią większą niż cokolwiek, co widział Drizzt w Menzoberranzan. Opowieści Hatch'neta wydawały się teraz kłamliwe, te historie o złośliwości i okrucieństwie...

Drizzt bardziej poczuł niż zobaczył, że jego grupa ruszyła, rozpraszając się w tyralierę. Nadal nie odrywał oczu od spektaklu na polanie. Dinin postukał go w ramię i wskazał na niewielką kuszę, którą miał przy pasie, a potem wśliznął się w krzaki obok, by zająć lepszą pozycję.

Drizzt chciał zatrzymać swego brata i innych, chciał sprawić, by zaczekali i popatrzyli na elfy, które tak szybko okrzyknęli swymi wrogami. Drizzt odkrył, że jego stopy są wrosnięte w ziemię, a język wysechł mu na wiór. Spojrzał na Dinina i mógł mieć tylko nadzieję, że brat wziął jego ciężki oddech za pragnienie krwi.

Wtedy czułe uszy Drizzta wyłapały ciche orzeknięcie tuzina kusz. Pieśń elfów brzmiała jeszcze sekundę dłużej, do momentu, kiedy kilku członków grupy upadło na ziemię.

- Nie! - krzyknął Drizzt, a słowa wyrwały się z jego ciała z wściekłością, której nie potrafił zrozumieć. Jego krzyk zabrzmiał dla wojowników jak kolejny okrzyk bitewny i zanim elfy zdążyły zareagować, Dinin i inni spadli im na plecy.

Drizzt również wyskoczył na polanę, ale nie miał pojęcia, co robić dalej. Chciał tylko zakończyć tę bitwę, położyć kres scenie, która się przed nim rozgrywała.

Czując się pewnie w swym leśnym domu, elfy nie były nawet uzbrojone. Drowy wbiły się bezlitośnie w ich szeregi, zabijając ich i tnąc ich ciała na długo po tym, jak zgasła w nich ostatnia isierka życia.

Przed Drizztem znalazła się jedna z uciekających, przerażonych kobiet. Opuścił czubki sejmitarów do ziemi, by jakoś ją uspokoić.

Kobieta wyprostowała się nagle, kiedy w jej plecach zatoneło ostrze miecza, a jego czubek pojawił się między jej piersiami. Drizzt patrzył, jak zahipnotyzowany, jak stojący za nią drow łapie

rękojeść miecza mocniej i przekręca ostrze w jej ciele. Kobieta patrzyła prosto na Drizzta, a jej oczy błagały o litość. Jej głos zmienił się w bulgot krwi.

Drow wojownik, z uniesieniem i ekstazą na twarzy wyrwał miecz z rany i ciął martwe ciało, oddzielając głowę od ramion kobiety.

- Zemsta! - krzyknął do Drizzta, a jego twarz wykrzywiła się w strasznym grymasie, zaś w oczach zapłonął ogień, który wydał się Drizztowi demoniczny. Wojownik wbił miecz w martwe ciało raz jeszcze, a potem odwrócił się na pięcie, by znaleźć następną ofiarę.

Chwilę później kolejny elf, tym razem mała dziewczynka, wyrwała się z rzezi i ruszyła w kierunku Drizzta, raz po raz wykrzykując jedno słowo. Mówiła w języku elfów powierzchni, dialekcie obcym Drizztowi, ale kiedy spojrzał w jej twarz, zalaną łzami, zrozumiał, co krzyczała. Jej oczy wpatrzone były w bezgłowe ciało u jej stóp. Żal przewyższał nawet strach przed śmiercią. Mogła krzyczeć tylko jedno słowo - Mamo!

Wściekłość, przerażenie, żal i tuzin innych emocji rozdarły Drizzta w tej straszej chwili. Chciał uciec od swych uczuć, zatracić się w ślepym szale swego ludu i przyjąć rzeczywistość drowów. Jak łatwo byłoby, gdyby potrafił odrzucić sumienie, które tak bolało.

Elfie dziecko podniosło się, zanim Drizzt zdążył się ruszyć, odsłaniając kark na jedno czyste, proste cięcie. Drizzt podniósł sejmitar, nie mogąc odróżnić współczucia od żądz mordy.

- Tak, mój bracie! - krzyknął do niego Dinin, głosem, który przebił się przez wycie jego towarzyszy i zabrzmiał w uszach Drizzta jak oskarżenie. Drizzt podniósł wzrok i zobaczył Dinina stojącego wśród stosu trupów i pokrytego od stóp do głów krwią.

- Dowiesz się dziś, jaki to zaszczyt być drowem! - krzyczał Dinin, wyciągając w powietrze zaciśniętą pięść. - Dziś czcimy Pajęczą Królową!

Drizzt odpowiedział na jego okrzyk, po czym podniósł broń do śmiertelnego ciosu.

Prawie go zadał. W przyływie nie ukierunkowanej wściekłości Drizzt stał się niemal jednym ze swoich. Niemał ukradł życie z lśniących oczu elfiego dziecka.

W ostatniej chwili dziewczynka spojrzała na niego, jej oczy lśniły niczym ciemne lustro, w którym odbijało się czarne serce Drizzta. W tym odbiciu, odwróconym wizerunku własnej wściekłości, Drizzt odnalazł siebie.

Opuścił szybko sejmitar, obserwując Dinina kątem oka. Tym samym ruchem, Drizzt pociągnął dziecko drugą ręką, przewracając je na ziemię.

Krzyknęła, była cała, choć przerażona, a Drizzt zobaczył, jak Dinin raz jeszcze wznosi pięść w górę, a potem odwraca się.

Drizzt musiał działać szybko, bo bitwa dobiegała końca. Przeciął sejmitarem tunikę dziecka, na tyle mocno, by ją podrzeć, ale nie by ją zranić. Potem, używając krwi z bezgłowych zwłok zamaskował sztuczkę, czując ponurą satysfakcję, że elfia matka byłaby zadowolona wiedząc, że nawet po śmierci ratuje życie swojej córki.

- Leż na ziemi - wyszeptał dziecku do ucha. Drizzt wiedział, że nie zrozumie jego języka, ale próbował nadać swemu głosowi uspokajający ton, by zrozumiała, o co mu chodzi. Miał tylko nadzieję, że mu się udało, kiedy chwilę później dołączył do niego Dinin i reszta wojowników.

- Dobra robota! - powiedział uroczyście Dinin, trzęsąc się z podniecenia. - Stos trupów, a żaden z nas nawet nie draśnięty! Opiekunki Menzoberranzan będą naprawdę zadowolone, choć z tych tutaj nie weźmiemy żadnych łupów! - Spojrzał na stos u stóp Drizzta, a potem poklepał brata po ramieniu.

- Myśleli, że uda im się uciec?! - ryknął Dinin.

Drizzt walczył ze sobą, by nie okazać obrzydzenia, ale Dinin był tak zaaferowany krwawą rzezią, że i tak niczego by nie zauważył.

- Z tobą by im nie wyszło! - ciągnął Dinin. - Dwa trafienia dla Drizzta!

- Jedno! - zaprotestował inny, stając obok Dinina. Drizzt położył pewnie dłonie na rękojeściach sejmitarów i zebrał w sobie odwagę. Jeśli ten drow przejrzał jego oszustwo, Drizzt gotów był walczyć, by ocalić elfie dziecko. Zabiłby swych towarzyszy, nawet brata, by ocalić małą dziewczynkę o lśniących oczach - i zginałby za nią. W każdym razie Drizzt nie musiałby patrzeć, jak zabijają dziecko.

Na szczęście nie było takiej konieczności.

- Drizzt zabił dziecko - powiedział drow. - Ale ja dopadłem tę kobietę. Wbiłem jej miecz w plecy, zanim twój brat zdążył podnieść sejmitary!

To był impuls, nieświadomy atak wymierzony przeciwko złu, które go otaczało. Drizzt nie zdawał sobie nawet sprawy, że to się dzieje, a po chwili zobaczył, że drow leży na plecach, trzymając się za twarz i jęcząc z bólu. Drizzt zorientował się, co się stało, kiedy poczuł ból we własnej dłoni i zobaczył krew na swych kostkach i rękojeści sejmitara.

- O co ci chodzi? - zapytał Dinin.

Drizzt nawet nie odpowiedział bratu. Spojrzał na leżącą na ziemi postać i przelał całą swą nienawiść w przekleństwo, za które inni będą go szanować.

- Jeśli jeszcze raz przypiszesz sobie moje zabójstwo - syknął, nadając fałszywym słowom pozory szczerości - zastąpię głowę z ramion trupa twoją własną!

Drizzt usłyszał, że leżące u jego stóp elfie dziecko, choć bardzo się starało, zaczęło pojękiwać, zdecydował się więc nie przeciągać całej tej sytuacji.

- Chodźmy - warknął. - Smród świata powierzchni wypełnia mi nozdrza błotem.

Odwrócił się na pięcie, roześmiał, podniósł leżącego na ziemi towarzysza i ruszył przed siebie.

- Nareszcie - wyszeptał Dinin, patrząc na napięte ruchy swego brata.

- Nareszcie dowiedziałeś się, co znaczy być drowem wojownikiem.

Dinin w swej ślepotie nigdy nie miał zrozumieć ironii, która zabrzmiała w jego własnych

słowach.

* * *

- Czekaj nas jeszcze jeden obowiązek, zanim wrócimy do domu - wyjaśniła kapłanka, kiedy grupa powróciła do jaskini. O drugim celu wyprawy wiedziała tylko ona. - Opiekunki Menzoberranzan nakazały nam ujrzeć najstraszliwszą rzecz w świecie powierzchni, byśmy mogli ostrzec naszych braci.

Braci? Pomyślał Drizzt sarkastycznie. O ile zdążył się zorientować, jego krewniacy widzieli już najstraszliwszą rzecz na powierzchni: samych siebie!

- Tam! - krzyknął Dinin, wskazując na wschodni horyzont. Krawędź grzbietów górskich została obramowana słabiutkim lśnieniem. Mieszkaniec powierzchni nawet by tego nie zauważył, ale mroczne elfy widziały to wyraźnie, i wszyscy, nawet Drizzt, wzdrygnęli się instynktownie.

- To piękne - powiedział Drizzt po chwili milczenia.

Dinin spojrział na niego lodowato, ale jeszcze zimniejsze było spojrzenie kapłanki.

- Zdejmijcie płaszcze i wyposażenie, nawet zbroje - pouczyła grupę. - Szybko. Połóżcie je w cieniu w jaskini, by nie padło na nie światło słońca.

Kiedy wykonali zadanie, kapłanka wyprowadziła ich w coraz jaśniejsze światło.

- Patrzcie - rozkazała ponuro.

Wschodnie niebo zaczęło przybierać różowy odcień, a blask sprawiał, że drowy zaczęły krzywić się odruchowo. Drizzt chciał wyprzeć się swoich uczuć, odłożyć wydarzenie na ten sam stos gniewu, na którym mistrz wiedzy kładł elfy powierzchni.

Potem to się stało: zza horyzontu wychyliła się krawędź tarczy słonecznej. Świat powierzchni powitał radośnie jego ciepło, jego dającą życie energię. Te same promienie zaatakowały oczy drowów niczym ogień, rozdzierając ich źrenice, nie przyzwyczajone do takich widoków.

- Patrzcie! - krzyczała na nich kapłanka. - Poznajcie głębię przerażenia!

Jeden po drugim wojownicy zaczęli krzyczeć i uciekali do jaskini, aż w końcu Drizzt został sam obok kapłanki. W rzeczywistości światło atakowało Drizzta równie gwałtownie jak jego krewniaków, ale on postanowił wytrzymać, przyjmując je jako oczyszczające doświadczenie, które obmyje jego duszę.

- Chodź - powiedziała do niego w końcu kapłanka, nie rozumiejąc jego postępowania. - Przyniesiemy świadectwo. Możemy wrócić do naszej ojczyzny.

- Ojczyzny? - zapytał przygaszony Drizzt.

- Menzoberranzan! - odkrzyknęła kapłanka, myśląc, że mężczyzna jest zbyt zdezorientowany, by poprawnie rozumować. - Chodź, zanim piekielny ogień wypali ci skórę. Niech nasi kuzyni z powierzchni cierpią od płomieni, co jest odpowiednią karą dla ich złych serc!

Drizzt roześmiał się bezradnie. Odpowiednia kara? Chciałby zdjąć z nieba tysiąc takich

słońc i powiesić je w każdej kaplicy w mieście.

Drizzt nie mógł już znieść więcej światła. Zatoczył się z powrotem do jaskini i po chwili zaczął zakładać ekwipunek. Kapłanka trzymała w dłoni kulę, a Drizzt znowu jako pierwszy przeszedł przez pęknięcie w ścianie. Kiedy cała grupa połączyła się w ciemnym tunelu, Drizzt zajął swą pozycję w szpicy i poprowadził ich w gęstniejący mrok - z powrotem w ich prawdziwe życie.

21

NA CHWAŁĘ BOGINII

Czy zadowoliliś boginię? - pytanie Opiekunki Malice zawierało otwartą groźbę. U jej boku stały inne kobiety Domu Do'Urden, Briza, Vierna i Maya, a na twarzach wszystkich widać było skrywaną zazdrość.

- Żaden drow nie zginął - odrzekł Dinin, a w jego głosie słychać było zadowolenie z uczynionego zła. - Cięliśmy ich i zabijaliśmy! Rąbaliśmy i miażdżyliśmy!

- A co z tobą? - przerwała mu opiekunka, bardziej przejmując się osiągnięciami własnej rodziny niż ogólnym wynikiem wyprawy.

- Pięciu - powiedział dumnie Dinin. - Ja zabiłem pięciu, same kobiety!

Uśmiech opiekunki zmroził Dinina. Malice skrzywiła się i skierowała wzrok na Drizzta.

- A on? - zapytała, nie spodziewając się satysfakcjonującej odpowiedzi. Malice nie wątpiła w umiejętności bojowe syna, ale podejrzewała, że Drizzt ma w sobie za dużo z Zaknafeina.

Uśmiech Dinina zaskoczył ją mocno. Dinin podszedł do brata i objął go ramieniem.

- Drizzt ma na kacie tylko jedną ofiarę - powiedział Dinin. - Ale za to małą dziewczynkę.

- Tylko jedną? - warknęła Malice.

Całej rozmowy słuchał z niesmakiem Zaknafein. Chciał wepchnąć słowa Starszego Syna z powrotem do jego gardła, ale powstrzymał się od tego. Spośród wszystkich niegodziwości, jakie Zak odkrył w Menzoberranzan, ta była z pewnością najgorsza. Drizzt zabił dziecko.

- I to jak zabił! - wykrzyknął Dinin. - Rozciął ją prawie na pół, całą furię Lloth włożył w ten piękny cios! Pajęcza Królowa ceni sobie zapewne ten cios wyżej niż wszystkie inne.

- Tylko jeden - powiedziała Opiekunka Malice, a groźny wyraz jej twarzy nie łagodniał.

- Miałby dwa - powiedział Dinin. - Ale Shar Nadal z Domu Maevret zabrał mu z ostrza kobietę.

- Zatem Lloth spojrzy przychylnie na Dom Maevret - stwierdziła Briza.

- Nie - powiedział Dinin. - Drizzt ukarał Shar Nadała za jego czyn. Syn Domu Maevret nie podjął wyzwania.

Pamięć Drizzta podsunęła mu całą scenę. Chciał, by Shar Nadal odpowiedział, dając mu okazję do pełniejszego wyrażenia uczuć.

- Bardzo dobrze, dzieci - powiedziała Malice, zadowolona, że obaj jej synowie jednak

zachowali się w czasie wyprawy jak należy. - Pajęcza Królowa spojrzysz łaskawie na Dom Do'Urden. Poprowadzi nas do zwycięstwa nad tym nieznanym domem, który pragnie nas zniszczyć.

* * *

Zaknafein opuścił salę spotkań z opuszczonym wzrokiem i nerwowo pocierając rękojeść miecza. Zak przypomniał sobie ich walkę, kiedy oszukał Drizzta za pomocą bomby świetlnej, kiedy Drizzt został pobity. Mógł oszczędzić mu wtedy strasznego losu. Mógł zabić Drizzta tam i wtedy, bezboleśnie, i uwolnić go od strasznego życia w Menzoberranzan.

Zak zatrzymał się w pustym korytarzu i odwrócił się, by zajrzeć do komnaty. Wyszli z niej Drizzt i Dinin, a Drizzt rzucił Zakowi oskarżycielskie, krótkie spojrzenie, szybko się odwracając i odchodząc korytarzem.

Spojrzenie to przeszło fehmistrza na wylot.

- Do tego więc doszło - wyszeptał do siebie Zak. - Najmłodszy wojownik Domu Do'Urden stał się tak pełny nienawiści, że nie może znieść już mego widoku.

Czując w sercu drżazgę, którą umieściło tam spojrzenie Drizzta, Zak zastanawiał się, czyjego cios byłby korzystniejszy dla niego, czy dla Drizzta.

* * *

- Zostaw nas - rozkazała Opiekunka SiNafay wchodząc do komnaty. Alton skrzywił się, przecież był to jego prywatny pokój! Przypomniał sobie jednak, że SiNafay jest opiekunką rodziny i jej niepodzielną władczynią. Składając kilka niezdarnych ukłonów i przepaszając za ospałość wycofał się z komnaty.

Masoj patrzył uważnie na swą matkę, kiedy ta czekała, aż Alton wyjdzie z pokoju. Z tonu głosu SiNafay Masoj wywnioskował, że jej wizyta jest bardzo ważna. Czy zrobił coś, co rozgniewało jego matkę? A może zrobił coś takiego Alton? Kiedy SiNafay odwróciła się do niego, a na jej twarzy pojawił się złowrogi uśmiech, Masoj domyślił się, że jego matka jest czymś podekscytowana.

- Dom Do'Urden zbłądził! - syknęła. - Utracił łaskę Pajęczej Królowej!

- Jak? - zapytał Masoj. Wiedział, że Dinin i Drizzt powrócili z zakończonego sukcesem rajdu, wyprawy, o której całe miasto mówiło z podziwem.

- Nie znam szczegółów - odrzekła SiNafay, opanowując trochę głos. - Może jeden z synów zrobił coś, co nie spodobało się Lloth. Powiedziała mi to jedna ze służek Pajęczej Królowej. To z pewnością prawda!

- Opiekunka Malice szybko naprawi błąd - stwierdził Masoj. - Ile mamy czasu?

- Niezadowolenie Lloth nie zostanie objawione Opiekunce Malice - powiedziała SiNafay. - Na pewno nie wkrótce. Pajęcza Królowa wie wszystko. Wie, że pragniemy zaatakować Dom Do'Urden i tylko niefortunny wypadek mógłby sprawić, że Opiekunka Malice dowie się o swej rozpaczliwej sytuacji!

- Musimy działać szybko - kontynuowała Opiekunka SiNafay. - W ciągu dziesięciu cykli Narbondel musimy zadać pierwszy cios! Prawdziwa bitwa rozpocznie się niedługo później, zanim Dom Do'Urden zdąży przegrupować siły po tak ważnej stracie.

- Jaka to będzie strata? - zapytał Masoj, mając nadzieję, że domyśla się już odpowiedzi.

Słowa jego matki były dla jego uszu jak muzyka.

- Drizzt Do'Urden - wyszeptała. - Ulubiony syn. Zabij go. Masoj oparł się na krześle i splótł smukłe palce za głową.

- Nie zawieźdź mnie.

- Nie zrobię tego - zapewnił ją Masoj. - Drizzt jest jednak niebezpiecznym przeciwnikiem. Jego brat, były mistrz Melee - Magthere, nie odstępował go na krok. - Spojrzał na opiekunkę, a jego oczy zalśniły. - Czy mogę zabić również brata?

- Bądź ostrożny, synu - odrzekła SiNafay. - Drizzt Do'Urden jest twoim celem. Skoncentruj swe wysiłki na jego śmierci.

- Jak rozkażesz - odrzekł Masoj, kłaniając się nisko.

SiNafay podobało się to, że jej syn spełniał jej życzenia nie zadając zbędnych pytań.

Zaczęła zbierać się do wyjścia, pewna, że Masoj wykona zadanie.

- Jeśli Dinin Do'Urden wejdzie ci w drogę - powiedziała, decydując się ofiarować synowi prezent za posłuszeństwo - możesz go też zabić.

Wyraz twarzy Masoja zdradzał zbyt wielką chęć wykonania tego zadania.

- Nie zawieźdź mnie - powiedziała raz jeszcze SiNafay, tym razem tak ostrym tonem, że Masoj od razu się uspokoił. - Drizzt Do'Urden musi umrzeć w ciągu dziesięciu dni!

Masoj odegnał od siebie wszelkie myśli o Dininie.

- Drizzt musi umrzeć - szeptał raz po raz, długo po tym, jak jego matka wyszła z komnaty. Wiedział już, jak chce to zrobić. Musiał mieć tylko nadzieję, że okazja nadarzy się wkrótce.

* * *

Straszliwe wspomnienia z wyprawy na powierzchnię cały czas powracały do Drizzta. Wyszedł z komnaty przyjęć natychmiast po tym, jak Opiekunka Malice go odprawiła i wymknął się swemu bratu przy pierwszej okazji, chcąc zostać sam.

Obrazy jednak pozostały: gasnąca iskra w oczach młodej elfki, która kłęczała nad trupem swojej matki, straszliwy wyraz twarzy umierającej kobiety, kiedy Shar Nadal wyrwał życie z jej ciała. W myślach Drizzta tańczyły elfy powierzchni, nie mógł się ich pozbyć. Chodziły u jego boku, kiedy przemierzał korytarze domu, tak rzeczywiste jak wtedy, gdy Drizzt ukrywał się w krzakach na chwilę przed ich śmiercią.

Drizzt zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie sam.

Kiedy tak szedł ze spuszczonej oczyma, nie patrzył zupełnie na drogę przed sobą. Kiedy za jednym z zakrętów wpadł na kogoś, odskoczył zaskoczony w tył.

Stał oko w oko z Zaknafeinem.

- Wróciłeś - powiedział obojętnie fechmistrz, a na jego twarzy nie widać było emocji, które aż w nim wrzały.

Drizzt zastanawiał się, czy będzie potrafił ukryć własne myśli.

- Na krótko - odrzekł równie obojętnie, choć jego złość na Zaknafeina nie zelżała ani trochę. Teraz kiedy Drizzt widział na własne oczy zemstę drowów, czyny Zaknafeina, o których słyszał, wydały mu się jeszcze gorsze. - Moja grupa wyrusza o pierwszych ogniach Narbondel.

- Tak szybko? - zapytał Zak, szczerze zdziwiony.

- Wezwano nas - odrzekł Drizzt, cofając się. Zak złapał go za ramię.

- Zwykły patrol? - zapytał.

- Szczególne zadanie - odrzekł Drizzt. - Wrogowie we wschodnich tunelach.

- Wzywa się więc bohaterów - roześmiał się Zak.

Drizzt nie odpowiedział od razu. Czy w głosie Zaka był sarkazm? Zazdrość, być może, za to, że jemu i Dininowi pozwolili iść do walki, a Zak musiał zostać w Domu Do'Urden i szkolić żołnierzy. Czy głód krwi Zaka był tak wielki, że on sam nie mógł już znieść codziennych obowiązków? Zak trenował Driztza i Dinina, czyż nie? Oraz setki innych. Przekształcił ich w żywą broń, w morderców.

- Jak długo cię nie będzie? - naciskał Zak, naprawdę interesując się zadaniem Driztza.

Drizzt wzruszył ramionami.

- Najdłużej przez tydzień.

- A potem? - Dom.

- To dobrze - powiedział Zak. - Rad będę ujrzeć cię znowu w murach Domu Do'Urden. -

Drizzt nie wierzył w ani jedno słowo.

Wtedy nagle Zak klepnął go w ramię nieoczekiwanym gestem, chcąc uruchomić odruchy Driztza. Bardziej zaskoczony niż zaniepokojony Drizzt nie zareagował na klepienie.

- A może sala treningowa? - zapytał Zak. - Ty i ja, jak za dawnych czasów.

Niemożliwe! Chciał krzyknąć Drizzt. Nigdy już nie będzie jak za dawnych czasów. Drizzt zatrzymał jednak te myśli dla siebie i skinął głową.

- Jak najbardziej - odrzekł, zastanawiając się, ile satysfakcji dałoby mu zabicie Zaka. Drizzt znał teraz prawdę o swoim ludzie i wiedział, że nie może niczego zmienić. Może mógłby zmienić jednak coś w życiu prywatnym. Może niszcząc Zaknafeina, największe rozczarowanie swej egzystencji, mógłby unieść się nieco ponad nie - godziwość, która go otaczała.

- Też tak uważam - powiedział Zak, a jego przyjacielski ton skrywał prawdziwe myśli, które były identyczne jak myśli Driztza.

- Zatem za tydzień - powiedział Drizzt i odszedł, nie mogąc już znieść spotkania z drowem, który był jego najdroższym przyjacielem, i który, jak wiedział teraz Drizzt, był równie okrutny i

zły, jak reszta jego rasy.

- Proszę, moja Opiekunko - jęczał Alton. - To moje prawo. Błagam cię!

- Spokojnie, głupi DeVirze - odrzekła SiNafay, a w jej głosie brzmiał żal, który czuła rzadko, a jeszcze rzadziej okazywała. - Czekałem...

- Czas nadejdzie wkrótce - groźnie powiedziała SiNafay. - Raz już próbowałeś.

Groteskowe uniesienie brwi wywołało śmiech SiNafay.

- Tak - powiedziała. - Wiem, że podjąłeś nieudaną próbę pozbawienia życia Drizzta Do'Urden. Gdyby nie Masoj, ten młody wojownik pewnie by cię zabił.

- To ja bym go zniszczył! - warknął Alton. SiNafay nie spierała się z nim.

- Może i byś wygrał - powiedziała. - Po czym zostałbyś przedstawiony jako morderca i oszust, a na głowę zwałiby ci się gniew Menzoberranzan.

- Nie przejmowałem się tym.

- Przejąłbyś się, obiecuję! - syknęła Opiekunka SiNafay. - Pogrzebałbyś swą szansę na dokonanie większej zemsty. Zaufaj mi, Altonie DeVir. Twoje... nasze zwycięstwo jest już blisko.

- Masoj zabije Drizzta, a może Dinina - poskarżył się Alton.

- Są inni Do'Urden, którzy czekają na karzącą rękę Altona De - Vir - obiecała opiekunka. -
Wysokie kapłanki.

Alton nadal czuł rozczarowanie, gdyż nie pozwolono mu zabić Drizzta. Bardzo chciał go zabić. Drizzt ośmieszył go tamtego dnia w Sorcere. Młody drow powinien był umrzeć szybko i cicho. Alton pragnął naprawić tę pomyłkę.

Nie mógł jednak również ignorować obietnicy Opiekunki SiNafay. Myśl o zabiciu jednej lub kilku wysokich kapłanek Domu Do'Urden sprawiała mu wiele radości.

* * *

Miękkość łóżka, tak bardzo różniąca się od reszty twardego, kamiennego Menzoberranzan, nie przyniosła Drizztowi ulgi. Teraz prześladował go jeszcze jeden cień - Zaknafein.

Dinin i Vierna powiedzieli Drizztowi prawdę o fehmistrzu, o roli Zaka w upadku Domu DeVir i o tym, jak bardzo Zakowi podobało się zabijanie innych drowów - drowów, które nie zasłużyły w żaden sposób na jego gniew.

Także Zaknafein brał udział w tej grze, w niekończących się zmaganiach o zadowolenie Lloth.

- Podobnie jak ja ją zadowoliłem w czasie wyprawy? - Sarkazm zawarty w tych wypowiedzianych na głos słowach przyniósł Drizztowi ulgę.

Fakt, że udało mu się uratować jedno życie był bardzo mało znaczący w porównaniu z bestialstwami, których dopuściła się jego grupa. Opiekunka Malice, jego matka, była bardzo zadowolona, słysząc o ofiarach. Drizzt przypomniał sobie przerażenie, z jakim elfia dziewczynka popatrzyła na swoją martwą matkę. Czy on sam albo jakikolwiek inny drow, byłby tak zdruzgotany

widząc własną matkę martwą? Nie, raczej nie. Drizzt nie czuł właściwie żadnej więzi uczuciowej z matką, a większość drowów byłaby zbyt zajęta zastanawianiem się, jak śmierć ich matek wpłynie na ich własną pozycję, by ubolewać nad stratą rodziców.

Czy Malice przejęłyby się, gdyby Dinin lub Drizzt zginęli w czasie wyprawy? Drizzt znał odpowiedź na to pytanie. Malice interesowało w wyprawie tylko to, jak wpłynie ona na pozycję domu. Cieszyła się z faktu, że czyny jej dzieci zadowolili złą boginię.

Jaką łaskę okazałaby Lloth, gdyby dowiedziała się o czynie Drizzta? Drizzt nie miał pojęcia jak bardzo, jeśli w ogóle, Pajęcza Królowa interesowała się ich zadaniem. Lloth była dla niego tajemnicą, ale nie miał ochoty na jej rozwikłanie. Czy byłaby wściekła, gdyby знаła prawdę? Albo gdyby znała myśli Drizzta?

Drizzt zadrżał, kiedy pomyślał o karach, jakie mogłyby na niego spaść, ale teraz, kiedy raz już wytyczył sobie linię postępowania, nie przejmował się konsekwencjami. Powróci do Domu Do'Urden za tydzień. Potem uda się na spotkanie ze swym starym nauczycielem w sali treningowej. Zabije Zaknafeina za tydzień.

* * *

Schwytany w sidła niebezpiecznej i wypełnionej współczuciem decyzji, Zaknafein ledwo słyszał odgłosy, jakie wydawała osetka przejeżdżająca po lśniącym ostrzu jego miecza.

Broń musi być doskonała, bez zadr ani szram. Tego czynu należy dokonać bez złości ani wściekłości.

Czysty cios i Zak pozbędzie się demonów własnych porażek, i zaszyje się w sanktuarium swoich komnat, w swoim tajnym świecie. Czysty cios i dokona się to, co powinno było się stać dziesięć lat wcześniej.

- Gdybym znalazł wtedy siłę - rozpaczal. - Ile cierpienia oszczędziłbym Drizztowi? Ile bólu kosztowały go dni spędzone w Akademii? - Słowa dźwięczały w pustym pokoju. To tylko słowa, teraz bezużyteczne, bo Zak uznał, że Drizzta nie można już przekonywać. Drizzt był drowem wojownikiem, wraz ze wszystkimi tego skutkami.

Zak nie miał żadnego wyboru, jeśli jego istnienie miało jeszcze mieć jakąś wartość. Tym razem nie zatrzyma miecza. Musi zabić Drizzta.

22

GNOMY, WSTRĘTNE GNOMY

Wśród mrocznych zakrętów tuneli Podmroku szli w milczeniu svirfnebli, gnomy głębinowe. Ani złe, ani dobre i właściwie pozbawione własnego miejsca w tym przeżartym niegodziwością świecie, gnomy przetrwały i radziły sobie nieźle. Dobrzy wojownicy, zręczni kowale i jeszcze lepsi kompozytorzy pieśni kamieni niż złe szare krasnoludy, svirfnebli zajmowali się na ogół obróbką klejnotów i cennych metali, pomimo niebezpieczeństw, jakie się za tym kryły.

Do Blingdenstone, systemu korytarzy i tuneli, które składały się na miasto gnomów, przyszły wieści o bogatych żyłach klejnotów, które odkryto trzydzieści kilometrów na wschód - licząc tunelem czerwia skalnego. Belwar Dissengulp musiał pokonać dwudziestu strażników wydobywania, by otrzymać zaszczyt i przywilej poprowadzenia tej ekspedycji górniczej. Belwar i wszyscy inni wiedzieli, że sześćdziesiąt kilometrów na wschód - licząc tunelem czerwia skalnego - znajdowały się tereny niebezpiecznie bliskie Menzoberranzan i samo dostanie się tam zajmie im tydzień błędzenia, prawdopodobnie przez terytorium setki innych wrogów. Strach jednak nie stanowił przeszkody dla ich żądzy kamieni, a każdy dzień w Podmroku i tak był niebezpieczny.

Kiedy Belwar i czterdziestu innych górników dotarli do niewielkiej jaskini, którą opisywali zwiadowcy, odkryli, że plotki wcale nie były przesadzone. Strażnik wydobywania starał się za bardzo nie podniecać. Wiedział, że dwadzieścia tysięcy drowów, najgorszych wrogów svirfnebli, mieszkało niecałe siedem kilometrów stamtąd.

Pierwszym ich zajęciem stało się zbudowanie tuneli ewakuacyjnych: wysokich na niecały metr, czyli w sam raz dla gнома, ale za niskich dla napastników. Na całej ich długości umieszczono ścianki, które miały chronić przed uderzeniem magicznego pioruna i płomieniami ognistych kul.

Potem, kiedy rozpoczęło się prawdziwe kopanie, Belwar postawił trzecią część robotników na straży i przechadzał się cały czas trzymając w dłoni magiczny szmaragd, który zwykle zwiisał na łańcuchu u jego szyi.

* * *

- Trzy pełne grupy patrolowe - powiedział Drizzt Dininowi, kiedy znaleźli się w otwartym „polu” po wschodniej stronie Menzoberranzan. Kilka stalagmitów oddzielało ten teren od miasta, ale teraz nie wydawał się on taki otwarty, jeśli wziąć pod uwagę tuziny drowów, które maszerowały wokół.

- Gnomy nie są łatwymi przeciwnikami - odrzekł Dinin. - Są niegodziwe i potężne...

- Tak niegodziwe jak elfy powierzchni? - musiał przerwać Drizzt, pokrywając sarkazm udawaną troską.

- Niemal - ostrzegł go ponuro brat, nie zauważając prawdziwego sensu pytania. Dinin pokazał w bok, w stronę, z której nadchodziła grupa kobiet, mająca dołączyć do wyprawy. - Kapłanki - powiedział. - Jedna z nich to wysoka kapłanka. Plotki o niebezpieczeństwie musiały zostać potwierdzone.

Drizzt poczuł znajomy dreszcz, podniecenie przed bitwą. Podekscytowanie było teraz nieco zmienione i zmniejszone przez strach, nie przed ranami, a nawet samymi gnomami. Drizzt obawiał się, że to spotkanie może powtórzyć doświadczenia z powierzchni.

Odegnął od siebie czarne myśli i przypomniał sobie, że inaczej niż w czasie ekspedycji na powierzchnię, teraz najeżdżano jego dom. Gnomy przekroczyły granice krainy drowów. Gdyby

były tak złe jak Dinin i inni, Menzoberranzan musiałby odpowiedzieć atakiem. Gdyby.

Patrol Drizzta, najsłynniejsza grupa wśród mężczyzn, został wybrany za przewodnika, a Drizzt jak zwykle szedł pierwszy. Drizzt zastanawiał się nawet, czy nie wyprowadzić grupy na manowce. A może udałoby mu się skontaktować z gnomami wcześniej i nakłonić je do ucieczki.

Drizzt uświadomił sobie, jak absurdalne były to myśli. Nie mógł zatrzymać trybów Menzoberranzan i nie mógł zrobić nic, by powstrzymać czterdziestu drowów, którzy szli teraz za nim. Raz jeszcze znalazł się na skraju desperacji.

Wtedy pojawił się Masoj Hun'ett i polepszył sytuację.

- Guenhwyvar! - zawołał młody mag, a po chwili pojawiła się u jego boku wielka pantera. Masoj zostawił kocicę u boku Drizzta i powrócił do swego miejsca w szyku.

Guenhwyvar nie potrafiła już ukryć radości, a na ustach Drizzta zakwitł szczery uśmiech. Od czasu wyprawy na powierzchnię nie widział kocicy. Guenhwyvar otarła się o bok Drizzta, niemal przewracając go na ziemię.

Oboje odwrócili się w tym samym momencie, świadomi tego, że ktoś na nich patrzy. Stał za nimi Masoj, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z widocznym złym grymasem.

- Nie użyję kocicy, by zabić Drizzta - mamrotał do siebie. - Zostawię tę przyjemność dla siebie.

Drizzt zastanawiał się, czy Masoj krzywi się z zazdrości. Czy był zazdrosny o kocicę, czy o wszystko? Masoj został w mieście, kiedy Drizzt poszedł na powierzchnię. Masoj był tylko widzem, kiedy patrol wrócił w chwałę. Drizzt odsunął się od kocicy, czując ból czarodzieja.

Ale kiedy tylko Masoj zniknął w szeregu, Drizzt opadł na kolano i objął z całej siły Guenhwyvar.

Drizzt zaczął jeszcze bardziej cieszyć się z towarzystwa Guenhwyvar, kiedy znaleźli się poza znanymi tunelami. W Menzoberranzan mówiło się, że „nikt nie jest tak samotny jak szpica z patrolu drowów”, a Drizzt przez ostatnich kilka miesięcy zrozumiał to bardzo dobrze. Zatrzymał się teraz na końcu szerokiego korytarza i stanął bez ruchu. Wiedział, że zbliża się do niego ponad czterdzieści drowów, a mimo tego nie słyszał żadnego dźwięku, ani nie widział żadnego ruchu na tle zimnego kamienia.

Czuł za plecami obecność wyprawy wojennej. Tylko to uczucie rozpraszało wrażenie, które Drizzt dzielił z Guenhwyvar, że znaleźli się zupełnie sami.

Pod koniec dnia Drizzt zauważył pierwsze oznaki kłopotów. Zbliżając się do skrzyżowania tuneli poczuł delikatną wibrację skał. Poczuł ją sekundę później, a potem znowu. Dźwięki układały się w rytmiczne uderzenia młota lub kilofa.

Wyjął podgrzewaną magicznie płytkę wielkości jego dłoni. Z jednej strony obłożono ją grubą skórą, ale z drugiej świeciła blaskiem widocznym w podczerwieni. Dinin błysnęła nią w tunel, a po pewnym czasie u jego boku pojawił się Dinin.

- Młot - pokazał Drizzt w języku gestów, wskazując na ścianę. Dinin przycisnął dłoń do kamieni i skinął głową.

- Pięćdziesiąt metrów? - zapytał ruchem dłoni Dinin.

- Mniej niż sto - potwierdził Drizzt.

Dinin błysnął własną płytką, pokazując zgromadzonym za nim żołnierzom, by się przygotowali.

Chwilę później Drizzt po raz pierwszy ujrzał gnomy svirfnebli. Strażnicy stali zaledwie dwadzieścia stóp od nich. Sięgali drowom do piersi, mieli skórę przypominającą kamienie kolorem, teksturą i emanacją ciepła. Oczy gnomów lśniły charakterystycznym blaskiem termowizji. Jedno spojrzenie na te oczy przypomniało Drizztowi, że svirfnebli także są tu u siebie.

Dinin pokazał następnemu w rzędzie drowowi, by postawił w stan gotowości całą grupę. Potem opadł na kolana i wyjrzał zza rogu.

Tunel ciągnął się około dziesięciu metrów za strażami gnomów, po czym rozszerzał się w większą komnatę.

Dinin raz jeszcze dał znak swym ukrytym kompanom, a potem odwrócił się do Drizzta.

- Zostań tu z kocicą - polecił bratu, po czym pomknął korytarzem z powrotem, by przedyskutować plan ataku z innymi dowódcami.

Masoj, który stał niedaleko za nimi, zauważył ruch Dinina i zaczął się zastanawiać, czy nie nadarza się właśnie okazja na rozprawienie z Drizztem. Gdyby patrol został odkryty, a Drizzt był samotnie z przodu, czy Masoj miałby szansę na zabicie go tak, by nikt się nie zorientował? Szansa, jeśli nawet istniała, szybko zniknęła, kiedy obok czarodzieja przystanęli inni żołnierze. Dinin też wrócił wkrótce z tyłów i podszedł do brata.

- Komnata ma wiele wyjść - pokazał Dinin. - Inne patrole przemieszczają się na pozycje wokół gnomów.

- Czy możemy z nimi negocjować? - zapytał Drizzt niemal podświadomie. Rozpoznał minę, która pojawił się na twarzy Dinina. - Odesłać ich bez walki?

Dinin złapał Drizzta za przód jego piwafwi i przyciągnął go do siebie.

- Zapomnę, że zadałeś to pytanie - wyszeptał i puścił Drizzta, uważając sprawę za zamkniętą.

- Ty zaczniesz walkę - pokazał mu Dinin. - Kiedy zobaczysz sygnał z tyłu, zaciemnisz korytarz i zaatakujesz strażę. Dostań się do ich przywódcy, bo to on jest kluczem do ich siły w kamieniu.

Drizzt nie był pewien do jakiej mocy gnomów odwołuje się jego brat, ale rozkazy były proste, choć nieco samobójcze.

- Weź kocicę, jeśli zechce z tobą pójść - mówił dalej Dinin. - Cały patrol będzie za chwilę u twego boku. Pozostałe grupy wejdą do sali przez inne wejścia.

Kilka chwil później nadszedł rozkaz ataku. Drizzt potrząsnął głową z niedowierzaniem, kiedy go zobaczył. Jakże szybko drowy zajęły swoje pozycje!

Wyjrzał zza rogu i popatrzył na strażę gnomów, które nadal nieświadome niebezpieczeństwa pilnowały kopalni. Drizzt wyjął sejmitar, poklepał Guenhwyvar po szyi, po czym wezwał moc swej rasy i pogrążył korytarz w ciemności.

W tunelu zabrzmiał alarm, a Drizzt ruszył naprzód, rzucił się w ciemność między dwoma niewidocznymi teraz strażnikami. Kiedy znalazł się przy wyjściu z korytarza, ujrzał przed sobą tuzin gnomów, które próbowały przygotować się do obrony. Nikt nie zwrócił uwagi na Drizzta, ponieważ odgłosy walki dobiegały już z wielu korytarzy.

Jeden z gnontów zamachnął się na Drizzta ciężkim kilofem. Drizzt zasłonił się ostrzem sejmity, choć siła maleńkich ramion drowa zaskoczyła go niepomiarnie. Drizzt mógł zabić napastnika drugim sejmitem. Jego myśli zaprzętało zbyt wiele emocji, zbyt wiele wspomnień. Kopnął gнома w brzuch, posyłając go natychmiast na ziemię.

Belwar Dissengulp zauważył, z jaką łatwością Drizzt pokonał jednego z jego najlepszych wojowników i domyślił się, że nadszedł już czas, by użyć najpotężniejszej magii, jaką władał.

Drizzt odskoczył, czując emanację magii. Usłyszał też zbliżających się za nim towarzyszy.

Obok Drizzta przebiegł oddział wojowników, kierując się na przywódcę gnomów. Drizzt nie rzucił się za nimi.

Przed Drizztem stała bowiem wysoka na dwa metry i bardzo rozgniewana humanoidalna istota.

- Żywiołak! - krzyknął ktoś. Drizzt rozejrzał się i ujrzał Masoja, przerzucającego strony księgi czarów i szukającego czaru, którym można by pokonać istotę. Ku obrzydzeniu Drizzta przerażony czarodziej wymamrotał kilka słów i zniknął.

Drizzt stanął pewniej na nogach i spojrzał uważnie na potwora, gotów skoczyć na niego w każdej chwili. Czuł moc istoty, surową siłę ziemi, która znalazła uosobienie w jej nogach i rękach.

Jedno z ramion opadło wysokim łukiem, przemykając tuż ponad głową uchylającego się Drizzta i uderzając w ścianę jaskini.

- Nie pozwól się trafić - pouczył sam siebie Drizzt szeptem, który po chwili zmienił się w pełne niedowierzanie westchnienie. Kiedy żywiołak podnosił ramię, Drizzt dźgnął je sejmitem, odłupując jego kawałek, zaledwie drzazgę. Żywiołak skrzywił się - Drizzt chyba go zranił swą magiczną bronią.

Stojąc w tym samym miejscu co poprzednio, niewidzialny Masoj przygotowywał kolejny czar. Może żywiołak zniszczy jednak Drizzta. Niewidzialne ramiona uniosły się na chwilę. Masoj zdecydował, by brudną robotę wykonała za niego magia gnomów.

Potwór uderzył ponownie, a potem jeszcze raz, a Drizzt rzucił się naprzód i zanurkował między nogami istoty. Żywiołak kopnął na ślepo, mijając Drizzta o kilka centymetrów.

Drizzt podniósł się z podłogi w mgnieniu oka, zadał kilka ciosów i odskoczył poza zasięg straszliwych ciosów potwora.

Odgłosy bitwy oddaliły się. Gnomy rzuciły się do ucieczki - te, które jeszcze żyły - ale drowy prowadziły pościg, zostawiając Drizzta na pastwę żywiołaka.

Potwór kopnął raz jeszcze, a potężna stopa niemal powaliła Drizzta na podłogę. Gdyby Drizzt został zaskoczony, albo gdyby jego refleks nie był tak doskonały, z pewnością zginąłby zmiażdżony. Udało mu się za to dostać do boku potwora, otrzymując tylko powierzchowne trafienie pięścią i wytrącić go z równowagi.

Od potężnego uderzenia posypał się kurz, ściany i sufit jaskini popękały i posypał się z nich żwir. Kiedy żywiołak odzyskiwał równowagę, Drizzt cofnął się, oszołomiony siłą istoty.

Walczył przeciwko niej sam, a w każdym razie tak mu się wydawało. Nagle kula furii spadła na głowę żywiołaka, a jej pazury wbiły się głęboko w jego twarz.

- Guenhwyvar! - krzyknęli zgodnie Masoj i Drizzt, lecz obaj zupełnie innym tonem. Czarodziej nie chciał, by Drizzt przeżył tę bitwę.

- Zrób coś, czarodzieju! - krzyknął Drizzt, rozpoznając głos i domyślając się, że mag ciągle jest w pobliżu.

Żywiołak zawył z bólu, a jego krzyk był niczym kamienna lawina w górach. Kiedy Drizzt rzucił się naprzód, by pomóc przyjaciółce, potwór odwrócił się niezwykle szybko i rzucił się głową w podłogę.

- Nie! - krzyknął Drizzt widząc, że Guenhwyvar zostanie zgnieciona. A wtedy kocica i Żywiołak, zamiast roztrzaskać się o kamienie, wtopili się w nie.

* * *

Purpurowe ognie faerie otaczały gnomy, pokazując wyraźnie drogę do nich mieczom i strzałom. Gnomy odpowiadały własną magią, przede wszystkim iluzją.

- Tutaj! - krzyknął jeden z drowów, by po chwili trzasnąć twarzą w kamienną ścianę, która przed chwilą wyglądała jak wejście do tunelu.

Choć magia gnomów wprowadzała nieco zamieszania do działań drowów, Belwar Dissengulp zaczął się martwić. Jego Żywiołak, największa magia i jedyna nadzieja, zbyt długo zajmował się jednym drowem. Belwar chciał potwora u swego boku, kiedy rozpocznie się prawdziwa bitwa. Uformował swych żołnierzy w ciasne szyki obronne, mając nadzieję, że wytrzymają.

Wtedy drowy, nie dając się już nabrać na triki gnomów, uderzyły na nich, a wściekłość zgasiła strach Belwara. Rzucił się do walki z ciężkim toporem, uśmiechając się ponuro, kiedy jego broń wgrzyzała się w ciało drowów.

Nikt już nie używał magii, a wszystkie formacje rozsypały się w chaos i szaleńczą furję. Nie liczyło się nic, tylko trafianie wroga, uczucie, że kilof lub miecz zagłębia się w ciele przeciwnika.

Gnomy nienawidziły najbardziej na świecie mrocznych elfów, a spośród wszystkich ras Podmroku nie było takiej, której drowy nienawidziłyby bardziej niż svirfnebli.

* * *

Drizzt podbiegł do tego miejsca, ale zobaczył tylko nienaruszoną, kamienną podłogę.

- Masoj? - westchnął, poszukując odpowiedzi u kogoś, kogo szkolono w rozumieniu magii.

Zanim czarodziej zdążył odpowiedzieć, podłoga przed Drizztem eksplodowała. Drizzt obrócił się trzymając broń, gotów walczyć z żywiołakiem.

Drizzt zobaczył, jak obłok mgły, który kiedyś był wielką panterą, odrywa się od ramiona żywiołaka i rozplywa w powietrzu.

Drizzt uniknął kolejnego ciosu, choć nie oderwał wzroku od rozplywającego się obłoku pyłu i mgły. Czy Guenhwyvar już nie istniała? Czy jego jedyna przyjaciółka odeszła na zawsze? Nowe światelko zabłysło w oczach Drizzta, pierwotna furia przeniknęła jego ciało. Spojrzał w oczy żywiołaka nie czując strachu.

- Już nie żyjesz - obiecał i ruszył do walki.

Żywiołak wydawał się zaskoczony, choć oczywiście nie zrozumiał słów Drizzta. Opuścił ciężkie ramię, by zmiażdżyć głupiego przeciwnika. Drizzt nie starał się zablokować ciosu, wiedząc, że jego siła nie wystarczy, by sparować takie uderzenie. Kiedy ramię prawie go dosięgało, rzucił się do przodu, tak że znalazł się pod nim.

Szybkość, z jaką się poruszał, zaskoczyła żywiołaka, a błyskawiczne ruchy mieczem odebrały oddech patrzącemu na wszystko Masojowi. Czarodziej nigdy nie widział nikogo walczącego z taką gracją, taką płynnością ruchów. Drizzt atakował żywiołaka na różnej wysokości, raz po raz odłupując kawałki kamiennej skóry istoty.

Żywiołak wył i miotał się, próbując pozbyć się Drizzta raz na zawsze, jednak ślepa furia dodała jakby umiejętności młodemu fechmistrzowi, więc Żywiołak chwycił ciągle powietrze.

- Niemożliwe - wyszeptał Masoj, kiedy odzyskał oddech. Czy młody Do'Urden może pokonać żywiołaka? Masoj rozejrzał się po poboju. Kilku drowów i wiele gnomów leżało martwych lub śmiertelnie rannych, ale główna bitwa przeniosła się dalej, kiedy gnomy skorzystały ze swych tuneli, a drowy, rozwścieczone ponad wszelką miarę, rzuciły się za nimi.

Guenhwyvar zniknęła. W tej komnacie jedynymi świadkami byli Masoj, żywiołak i Drizzt. Niewidoczny czarodziej uśmiechnął się. Nadszedł czas, by uderzyć.

Drizzt zmusił już żywiołaka do wycofania się i miał kończyć walkę, gdy uderzyła magiczna błyskawica, która oślepiła młodego drowa i posłała go na ścianę jaskini. Drizzt nie czuł nic - żadnego bólu, podmuchu powietrza, nic - nic też nie słyszał, jakby jego życie podlegało zawieszeniu.

Atak rozproszył niewidzialność Masoj a, a kiedy czarodziej stał się widoczny, wybuchnął donośnym śmiechem. Żywiołak, teraz pokruszony blok kamienia, wśliznął się z powrotem w

kamienną podłogę.

- Nie żyjesz? - zapytał czarodziej Drizzta. Drizzt nie mógł odpowiedzieć, zresztą nawet gdyby mógł, to nie znał odpowiedzi na to pytanie. - Za łatwo - usłyszał słowa Masoja i podejrzewał, że czarodziej mówił o nim, a nie o żywiołaku.

Wtedy Drizzt poczuł mrowienie w palcach i kościach, a potem jego płuca nagle wciągnęły do środka powietrze. Zachłysnął się nagłym oddechem, odzyskał kontrolę nad ciałem i wiedział już, że będzie żyć.

Masoj rozejrzał się, by zobaczyć, czy nikogo nie ma w pobliżu.

- Dobrze - wyszeptał patrząc, jak Drizzt dochodzi do siebie. Czarodziej cieszył się, że śmierć Drizzta nie jest zupełnie bezbolesna. Zastanawiał się nad czarem, który dodałby wszystkiemu pikanterii.

Ręka - wielka kamienna ręka - wysunęła się z podłogi i chwyciła Masoja za nogę, próbując wciągnąć go pod ziemię.

Twarc czarodzieja wykrzywiła się w bezgłośnym krzyku.

Wróg Drizzta uratował mu życie. Drizzt chwycił jeden z sejmitarów i ciął żywiołaka w ramię. Broń wbiła się głęboko, a potwór, którego głowa pojawiała się właśnie między Drizztem a Masojem, zawył z bólu i wciągnął uwiecznionego czarodzieja głębiej w kamień.

Drizzt uderzył najmocniej jak umiał, trzymając sejmitar w obu rękach, rozszczepiając głowę żywiołaka dokładnie na pół. Tym razem kamienie nie stopiły się z podłożem, a żywiołak został zabity na dobre.

- Wyciągnij mnie stąd - zażądał Masoj. Drizzt spojrział na niego, nie wierząc, że ten nadal żyje, bo był do pasa wtopiony w żywy kamień.

- Jak? - zachłysnął się Drizzt. - Ty... - Nie mógł nawet znaleźć słów, by wyrazić zaskoczenie.

- Wyciągnij mnie! - krzyczał czarodziej. Drizzt rozejrzał się, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Żywiołaki podróżują między planami - wyjaśnił Masoj, wiedząc, że musi uspokoić Drizzta, jeśli ma jeszcze oderwać się od tej podłogi. Masoj wiedział też, że rozmowa może rozproszyć wszelkie podejrzenia, które mógł powziąć Drizzt. - Żywiołaki ziemi podróżują między Planem Ziemi a naszym Planem Materialnym. Kamień rozstąpił się wokół mnie, kiedy potwór mnie trzymał, ale to dość niewygodne. - Jęknął z bólu, kiedy kamień skały zacisnął mu się wokół jednej stopy. - Brama zamyka się szybko!

- Zatem Guenhwyvar może... - zaczął mówić Drizzt. Wyjął statuetkę z kieszeni Masoja i uważnie zaczął szukać skaz na jej doskonałej powierzchni.

- Oddaj mi to! - krzyknął Masoj, zawstydzony i zły.

Drizzt niechętnie oddał mu figurkę. Masoj spojrział na nią szybko i wsunął z powrotem do kieszeni.

- Czy Guenhwyar nic nie jest? - zapytał Drizzt.

- To nie twoja sprawa - odrzekł Masoj. Czarodziej też martwił się o kocicę, ale w tej chwili Guenhwyar była najmniejszym z jego kłopotów. - Brama się zamyka - powiedział raz jeszcze. - Przeprowadź kapłanki!

Zanim Drizzt zdążył się ruszyć, tuż za nim odsunął się kawałek ściany i twarda jak kamień pięść Belwara Dissengulpa uderzyła go mocno w tył głowy.

23

JEDEN CZYSTY CIOS

Gnomy go zabrały - powiedział Masoj do Dinina, kiedy dowódca patrolu wrócił do jaskini. Czarodziej podniósł ramiona do góry, by wysoka kapłanka i jej pomocnica mogły lepiej poznać jego sytuację.

- Dokąd? - zapytał Dinin. - Dlaczego pozostawili cię przy życiu? Masoj wzruszył ramionami.

- Tajne drzwi - wyjaśnił. - Gdzieś na ścianie za tobą. Podejrzewam, że zabraliby również mnie, tyle że... - Masoj spojrzał na podłogę, która ciągle trzymała go mocno. - Gnomy zabiłyby mnie, gdybyś nie przybył.

- Masz szczęście, czarodzieju - powiedziała wysoka kapłanka. - Zapamiętałam dziś czar, który uwolni cię z pułapki. - Wyszepiała jakieś polecenia swej pomocnicy, która zaczęła wykreślać na podłodze jakieś znaki. Wysoka kapłanka zaczęła przygotowywać się do modlitwy.

- Niektórzy uciekli - powiedział jej Dinin.

Wysoka kapłanka zrozumiała. Wyszepiała czar wykrycia i przyjrzała się ścianie.

- Tutaj - powiedziała. Dinin i inny mężczyzna podeszli do wskazanego miejsca i szybko znaleźli niemal niewidoczną szczelinę w ścianie.

Kiedy wysoka kapłanka rozpoczęła inkantację, jedna z jej kapłanek rzuciła Masojowi koniec liny.

- Trzymaj się - powiedziała. - I wstrzymaj oddech!

- Czekaj... - zaczął Masoj, ale kamienna podłoga wokół niego zmieniła się w błoto, a czarodziej zanurzył się w nim do końca

Dwie kapłanki wyciągnęły go ze śmiechem sekundę później.

- Miły czar - zauważył czarodziej wypluwając błoto.

- Ma swoje zastosowania - odrzekła kapłanka. - Szczególnie, kiedy przychodzi walczyć z gnomami i ich sztuczkami ze skałą. Mam go przy sobie jako zabezpieczenie przed żywiołakami ziemi. - Spojrzała pod nogi na popękane szczątki potwora. - Widzę, że czar nie był potrzebny w walce.

- Zabiłem go - skłamał Masoj.

- Oczywiście - powiedziała wysoka kapłanka z niedowierzaniem. Po rozcięciu na jednym z kamieni poznała, że ranę zadano mieczem. Pozostawiła sprawę bez słowa, bowiem w tej samej chwili odsunął się kawałek ściany.

- Labirynt - jęknął jakiś wojownik zaglądając do tunelu. - Jak ich znajdziemy?

Dinin zastanawiał się chwilę, a potem zwrócił się do Masoja.

- Mają mojego brata - powiedział, wpadając na pewien pomysł. - Gdzie twoja kocica?

- W pobliżu - rzekł Masoj, odgadując plan Dinina, lecz nie chcąc, by Drizzt został uratowany.

- Wezwij ją. Wyczuje Drizzta.

- Nie mogę...to znaczy.. - wyjąkał Masoj.

- Natychmiast, czarodzieju! - rozkazał Dinin. - Chyba, że chcesz, bym powiedział radzie rządzącej, że jakieś gnomy uciekły, bo ty odmówiłeś swojej pomocy!

Masoj rzucił figurkę na ziemię i wezwał Guenhwyar, nie wiedząc, co się stanie dalej. Czy żywiołak zabił jego kocicę? Po chwili pojawiła się mgła, która przekształciła się zaraz w materialne ciało.

- Cóż. - Dinin wskazał wejście do tunelu.

- Znajdź Drizzta! - rozkazał Masoj.

* * *

- Gdzie... - Drizzt odyskiwał powoli przytomność. Wiedział, że siedzi i wiedział, że ma związane ręce.

Jakaś mała, ale bardzo silna dłoń złapała go za włosy z tyłu głowy i odciągnęła ją w tył.

- Cisz! - wyszeptał ostro Belwar, a Drizzt zdziwił się, że mały człowieczek mówi jego językiem. Belwar puścił Drizzta i zwrócił się do innych svirfnebli.

Gnomy rozmawiały cicho we własnym języku, którego Drizzt ani trochę nie rozumiał. Jeden z nich zadał pytanie temu, który nakazał ciszę Drizztowi, najwyraźniej przywódcy. Inny zgodził się z przedmówcą i spojrzał groźnie na Drizzta.

Przywódca trzepnął innego gnoma w plecy posyłając go w głąb jednego z prowadzących do komnaty tuneli i ustawiając dwóch innych na pozycjach obronnych. Potem podszedł do Drizzta.

- Idziesz z nami do Blingdenstone - powiedział spokojnie.

- A później? - zapytał Drizzt. Belwar wzruszył ramionami.

- Król zdecyduje. Jeśli nie będziesz sprawiał kłopotów, powiem mu, żeby cię wypuścił.

Drizzt roześmiał się cynicznie.

- No dobrze - powiedział Belwar. - Jeśli król będzie chciał twej śmierci, upewnię się, by to był jeden czysty cios.

Drizzt raz jeszcze się roześmiał.

- Czy myślisz, że ci wierzę? - zapytał. - Poddajcie mnie torturom teraz i zabawcie się. Tak

przecież postępujecie!

Belwar chciał go uderzyć, ale zatrzymał dłoń.

- Svirfhebli nie torturują! - powiedział głośniejszym głosem, niż powinien. - Drowy to robią! - Odwrócił się i powtórzył obietnicę. - Jeden czysty cios.

Drizzt usłyszał szczerą w głosie gnoma i musiał zaakceptować obietnicę jako akt łaski większej niż ta, na jaką mógłby liczyć gnom, gdyby złapał go patrol Drizzta. Belwar chciał odejść, ale Drizzt, zaintrygowany, chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tych dziwnych istotach.

- Skąd znasz mój język?

- Gnomy nie są głupie - odrzekł Belwar, nie wiedząc, do czego zmierza Drizzt.

- Drowy też nie - odrzekł Drizzt. - Ale nie słyszałem, by w moim mieście mówiło się w języku svirfnebli.

- Był kiedyś w Blingdenstone pewien drow - wyjaśnił Belwar, tak samo ciekaw Drizzta, jak Drizzt był ciekaw jego.

- Niewolnik - stwierdził Drizzt.

- Gość - syknął Belwar. - My nie trzymamy niewolników! Raz jeszcze w głosie Belwara zabrzmiała szczerść.

- Jak się nazywasz? - zapytał. Gnom roześmiał się mu w twarz.

- Masz mnie za głupka? Chcesz znać moje imię, by wykorzystać je w jakimś czarze przeciwko mnie?

- Nie - zaprotestował Drizzt.

- Powiniennem cię zabić za to, że masz mnie za głupiego! - warknął Belwar, podnosząc ciężki kilof. Drizzt poruszył się niespokojnie, nie wiedząc, co teraz zrobi gnom.

- Moja oferta pozostaje aktualna - powiedział Belwar, opuszczając kilof. - Będziesz spokojny, to powiem królowi, by cię puścił. - Belwar nie wierzył, by mogło się tak stać. - A w każdym razie jeden czysty cios.

- Belwar - zawołał jeden z gnomów, wbiegając do komnaty. Przywódca gnomów spojrzał uważnie na Drizzta, by stwierdzić, czy ten usłyszał jego imię.

Drizzt rozsądnie odwrócił głowę, udając że nie słucha. Oczywiście usłyszał imię gnoma, który okazał mu litość. Belwar, powiedział inny gnom. Belwar, imię, którego Drizzt nigdy nie zapomni.

Odgłosy walki w jednym z korytarzy przyciągnęły uwagę wszystkich gnomów. Drizzt poznał po ich zdenerwowaniu, że patrol drowów jest już blisko.

Belwar zaczął rzucać rozkazy, organizując odwrót jednym z tuneli. Drizzt zastanawiał się, gdzie jest jego miejsce w kalkulacjach gnoma. Z pewnością nie miał nadziei na umknienie pościgowi ciągnąc za sobą jeńca.

Wtedy dowódca gnomów przestał mówić i zaczął działać. Zbyt nagle.

Kapłanki drowów szły przodem rzucając czary paralizujące. Belwar i inne gnomy zostały zatrzymane w pół ruchu, a te, których nie dosięgło zaklęcie, rzuciły się w popłochu do ucieczki jednym z tylnych wyjść.

Wojowników prowadziła Guenhwyvar. Jeśli Drizzt poczuł ulgę na widok swej przyjaciółki, natychmiast została ona zniweczona przez straszliwą rzeź, która nastąpiła, kiedy Dinin i jego oddział wbili się klinem w zdeorganizowane gnomy.

W ciągu sekund - które Drizztowi wydały się godzinami - wybito wszystkie gnomy poza tymi, które zatrzymały czary kapłanek. Masoj wszedł do komnaty jako ostatni, a w pokrytym błotem ubraniu wyglądał naprawdę okropnie. Pozostał przy wyjściu z tunelu i nawet nie popatrzył w stronę Drizzta, chyba żeby nie ujrzeć, że wielka pantera siedzi u jego boku.

- Raz jeszcze okazało się, że masz wiele szczęścia - powiedział Dinin do brata rozcinając mu więzy.

Drizzt nie był tego taki pewien, rozglądając się po komnacie, w której dokonano rzezi.

Dinin oddał mu jego sejmitary, a potem odwrócił się do drowów, którzy pilnowali sparaliżowanych gnomów.

- Wykończcie ich - rozkazał.

Jeden ze strażników uśmiechnął się szeroko i wyjął zza pasa zębaty nóż. Pokazał go jednemu z gnomów, uśmiechając się do bezbronnej istoty.

- Czy on to widzi? - zapytał wysoką kapłankę.

- To cała frajda z tego czaru - odrzekła kapłanka. - Svirfheblin rozumie, co się zaraz stanie. Rozpaczliwe próbuje rozerwać więzy.

- Więźniowie! - syknął Drizzt.

Dinin i inni spojrzeli na niego, a drow ze sztyletem skrzywił się ze złości i rozczarowania.

- Dla Domu Do'Urden? - Drizzt z nadzieją zapytał Dinina. - Moglibyśmy...

- Gnomy nie są dobrymi niewolnikami - odrzekł Dinin.

- Nie - zgodziła się wysoka kapłanka, przechodząc obok wojownika z nożem. Skinęła mu głową, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Uderzył mocno. Pozostał tylko Belwar.

Wojownik zbliżył się do przywódcy gnomów wymachując nożem.

- Tego nie! - zaprotestował Drizzt, nie mogąc znieść już więcej rozlewu krwi. - Pozwól mu żyć! - Drizzt chciał powiedzieć, że Belwar jest niegroźny i że zabicie bezbronnego gнома byłoby tchórzliwym i bestialskim czynem. Drizzt wiedział jednak, że jego bracia nie znają pojęcia litości.

Dinin spojrział na niego ze złością.

- Jeśli go zabijecie, żaden gnom nie powróci do ich miasta, by opowiedzieć o naszej sile - przekonywał Drizzt. - Wyślijmy go do jego ludu, by opowiedział, co się dzieje z tymi, którzy naruszają nasze granice.

Dinin spojrział na wysoką kapłankę.

- Wydaje się to rozsądne - powiedział.

Dinin nie był pewien, czym kieruje się jego brat. Nie patrząc na Drizzta, powiedział do wojownika z nożem - Odetnij mu dłoń.

Drizzt nawet nie mrugnął, wiedząc, że jeśli będzie protestował, Dinin z pewnością zabije Belwara.

Wojownik odłożył nóż i wyjął ciężki miecz.

- Czekaj - powiedział Dinin, ciągle patrząc na Drizzta. - Uwolnij go najpierw z czaru. Chcę usłyszeć jego krzyki.

Kilku drowów przystawiło Belwarowi miecze do karku, kiedy kapłanka zdejmowała z niego czar. Belwar nie poruszył się.

Drow wziął miecz w obie ręce, a Belwar, dzielny Belwar, podniósł ramiona i stanął przed nim bez ruchu.

Drizzt odwrócił wzrok, nie mogą patrząc na cięcie i oczekiwał na okrzyk bólu.

Belwar zauważył reakcję Drizzta. Czy to współczucie?

Drow ciął mieczem. Belwar nie oderwał wzroku od Drizzta, kiedy miecz przeciął mu nadgarstki, posyłając w jego ramiona miliony płomieni bólu.

Belwar nie krzyknął. Nie dał Dininowi satysfakcji. Przywódca gnomów spojrzał na Drizzta raz jeszcze, kiedy dwaj wojownicy wypychali go z komnaty i w pozornie beznamiętnym wyrazie twarzy drowa rozpoznał prawdziwy żal i przeprosiny.

Kiedy Belwar wychodził, mroczne elfy, które pognały za ostatnimi uciekinierami wróciły mówiąc - Nie dogoniliśmy ich w tych malutkich tunelach.

- Diabli! - warknął Dinin. Wysłanie bezrękiego gнома do stolicy jego ludu to jedno, ale ucieczka zdrowych członków ekspedycji gnomów to całkiem co innego. - Macie ich złapać!

- Guenhwyvar może ich dogonić - powiedział Masoj, a potem wezwał do siebie kocicę i przez chwilę patrzył na Drizzta.

Serce Drizzta waliło jak młot, kiedy mag pogłaskał kocicę.

- Chodź zwierzaku - powiedział Masoj. - Musimy dokończyć polowanie! - Czarodziej spojrzał, jak Drizzt krzywi się na te słowa.

- Uciekli? - zapytał Drizzt Dinina, a jego głos brzmiał niemal desperacją.

- Będą biegli całą drogę do Blingdenstone - odrzekł spokojnie Dinin. - Jeśli im pozwolimy.

- Ale czy wrócą?

Dinin skrzywił się, słysząc równie absurdalne pytanie.

- A ty byś wrócił?

- Zakończyliśmy nasze zadanie - stwierdził Drizzt.

- To dzień naszego zwycięstwa - zgodził się Dinin. - Ale sami ponieśliśmy wielkie straty.

Może jednak zabawimy się dzisiaj z pomocą zwierzaka czarodzieja.

- Zabawa - powtórzył Masoj. - Idź do tuneli, Guenhwyvar. Pokaż nam, jak szybko może biegać przestraszony gnom!

Kilka minut później Guenhwyvar wróciła niosąc martwego gнома.

- Wracaj! - rozkazał Masoj panterze. - Przynies jeszcze! Serce Drizzta stanęło na dźwięk ciała uderzającego o podłogę.

Spojrzał Guenhwyvar w oczy i zobaczył w nich smutek. Pantera była łowcą, równie honorowym jak Drizzt.

W rękach czarodzieja zwierzę stało się zwykłym mordercą.

Guenhwyvar zatrzymała się w wejściu do tunelu i spojrzała na Drizzta niemal przepaszająco.

- Wracaj! - krzyknął Masoj i kopnął kocicę w zad. Spojrzał natychmiast uważnie na Drizzta. Masoj przegapił szansę na zabicie Do'Urdena, co oznaczało, że będzie musiał uważać w czasie rozmowy z matką. Masoj zdecydował, że będzie się martwił nieprzyjemnym spotkaniem nieco później. Teraz miał chociaż satysfakcję z cierpienia Drizzta.

Dinin i inni nie mieli pojęcia o rozgrywce toczącej się między Masojem a Drizztem. Oni czekali na powrót Guenhwyvar, rozmawiali o tym, z jakim przerażeniem gnomy będą patrzeć na tego straszliwego łowcę. Pograżyli się w makabrycznym humorze, który przynosił śmiech wtedy, gdy należało płakać.

CZEŚĆ 5

ZAKNAFEIN

Zaknafein Do'Urden: mentor, nauczyciel, przyjaciel. Ja, pogrążony w agonii swych własnych problemów, więcej niż raz nie potrafiłem zobaczyć w Zaknafeinie żadnego z nich. Czy wymagałem od niego więcej, niż mógł dać? Czy oczekiwałem doskonałości od umęczonej duszy? Czy chciałem dopasować go do standardów nie licujących z jego życiowymi doświadczeniami?

Mogłem być nim. Mogłem żyć, uwięziony w bezsilnej wściekłości, pogrzebany pod codziennym naporem niegodziwości Menzoberranzan i wszechobecnego zła, którym jest moja rodzina. Żyć tak i nigdy nie znaleźć wyjścia.

Powinniśmy uczyć się na błędach starszych od nas. To, jak sądzę, było moim wybawieniem. Bez Zaknafeina nie znalazłbym wyjścia - w każdym razie nie za życia.

Czy kurs, który obrałem, jest lepszy niż życie Zaknafeina? Myślę, że tak, choć desperacja prześladowa mnie tak często, że tęsknię czasem za starymi czasami. Wtedy było łatwiej. Prawda jednak jest niczym w porównaniu z oszukiwaniem samego siebie, a zasady nie mają wartości, jeśli idealista nie potrafi żyć w zgodzie ze swymi przekonaniem.

Zatem to lepsza droga.

Współczuję swemu ludowi, współczuję sobie, ale najbardziej współczuję temu fechmistrzowi, teraz już dla mnie straconemu, który pokazał mi jak i dlaczego używać miecza.

Nie ma bólu większego niż ten. Nie zadaje go ani zębaty nóż, ani ogień z pyska smoka. Nic nie płonie w sercu tak jak pustka po utracie czegoś, kogoś, przed poznaniem jego prawdziwej wartości. Często zdarza mi się podnieść kielich i wznieść toast, przeprosiny przeznaczone dla uszu,

które już nie słyszą.

Dla Zaka, tego, który zainspirował moją odwagę.

- Drizzt Do'Urden

24

ABY POZNAĆ NASZYCH WROGÓW

Ośmioro elfów nie żyje, w tym jedna kapłanka - powiedziała Briza do Opiekunki Malice na tarasie Domu Do'Urden. Briza wróciła spiesznie do siedziby rodziny z pierwszymi wiadomościami o spotkaniu, zostawiając swoje siostry na centralnym placu Menzoberranzan wraz ze zgromadzonym tłumem, by oczekiwały na dalsze informacje. - Zginęło jednak niemal czterdziestu gnomów, co daje nam czyste zwycięstwo.

- Co z twoimi braćmi? - spytała Malice. - Jak wiodło się Domowi Do'Urden w tym spotkaniu?

- Jak z elfami z powierzchni, ręka Dinina zabiła pięciu - odpowiedziała Briza. - Mówią, że bez strachu poprowadził główny szturm i zabijał najsilniejsze gnomy.

Opiekunka Malice ożywiła się słysząc te wiadomości, podejrzewała jednak, że Briza, stojąc cierpliwie z wyrażającym pewność siebie uśmiechem, trzyma pod ręką jeszcze coś dramatycznego.

- A co z Drizztem? - zapytała opiekunka, nie mając cierpliwości na gierki córki. - Jak wielu svirfnebli padło u jego stóp?

- Żaden - odparła Briza, lecz jej uśmiech pozostał. - Mimo to dzień należał do Drizzta! - dodała szybko, widząc jak na twarz jej matki wpływa gniewny grymas. Malice nie wyglądała na zbyt szczęśliwą.

- Drizzt pokonał żywiołaka ziemi! - krzyknęła Briza. - Prawie zupełnie sam, tylko z niewielką pomocą czarodzieja. - Wysoka kapłanka z patrolu uznała, że do niego należy zwycięstwo!

Opiekunka Malice westchnęła i odwróciła się. Drizzt zawsze był dla niej zagadką, był równie doskonały jak jego ostrze, lecz brakowało mu odpowiednich manier i szacunku. A teraz to: żywiołak ziemi! Malice widziała na własne oczy, jak taki potwór rozgramiał całą wyprawę łupieżczą drowów, zabijając tuzin doświadczonych wojowników, zanim zszedł im z drogi. Mimo to jej syn, jej dziwny syn, pokonał jednego z nich samodzielnie!

- Lloth okaże nam dzisiaj łaskę - stwierdziła Briza, nie bardzo rozumiejąc reakcję matki.

Słowa te wywołały u Malice myśl. - Zbierz swoje siostry - nakazała. - Spotkamy się w kaplicy. Jeśli Dom Do'Urden odniósł tego dnia tak wielkie zwycięstwo w tunelach, być może Pajęcza Królowa zaszczyci nas jakimiś informacjami.

- Vierna i Maya czekają na placu miejskim na nadchodzące wieści - wyjaśniła Briza, mylnie uważając, że jej matce chodzi o informacje o bitwie. - Z pewnością w ciągu godziny poznamy całą

opowieść.

- Nie obchodzi mnie bitwa z gnomami! - warknęła Malice. - Powiedziałaś mi już wszystko, co jest ważne dla naszej rodziny, reszta nie ma znaczenia. Musimy wykorzystać bohaterstwo twoich braci.

- Aby poznać naszych wrogów! - wypaliła Briza zdając sobie sprawę, o co chodzi jej matce.

- Dokładnie - odparła Malice. - Aby dowiedzieć się, który dom zagraża Domowi Do'Urden. Jeśli Pajęcza Królowa naprawdę zaszczycą nas tego dnia łaską, zaszczyci nas wiedzą, jakiej potrzebujemy, by pokonać naszych wrogów!

Krótką chwilę później cztery wysokie kapłanki Domu Do'Urden zebrały się wokół postumentu w kształcie pająka w przedsionku kaplicy. Przed nimi, w misie z najdoskonalszego onyksu, płonęło święte kadzidło - słodkie, przypominające śmierć i cenione przez yochlole, pomocników Lloth.

Płomień przeszedł przez szereg kolorów, od pomarańczowego, poprzez zielony, aż do jaskrawoczerwonego. Następnie zaczął nabierać kształtu, słysząc wołanie czterech kapłanek i naleganie w głosie Opiekunki Malice. Górna część ognia przestała tańczyć, wygładziła się i zaokrągliła, przybierając kształt bezwłosej głowy. Płomień zniknął, pochłonięty przez sylwetkę yochlola, na pół stopioną kupę wosku z groteskowo wydłużonymi oczyma i otwartymi ustami.

- Kto mnie przyzwał? - spytała telepatycznie mała istota. Myśli yochlola, zbyt potężne dla jego drobnej sylwetki, zagrzmiały w głowach zgromadzonych drowek.

- Ja to zrobiłam, sługo - odpowiedziała głośno Malice, chcąc, by słyszały ją jej córki. - Jestem Malice, lojalna służka Pajęczej Królowej.

Yochlol zniknął w kłębie dymu, pozostawiając jedynie żar kadzidła w onyksowej misie. Chwilę później pomocnik znów się pojawił, jako pełna sylwetka, stając za Opiekunką Malice. Briza, Vierna i Maya wstrzymały oddech, gdy istota położyła dwie oślizłe macki na ramionach ich matki.

- Opiekunka Malice przyjęła macki bez żadnej odpowiedzi, przekonana o słuszności przywołania yochlola.

- Wyjaśnij, dlaczego mnie niepokoisz - dobiegły podstępne myśli yochlola.

- Aby zadać proste pytanie - odpowiedziała cicho Malice, ponieważ do komunikacji z yochlolem nie były potrzebne słowa - na które znasz odpowiedź.

- Czy ta odpowiedź aż tak bardzo cię interesuje? - spytał yochlol. - Ryzykujesz poważnymi konsekwencjami.

- Konieczne jest, bym ją poznała - odparła Opiekunka Malice. Jej trzy córki spoglądały z ciekawością, słysząc myśli yochlola, lecz jedynie zgadując niewypowiedziane odpowiedzi swej matki.

- Jeśli odpowiedź jest tak ważna i jest znana sługom, a co za tym idzie Pajęczej Królowej,

nie sądzisz, że Lloth dałaby ci ją, gdyby tak postanowiła?

- Być może przed tym dniem Pajęcza Królowa nie uważała mnie za wartą tej wiedzy - odrzekła Malice. - Sytuacja się zmieniła.

Sługa przerwał i cofnął swe wydłużone oczy w głąb głowy, jakby komunikował się z jakimś odległym planem.

- Witaj, Opiekunko Malice Do'Urden - yochlol powiedział po kilku pełnych napięcia chwilach. Głos stworzenia był spokojny i niezwykle gładki jak na jego groteskowy wygląd.

- Witam cię i twoją panią, Królową Pająków - odpowiedziała Malice. Uśmiechnęła się krzywo do swoich córek i wciąż nie odwracała twarzy do stojącego za nią stworzenia.

Najwidoczniej Malice słusznie odgadła, że rodzina cieszy się łaską Lloth.

- Daermon N'a'shezbaemon zadowolili Lloth - oznajmił yochlol. - Mężczyźni z twojego domu wygrali tego dnia, przewyższając nawet kobiety, które z nimi podróżowały. Muszę przyjąć wezwanie Opiekunki Malice Do'Urden. - Macki ześlizgnęły się z ramion Malice i yochlol stanął wyprostowany za nią, czekając na polecenia.

- Cieszę się, że zadowoliliam Pajęczą Królową - zaczęła Malice. Szukała odpowiedniego sposobu, by sformułować swoje pytanie. - Jak już powiedziałam, przyzwałam cię, prosząc jedynie o odpowiedź na proste pytanie.

- Zadaj je - nakazał yochlol, zaś kpiący ton powiedział Malice i jej córkom, że stwórz już pytanie.

- Mój dom jest zagrożony, tak mówią plotki - powiedziała Malice.

- Plotki? - Yochlol zaśmiał się złowieszczym, zgrzytliwym głosem.

- Wierzę moim źródłom - odparła defensywnie Malice. - Nie przywoływałabym cię, gdybym nie wierzyła w zagrożenie.

- Kontynuuj - rzekł yochlol, rozbawiony całą sprawą. - Jest coś więcej niż plotki, Opiekunko Do'Urden. Inny dom planuje wojnę z tobą.

Niedojrzałe westchnienie Mayi sprowadziło na nią ganiące spojrzenia matki i sióstr.

- Nazwij ten dom - błagała Malice. - Jeśli tego dnia Daermon N'a'shezbaernon naprawdę zadowolili Pajęczą Królową, to proszę Lloth o ujawnienie naszych wrogów, abyśmy mogli ich zniszczyć!

- A jeśli ten drugi dom również zadowolili Pajęczą Królową? - powiedział w zadumie sługa.

- Czy Lloth zdradzi ich dla was?

- Nasi wrogowie mają każdą przewagę - zaprotestowała Malice. Wiedząc Domu Do'Urden. Bez wątplenia każdego dnia nas obserwują, układając plany. Prosimy Lloth tylko o to, by dała nam wiedzę równą tej, jaką dysponują nasi wrogowie. Ujawnij ich i pozwól nam dowieść, który dom jest bardziej wart zwycięstwa.

- A co, jeśli wasi przeciwnicy są potężniejsi od was? - spytał yochlol. - Czy Opiekunka

Malice Do'Urden wezwie wtedy Lloth, by ocaliła jej żalosny dom?

- Nie! - krzyknęła Malice. - Wezwiemy inne moce, które Lloth dała nam, abyśmy mogli walczyć z naszymi wrogami. Jeśli przeciwnicy są potężniejsi, niech Lloth będzie pewna, że odniosą wielkie straty w ataku na Dom Do'Urden!

Sługa znów zatopił się w sobie, łącząc się z ojczystym planem, miejscem mroczniejszym od Menzoberranzan. Malice ścisnęła mocno dłoń Brizy z prawej strony oraz Yierny z lewej. Ona z kolei potwierdziła więź z Mayą, stojącą po drugiej stronie kręgu.

- Pajęcza Królowa jest zadowolona, Opiekunko Malice Do'Urden - odpowiedział w końcu yochlol. - Wierz, że gdy rozgorzeje bitwa, będzie sobie wyżej cenić Dom Do'Urden niż waszych wrogów, być może... - Malice wzdygnęła się, zdając sobie sprawę z dwuznaczności ostatniego sformułowania, z niechęcią akceptując, że Lloth nigdy nie czyniła obietnic.

- A co z moim pytaniem? - ośmieliła się zaprotestować Malice.

- Powodem przywołania?

Nastąpił jaskrawy błysk, który pozbawił cztery kapłanki możliwości widzenia. Gdy powrócił do nich wzrok, ujrzały yochlola, znów małego, spoglądającego na nie spośród płomieni w onyksowej misie.

- Pajęcza Królowa nie da odpowiedzi, która już jest znana! - obwieścił sługa, a czysta moc jego niezmiernie głośno wbiła się drowkom w uszy. Ogień wybuchł w kolejnym oślepiającym błysku, a yochlol zniknął, pozostawiając drogocenną misę roztrzaskaną na tuzin kawałków.

Opiekunka Malice chwyciła spory odłamek potłuczonego onyksu i rzuciła nim o ścianę. - Już znana? - krzyknęła z wściekłością. - Znana komu? Kto w mojej rodzinie utrzymuje to w tajemnicy przede mną?

- Być może ktoś, kto nie wie, że o tym wie - wtrąciła się Briza, starając się uspokoić matkę.

- Albo świeżo zdobyła informację i nie miała jeszcze okazji, by do ciebie z nią przyjść.

- Ona? - zagrzmiała Opiekunka Malice. - O jakiej „niej” mówisz, Brizo? Wszystkie jesteśmy tutaj. Czy któraś z moich córek jest na tyle głupia, by przegapić tak oczywiste zagrożenie dla naszej rodziny?

- Nie, Opiekunko! - krzyknęły razem Vierna i Maya, przerażone narastającą złością Malice, wymykającą się spod kontroli.

- Nigdy nie widziałam żadnego znaku! - powiedziała Vierna. - Ani ja! - dodała Maya. - Byłam przez wiele tygodni u twego boku i nie widziałam więcej niż ty!

- Czy sugerujecie, że coś przeoczyłam? - zagrzmiała Malice, zaciskając palce tak, że aż zbiały.

- Nie, Opiekunko! - krzyknęła ponad rozgardiaszem Briza, wystarczająco głośno, by skierować uwagę Malice na siebie.

- A więc nie ona - stwierdziła Briza. - On. Jeden z twoich synów może posiadać odpowiedź.

Albo Zaknafein lub Rizen.

- Tak - zgodziła się Vierna. - To tylko mężczyźni, zbyt głupi, by zrozumieć powagę drobnych szczegółów.

- Drizzt i Dinin byli poza domem - dodała Briza. - Poza miastem. W ich grupie patrolowej są dzieci każdego potężnego domu, każdego domu, który odważyłby się nam zagrozić!

W oczach Malice rozgorzały ognie, uspokoiła się jednak słysząc ów tok rozumowania. - Przeprowadźcie ich do mnie, gdy wrócą do Menzoberranzan - poinstruowała Yiernę i Mayę. - Ty - powiedziała do Brizy - sprowadź Rizenę i Zaknafeina. Musi być obecna cała rodzina, abyśmy mogli dowiedzieć się tego co trzeba!

- Kuzyni i żołnierze też? - spytała Briza. - Może ktoś poza najbliższą rodziną zna odpowiedź.

- Czy ich też mamy sprowadzić? - zaproponowała Vierna, a jej głos wzniósł się w tym momencie z podniecenia. - Zebranie całego klanu, całej wyprawy wojennej Domu Do'Urden?

- Nie - odpowiedziała Malice. - Nie żołnierze i nie kuzyni. Nie sądzę, aby byli w to zamieszani. Yochlol przekazałby nam odpowiedź, gdyby nie znał jej nikt z mojej najbliższej rodziny. To wstyd, że zadałam pytanie, na które powinnam była znać odpowiedź, na które odpowiedź zna ktoś z kręgu mojej rodziny - zacisnęła zęby cedząc resztę swych myśli.

- Nie podoba mi się, że muszę się wstydić.

* * *

Drizzt i Dinin pojawili się w domu niedługo później, wyczerpani i szczęśliwi, że wyprawa się zakończyła. Ledwo zdołali wejść i ruszyć korytarzem prowadzącym do ich komnat, gdy wpadli na Zaknafeina idącego z przeciwnej strony.

- A więc bohater już wrócił - zauważył Zak, spoglądając bezpośrednio na Drizzta, który nie przegapił obecnego w tej wypowiedzi sarkazmu.

- Wypełniliśmy zadanie pomyślnie - odparł Dinin, dość mocno wzburzony, że został pominięty przez Zaka w powitaniu. - Poprowadziłem...

- Wiem o bitwie - zapewnił go Zak. - Bez przerwy mówi się o niej w mieście. Zostaw nas teraz, Starszy Chłopcze. Mam nie dokończone sprawy z twoim bratem.

- Zostawię was, gdy tak postanowię! - warknął Dinin. Zak zmierzył go spojrzeniem.

- Chcę rozmawiać z Drizztem i tylko z Drizztem, więc zostaw nas.

Ręka Dinina podążyła do rękojeści miecza i nie był to roztropny ruch. Zanim nawet zdołał wyjąć broń na centymetr z pochwy, Zak uderzył go dwukrotnie w twarz jedną dłonią. Drugą w jakiś sposób wyciągnął sztylet i przyłożył go Dininowi do gardła.

Drizzt patrzył zdumiony, przekonany, że Zak z pewnością zabiłby Dinina, gdyby ten dalej się opierał.

- Zostaw nas - powtórzył Zak. - Ocal swoje życie.

Dinin podniósł ręce w górę i powoli się cofnął. - Opiekunka Malice o tym usłyszy! - ostrzegł.

- Sam jej powiem - zaśmiał się Zak. - Myślisz, że będzie się kłopotać twoimi sprawami, głupcze? Z tego, co wiem o Opiekunce Malice, mężczyźni z rodziny sami ustalają swoją hierarchię. Odejdź, Starszy Chłopcze. Wróć, gdy znajdziesz odwagę, by mnie wyzwąć.

- Chodź ze mną, bracie - Dinin powiedział do Drizzta.

- Mamy sprawę - Zak przypomniał Drizztowi.

Drizzt spojrział na nich, na jednego i drugiego, oszołomiony ich jawną chęcią pozabijania się nawzajem. - Zostanę - zdecydował. - Rzeczywiście mam nie dokończone sprawy z fehmistrzem.

- Twój wybór, bohaterze - splunął Dinin, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł spiesźnie.

- Zrobiłeś sobie wroga - zauważył Drizzt.

- Zrobiłem sobie ich wielu - zaśmiał się Zak. - I zrobię wielu więcej, zanim zakończą się moje dni! Twoje czyny wzbudziły zazdrość w twoim bracie, twoim starszym bracie. To ty powinieneś się strzec.

- On cię otwarcie nienawidzi - stwierdził Drizzt.

- Lecz nie osiągnie nic z mojej śmierci - odpowiedział Zak. - Ja nie jestem zagrożeniem dla Dinina, lecz ty... - pozwolił, by słowa zawisły w powietrzu.

- Dlaczego miałbym mu zagrażać? - zaprotestował Drizzt. - Dinin nie ma nic, czego mógłbym pożądać.

- Ma moc - wyjaśnił Zak. - Jest teraz starszym chłopcem, lecz nie było tak zawsze.

- Zabił Nalfeina, brata, którego nigdy nie poznałem.

- Wiesz o tym? - rzekł Zak. - Być może Dinin podejrzewa, że kolejny drugi chłopiec podąży tą samą drogą, którą obrał on, by stać się starszym chłopcem Domu Do'Urden.

- Dość - warknął Drizzt, zmęczony tym całym systemem awansu. Jak dobrze go znasz, Zaknafeinie, pomyślał. Jak wielu zamordowałeś, by osiągnąć swą pozycję?

- Żywiołak ziemi - powiedział Zak, gwizdząc przeciągle. - Potężnego wroga pokonałeś dzisiaj tego dnia. - Skłonił się nisko, rozpraszając wątpliwości Drizzta, czy jest to kpina. - Co będzie następne dla młodego bohatera? Może demon? Półbóg? Z pewnością nie ma nic, co mogłoby...

- Nigdy nie słyszałem, by z twoich ust wylewał się strumień tak pozbawionych sensu słów - odparł Drizzt. Nadszedł czas na trochę sarkazmu z jego strony. - Czy wzbudziłem zazdrość jeszcze w kimś, poza moim bratem?

- Zazdrość? - krzyknął Zak. - Otrzyj nos, zakatarzony dzieciaku! Pod moim ostrzem padł tuzin żywiołaków ziemi! Demonów również! Nie przeceniaj swoich czynów ani umiejętności. Jesteś wojownikiem wśród rasy wojowników. Jeśli o tym zapomnisz, zginiesz. - Zakończył wypowiedź stanowczym podkreśleniem, niemal kpina, a Drizzt znów zaczął się zastanawiać, jak

rzeczywiste będą ich „ćwiczenia” na sali gimnastycznej.

- Znam moje umiejętności - odpowiedział Drizzt. - 1 moje ograniczenia. Nauczyłem się sztuki przetrwania.

- Podobnie jak ja - odparł Zak. - Przez tak wiele stuleci.

- Sala gimnastyczna czeka - rzekł spokojnie Drizzt.

- Twoja matka czeka - poprawił go Zak. - Chce nas widzieć w kaplicy. Nie obawiaj się jednak. Przyjdzie czas na nasze spotkanie.

Drizzt przeszedł obok Zaka nie mówiąc już ani słowa, podejrzewając, że rozmowa zostanie dokończona przez ich ostrza. Co się stało z Zaknafeinem? Czy był to ten sam nauczyciel, który ćwiczył go przez te wszystkie lata przed Akademią? Drizzt nie mógł ułożyć swoich uczuć. Czy postrzegał Zaka w inny sposób, ponieważ dowiedział się o jego niegodziwych czynach, czy też było to coś innego, coś ważniejszego, co zmieniło się w zachowaniu fechmistrza, odkąd Drizzt wrócił z Akademii?

Dźwięk bicia wyrwał Drizzta z rozmyślań.

- Jestem twoim opiekunem! - usłyszał głos Rizzena.

- Co do tego nie ma wątpliwości - odparł kobiecy głos, należący do Brizy. Drizzt podkraśli się do załomu następnego rozwidlenia korytarza i wychylił głowę. Briza i Rizen stali przed sobą, Rizen bez broni, zaś Briza ze swoim węzowym biczem.

- Opiekun - zaśmiała się Briza. - Co za pozbawiony znaczenia tytuł. Jesteś mężczyzną używającym opiekunce swojego nasienia, to wszystko.

- Jestem ojcem czworga - powiedział z oburzeniem Rizen.

- Trojga! - poprawiła Briza, uderzając biczem, by zaakcentować swoją wypowiedź. - Vierna jest Zaknafeina, nie twoja. Nalfein nie żyje, co daje tylko dwoje. Jedno z nich jest kobietą i znajduje się ponad tobą. Tylko Dinin jest tak naprawdę niżej od ciebie w hierarchii!

Drizzt cofnął się za ścianę i rozejrzał po pustym korytarzu, którym właśnie przyszedł. Zawsze podejrzewał, że Rizen nie jest jego prawdziwym ojcem. Mężczyzna nigdy nie zwracał na niego uwagi, nigdy go nie karmił lub chwalił, nigdy też nie zaproponował mu żadnej rady czy treningu. Usłyszał to jednak od Brizy... a Rizen nie zaprzeczył!

Rizen szukał odpowiedzi na kłujące słowa Brizy. - Czy Opiekunka Malice wie o twoich pragnieniach? - spytał kpiąco. - Czy wie, że jej najstarsza córka pożąda jej tytułu?

- Każda najstarsza córka pożąda tytułu matki opiekunki - zaśmiała się Briza. - Opiekunka Malice okazałaby się głupią, gdyby czegoś takiego nie podejrzewała. Zapewniam cię jednak, że ona nie jest głupia, podobnie jak ja. Odbiorę jej tytuł, gdy osłabnie z wiekiem. Wie o tym i akceptuje to.

- Przyznajesz się, że ją zabijesz?

- Jeśli nie ja, to Vierna. Jeśli nie Vierna, to Maya. Takie są nasze zwyczaje, głupi mężczyzno. Tak postanowiła Lloth.

Wściekłość płonęła w Drizzcie, gdy słyszał te złowrogie proklamacje, stał jednak cicho za rogiem.

- Briza nie będzie czekała cały wiek, by skraść matce moc - rzekł Rizen. - Nie gdy sztylet może przyspieszyć sukcesję. Briza pożąda tronu domu!

Następne słowa Rizzena były już tylko nie dającym się rozróżnić krzykiem, ponieważ do pracy zabrał się ochoczo sześcigłowy bicz.

Drizzt chciał interweniować, wybiec i zabić ich oboje, lecz oczywiście nie mógł tego zrobić. Briza robiła teraz to, czego została nauczona, upewniając się w dominacji nad Rizenem, podążała zgodnie ze słowami Pajęczej Królowej. Drizzt wiedział, że go nie zabije.

Co się jednak stanie, gdy Brizę poniesie szal? Co się stanie, jeśli zabije Rizzena? W pustej przestrzeni, która zaczynała narastać w jego sercu, Drizzt zastanawiał się, czy kiedykolwiek go to obchodziło.

* * *

- Pozwoliłeś mu uciec! - Opiekunka SiNafay ryknęła na swego syna. - Nauczysz się, że mnie się nie rozczarowuje!

- Nie, moja Opiekunko! - protestował Masoj. - Trafiłem go błyskawicą. Nawet nie podejrzewał, że atak będzie wymierzony w niego! Nie mogłem jednak dokończyć tego, co zacząłem, ponieważ potwór schwytał mnie w bramę do własnego planu!

SiNafay przygryzła wargę, zmuszona zaakceptować rozumowanie syna. Wiedziała, że dała Masojowi trudną misję. Drizzt był potężnym przeciwnikiem i niełatwo będzie go zabić, nie pozostawiając oczywistych śladów.

- Dostanę go - obiecał Masoj, a na jego twarzy ukazała się determinacja. - Przygotowałem broń. Drizzt będzie martwy przed upływem dziesiątego cyklu, tak jak rozkazałaś.

- Dlaczego miałabym dać ci następną szansę? - spytała SiNafay.

- Dlaczego miałabym wierzyć, że tym razem powiesz ci się lepiej?

- Ponieważ chcę, by zginął! - krzyknął Masoj. - Nawet bardziej niż ty, moja Opiekunko.

Chcę wydrzeć życie z Drizzta Do'Urden! Gdy będzie martwy, chcę mu wyrwać serce i pokazywać je jako trofeum!

SiNafay nie mogła zaprzeczyć obsesji swego syna. - Załatwione - powiedziała. - Dostań go, Masoju Hun'ett. Ryzykując swoim życiem zadaj pierwszy cios Domowi Do'Urden i zabij jego drugiego chłopca.

Masoj uklonił się, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym wyszedł z komnaty.

- Słyszałeś wszystko? - zasygnalizowała SiNafay, gdy za jej synem zamknęły się drzwi.

Wiedziała, że Masoj mógł podsłuchiwać, nie chciała więc, by poznał przebieg rozmowy.

- Tak - odpowiedział Alton językiem gestów, wychodząc zza zasłony.

- Popierasz moją decyzję? - spytały ręce SiNafay.

Alton był zakłopotany. Nie miał wyboru, musiał szanować decyzje swej matki opiekunki, nie uważał jednak za rozsądne, że SiNafay znów posłała Masoja za Drizztem. Jego cisza stawała się coraz dłuższa.

- Nie popierasz - beczelnie zauważyła Opiekunka SiNafay.

- Proszę, Matko Opiekunko - odpowiedział szybko Alton. - Ja nie...

- Zostało ci wybaczone - zapewniła go SiNafay. Nie jestem pewna, dlaczego dałam Masojowi drugą szansę. Zbyt dużo może się nie powieść.

- A więc dlaczego? - ośmielił się spytać Alton. - Mi nie dałaś drugiej szansy, choć jak nikt pożądam śmierci Drizzta Do'Urden.

SiNafay spojrzała na niego nagannie, powodując w nim odpływ odwagi. - Wątpisz w mój osąd?

- Nie! - krzyknął donośnie Alton. Zasłonił dłonią usta i padł z przerażeniem na kolana. - Nigdy, moja Opiekunko - zasygnalizował bezgłośnie. - Po prostu nie rozumiem problemu tak wyraźnie jak ty. Wybacz mi moją ignorancję.

Śmiech SiNafay zabrzmiał jak syk setki zdenerwowanych węży. - Zajmiemy się razem tą sprawą - zapewniła Altona. - W równym stopniu nie dałabym Masojowi drugiej szansy co tobie.

- Ale... - zaczął protestować Alton.

- Masoj pójdzie za Drizztem, lecz tym razem nie będzie sam - wyjaśniła SiNafay. - Ty za nim pójdziesz, Altonie DeVir. Zapewnij mu bezpieczeństwo i dokończ to, co zaczniesz. Odpowiadasz życiem.

Alton ożywił się słysząc, że wreszcie będzie mógł wyrzucić zemstę. Nawet nie martwiła go ostatnia groźba SiNafay. - Czy mogłoby być inaczej? - spytały beztrząsco jego dłonie.

* * *

- Myśl! - zagrzmiała Malice, a jej oddech ogrzewał Drizztowi twarz. - Wiesz coś!

Drizzt skulił się przed potężną sylwetką i rozejrzał nerwowo po zgromadzonej rodzinie. Dinin, podobnie potraktowany chwilę wcześniej, klęczał z podbródkiem w dłoni. Starał się odpowiedzieć, zanim Opiekunka Malice podniesie poziom swoich technik śledczych. Dinin nie przegapił ruchu Brizy sięgającej po swój wężowy bicz, lecz ten niepokojący ruch nie poprawił mu zbyt wiele pamięci.

Malice uderzyła Drizzta boleśnie w twarz i odeszła. - Jeden z was poznał tożsamość naszych przeciwników - warknęła na swoich synów. - Na patrolu jeden z was otrzymał jakąś wskazówkę, jakiś znak.

- Być może widzieliśmy to, lecz nie rozpoznaliśmy - zaproponował Dinin.

- Cisza! - wrzasnęła Malice, a jej twarz rozjaśniła się wściekłością. - Możesz mówić tylko wtedy, gdy będziesz znał odpowiedź na moje pytanie! Tylko wtedy! - Odwróciła się do Brizy. -

Pomóż Dininowi odnaleźć wspomnienia!

Dinin puścił głowę, pochylił się na podłogę przed sobą i wygiął grzbiet, by przyjąć torturę. Gdyby tego nie zrobił, jeszcze bardziej rozwścieczyłby Malice.

Drizzt zamknął oczy i wrócił myślami do wydarzeń swych licznych patroli. Drgnął odruchowo, gdy usłyszał trzask wężowego bicza i cichy jęk jego brata.

- Masoj - wyszeptał Drizzt, niemal nieświadomie. Spojrzał na matkę, która podniosła rękę, by wstrzymać ciosy Brizy ku jej niezadowoleniu.

- Masoj Hun'ett - powtórzył głośniejszym głosem Drizzt. - W walce z gnomami, chciał mnie zabić.

Cała rodzina, zwłaszcza Malice i Dinin, pochyliła się w jego stronę, by nie uronić ani słowa.

- Gdy walczyłem z żywiołakiem - wyjaśnił Drizzt, wypływając ostatnie słowo jako przekleństwo na Zaknafaína. Zmierzył fehmistrza gniewnym spojrzeniem i kontynuował - Masoj Hun'ett uderzył mnie błyskawicą.

- Mógł celować w potwora - stwierdziła Vierna. - Masoj uważał, że to on zabił żywiołaka, lecz wysoka kapłanka z patrolu zaprzeczyła.

- Masoj czekał - odpowiedział Drizzt. - Nie robił nic, dopóki nie zacząłem zdobywać przewagi nad potworem. Wtedy wyzwolił swą magię i skierował ją w równym stopniu we mnie, jak i w żywiołaka. Przypuszczam, że chciał zniszczyć nas obu.

- Dom Hun'ett - wyszeptała Opiekunka Malice.

- Piąty Dom - zauważyła Briza. - Pod Opiekunką SiNafay.

- A więc to jest nasz wróg - powiedziała Malice.

- Może nie - rzekł Dinin, podczas wypowiedzania tych słów zastanawiając się, dlaczego nie dał sobie z tym spokoju. Negowanie tej teorii mogło oznaczać kolejne biczowanie.

Opiekunce Malice nie spodobało się wahanie. - Wyjaśnij! - rozkazała.

- Masoj Hun'ett był zły, ponieważ został wyłączony z wyprawy na powierzchnię - powiedział Dinin. - Zostawiliśmy go w mieście, a później był świadkiem naszego triumfalnego powrotu. - Dinin skierował wzrok prosto na brata. - Masoj zawsze był zazdrosny o Drizzta i całą chwałę, jaką zdobył mój brat, słusznie bądź nie. Wielu jest zazdrosnych o Drizzta i z chęcią ujrzeliby go martwym.

Drizzt poruszył się niespokojnie w swoim fotelu, wiedząc, że ostatnie słowa były jawną groźbą. Zerknął na Zaknafaína i zauważył na twarzy fehmistrza uśmiech.

- Czy jesteś pewien swoich słów? - Malice spytała Drizzta, wytrącając go z osobistych myśli.

- Jest jeszcze kocica - przerwał Dinin. - Magiczne zwierzę Masoja Hun'ett, choć trzyma się bliżej boku Drizzta niż czarodzieja.

- Guenhwyvar chodzi przy mnie - zaprotestował Drizzt - ponieważ tak rozkazałeś.

- Masojowi się to nie podoba - odparł Dinin.

Być może dlatego wspomniałeś o kocie, pomyślał Drizzt, lecz zachował to dla siebie. Czy w zbiegu okoliczności dostrzegał spisek? Czy też jego słowa naprawdę były przepełnione diabelskimi knowaniami i skrytą walką o potęgę?

- Czy jesteś pewien swoich słów? - spytała ponownie Malice, wyciągając go z zadumy.

- Masoj Hun'ett chciał mnie zabić - potwierdził. - Nie wiem dlaczego, lecz nie wątpię w jego zamiary!

- A więc Dom Hun'ett - zauważyła Briza. - Potężny wróg.

- Musimy się o nich sporo dowiedzieć - powiedziała Malice. - Rozesłać zwiadowców! Chcę znać liczbę żołnierzy Domu Hun'ett, jego czarodziejów i, co najważniejsze, kapłanek.

- A jeśli się mylimy? - odezwał się Dinin. - Jeśli Dom Hun'ett nie spiskuje...

- Nie mylimy się! - wrzasnęła na niego Malice.

- Yochlol powiedział, że jedno z nas zna tożsamość wroga - stwierdziła Vierna. - Wszystko, co mamy, to opowieść Drizzta o Masoju.

- Chyba, że coś ukrywasz. - Opiekunka Malice warknęła na Dinina, a była to groźba tak chłodna i złowieszcza, że z twarzy starszego chłopca odpłynęła krew.

Dinin potrząsnął energicznie głową i cofnął się, nie mając nic innego, co mógłby dodać.

- Przygotuj połączenie - Malice powiedziała do Brizy. - Poznajmy pozycję Opiekunki SiNafay u Pajęczej Królowej.

Drizzt spoglądał z niedowierzaniem na rozpoczęte w ogromnym tempie przygotowania, każde wypowiedziane przez Opiekunkę Malice polecenie dotyczyło ściśle określonych planów defensywnych. Nie dziwiła go precyzja rodzinnych planów bitwy - nie spodziewał się niczego innego po tej grupie. Chodziło mu jednak o coś innego, o pożądliwy błysk we wszystkich oczach.

25

ZBROJMISTRZOWIE

.Bezczelność! - zagrzmiął yochlol. Ogień w misie zniknął, a stworzenie znów pojawiło się za Malice, ponownie kładąc niebezpieczne macki na matce opiekunce. - Ośmielacie się znów mnie przyzywać?

Malice i jej córki rozejrzały się po sobie, znajdując się na skraju paniki. Wiedziały, że potężna istota nie bawi się z nimi. Tym razem sługa był naprawdę wściekły.

- Dom Do'Urden zadowolili Pajęczą Królową, to prawda. - Yochlol odpowiedział na nie wypowiedziane myśli. - To jednak nie likwiduje niezadowolonia, jakie wasza rodzina sprowadziła ostatnimi czasy na Lloth. Nie sądzę, że wszystko zostało wybaczone, Opiekunko Malice Do'Urden!

Jakże małą i wrażliwą czuła się teraz Opiekunka Malice! Jej potęga bladła w obliczu gniewu osobistych sług Lloth.

- Niezadowolonia? - ośmieliła się wyszeptać. - W jaki sposób moja rodzina sprowadziła

niezadowolenie na Pajęczą Królową? Jakim czynem?

Śmiech yochlola eksplodował strumieniem płomieni i wylatujących pajaków, lecz wysokie kapłanki stały tam, gdzie wcześniej. Zaakceptowały gorąco i pełzające istoty jako część pokuty.

- Mówiłem ci już wcześniej, Opiekunko Malice Do'Urden - warknął yochlol swymi ociekającymi ustami. - I powiem ci ostatni raz. Pajęcza Królowa nie odpowiada na pytania, na które odpowiedź już jest znana! - W błysku energii, który powalił cztery kapłanki Domu Do'Urden na ziemię, sługa zniknął.

Briza pierwsza się otrząsnęła. Szybko ruszyła do misy i zdusiła pozostałe płomienie, zamykając w ten sposób bramę do Otchłani, ojczystego planu yochlola.

- Kto? - wrzasnęła Malice, znów stając się potężną matriarchinią. - Kto w mojej rodzinie wzbudził gniew Lloth? - Następnie Malice znów stała się małą, jakby wnioski wypływające z ostrzeżenia yochlola stały się zbyt oczywiste. Dom Do'Urden miał toczyć wojnę z potężnym przeciwnikiem, jednak bez łaski Lloth najprawdopodobniej przestanie istnieć.

- Musimy znaleźć sprawcę - poleciła Malice swoim córkom, pewna, że żadna z nich nie była winna. Wszystkie, co do jednej, były wysokimi kapłankami. Gdyby któraś z nich popełniła jakieś przewinienie na oczach Pajęczej Królowej, przywołany yochlol natychmiast wykonałby karę. Sługa był w stanie sam zrównać Dom Do'Urden z ziemią.

Briza wyciągnęła zza pasa wężowy bicz. - Zdobędę informacje, których potrzebujemy - obiecała.

- Nie! - powiedziała Opiekunka Malice. - Nie możemy ujawnić naszych poszukiwań. Jeśli jest to żołnierz lub członek Domu Do'Urden, jest wyćwiczony i wytrzymały na ból. Nie możemy żywić nadziei, że tortury wydobędą z niego wyznanie, nie gdy zna konsekwencje swojego czynu. Musimy natychmiast odkryć powód niezadowolenia Lloth i odpowiednio ukarać sprawcę. Podczas walki Pajęcza Królowa musi stać za nami!

- Jak więc mamy odróżnić sprawcę? - skarżyła się najstarsza córka, z ociąganiem chowając wężowy bicz za pas.

- Yierno i Mayo, opuście nas - poinstruowała Opiekunka Malice. - Nie mówcie nic o tych objawieniach i nie dajcie żadnej wskazówki o tym, co robimy.

Dwie młodsze córki ukłoniły się i wymknęły, niezbyt zadowolone z drugorzędnych ról, jakie im przypadły, lecz nie mogące nic w tej kwestii zrobić.

- Najpierw spojrzymy - Malice powiedziała do Brizy. - Przekonamy się, czy z daleka potrafimy wskazać winnego.

Briza zrozumiała. - Misa wróżebna - rzekła. Weszła z przedsionka do właściwej kaplicy. Na środkowym ołtarzu odnalazła drogocenny przedmiot, szeroką, złotą misę obramowaną czarnymi perłami. Trzęsącymi dłońmi Briza umieściła misę na szczycie ołtarza i sięgnęła do najświętszej z wielu przegródek. Było to miejsce przechowywania najcenniejszego skarbu Domu Do'Urden:

wielkiego onyksowego pucharu.

Malice dołączyła do Brizy we właściwej kaplicy i wzięła od niej puchar. Przeszedłszy do wielkiej sadzawki przy wejściu, do wielkiego pomieszczenia, Malice zanurzyła kielich w gęstym płynie, święconej wodzie jej religii. Następnie zaśpiewała - Spiderae aught icir ven. Skończywszy rytuał Malice wróciła do ołtarza i wlała wodę święconą do złotej misy.

Wraz z Briza usiadły, by obserwować.

* * *

Drizzt po raz pierwszy od dziesięciolecia wszedł do sali gimnastycznej Zaka i poczuł się, jakby wrócił do domu. Spędził tu najlepsze lata swego młodego życia - niemal w całości tutaj. Pomimo wszystkich rozczarowań, jakich doświadczył w życiu - i bez wątpienia będzie jeszcze doświadczał przez całe życie - Drizzt nigdy nie zapomniał tej przelotnej iskry niewinności, tej zabawy, którą poznał będąc studentem Zaknafeina.

Wszedł Zaknafein i stanął twarzą w twarz ze swoim byłym studentem. Drizzt nie ujrzał w twarzy zbrojmistrza nic znajomego ani przyjemnego. Ciągły grymas zastąpił częsty niegdyś uśmiech. Był to pełen gniewu wyraz twarzy, oznaczający nienawiść do całego otoczenia, a najprawdopodobniej największą do Drizzta. Czy też może Zaknafein zawsze nosił taki grymas? Drizzt musiał się nad tym zastanowić. Czy nostalgia wygładziła wspomnienia Drizzta o tych najwcześniejszych latach treningu? Czy ten mentor, który tak często ogrzewał serce Drizzta beztróskim chichotem, mógł być tym chłodnym, przyczajonym potworem, którego Drizzt widział teraz przed sobą?

- Co się zmieniło, Zaknafeinie? - spytał głośno Drizzt. - Ty, moje wspomnienia, czy mój sposób widzenia?

Zak nie wydawał się słyszeć wyszeptanych pytań. - Ach, młody bohater wrócił - powiedział.

- Wojownik o wyczynach większych niż jego wiek.

- Dlaczego ze mnie kpisz? - zaprotestował Drizzt.

- Ten, który zabił hakowe poczwary - ciągnął Zak. Jego miecze znajdowały się już w dłoniach, a Drizzt odpowiedział, wyciągając sejmity. Nie było potrzeby pytać o zasady obowiązujące w tym starciu albo o wybieraną broń.

Drizzt wiedział, jeszcze zanim tu przyszedł, że tym razem nie będzie zasad. Broń będzie taka, jaką sobie wybiorą, ostrza, którymi każdy z nich zabił tak wielu przeciwników.

- Ten, który zabił żywiołaka ziemi - drwił Zak. Wykonał spokojny atak, zwykłe pchnięcie jednym ostrzem. Drizzt odtrącił je na bok, nawet nie myśląc o sparowaniu.

W oczach Zaka zapłonęły nagle ognie, jakby pierwszy kontakt zerwał wszystkie emocjonalne więzy, które powstrzymały pchnięcie. - Ten, który zabił dziewczynkę elfów z powierzchni! - krzyknął oskarżające, bez pochwały. Nadszedł drugi atak, podstępny i potężny, idący po łuku i opadający Drizztowi na głowę. - Który rozplątał ją, by zaspokoić własną żądzę

krwi!

Słowa Zaka całkowicie zbiły Drizzta z tropu, otoczyły jego serce zdumieniem równie silnym, jak jakiś diabelski, mentalny bicz. Drizzt był jednak doświadczonym wojownikiem i rozproszenie emocjonalne nie wpływało na jego odruchy. Wysunął sejmitar, by przechwycić opadający miecz i odtrącił go bezpiecznie na bok.

- Morderca! - szydził otwarcie Zak. - Podobały ci się krzyki umierającego dziecka? Natarł na Drizzta szaleńczym huraganem, jego miecze kłuły i cięły, uderzając pod każdym kątem.

Drizzt, rozzłoszczony przez oskarżenia hipokryty, również wpadł w szal, wrzeszcząc tylko po to, by usłyszeć w swoim głosie gniew.

Każdy, kto obserwowałby walkę, straciłby na kilka następnych rozmazanych chwil oddech. Nigdy Podmrok nie doświadczył jeszcze tak rozszalałej potyczki, gdy dwóch mistrzów ostrza atakowało demona, który opętał tego drugiego - i jego samego.

Adamantyt zderzał się i ocierał, a obydwaj walczący pokryci byli kroplami krwi, choć żaden z nich nie czuł bólu i nie wiedział, że zranił drugiego.

Drizzt wyszedł z wykonywanym obydwojoma ostrzami bocznym cięciem, które rozłożyło szeroko miecze Zaka. Zak wykorzystał pęd, zatoczył pełny obrót i uderzył w wymierzone do pchnięcia sejmitary z taką siłą, że przewrócił młodego wojownika. Drizzt przetoczył się i wstał, by stawić czoła szarżującemu adwersarzowi.

Przez jego umysł przemknęła myśl.

Drizzt wyszedł wysoko, zbyt wysoko, a Zak zmusił go do cofnięcia się. Drizzt wiedział, co zaraz nadejdzie i powitał to ochoczo. Zak utrzymywał broń Drizzta w górze dzięki szeregowi złożonych manewrów. Następnie wyszedł ruchem, którym pokonał Drizzta w przeszłości, oczekując, że najlepsze, co Drizzt będzie mógł zrobić, to zrównoważyć oparcie: podwójnym dolnym pchnięciem.

Drizzt wykonał spodziewanie dolny krzyż, jak musiał zrobić, zaś Zak napiął mięśnie, czekając, czyjego przeciwnik spróbuje poprawić ruch. - Zabójca dzieci! - warknął, drażniąc Drizzta.

Nie wiedział, że Drizzt znalazł rozwiązanie.

Z całą złością, jaką kiedykolwiek odczuwał, ze wszystkimi rozczarowaniami swego życia zebranymi w stopie, Drizzt skupił się na Zaku. Ta pewna siebie twarz, ulotne uśmieški i kapiąca krew...

Drizzt kopnął pomiędzy rękojeści, pomiędzy oczy, wyrzucając z siebie w tym jednym ciosie całą wściekłość.

Nos Zaka został zmiażdżony. Jego oczy wyróciły się, a na policzki połała się krew. Zak wiedział, że upada, że ten diabelski młody wojownik spadnie na niego w mgnieniu oka, zyskując przewagę, której Zak nie będzie w stanie przełamać.

- Co z tobą, Zaknafeinie Do'Urden? - usłyszał kpiący głos Drizzta z oddali, jakby upadał dużo dalej. - Słyszałem o wyczynach fehmistrza Domu Do'Urden! Jak on lubi zabijać! - Głos był teraz bliżej, gdy Drizzt zmniejszył odległość, a powracająca do Zaknafeina wściekłość popychała go z powrotem do walki.

- Słyszałem, jak łatwo przychodzi Zaknafeinowi mordowanie! - szydził Drizzt. - Mordowanie kapłanek, innych drowów! Tak bardzo to lubisz? - Zakończył pytanie uderzeniem obydwoma sejmitarami, atakiem, który miał zabić Zaka, który miał zabić demona w nich obu.

Zaknafein odzyskał już jednak całkowicie przytomność, nienawidząc w równym stopniu siebie i Drizzta. W ostatniej chwili uniosły się w górę z szybkością błyskawicy jego dwa skrzyżowane miecze, rozrzucając szeroko ramiona przeciwnika. Zak zakończył kopnięciem ze swojej strony, nie tak silnym z pozycji leżącej, lecz wystarczająco celnym, by odnaleźć pachwinę Drizzta.

Drizzt wciągnął powietrze i odtoczył się w tył, zmuszając się do odzyskania postawy, gdy ujrzał Zaknafeina, wciąż oszołomionego, który wstawał z ziemi. - Tak bardzo to lubisz? - zdołał zapytać ponownie.

- Lubię? - powtórzył fehmistrz.

- Czy to ci daje przyjemność? - skrzywił się Drizzt.

- Satysfakcję! - poprawił Zak. - Zabijam. Tak, zabijam.

- Uczysz innych zabijać!

- Zabijać drowy! - ryknął Zak i znów spoglądał Drizztowi w twarz, trzymając broń gotową do użycia, lecz czekając, aż Drizzt wykona następny ruch.

Słowa Zaka znów oplatały Drizzta pajęczyną zdumienia. Kim był ten drow, który stał przed nim?

- Czy myślisz, że twoja matka pozwoliłaby mi żyć, gdybym nie służył jej złym planom? - krzyknął Zak.

Drizzt nie rozumiał.

- Ona mnie nienawidzi - powiedział Zak, osiągając nad sobą większą kontrolę, gdy zrozumiał zdumienie Drizzta. - Gardzi mną za to, co wiem.

Drizzt przekrzywił głowę.

- Czy jesteś tak ślepy na otaczające cię zło? - Zak wrzasnął mu w twarz. - Czy też cię pochłonęło, jak pochłonęło już pozostałych tą morderczą furia, którą nazywamy życiem?

- Czy to furia cię podtrzymuje? - odparł Drizzt, lecz w jego głosie nie było już tyle przekonania. Jeśli dobrze zrozumiał słowa Zaka - jeśli Zak grał w tę grę tylko z powodu nienawiści do perwersyjnych drowów - to jedynym, o co Drizzt mógł go winić, było tchórzostwo.

- Nie podtrzymuje mnie furia - odpowiedział Zak. - Żyję najlepiej jak mogę. Trwam w świecie, który nie jest moim własnym, nie jest w moim sercu - żal w jego słowach, potrząsanie

głową gdy przyznawał się do bezsilności, poruszyły w Drizzcie znajomą nutę. - Zabijam, zabijam drowy, by służyć Opiekunce Malice, by ułagodzić wściekłość i frustrację, które czuję w duszy. Gdy słyszę płacz dzieci... - Jego wzrok padł na Drizzta, natarł na niego nagle, a jego furia wróciła z dziesięciokrotnie większą siłą.

Drizzt starał się podnieść sejmity, lecz Zak wytrącił jeden z nich, tak że przeleciał przez salę, drugi zaś odrzucił na bok. Dotrzymywał kroku uciekającemu niezdarnie Drizztowi, dopóki nie przyparł go do ściany. Czubek miecza Zaka uronił kropelkę krwi z gardła Drizzta.

- Życie dzieci! - wydyszał Drizzt. - Przysięgam, nie zabiłem elfiego dziecka!

Zak rozluźnił się trochę, lecz wciąż trzymał miecz na szyi Drizzta. - Dinin powiedział...

- Dinin się mylił! - przerwał żarliwie Drizzt. - Oszukałem go. Przewróciłem dziecko tylko po to, żeby je ocalić i pokryłem je krwią zamordowanej matki, by zamaskować własne tchórzostwo!

Zak odskoczył do tyłu oszołomiony.

- Nie zabiłem tego dnia elfów - powiedział do niego Drizzt. - Jedynymi, których chciałem zabić, byli moi towarzysze.

* * *

- A więc już wiemy - rzekła Briza, spoglądając we wróżebną misę, obserwując zakończenie walki pomiędzy Drizztem a Zaknafeinem i słysząc każde ich słowo. - To Drizzt rozgniewał Pajęczą Królową.

- Podejrzewałaś go przez cały czas, podobnie jak ja - odparła Opiekunka Malice. - Choć obydwie miałyśmy nadzieję, że będzie inaczej.

- Był taki obiecujący! - narzekała Briza. - Jakże żałuję, że poznał swoje miejsce, swoje zasady. Może...

- Litość? - warknęła na nią Opiekunka Malice. - Czy okazujesz litość, która jeszcze bardziej pogłębi niezadowolenie Pajęczej Królowej?

- Nie, Opiekunko - odpowiedziała Briza. - Miałam tylko nadzieję, że Drizzta będzie można wykorzystać w przyszłości, jak ty wykorzystywałaś Zaknafeina przez te wszystkie lata. Zaknafein staje się coraz starszy.

- Będziemy toczyć wojnę, moja córko - przypomniała jej Malice. - Lloth musi zostać prześlągana. Twój brat sam sprowadził na siebie ten los. Sam decydował o swoich czynach.

- Decydował źle.

* * *

Słowa uderzyły w Zaknafeina mocniej niż but. Fehmistrz rzucił swoje miecze w kraniec pomieszczenia i rzucił się na Drizzta. Objął go tak mocno, że długą chwilę zajęło młodemu drowowi zdanie sobie sprawy, co się stało.

- Przetrwałeś! - powiedział Zak, a głos mu się łamał przez tłumione łyzy. - Przetrwałeś

Akademii, w której inni zginęli!

Drizzt odwzajemnił uścisk, jednak z wahaniem, wciąż nie rozumiejąc głębi radości Zaka.

- Mój synu!

Drizzt niemal zemdleł, oszołomiony przez wyznanie, którego zawsze się domyślał, a jeszcze bardziej przez świadomość, że nie tylko on w tym mrocznym świecie gardził zwyczajami drowów. Nie był sam.

- Dlaczego? - spytał Drizzt, odpychając Zaka na długość ramienia. - Dlaczego zostałeś?

Zak spojrział na niego z zaciekawieniem. - A gdzie mógłbym pójść? Nikt, nawet drow fehmistrz, nie przetrwa długo w jaskiniach Podmroku. Zbyt wiele potworów i innych ras, żądnych krwi mrocznych elfów.

- Miałeś jeszcze inne możliwości.

- Powierzchnia? - odparł Zak. - Aby każdego dnia stawiać czoła bolesnemu piekłu? Nie, mój synu, jestem uwięziony, podobnie jak ty.

Drizzt obawiał się tego stwierdzenia, obawiał się, że od swego świeżo odnalezonego ojca nie otrzyma odpowiedzi na dylemat swojego życia. Być może nie było odpowiedzi.

Powiedzcie ci się w Menzoberranzan - powiedział Zak, by go uspokoić. - Jesteś silny, a Opiekunka Malice znajdzie odpowiednie miejsce dla twoich talentów, cokolwiek, czego zapragnie twoje serce.

- Miałbym wieść żywot zabójcy, jak ty? - spytał Drizzt, nie będąc w stanie powstrzymać w swych słowach wściekłości.

- Jaki mamy wybór? - odparł Zak, a jego oczy spoczęły na nie osądających kamieniach podłogi.

- Nie będę zabijał drowów - oznajmił stanowczo Drizzt.

Oczy Zaka znowu spoczęły na nim.

- Będziesz - zapewnił swojego syna. - W Menzoberranzan albo będziesz zabijał, albo zostaniesz zabity.

Drizzt odwrócił wzrok, lecz słowa Zaka podążały za nim, nie mógł ich powstrzymać.

- Nie ma innego sposobu - ciągnął spokojnie fehmistrz. - Taki jest nasz świat. Takie jest nasze życie. Długo przed tym uciekałeś, wkrótce jednak zauważysz, że twoje szczęście się zmieni. - Chwycił Drizzta mocno za podbródek i zmusił swego syna, by spojrział prosto na niego.

- Chciałbym, żeby mogło być inaczej - powiedział szczerze Zak. - To jednak nie jest takie złe życie. Nie żałuję zabijania mrocznych elfów. Postrzegam ich śmierć jako zbawienie od nędznej egzystencji. Jeśli tak się przejmują swoją Pajęczą Królową, niech pójdą ją odwiedzić!

Powiększający się uśmiech Zaka zniknął nagle. - Poza dziećmi - wyszeptał. - Często słyszę płacz umierających dzieci, choć nigdy, przyrzekam ci, nie spowodowałem go. Zawsze się zastanawiam, czy one też są złe, rodzą się złe. Czy też ciężar naszego mrocznego świata zmusza je

do podporządkowania się złym zwyczajom.

- Zwyczajom demona Lloth - zgodził się Drizzt.

Obydwaj milczeli przez wiele uderzeń serca, każdy w ciszy rozważał swoje własne dylematy. Zak przemówił następny, ponieważ już dawno doszedł do porozumienia z życiem, jakie mu zaproponowano.

- Lloth - zachichotał. - Jest podstępna królową. Poświęciłbym wszystko za szansę ujżenia jej paskudnej twarzy!

- Niemal wierzę, że byś to zrobił - wyszeptał Drizzt, uśmiechając się.

Zak odskoczył od niego. - Naprawdę bym tak zrobił - zaśmiał się z całego serca. - Podobnie jak ty!

Drizzt rzucił jedyny trzymany przez siebie sejmitar w powietrze, pozwalając mu wykonać dwa obroty, zanim znów chwycił go za rękojeść. - To prawda! - krzyknął. - Jednak nie będę już sam!

26

ŁOWCA PODMROKU

Urizzt błąkał się samotnie przez labirynt Menzoberranzan, przemykając obok kopców stalagmitów, pod czubkami ogromnych kamiennych włóczni, które zwisały z wysokiego stropu jaskini. Opiekunka Malice wyraźnie rozkazała, by cała rodzina pozostała w domu, obawiając się prób zabójstwa ze strony Domu Hun'ett. Zbyt dużo jednak wydarzyło się tego dnia, by Drizzt mógł być posłuszny. Musiał rozmyślać, zaś kontemplowanie nad takimi bluźnierczymi ideami w domu pełnym nerwowych kapłanek mogło go tylko wpędzić w poważne kłopoty.

Była to cicha pora w mieście, ciepło Narbondel było już tylko wąskim paskiem u podstawy kolumny, a większość drowów spała wygodnie w swoich kamiennych domach. Wkrótce po tym, jak Drizzt wymknął się przez adamantytową bramę budowli Do'Urden, zrozumiał mądrość rozkazu Opiekunki Malice. Cisza miasta wydawała mu się teraz oczekiwaniem drapieznika. Było gotowe, by opaść na niego ze wszystkich ślepych zaułków, jakie mijał na swojej drodze.

Nie znajdzie tutaj zacisza, w którym mógłby naprawdę przemyśleć dzisiejsze wydarzenia, objawienie Zaknafeina, powiązanego z nim nie tylko krwią. Drizzt zdecydował się złamać zasady - w końcu tak postępowały drowy - i wyszedł z miasta, wzdłuż tuneli, które tak dobrze poznał podczas długich tygodni patroli.

Godzinę później wciąż szedł, zagubiony w myślach i czując się wystarczająco bezpiecznie, ponieważ znajdował się w granicach patrolowanego regionu.

Wszedł do wysokiego korytarza, szerokiego na dziesięć kroków, z popękkanymi ścianami pokrytymi żwirem i poprzecinanego przez wiele występów skalnych. Wyglądało to tak, jakby niegdyś przejście było znacznie szersze. Strop znajdował się poza zasięgiem wzroku, lecz Drizzt

przechodził już tędy wiele razy, nie poświęcił więc owemu miejscu uwagi.

Wyobraził sobie przyszłość, czasy, które on i Zaknafein, jego ojciec, będą dzielić, gdy nie dzieliły ich już tajemnice. Razem będą niepokonani, będą drużyną fehmistrzów, związanych ze sobą stałą i uczuciem. Czy Dom Hun'ett naprawdę wiedział, na co się porywa? Uśmiech na twarzy Drizzta zniknął natychmiast, gdy rozważył konsekwencje: on i Zak, wspólnie, przedzierający się z zabójczą łatwością przez szeregi Hun'ett, przez szeregi elfów drowów - zabijający własny lud.

Drizzt oparł się o ścianę poszukując oparcia, rozumiejąc frustrację, jaka dręczyła jego ojca od wielu stuleci. Drizzt nie chciał być taki jak Zaknafein, żyć tylko, by zabijać, trwać w ochronnej sferze przemocy, jednak jaki miał wybór? Opuścić miasto?

Zak zdziwił się, gdy Drizzt zapytał go, dlaczego nie opuścił miasta. - A gdzie mógłbym pójść? - wyszeptał teraz Drizzt, powtarzając słowa Zaka. Jego ojciec stwierdził, że są uwięzieni, tak też wydawało się Drizztowi.

- Gdzie mógłbym pójść? - spytał znów. - Podróżować po Pod - mroku, gdzie nasz lud jest tak znienawidzony? Samotny drow stałby się celem dla wszystkiego, na co by się natknął. Albo może pójść na powierzchnię, pozwolić, by kula ognia na niebie wypaliła moje oczy, abym nie mógł być świadkiem własnej śmierci, gdy dopadną mnie elfy faerie?

Logika tego rozumowania uwięziła Drizzta w podobnym stopniu jak Zaka. Gdzie mógł iść elf drow? Nigdzie w całych Krainach elf o ciemnej skórze nie zostanie zaakceptowany.

Czy więc wyborem było zabijać? Zabijać drowy?

Drizzt przetoczył się po ścianie, poruszając się nieświadomie, ponieważ jego umysł kłębił się w labiryncie przyszłości. Chwilę zajęło mu zdanie sobie sprawy, że jego plecy opierają się o coś innego niż kamień.

Próbował odskoczyć, świadomy tego, że otoczenie nie jest takie, jakie powinno być. Gdy się odepchnął, stopy uniosły mu się nad ziemię, lecz wylądował tam, gdzie stał przed chwilą. Szaleńczo, zanim zdołał rozważyć sytuację, Drizzt sięgnął oburącz do szyi.

One również przykleiły się do trzymającego go przejrzystego sznura. Drizzt wiedział już, że głupio uczynił, że żadne szarpanie nie uwolni go z liny łowcy Podmroku, jaskiniowego rybaka.

- Głupiec! - zganił się, gdy poczuł, że odrywa się od ziemi. Powinien był to przewidzieć, powinien być ostrożniejszy przebywając samemu w tunelach. Ale wyciągać gołe ręce! Spojrzał w dół na rękojeści swoich sejmitarów, bezużytecznie tkwiących w pochwach.

Jaskiniowy rybak wciągał go wzdłuż długiej ściany w stronę czekającej paszczy.

* * *

Masoj Hun'ett uśmiechnął się do siebie widząc, jak Drizzt wychodzi z miasta. Czas mu się kończył, a Opiekunka SiNafay nie będzie zadowolona, jeśli znowu zawiedzie w misji zlikwidowania drugiego chłopca Domu Do'Urden. Cierpliwość Masoja najwyraźniej opłaciła się jednak, ponieważ Drizzt wyszedł sam, opuścił miasto! Nie było świadków. To było zbyt proste.

Czarodziej wyciągnął ochoczo z sakiewki onyksową figurkę i upuścił ją na ziemię. - Guenhwyvar! - krzyknął tak głośno, jak tylko się odważył, spoglądając w stronę najbliższego stalagmitowego domu w poszukiwaniu śladów aktywności.

Pojawił się ciemny dym, przekształcając się chwilę później w magiczną panterę Masoja. Czarodziej zatarł ręce, chwając się za obmyślenie tak diabelskiego i ironicznego końca bohaterstwa Drizzta Do'Urdena.

- Mam dla ciebie zadanie - powiedział kocicy. - Zadanie, które ci się nie spodoba!

Guenhwyvar przeciągnęła się niedbale i ziewnęła, jakby słowa czarodzieja nie były niczym nowym.

- Twój wyznaczony towarzysz poszedł na patrol - wyjaśnił Masoj wskazując na tunel. - Sam. To zbyt niebezpieczne.

Guenhwyvar wyprężyła się, nagle stając się zainteresowana.

- Drizzt nie powinien był iść tam samotnie - ciągnął Masoj. - Może zostać zabity.

Złowieszca intonacja przekazała panterze jego zamiary, zanim jeszcze sformułował słowa.

- Idź do niego, moje zwierzątko - wycedził Masoj. - Znajdź go w tym mroku i zabij go! -

Badał reakcję Guenhwyvar, mierząc przerażenie, jakie wywołał w kocicy. Guenhwyvar stała sztywno, równie nieruchoma jak statuetka, za pomocą której ją przyzywał.

- Idź! - rozkazał Masoj. - Nie możesz opierać się poleceniom swego pana! Ja jestem twoim panem, bezmyślna bestio! Wydajesz się zbyt często zapominać o tym fakcie!

Guenhwyvar opierała się bohatersko przez dłuższą chwilę, lecz naleganie magii, nieuchronne parcie rozkazu pana, przemogły wszelkie instynktowne uczucia, jakie mogła posiadać wielka pantera. Z początku z wahaniem, następnie jednak popychana przez pierwotne pragnienie zdobyczy, Guenhwyvar przebiegła pod zakłętymi rzeźbami strzegącymi tunelu i z łatwością odnalazła zapach Drizzta.

* * *

Alton DeVir cofnął się za największy ze stalagmitów, rozczarowany taktyką Masoja. Masoj pozwolił kocicy wykonać za niego robotę, a Alton nawet nie będzie mógł być świadkiem śmierci Drizzta Do'Urden!

Alton chwycił potężną różdżkę, którą Opiekunka SiNafay dała mu, gdy tej nocy wyruszał za Masojem. Wyglądało na to, że ten przedmiot nie odegra roli w zagładzie Drizzta Do'Urden.

Ale Alton cieszył się z różdżki, wiedząc, że będzie mieć dużo okazji, by wykorzystać ją w odpowiedni sposób przeciwko resztkom Domu Do'Urden.

* * *

Drizzt walczył przez pierwszą połowę wjazdu, wierzgając i obracając się, zahaczając ramionami o każdy mijany występ skalny w nadziei, że powstrzyma parcie jaskiniowego rybaka. Wiedział jednak, wbrew instynktowi wojownika, który nie dopuszczał do poddania się, że nie ma

szans, by zatrzymać nieuchronne wciągnięcie.

W połowie drogi, z jednym ramieniem krwawiącym, a drugim podrapanym, z podłogą niemal dziesięć metrów pod nim, Drizzt poddał się losowi. Jeśli miał jakąś szansę przeciwko podobnemu do kraba potworowi, który oczekiwał na szczycie liny, można ją będzie wykorzystać dopiero w ostatniej chwili. Na razie mógł jedynie obserwować i czekać.

Być może śmierć nie była najgorszą alternatywą wobec życia, jakie będzie musiał wieść wśród drowów, uwięziony w złej sieci ich mrocznego społeczeństwa. Nawet Zaknafein, tak silny, potężny i mądry wskutek ciężaru lat, nigdy nie był w stanie pogodzić się ze swoją egzystencją w Menzoberranzan, a więc jaką szansę miał na to Drizzt?

Gdy Drizzt przeszedł przez krótki okres użalania się nad sobą, gdy zmienił się kąt ruchu, ukazując mu krawędź ostatniej półki skalnej, duch wojownika znów nad nim zatriumfował. Uznał wtedy, że być może jaskiniowy rybak go dostanie, lecz zanim potwór zje swój posiłek, wciśnie mu w oczy jeden lub dwa buty!

Słyszał już chrobot ośmiu krabowych odnóży niecierpliwego stwora. Drizzt widział już wcześniej jaskiniowego rybaka, choć zniknął, zanim on i jego patrol mogli się nim zająć. Wyobraził go sobie wtedy, więc mógł wyobrazić również teraz. Dwa z jego odnóży kończyły się paskudnymi szczypcami, którymi wpychał sobie zdobycz do paszczy.

Drizzt odwrócił się twarzą do ściany, chcąc ujrzyć tę istotę zaraz, gdy wychyli się znad krawędzi. Niecierpliwie chrobotanie stało się głośniejsze, rozbrzmiewało obok dudnienia serca Drizzta. Dotarł do krawędzi półki.

Drizzt spojrzał. Był zaledwie pół metra od długiego pyska stwora. Kleszcze wyciągnęły się, by złapać go, zanim zdąży stanąć. Nie będzie miał okazji, by kopnąć potwora.

Zamknął oczy, znów żywiąc nadzieję, że śmierć będzie lepsza od życia w Menzoberranzan. Znajomy pomruk wyrwał go z tych myśli.

Przemykając po labiryncie półek skalnych, Guenhwyvar weszła w zasięg wzroku jaskiniowego rybaka i Drizzta na chwilę przed tym, jak drow przekroczył krawędź. Podobnie jak dla Drizzta, dla kocicy była to chwila zbawienia lub śmierci. Guenhwyvar podążała tu zgodnie z bezpośrednim rozkazem Masoja, nie zastanawiając się nad swoim obowiązkiem i działając jedynie według swoich instynktów w połączeniu z nakazami magii. Guenhwyvar nie mogła się sprzeciwić, ponieważ zagrażałoby to jej istnieniu... aż do teraz.

Scena rozgrywająca się przed panterą, z Drizztem oddalonym o zaledwie sekundy od śmierci, dała Guenhwyvar nieznaną jej siłę, nie przewidzianą przez twórcę magicznej figurki. Chwila przerażenia dała Guenhwyvar życie wykraczające poza magię.

W chwili gdy Drizzt otworzył oczy, walka była już w pełnym rozkwicie. Guenhwyvar skoczyła na jaskiniowego rybaka, lecz niemal przez niego przeleciała, ponieważ sześć pozostałych odnóży potwora było przytwierdzonych do skały taką samą substancją, która wciągnęła tutaj

Drizzta. Niezrażona tym kocica drapała i gryzła, starając się przebić przez skorupę rybaka.

Potwór odwzajemnił atak swymi szczypcami, zarzucając je ze zdumiewającą zwinnością na grzbiet i chwytając jedną z przednich łap Guenhwyvar.

Drizzt nie był już wciągany, potwór zajmował się czymś innym.

Kleszcze przebiły się przez miękkie ciało Guenhwyvar, lecz krew kocicy nie była jedynym ciemnym płynem, który spływał z grzbietu jaskiniowego rybaka. Potężne kocie pazury rozdarły fragment skorupy, a pod nią zanurzyły się wielkie zęby. Gdy krew jaskiniowego rybaka padła na kamień, jego nogi zaczęły się poruszać.

Widząc, jak substancja pod krabowymi odnóżami rozpuszcza się, gdy styka się z nią krew potwora, Drizzt zrozumiał, co się stanie, jeśli spadnie na niego z półki skalnej strumień tej samej krwi. Będzie musiał szybko uderzyć, jak tylko nadarzy się okazja. Musi być gotowy, by pomóc Guenhwyvar.

Rybak zachwiał się na bok, strącając Guenhwyvar i kołysząc Drizztem.

Krew wciąż płynęła strumieniem, a Drizzt czuł, jak więzy na jego górnej ręce słabną, gdy dotarł tam płyn.

Guenhwyvar znów się podniosła, stojąc przed rybakiem i szukając pomiędzy jego oczekującymi kleszczami odpowiedniej drogi do ataku.

Ręka Drizzta uwolniła się. Chwycił sejmitar i pchnął przed siebie, zatapiając czubek w boku rybaka. Potwór poruszył się, a wstrząs i wciąż płynąca krew strąciły Drizzta z półki. Drow był na tyle zwinny, by znaleźć uchwyt jeszcze przed spadnięciem, lecz wyciągnięty sejmitar uderzył o ziemię.

Atak Drizzta zneutralizował na chwilę obronę rybaka, a Guenhwyvar nie wahała się. Kocica wpadła na przeciwnika, zatapiając zęby w tej samej szczelinie, którą wcześniej otworzyła. Zatopiły się głębiej pod skórę, miażdżąc organy wewnętrzne, podczas gdy pazury Guenhwyvar utrzymywały szczypce w odpowiedniej odległości.

W chwili gdy Drizzt wspiął się z powrotem na poziom, na którym toczyła się walka, jaskiniowy rybak był już wstrząsany drgawkami śmierci. Drow podciągnął się i pospieszył do boku swojej przyjaciółki.

Guenhwyvar cofała się krok za krokiem, z opuszczonymi uszami i obnażonymi zębami.

Z początku Drizzt sądził, że kocicę oślepił ból z rany, szybki rzut okiem rozproszył jednak tę teorię. Guenhwyvar miała tylko jedną ranę i nie była ona poważna. Drizzt widział u kocicy groźniejsze.

Guenhwyvar wciąż się cofała, wciąż warczała, gdy nieustanne dudnienie rozkazu Masoja, wracające po chwili przerażenia, uderzało jej do serca. Kocica walczyła z nakazem, starała się postrzegać Drizzta jako sprzymierzeńca, nie ofiarę, lecz nakaz...

- Co się stało, moja przyjaciółko? - spytał cicho Drizzt, powstrzymując pragnienie, by

wyciągnąć w obronie drugie ostrze. Klęknął na jedno kolano. - Nie poznajesz mnie? Jakże często razem walczyliśmy!

Guenhwyvar pochyliła się i napięła tylne nogi, przygotowując się, jak wiedział Drizzt, do skoku. Mimo to Drizzt wciąż nie wyciągał broni, nie chcąc robić nic, co mogłoby zagrozić kocicy. Musiał zaufać, że postrzeżał Guenhwyvar w odpowiedni sposób, że pantera była tym, za co ją uważał. Co mogło sterować jej nieprzyjaznym zachowaniem? Co sprowadziło tu Guenhwyvar o tak późnej porze?

Drizzt odnalazł odpowiedzi na te pytania, gdy przypomniał sobie ostrzeżenia Opiekunki Malice, by nie opuszczać Domu Do'Urden.

- Masoj cię wysłał, byś mnie zabiła! - powiedział otwarcie. Jego ton zdumiał kocicę, która rozluźniła się trochę, nie będąc jeszcze gotowa do skoku. - Ocaliłaś mnie, Guenhwyvar. Oparłaś się rozkazowi.

W proteście zabrzmiał warkot Guenhwyvar.

- Mogłaś pozwolić, by jaskiniowy rybak wykonał za ciebie zadanie - odparł Drizzt - jednak nie zrobiłaś tego! Zaatakowałaś i ocaliłaś mi życie! Walcz z nakazem, Guenhwyvar! Pamiętaj mnie jako swojego przyjaciela, lepszego towarzysza, niż kiedykolwiek będzie mógł być nim Masoj Hun'ett!

Guenhwyvar cofnęła się o kolejny krok, schwytna w sidła, z których nie mogła się wydostać. Drizzt obserwował, jak znad głowy kocicy unoszą się uszy. Wiedział już, że wygrywa rywalizację.

- Masoj oferuje poddaństwo - ciągnął przekonany iż kocica, dzięki jakiejś nie znanej przez Drizzta inteligencji, rozumie znaczenie jego słów. - Ja oferuję przyjaźń. Jestem twoim przyjacielem, Guenhwyvar i nie będę walczyć przeciwko tobie. - Podeszedł bliżej, rozkładając szeroko ramiona i odsłaniając twarz oraz pierś. - Nawet za cenę mojego życia!

Guenhwyvar nie zaatakowała. Uczucia przyciągały kocicę mocniej niż jakikolwiek czar, te same uczucia, które zmusiły Guenhwyvar do działania, gdy ujrzała Drizzta w szponach jaskiniowego rybaka.

Guenhwyvar spięła się i skoczyła, wpadając na Drizzta i przewracając go na plecy, po czym zasypała go lawiną przyjaznych uderzeń i udawanych ugryzień.

Dwoje przyjaciół znowu wygrało, pokonało tego dnia wrogów.

Gdy Drizzt przerwał powitanie, by rozważyć wszystko, co się zdarzyło, zdał sobie sprawę, że zwycięstwo nie jest jeszcze całkowite. Guenhwyvar należała teraz do niego duszą, lecz wciąż była trzymana przez innego, który nie zasługiwał na kocicę, który uwięził panterę skazując ją na życie, którego Drizzt nie mógł już dłużej znieść.

Nie pozostały w Drizzcie żadne skotłowane myśli, które wyprowadziły go z Menzoberranzan. Pierwszy raz w swoim życiu wiedział, jaką drogą powinien pójść, ścieżką do

własnej wolności.

Przypomniaws sobie ostrzeżenia Zaknafeina oraz te same niemożliwe alternatywy, które rozważał, nie znajdując rozwiązania.

Gdzie tak naprawdę mógł iść elf drow?

- Gorzej jest być uwięzionym w kłamstwach - wyszeptał z roztargnieniem. Pantera przechyliła głowę na bok, ponownie wyczuwając, że słowa Drizzta mają wielkie znaczenie. Drizzt odwzajemnił zaciekawione spojrzenie nagłą posępnoscią.

- Zabierz mnie do swego pana - polecił. - Do swego fałszywego pana.

27

NIEZAKŁÓCONE SNY

Zaknafein zatopił się w swoim łóżku i zapadł w spokojny sen, w najwygodniejszy wypoczynek, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Przyszły do niego tej nocy sny, strumień snów. Były dalekie od zamętu, wznagały tylko wygodę. Zak był teraz wolny od swej tajemnicy, kłamstwa, które zdominowały każdy dzień jego dorosłego życia.

Drizzt przetrwał! Nawet przerażająca Akademia Menzoberranzan nie zdołała stłumić niepokornego młodego ducha i poczucia moralności. Zaknafein Do'Urden nie był już sam. Rozgrywane się w jego umyśle sny pokazywały mu te same wspaniałe możliwości, które podążały za Drizztem poza miastem.

Staną ramię przy ramieniu, niepokonani, dwóch niczym jeden przeciwko wypaczonym fundamentom Menzoberranzan.

Piekący ból w stopie wyrwał Zaka ze snu. Natychmiast zobaczył Brizę w nogach łóżka, trzymającą w dłoni swój węzowy bicz. Zak instynktownie sięgnął na bok, by chwycić miecz.

Broń zniknęła. Trzymała go Vierna, stojąc z boku pokoju. Po przeciwległej stronie Maya ścisnęła drugi miecz Zaka.

W jaki sposób weszły tak cicho? Magiczna cisza, nie ma wątpliwości, lecz Zak mimo to był zaskoczony, że nie odkrył na czas ich obecności. Nic nigdy nie zastało go pozbawionym czujności, obojętnie, czy był przytomny, czy też pogrążony we śnie.

Nigdy wcześniej nie spał tak spokojnie. Być może w Menzoberranzan takie sny były niebezpieczne.

- Opiekunka Malice zobaczy się z tobą - oznajmiła Briza.

- Nie jestem odpowiednio ubrany - odpowiedział niedbale Zak. - Mój pas i broń, jeśli pozwolicie.

- Nie pozwolimy! - warknęła Briza, bardziej na swoje siostry niż na Zaka. - Nie będziesz potrzebował broni.

Zak uważał wręcz przeciwnie.

- Chodź już - rozkazała Briza, podnosząc bicz.

- Gdybym był tobą, musiałbym być pewien zamiarów Opiekunki Malice, by zachowywać się tak śmiało - ostrzegł Zak. Briza, przypomniawszy sobie potęgę mężczyzny, któremu groziła, opuściła broń.

Zak wydostał się z łóżka, zwracając uwagę zamiennie na Yiernę i Mayę, i obserwując ich zachowanie, by stwierdzić, z jakich powodów Malice go wzywa.

Otoczyły go, gdy wyszedł z pokoju, zachowując ostrożną, lecz czujną odległość od zabójczego fehmistrza. - To musi być coś poważnego - zauważył Zak tak cicho, że tylko Briza, idąca z przodu grupy, mogła go usłyszeć. Briza odwróciła się i błysnęła do niego paskudnym uśmiechem, lecz nie uczyniła nic, by rozproszyć jego podejrzenia.

Podobnie jak Opiekunka Malice, która wyczekująco wychyliła się na swoim tronie, gdy weszli do komnaty.

- Opiekunko - odezwał się Zak, wykonując ukłon i pociągając za swą nocną koszulę, by zwrócić uwagę na nieodpowiedni ubiór. Chciał, by Malice знаła jego uczucia w kwestii bycia ośmieszonym o tak późnej porze.

Opiekunka nie odwzajemniła powitania. Oparła się na swoim tronie i potarła smukłą dłonią spiczasty podbródek, spoglądając jednocześnie na Zaknafeina.

- Może mogłabyś mi powiedzieć, dlaczego mnie wezwałaś? - ośmielił się powiedzieć Zak, a jego głos wciąż tkwił na krawędzi sarkazmu. - Wolałbym powrócić do snu. Nie powinniśmy dawać Domowi Hun'ett przewagi w postaci zmęczonego fehmistrza.

- Drizzt zniknął - warknęła Malice.

Wiadomość ta uderzyła w Zaka niczym mokra ścierka. Wyprostował się, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Opuścił dom sprzeciwiając się moim rozkazom - ciągnęła Malice. Zak rozluźnił się. Gdy Malice obwieściła, że Drizzt zniknął, Zak z początku sądził, że ona oraz jej kohorty zła wyгнаły go lub zabiły.

- Chłopak ma swobodną duszę - zauważył Zak. - Z pewnością wkrótce wróci.

- Swobodną duszę - powtórzyła Malice, a jej ton nie przydawał temu określeniu pozytywnego światła.

- Wróci - powiedział ponownie Zak. - Nie ma potrzeby ogłaszać alarmu i stosować tak ekstremalnych środków. - Zmierzył wzrokiem Brizę, choć wiedział, że matka opiekunka wezwała go na audiencję z innego powodu, niż tylko powiedzenie mu o zniknięciu Driztta.

- Drugi chłopiec sprzeciwił się matce opiekunce - zauważyła Briza, wtrącając zamierzoną wypowiedź.

- Ma swobodną duszę - powtórzył Zak, starając się, by nie zachichotać. - Pomniejsza niedyskrecja.

- Jakże często on je miewa - skomentowała Malice. - Podobnie jak inny mężczyzna o swobodnej duszy z Domu Do'Urden.

Zak znów się uklonił, biorąc jej słowa za komplement. Malice zdecydowała już o karze, jeśli w ogóle chciała go ukarać. Teraz wszystkie jego działania, na tym procesie - jeśli nim był - nie będą miały większych konsekwencji.

- Chłopiec rozgniewał Pajęczą Królową! - warknęła Malice, wyraźnie wściekła i znużona sarkazmem Zaka. - Nawet ty nie byłeś na tyle głupi, by to zrobić!

Twarz Zaka okryła ciemna chmura. Spotkanie było naprawdę poważne, a życie Drizzta mogło wisieć na włosku.

- Wiesz jednak o jego zbrodni - ciągnęła Malice, znów się uspokajając. Spodobało jej się, że Zak martwił się i bronił. Znalazła jego czuły punkt. Teraz ona się zabawi.

- Opuszczenie domu? - zaprotestował Zak. - Drobną pomyłką w osądzie. Lloth nie zajmowałaby się tak błahą sprawą.

- Nie udawaj ignoranta, Zaknafeinie. Wiesz, że elfie dziecko żyje!

Zak stracił na chwilę oddech. Malice wiedziała. A niech to wszystko, Lloth wiedziała!

- Wybieramy się na wojnę - kontynuowała spokojnie Malice. - Nie dysponujemy łaską Lloth i musimy naprawić tę sytuację. - Spojrzała prosto na Zaka. - Jesteś świadom naszych zwyczajów i wiesz, że musimy to zrobić.

Zak przytaknął, schwyty w pułapkę. Wszystko, co zrobiłby teraz, by się sprzeciwić, jedynie pogorszyłoby sytuację Drizzta, jeśli mogła być ona jeszcze gorsza.

- Drugi chłopiec musi zostać ukarany - rzekła Briza.

Zak wiedział, że to kolejna przećwiczona wstawka. Zastanawiał się, ile razy Briza i Malice ćwiczyły to spotkanie.

- A więc ja mam go ukarać? - spytał Zak. - Nie będę biczować chłopca, to nie mój obowiązek.

- Jego kara nie powinna cię obchodzić - powiedziała Malice. - A więc dlaczego zakłócasz mój sen? - zapytał Zak, starając się ochronić przed kłopotami Drizzta, bardziej dla jego dobra niż własnego.

- Sądziłam, że zechcesz wiedzieć - odpowiedziała Malice. - Ty i Drizzt staliście się dzisiaj sobie bliscy na sali gimnastycznej. Ojciec i syn.

Widziała! Malice i prawdopodobnie ta parszywa Briza obserwowały całe spotkanie! Zak opuścił głowę, gdy zdał sobie sprawę, że nieświadomie odegrał rolę w kłopotach Drizzta.

. - Elfie dziecko żyje - zaczęła powoli Malice, wypowiadając każde słowo z dramatyczną czystością. - A młody drow musi zginąć.

- Nie! - słowo to wydostało się z ust Zaka, zanim jeszcze zauważył, że mówi. Starał się znaleźć jakieś wyjście. - Drizzt jest młody. Nie rozumie...

- Wiedział dokładnie, co robi! - krzyknęła do niego Malice. - Nie żałuje swoich czynów!

Jest taki jak ty, Zaknafeinie! Za bardzo taki jak ty.

- A więc może się nauczyć - stwierdził Zak. - Nie byłem dla ciebie ciężarem, Mali...

Opiekunko Malice. Zyskałaś na mojej obecności. Drizzt jest nie mniej wyszkolony niż ja, może być dla nas cenny.

- Może być dla nas niebezpieczny - sprostowała Opiekunka Malice. - Ty i on stojący razem?

Ta myśl nie podoba mi się.

- Jego śmierć pomoże Domowi Hun'ett - ostrzegł Zak, chwytając się wszystkiego, co mógł, by zmienić zamiary opiekunki.

- Pajęcza Królowa pragnie jego śmierci - odpowiedziała stanowczo Malice. - Musi zostać prześlągana jeśli Daermon N'a'shezbaernon ma mieć jakieś szansę w walce z Domem Hun'ett.

- Błagam cię, nie zabijaj chłopca.

- Sympatia? - rzekła w zadumie Malice. - To nie pasuje do drowa wojownika, Zaknafeinie.

Czyżbyś utracił wolę walki?

- Jestem stary, Malice.

- Opiekunko Malice! - zaprotestowała Briza, lecz Zak skierował na nią tak lodowate spojrzenie, że opuściła bicz, zanim jeszcze zdołała go użyć.

- Stanę się jeszcze starszy, jeśli Drizzta spotka śmierć.

- Nie pragnę ani jednego, ani drugiego - zgodziła się Malice, lecz Zak dostrzegł jej kłamstwo. Nie obchodził jej Drizzt, ani cokolwiek innego, poza uzyskaniem łaski Pajęczej Królowej.

- Nie widzę jednak alternatywy. Drizzt rozgniewał Lloth i musi ona zostać prześlągana przed wojną.

Zak zaczął rozumieć. W tym spotkaniu wcale nie chodziło o Drizzta. - Weź mnie zamiast chłopca - powiedział.

Nikły uśmiezek Malice nie był w stanie ukryć jej udawanego zaskoczenia. To właśnie tego chciała od samego początku.

- Jesteś doświadczonym wojownikiem - spierała się opiekunka. - Twoja wartość, jak sam przyznałeś, nie może być nie doceniana. Poświęcenie cię Pajęczej Królowej zadowoliliby ją, lecz jakąż pustką pozostanie w Domu Do'Urden po twoim odejściu?

- Pustka, którą może wypełnić Drizzt - odparł Zak. Żywił sekretną nadzieję, że Drizzt, w przeciwieństwie do niego, zdoła uciec od tego wszystkiego, że znajdzie jakąś drogę, by obejść złe intrygi Opiekunki Malice.

- Jesteś tego pewien?

- Jest mi równy w walce - zapewnił ją Zak. - Stanie się jeszcze silniejszy, przekroczy wszystko, co Zaknafein kiedykolwiek osiągnął.

- Chcesz to dla niego zrobić? - spytała kpiącym tonem Malice, a w kącikach jej ust pojawiły się wywołane podnieceniem krople śliny.

- Wiesz, że tak - odparł Zak.

- Wieczny głupiec - stwierdziła Malice.

- Ku twojemu przestraszowi powiem również - kontynuował nie - zrażony Zak - że Drizzt zrobiłby to samo dla mnie.

- Jest młody - wycodziła Malice. - Zostanie lepiej nauczony.

- Jak ty mnie nauczyłaś? - burknął Zak.

Zwycięski uśmiech Malice stał się grymasem. - Ostrzegam cię, Zaknafeinie - warknęła z wzbierającą w niej wściekłością. - Jeśli zrobisz cokolwiek, co zakłóci ceremonię mającą na celu prześlągnięcie Pajęcznej Królowej, jeśli pod koniec swojego zmarnowanego życia postanowisz mnie ostatni raz rozgniewać, oddam Drizzta Brizie. Ona i jej służące do tortur zabawki oddadzą go z kolei Lloth!

Zak bez obawy trzymał głowę wysoko. - Poświęciłem się, Malice - splunął. - Zabaw się, póki możesz. W końcu Zaknafein osiągnie pokój, a Opiekunka Malice Do'Urden będzie w stanie wiecznej wojny!

Trzęsąc się z gniewu, straciwszy w tych kilku prostych słowach swą chwilę triumfu, Malice zdołała jedynie wyszeptać - Brać go!

Zak nie stawiał oporu, gdy Vierna i Maya przywiązywały go w kaplicy do ołtarza w kształcie pająka. Spoglądał głównie na Yiernę, widząc w jej cichych oczach iskrę sympatii. Ona również mogła być taka jak on, lecz możliwość ta została dawno temu pogrzebana przez niezmordowany kult Pajęcznej Królowej.

- Jesteś smutna - odezwał się do niej Zak.

Vierna wyprostowała się i pociągnęła mocno za jedno z więzów Zaka, powodując, że skrzywił się z bólu. - Szkoda - odpowiedziała tak chłodno, jak tylko była w stanie. - Dom Do'Urden musi dużo oddać, by spłacić bezmyślny czyn Drizzta. Z chęcią ujrzałabym was razem w bitwie.

- Domowi Hun'ett nie spodobałby się ten widok - odparł mrugając do niej Zak. - Nie płacz... moja córko.

Vierna uderzyła go w twarz. - Zabierz swoje kłamstwa do grobu!

- Zaprzeczaj temu, jeśli tak chcesz. - To było wszystko, co Zak postanowił powiedzieć.

Vierna i Maya odsunęły się od ołtarza. Vierna starała się utrzymać groźną minę, zaś Maya przygryzła wargę by nie wydobył się z za niej chichot, gdy do komnaty weszły Opiekunka Malice i Briza. Matka opiekunka miała na sobie swą najwspanialszą ceremonialną szatę, czarną i podobną do pajęczyny, otaczającą ją i powiewającą wokół niej jednocześnie, zaś Briza niosła święty kufer.

Zak nie zwracał na nie uwagi, gdy rozpoczęły rytuał, śpiewając do Pajęcznej Królowej, zanosząc do niej nadzieję prześlągnięcia. Zak żywił w tej chwili własne nadzieje.

- Pokonaj ich wszystkich - szeptał pod nosem. - Zrób więcej niż ja, mój synu. Żyj! Bądź w zgodzie z wołaniem serca.

Węgłe zbudziły się do życia, a pomieszczenie załśniło. Zak czuł gorąco, wiedział, że kontakt z tym mrocznym planem został osiągnięty.

- Weź tego... - usłyszał śpiew Opiekunki Malice, lecz usunął słowa z myśli i ciągnął ostatnią modlitwę swego życia.

Nad jego piersią zawisł sztylet w kształcie pająka. Malice zaciskała broń w swoich kościstych dłoniach, a jej pokryta potem skóra odbijała surrealistycznym blaskiem pomarańczowe płomienie ognia.

Surrealistyczne, niczym przejście z życia do śmierci.

28

PRAWOMOCNY WŁAŚCICIEL

Jak dużo czasu minęło? Godzina? Dwie? Masoj przemierzał odległość między dwoma stalagmitami, zaledwie kilka kroków od tuneli, w którym zniknął najpierw Drizzt, następnie Guenhwyvar. - Kocica powinna już wrócić - mamrotał czarodziej, znajdując się na skraju cierpliwości.

Chwilę później napłynęła na jego twarz ulga, gdy z tunelu, tuż za strażniczą rzeźbą, wysunęła się wielka, czarna głowa Guenhwyvar. Futro wokół pyska kocicy było mokre od świeżej krwi.

- Zrobiłaś to? - spytał Masoj, ledwo powstrzymując się przed okrzykiem szczęścia. - Drizzt Do'Urden nie żyje?

- Nie całkiem - dobiegła odpowiedź. Mimo całego swego idealizmu Drizzt musiał się przyznać do uczucia zadowolenia, gdy chmura przerażenia zgasiła ogień radości na policzkach podstępного czarodzieja.

- Co jest, Guenhwyvar? - dopytywał się Masoj. - Zrób to, co ci kazałem! Zabij go!

Guenhwyvar spojrzała na Masoja, po czym położyła się u stóp Drizzta.

- Przyznajesz się do zamachu na moje życie? - spytał Drizzt.

Masoj zmierzył odległość do przeciwnika - trzy metry. Będzie w stanie rzucić jeden czar. Może. Masoj widział ruchy Drizzta, szybkie i pewne, nie miał więc zamiaru ryzykować ataku, jeśli istniał inny sposób wyplątania się z kłopotów. Drizzt nie wyciągnął jeszcze broni, choć dłonie młodego wojownika spoczywały na rękojeściach jego śmiercionośnych ostrzy.

- Rozumiem - ciągnął spokojnie Drizzt. - Dom Hun'ett i Dom Do'Urden będą ze sobą walczyć.

- Skąd wiesz - wypalił bez zastanowienia Masoj, zbyt oszołomiony by domyślić się, że Drizzt chce go zmusić do dalszego wyznania win.

- Wiem sporo, lecz mało mnie to obchodzi - odpowiedział Drizzt. - Dom Hun'ett pragnie toczyć wojnę z moją rodziną. Nie jestem w stanie odgadnąć, z jakich powodów.

- Dla zemsty za Dom DeVir! - dobiegła odpowiedź z innej strony. Alton, stojący z boku stalagmitu, spojrział na Drizzta.

Na twarzy Masoja pojawił się uśmiech. Okoliczności tak szybko się zmieniły.

- Dom Hun'ett nie dba o Dom DeVir - szybko odrzekł Drizzt, wciąż zdumiony w obliczu nowego odkrycia. - Nauczyłem się wystarczająco wiele o zwyczajach naszego ludu, by wiedzieć, że los jednego domu nie jest przedmiotem troski innego.

- Ale jest przedmiotem mojej troski! - krzyknął Alton i ściągnął kaptur, ukazując swą potworną twarz, zniszczoną przez kwas dla dobra przebrania. - Jestem Alton DeVir, jedyny ocalały z Domu DeVir! Dom Do'Urden zginie za zbrodnie przeciwko mojej rodzinie, a zacznę od ciebie.

- Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy toczyła się bitwa - zaprotestował Drizzt.

- To nie ma znaczenia! - odezwał się Alton. - Jesteś Do'Urdenem, parszywym Do'Urdenem. Tylko to ma znaczenie.

Masoj cisnął onyksową figurkę na ziemię. - Guenhwyvar! - rozkazał. - Odejdź!

Kocica spojrzała przez ramię na Drizzta, który skinął twierdząco.

- Odejdź! - krzyknął znów Masoj. - Jestem twoim panem! Nie możesz mi się sprzeciwić!

- Nie jesteś właścicielem kocicy - powiedział spokojnie Drizzt.

- Kto więc? - wypalił Masoj. - Ty?

- Guenhwyvar - odparł Drizzt. - Tylko Guenhwyvar. Wydaje mi się, że czarodziej powinien lepiej rozumieć otaczającą go magię.

Z niskim warknięciem, które mogło być kpiącym śmiechem, Guenhwyvar przeskoczyła nad kamieniami w stronę figurki i roztopiła się w mglistą nicłość.

Kocica przeszła przez całą długość tunelu między planami, w stronę swojego domu na Planie Astralnym. Guenhwyvar zawsze wcześniej chciała odbyć tę podróż, by uciec przed występnyymi rozkazami swoich panów drowów. Tym razem jednak kocica wahała się przy każdym kroku, spoglądając przez ramię na plamę ciemności, którą było Menzoberranzan.

- Zrobimy interes? - zaproponował Drizzt.

- Nie masz odpowiedniej pozycji, by się targować - zaśmiał się Alton, wyciągając smukłą różdżkę, którą dała mu Opiekunka SiNafay.

Masoj powstrzymał go. - Zaczekaj - powiedział. - Być może Drizzt okaże się pomocny w naszej walce z Domem Do'Urden. - Spojrział młodemu wojownikowi prosto w oczy. - Czy zdradzisz swoją rodzinę?

- Nie za bardzo - zakpił Drizzt. - Jak już ci wcześniej powiedziałem, mało mnie obchodzi nadciągający konflikt. Niech Dom Hun'ett i Dom Do'Urden idą do diabła, co z pewnością zrobią! Moja troska jest natury osobistej.

- Musisz mieć coś, co możesz nam zaoferować w zamian za swoją korzyść - wyjaśnił

Masoj. - W innym razie, jaki interes chciałbyś ubić?

- Mam coś, co mogę dać wam w zamian - odpowiedział spokojnym głosem Drizzt. - Wasze życie.

Masoj i Alton popatrzyli na siebie i roześmiali się głośno, lecz w ich chichocie brzmiała nerwowa nuta.

- Daj mi figurkę., Masoju - ciągnął uparcie Drizzt. - Guenhwyvar nigdy do ciebie nie należała i nigdy już nie będzie ci służyć.

Masoj przestał się śmiać.

- W zamian - podjął wypowiedź Drizzt, zanim czarodziej zdążył odpowiedzieć - opuszczę Dom Do'Urden i nie wezmę udziału w bitwie.

- Zwłoki nie walczą - szydził Alton.

- Wezmę ze sobą innego Do'Urdena - odezwał się do niego Drizzt. - Fehmistrza. Z pewnością Dom Hun'ett uzyska przewagę jeśli Drizzt i Zaknafein...

- Cisza! - wrzasnął Masoj. - Kocica jest moja! Nie potrzebuję żadnych interesów z żalonym Do'Urdenem! Jesteś martwy, głupcze, a fehmistrz Domu Do'Urden pójdzie za tobą do grobu.

- Guenhwyvar jest wolna! - warknął Drizzt.

W dłoniach Drizzta pojawiły się sejmitary. Nigdy wcześniej nie walczył tak naprawdę z czarodziejem, nie mówiąc już o dwóch, z poprzednich spotkań pamiętał jednak wyraźnie ból wywoływany przez ich czary. Masoj zaczął już rzucać zaklęcie, większej uwagi wymagał jednak Alton, znajdujący się poza bezpośrednim zasięgiem i wyciągający smukłą różdżkę.

Zanim Drizzt zdołał określić kierunek działania, kwestia ta została rozwiązana za niego. Masoja otoczyła chmura dymu i padł na plecy, a jego czar został rozproszony.

Guenhwyvar wróciła.

Alton był poza zasięgiem Drizzta. Wojownik nie był w stanie dostać się do czarodzieja, zanim podniesie on różdżkę, lecz dla napiętych kocich mięśni Guenhwyvar odległość ta nie była wcale taka wielka. Tylne nogi przysiadły i odbiły się, posyłając panterę w powietrze.

Alton zdążył skierować różdżkę na nową nemezis i wyzwolić potężny pocisk, paląc Guenhwyvar pierś. Aby powstrzymać wściekłą panterę trzeba było jednak czegoś więcej niż jeden pocisk. Oszołomiona, lecz wciąż paląca żądzą walki Guenhwyvar uderzyła w czarodzieja bez twarzy i zrzuciła go z podstawy stalagmitu.

Błysk pocisków oszołomił również Drizzta, wciąż jednak podążał za Masojem i miał nadzieję, że Guenhwyvar przeżyła. Pobiegł wokół podstawy drugiego stalagmitu i wyłonił się tuż przed Masojem, który znów rozpoczął czarowanie. Drizzt nie zwolnił, schylił głowę i natarł na przeciwnika, trzymając przed sobą sejmitary.

Przemknął przez swego wroga - przez wizerunek swego wroga.

Drizzt uderzył ciężko w skałę i odtoczył się na bok, starając się uciec przed nadchodzącym magicznym atakiem.

Tym razem Masoj, stojąc dziesięć metrów za projekcją swego wizerunku, nie miał szans spuścić. Wyzwolili strumień magicznych pocisków energii, które nieuchronnie kierowały się w starającego się im umknąć wojownika. Uderzyły w Drizzta, wstrząsając nim, raniąc go pod skórą.

Drizzt zdołał jednak otrząsnąć się z tępego bólu i odzyskać równowagę. Wiedział już, gdzie stoi prawdziwy Masoj i nie miał zamiaru pozwolić oszustowi ponownie zniknąć z pola widzenia.

Ze sztyletem w dłoni Masoj obserwował zbliżającego się Drizzta.

Drizzt nie rozumiał. Dlaczego czarodziej nie przygotowywał następnego czaru? Upadek ponownie otworzył Drizztowi ranę w ramieniu, a magiczne pociski rozdarły mu bok i nogi. Obrażenia nie były jednak poważne i Masoj nie miał szans pokonania go w fizycznej walce.

Trzymając twarz na twardym kamieniu, Alton czuł ciepło swojej własnej krwi płynącej swobodnie pomiędzy stopionymi otworami, które kiedyś były jego oczyma. Kocica znajdowała się wyżej od niego, na zboczu stalagmitu, nie otrząsnąwszy się jeszcze w pełni z błyskawicy.

Alton zmusił się, by powstać i uniósł różdżkę do drugiego ataku... lecz ona złamała mu się na pół.

Alton szaleńczo podniósł drugą połówkę i trzymał ją przed niedowierzającymi oczyma. Guenhwyvar znów się zbliżała, lecz Alton tego nie zauważał.

Płonące końce różdżki, moc zawarta w magicznym przedmiocie, uwięziła go. - Nie możesz tego zrobić - wyszeptał w proteście Alton.

Guenhwyvar skoczyła akurat, gdy wybuchła złamana różdżka.

W noc Menzoberranzan wzbijała się kula ognia, odłamując od ścian i stropu zwietrzałe kawałki skał i strącając Drizzta oraz Masoja z nóg.

- Teraz Guenhwyvar nie należy do nikogo - szydził Masoj, ciskając figurkę na ziemię.

- Nie pozostał żaden DeVir, który mógłby pragnąć zemsty na Domu Do'Urden - odwarknął Drizzt, którego desperacja utrzymywana była dzięki gniewowi. Masoj stał się miejscem skupienia tego gniewu, zaś kpiący śmiech czarodzieja spowodował, że Drizzt natarł na niego z furją.

Zaraz gdy Drizzt się zbliżył, Masoj strzelił palcami i zniknął.

- Niewidzialny - ryknął Drizzt, zamachując się bezowocnie na puste powietrze przed sobą. Jego wysiłki osłabiły ślepy szal i zdał sobie sprawę, że Masoj nie stoi już przed nim. Jakże głupi musiał się teraz wydawać czarodziejowi. Jakże narażony na ciosy!

Drizzt schylił się, by móc nasłuchiwać. Z wysoka, ze ściany jaskini usłyszał odległy śpiew. Instynkty Drizzta powiedziały mu, by rzucić się w bok, jednak świeża wiedza o czarodziejach mówiła, że Masoj spodziewałby się takiego ruchu. Drizzt zamarkował ruch w lewo i usłyszał kulminacyjne słowa budowanego czaru. Gdy błyskawica uderzyła w skałę z boku, Drizzt pobiegł naprzód, mając nadzieję, że wzrok wróci mu wystarczająco szybko, by mógł się dostać do

czarodzieja.

- Niech cię! - krzyknął Masoj, zauważając zwód zaraz po tym, jak błędnie wystrzelił. W następnej chwili wściekłość stała się przerażeniem, gdy Masoj zauważył Drizzta, biegnącego po skale, przeskakującego pomiędzy kamieniami i przemykającego po zboczach stalagmitów z gracją polującego kota.

Masoj przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu składników do następnego czaru. Był ponad pięć metrów od podłogi jaskini, na wąskiej półce skalnej, lecz Drizzt poruszał się szybko, niewiarygodnie szybko!

Drizzt nie rejestrował w świadomych myślach ziemi znajdującej się pod nim. Gdyby był w bardziej racjonalnym stanie, ściana wydawałaby mu się niemożliwa do wspinaczki, teraz jednak się tym nie przejmował. Stracił Guenhwyvar. Guenhwyvar odeszła.

Spowodował to niegodziwy czarodziej tkwiący na półce skalnej, to ucieleśnienie demonicznego zła. Drizzt skoczył na ścianę, uwolnił jedną rękę - musiał odrzucić jeden z sejmitarów - i chwycił się silnie. Było to za mało dla racjonalnego drowa, lecz umysł Drizzta zignorował protesty mięśni w napiętych palcach. Musiał przejść tylko trzy metry.

Uderzyła w niego kolejna fala pocisków energii, uderzając szybkim rytmem o jego głowę.

- Jak wiele czarów ci pozostało, czarodzieju? - usłyszał swój wyzywający krzyk, gdy przemógł ból.

Masoj cofnął się, gdy palące światło lawendowych oczu Drizzta padło na niego niczym zapowiedź zagłady. Wiele razy widział Drizzta w walce, a widok młodego wojownika nawiedzał go przez cały czas planowania zabójstwa.

Masoj nigdy jednak nie widział wściekłego Drizzta. Gdyby tak było, nigdy nie zgodziłby się, że go zabije. Gdyby tak było, powiedziała by Opiekunce SiNafay, by usiadła sobie na stalagmicie.

Jaki czar miał być następny? Jaki czar mógł powstrzymać potwora, którym był Drizzt Do'Urden?

Dłoń, płonąca gorącem gniewu, chwyciła się krawędzi półki. Masoj stanął na niej obcasem buta. Palce były złamane - czarodziej wiedział, że palce były złamane - lecz Drizzt, w niewiarygodny sposób znalazł się przy nim i wbił sejmitar pomiędzy zębra czarodzieja.

- Palce są złamane! - wydyszał w proteście umierający mag. Drizzt spojrzał na dłoń i dopiero teraz zdał sobie sprawę z bólu.

- Być może - powiedział z roztargnieniem. - Lecz się zrosną.

* * *

Kulejąc Drizzt znalazł drugi sejmitar i ostrożnie przedzierał się przez gruzowisko pod kopcem jednego ze stalagmitów. Walcząc w złamanym sercu ze strachem, zmusił się, by spojrzeć na miejsce zniszczenia. Tylna część kopca płonęła niesamowicie nieprzerwanym ciepłem, niczym

latarnia dla budzącego się miasta.

Tyle zostało zrobione, by zachować ciszę.

Na dnie leżały rozrzucone szczątki Altona DeVir, obok dymiących szat czarodzieja. - Czy odnalazłeś spokój, Pozbawiony Twarzy? - wyszeptał Drizzt wyrzucając z siebie resztki gniewu. Pamiętał atak, jaki Alton przypuścił na niego tyle lat temu w Akademii. Mistrz bez twarzy oraz Masoj wyjaśnili to jako próbę dla rozwijającego się wojownika.

- Od jak dawna nosiłeś swoją nienawiść? - mruknął Drizzt do porzrzucanych strzępów zwłok.

Nie Altonem DeVir przejmował się jednak w tej chwili. Rozejrzył się po pozostałej części pobojuwiska, szukając jakiegoś wyjaśnienia losu Guenhwyvar, nie będąc pewny, jak magiczne stworzenie radzi sobie podczas takiej katastrofy. Nie pozostało żadnego śladu po kocicy, nic, co mogłoby nawet tylko zasygnalizować, że Guenhwyvar tam była.

Drizzt uprzytomnił sobie, że nie ma nadziei, jednak oczekiwanie i niepokój w krokach kpiły z jego stanowczego wyrazu twarzy. Pobiegł w dół kopca i wokół drugiego stalagmitu, gdzie on i Masoj znajdowali się, kiedy eksplodowała różdżka. Natychmiast zauważył onyksową figurkę.

Podniósł ją delikatnie. Była ciepła, jakby również ją objął wybuch, a Drizzt wyczuwał, że jej magia zniknęła. Drizzt chciał wezwać kocicę, nie śmiał jednak tego zrobić, wiedząc, że podróż pomiędzy planami wyczerpywała Guenhwyvar. Drizzt uznał, że jeśli kocica jest ranna, lepiej dać jej trochę czasu, by wydobrzała.

- Och Guenhwyvar - jęknął. - Moja przyjaciółko, moja odważna przyjaciółko. - Wrzucił figurkę do kieszeni.

Mógł tylko żywić nadzieję, że Guenhwyvar przetrwała.

29

SAMOTNI

Drizzt znów obszedł stalagmit, wracając do ciała Masoja. Nie miał .W. wyboru, musiał zabić swego przeciwnika - ponieważ to Masoj wytyczył linię frontu.

Fakt ten niewiele znaczył. Zabił innego drowa, odebrał życie jednemu ze swego ludu. Czy był uwięziony, podobnie jak Zaknafein przez tak wiele lat, w niekończącym się kręgu przemocy?

- Nigdy więcej - Drizzt przysięgł nad zwłokami. - Nigdy więcej nie zabiję elfa drowa.

Odwrócił się zdegustowany od cichych, spokojnych stalagmitów w stronę rozległego miasta drowów i zdał sobie sprawę, że jeśli będzie chciał dotrzymać tej przysięgi, nie przeżyje długo w Menzoberranzan.

Gdy Drizzt przedzierał się krętymi uliczkami Menzoberranzan, w jego głowie kłębiły się tysiące możliwości. Odepchnął te myśli na bok, powstrzymał je przed przytępieniem jego czujności. W Narbondel było światło. Zaczynał się dzień drowów i w każdym zakątku miasta

budziła się aktywność. W świecie mieszkańców powierzchni dzień był bezpieczniejszą porą, ponieważ światło ujawniało zabójców. W wiecznych ciemnościach Menzoberranzan dzień mrocznych elfów był jeszcze bardziej niebezpieczny niż noc.

Drizzt starannie dobierał drogę, idąc daleko od ogrodzenia grzybów otaczającego najszlachetniejsze domy, do którego należał Dom Hun'ett. Nie spotkał więcej przeciwników i niedługo później dotarł do bezpiecznej budowli Do'Urden. Przeszedł przez bramę obok zaskoczonych żołnierzy bez słowa wyjaśnienia, po czym odepchnął na bok strażników pod tarasem.

Dom był dziwnie cichy. Drizzt oczekiwał, że wszyscy będą na nogach szykując się do nadciągającej bitwy. Nie poświęcił niesamowitej ciszy więcej uwagi i ruszył prostą drogą prowadzącą do sali treningowej i prywatnych komnat Zaknafeina.

Drizzt przystanął za kamiennymi drzwiami sali, zaciskając dłoń kurczowo na klamce wrót. Co zaproponuje ojcu? Że opuszczą miasto? On i Zaknafein na niebezpiecznych szlakach Podmroku, walczący tylko wtedy, gdy są do tego zmuszani i uciekający przed ciężarem winy związanej z życiem pod panowaniem drowów? Drizztowi spodobała się ta myśl, jednak teraz, gdy stał przed drzwiami, nie był już taki pewien, czy zdoła przekonać Zaka do obrania takiej drogi. Zak mógł opuścić miasto wcześniej, w dowolnym czasie swoich stuleci życia, gdy jednak Drizzt spytał go, dlaczego został, z twarzy fehmistrza odpłynęło ciepło. Czy rzeczywiście byli uwięzieni w życiu proponowanym im przez Opiekunkę Malice i jej kohorty zła?

Drizzt skrzywił się na te myśli. Nie było sensu spierać się ze sobą, gdy Zak był tylko kilka kroków dalej.

Sala gimnastyczna była równie cicha, jak reszta domu. Zbyt cicha. Drizzt nie spodziewał się, że Zak tu będzie, brakowało tu jednak czegoś więcej poza jego ojcem. Zniknęła również obecność Zaka.

Drizzt wiedział, że coś jest nie w porządku i z każdym krokiem dzielącym go od prywatnych drzwi Zaka przyspieszał, dopóki nie znalazł się w pełnym biegu. Wpadł bez pukania i nie zdziwił się zastając puste łóżko.

- Malice musiała go wysłać, by mnie szukał - stwierdził Drizzt. - Niech to, sprowadziłem na niego kłopoty! - Odwrócił się do wyjścia, lecz coś zwróciło jego uwagę i zatrzymało w pokoju - pas Zaka.

Fehmistrz nigdy nie opuszczał swojego pokoju bez broni, nawet gdy znajdował się w bezpiecznym wnętrzu Domu Do'Urden. Broń jest twoim najbardziej zaufanym towarzyszem - powtarzał tysiąc razy Zakowi. Trzymaj ją zawsze przy swoim boku!

- Dom Hun'ett? - wyszeptał Drizzt, zastanawiając się, czy wrogi dom zaatakował za pomocą magii tej nocy, gdy on walczył z Altonem i Masojem. Budynek był jednak spokojny, żołnierze z pewnością wiedzieliby, gdyby coś takiego miało miejsce.

Drizzt podniósł pas, by mu się przyjrzeć. Ani śladu krwi, a klamra była odpięta. Nie zdarł

go z Zaka żaden wróg. Sakwa fehmistrza również leżała obok, nietknięta.

- Cóż więc? - spytał głośno Drizzt. - Położył pas z powrotem przy łóżku, sakiewkę zawiesił jednak na szyi, po czym odwrócił się, nie wiedząc, gdzie iść teraz.

Zanim jeszcze przeszedł przez drzwi, zdał sobie sprawę, że musi zobaczyć się z resztą rodziny. Może wtedy zagadka Zaka się wyjaśni.

Przerażenie narastało, gdy Drizzt spieszył długim, udekorowanym korytarzem do przedsionka kaplicy. Czy Malice lub któraś z nich zrobiła coś Zakowi? Z jakiego powodu? Myśl ta wydawała się Drizztowi nielogiczna, drażniła go jednak na każdym kroku. Czyżby jakiś ostrzegawczy szósty zmysł?

Wciąż nie było nikogo widać.

Gdy Drizzt uniósł dłoń, by zapukać w ozdobne drzwi do przedsionka, otworzyły się przed nim, magicznie i bezgłośnie. Najpierw ujrzał matkę, siedzącą z zadowoloną z siebie miną na tronie w przeciwległej części pomieszczenia, z zapraszającym uśmiechem.

Niepokój Drizzta nie zmniejszył się, gdy wszedł. Była tu cała rodzina: Briza, Vierna i Maya po bokach opiekunki, zaś Rizen i Dinin pod lewą ścianą. Cała rodzina. Oprócz Zaka.

Opiekunka Malice spojrzała badawczo na swego syna, zauważając jego liczne rany. - Poleciałam ci, abyś nie opuszczał domu - powiedziała do Drizzta, nie ganiać go. - Gdzie zaniósł cię podróż?

- Gdzie jest Zaknafein? - spytał w odpowiedzi Drizzt.

- Odpowiedz matce opiekunce! - wrzasnęła na niego Briza, której wężowy bicz był doskonale widoczny zza pasa.

Drizzt zmierzył ją wzrokiem i cofnęła się, czując ten sam chłód, którym wcześniej tej nocy potraktował ją Zaknafein.

- Poleciałam ci, abyś nie opuszczał domu - powiedziała znów Malice, wciąż zachowując spokój. - Dlaczego mi się sprzeciwiłeś?

- Miałem sprawy do załatwienia - odpowiedział Drizzt. - Naglące sprawy. Nie chciałem cię nimi martwić.

- Wojna na nas nadciąga, synu - wyjaśniła Opiekunka Malice. - Narażasz się, chodząc sam po mieście. Dom Do'Urden nie może sobie teraz pozwolić na twoją stratę.

- Musiałem sam załatwić swoje sprawy - odparł Drizzt.

- Czy już to zrobiłeś? - Tak.

- Ufam więc, że już mi się nie sprzeciwisz. - Słowa były spokojne i pewne, Drizzt zauważył jednak powagę kryjącej się za nimi groźby.

- Zajmijmy się więc innymi sprawami - ciągnęła Malice.

- Gdzie jest Zaknafein? - Ośmielił się ponowić pytanie Drizzt. Briza mruknęła pod nosem jakieś przekleństwo i wyciągnęła zza pasa bicz. Opiekunka Malice wyciągnęła w jej stronę rękę, by

ją powstrzymać. Aby uzyskać w tej krytycznej chwili kontrolę nad Drizztem, potrzebowały taktu, nie brutalności. Zaistnieją liczne okazje do kary, gdy Dom Hun'ett zostanie już pokonany.

- Nie martw się losem fechmistrza - odparła Malice. - Pracuje dla dobra Domu Do'Urden, nawet gdy teraz rozmawiamy, na osobistej misji.

Drizzt nie wierzył w żadne słowo. Zak nigdy nie wyszedłby bez broni.

- Musimy się martwić Domem Hun'ett - ciągnęła Malice, zwracając się do wszystkich. - Tego dnia mogą paść pierwsze uderzenia wojny.

- Pierwsze uderzenia już padły - wtrącił się Drizzt. Wszystkie oczy padły na niego, na jego rany. Chciał kontynuować dyskusję o Zaku, wiedział jednak, że może tym tylko wpędzić siebie i Zaka, jeśli wciąż żył, w większe kłopoty. Być może rozmowa da mu więcej wskazówek.

- Walczyłeś? - spytała Malice.

- Znasz Pozbawionego Twarzy? - spytał Drizzt.

- Mistrz Akademii - odpowiedział Dinin. - Z Sorcere. Często się z nim kontaktujemy.

- Przydawał się w przeszłości - powiedziała Malice. - Przypuszczam jednak, że już nic z tego. To Hun'ett. Gelroos Hun'ett.

- Nie - odparł Drizzt. - Może kiedyś, ale teraz nazywa się Alton DeVir... nazywał się.

- Ogniu! - krzyknął Dinin, nagle rozumiejąc. - Gelroos miał zabić Altona w noc upadku Domu Do'Urden!

- Wygląda na to, że Alton DeVir okazał się silniejszy - rzekła w zadumie Malice i wszystko stało się dla niej jasne. - Opiekunka SiNafay przejęła go i wykorzystała dla własnej korzyści - wyjaśniła rodzinie. Znow spojrzała na Drizzta. - Walczyłeś z nim?

- Nie żyje - odpowiedział Drizzt. Opiekunka Malice zarechotała radośnie.

- Jeden czarodziej mniej - zauważyła Briza, chowając bicz za pas.

- Dwóch - poprawił Drizzt, choć w jego głosie nie było zadowolenia. Nie był dumny ze swoich czynów. - Nie ma już Masoja Hun'ett.

- Mój synu! - krzyknęła Opiekunka Malice. - Daeś nam wielką przewagę w wojnie! - Rozejrzała się po rodzinie, zarażając ich, a nawet Drizzta, swym podnieceniem. - Dom Hun'ett może teraz nas wcale nie zaatakować, wiedząc o braku przewagi. Nie pozwolimy, aby im to uszło! Zniszczymy ich dzisiaj i staniemy się Ósmym Domem Menzoberranzan! Zguba dla wrogów Daermon N'a'shezbaernon!

- Musimy natychmiast wyruszyć, moja rodzinno - stwierdziła Malice, pocierając w podnieceniu dłońmi. - Nie możemy czekać na atak. Sami musimy podjąć ofensywę! Alton DeVir już nie żyje, więc zniknęło ogniwo usprawiedliwiające wojnę. Z pewnością rada rządząca zna zamiary Hun'ett, zaś gdy obydwaj jego czarodzieje nie żyją i stracony został element zaskoczenia, Opiekunka SiNafay będzie się szybko starać zakończyć walkę.

Gdy pozostali przyłączyli się do snującej intrygi Malice, ręka Drizzta podświadomie

wsunęła się do sakiewki Zaka.

- Gdzie jest Zak? - spytał znów Drizzt, wznosząc się nad zgiełk. Cisza zapadła równie szybko, jak rozpoczął się harmider.

- Nie powinienes się o niego martwić, mój synu - powiedziała do niego Malice, wciąż zachowując takt pomimo bezczelności Drizzta. - Jesteś teraz fechmistrem Domu Do'Urden. Lloth wybaczyła ci nieposłuszeństwo i nie ciąży na tobie żadne przewinienia. Możesz zacząć od nowa swoją karierę, wznosząc się na wyżyny chwały!

Jej słowa zraniły Drizzta równie silnie, jak mógłby to zrobić jego własny sejmitar. - Zabiłś go - wyszeptał, prawda była zbyt straszna, by móc ją zachować w myślach.

Twarz opiekunki zapłonęła nagle gorąca z wściekłości. - Ty go zabiłś! - wypaliła w stronę Drizzta. - Twoje nieposłuszeństwo wymagało odkupienia dla Pajęczej Królowej!

Język Drizzta zaplątał mu się w ustach.

- Ale ty żyjesz - ciągnęła Malice, wyciągając się na swoim fotelu. - Podobnie jak elfie dziecko.

Dinin nie był jedynym w komnacie, który głośno chwycił powietrze.

- Tak, wiemy o twojej zdradzie - szydziła Malice. - Pajęcza Królowa zawsze wie. Żądała odkupienia.

- Poświęciłaś Zaknafeina? - wydyszał Drizzt, ledwo będąc w stanie wypowiadać słowa. - Dałaś go tej przeklętej Pajęczej Królowej?

- Na twoim miejscu baczyłabym, w jaki sposób mówię o Królowej Lloth - ostrzegła Malice. - Zapomnij o Zaknafeinie, to nie twoja sprawa. Spójrz na własne życie, mój wojowniczy synu. Jest ci ofiarowana chwała, honorowa pozycja!

Drizzt rzeczywiście spoglądał w tej chwili na swoje życie, na zaproponowaną ścieżkę, która oferowała mu życie pełne walki, życie pełne zabijania drowów.

. - Nie masz wyboru - powiedziała do niego Malice, dostrzegając wewnętrzną walkę. - Proponuję ci nowe życie. W zamian musisz robić to, co rozkażę, jak kiedyś robił Zaknafein.

- Dotrzymałaś z nim umowy - wycedził sarkastycznie Drizzt.

- Zrobiłam to! - zaprotestowała Opiekunka Malice. - Zaknafein dobrowolnie poszedł do ołtarza, dla twojego dobra!

Jej słowa zabolaty Drizzta tylko przez chwilę. Nie przyjmie na siebie winy za śmierć Zaknafeina! Podążał jedyną ścieżką, którą mógł, na powierzchni przeciwko elfom i tutaj, w tym przesiąkniętym złem mieście.

- Moja oferta jest dobra - rzekła Malice. - Daję ci ją tutaj, w obliczu całej rodziny. Obydwoje skorzystamy na tym układzie... Fechmistru?

Gdy Drizzt spojrział w chłodne oczy Opiekunki Malice, na jego twarzy wykwitł uśmiech, który Malice wzięła za zgodę.

- Zbrojmistrz? - powtórzył Drizzt. - Nie sądzę.

Malice znowu nie zrozumiała. - Widziałam cię w walce - spierała się. - Dwóch czarodziejów! Nie doceniasz się.

Drizzt niemal roześmiał się nad ironią jej słów. Pomyślała, że upadnie on tam, gdzie Zaknafein, wpadnie w pułapkę, w którą wpadł poprzedni fechmistrz, aby nigdy się z niej nie wydostać. - To ty mnie nie doceniasz, Malice - powiedział Drizzt niebezpiecznie spokojnie.

- Opiekunko! - zagrzmiała Briza, lecz wstrzymała się, widząc, że Drizzt i pozostali ją zignorowali.

- Prosisz mnie, abym służył twym złym planom, które... - ciągnął Drizzt. Wiedział, że wszyscy z nich nerwowo przebiegają palcami po broni lub przygotowują czary, czekając na chwilę, by uderzyć w wypowiadającego bluźnierstwa głupca, lecz nie dbał o to. Wspomnienia z dzieciństwa związane z bólem wywoływanym przez węzowe bicz przypomniły mu o karze za jego czyny. Drizzt zacisnął palce na okrągłym przedmiocie, dodając sobie odwagi, choć i tak kontynuowałby wypowiedź - są kłamstwem, podobnie jak nasz... nie, wasz lud jest kłamstwem!

- Twoja skóra jest równie ciemna, jak moja - przypomniła mu Malice. - Jesteś drowem, choć nigdy nie nauczyłeś się, co to oznacza!

- Och, wiem, co to oznacza.

- Postępuj więc zgodnie z zasadami! - rozkazała Opiekunka Malice.

- Waszymi zasadami? - odwarknął Drizzt. - Ale wasze zasady również są przeklętym kłamstwem, równie wielkim kłamstwem, jak ten parszywy pająk, którego uważacie za bóstwo!

- Bezczelny łajdak! - krzyknęła Briza, podnosząc swój węzowy bicz.

Drizzt uderzył pierwszy. Wyciągnął z sakiewki Zaknafeina przedmiot, małą ceramiczną kulkę.

- Niech prawdziwy bóg was wszystkich przeklnie! - krzyknął rzucając kulkę na kamienną podłogę. Zacisnął oczy, gdy znajdujące się we wnętrzu kulki kamyczki, zaklęte potężnym, emanującym światłem dweomerem wybuchły w pomieszczeniu, oddziałując na czułe oczy jego krewniaków. - I niech przeklnie również Pajęczą Królową!

Malice zachwiała się, spadając z wielkiego tronu prosto na twarde kamień. Z każdego kąta pomieszczenia dobiegły krzyki bólu i wściekłości, gdy nagłe światło zalało oszołomione drowy. W końcu Vierna zdołała rzucić kontrujący czar i przywrócić komnatę do jej zwyczajowego mroku.

- Złapcie go! - zagrzmiała Malice, wciąż starając się otrząsnąć po bolesnym upadku. - Chcę widzieć go martwym!

Pozostali wstali szybko i ruszyli wykonać jej rozkaz, ale Drizzt był już poza domem.

* * *

Nadeszło wezwanie, niesione bezgłośnym wiatrem Planu Astralnego. Istota pantery wstała ignorując ból i usłyszała głos, znajomy, przyjemny głos.

Kocica zerwała się, całe serce i siły wkładając w to, by odpowiedzieć na wezwanie swego nowego pana.

* * *

Niedługo później Drizzt wyczołgał się z małego tunelu, z Guenhwyvar przy boku, i przeszedł przez podwórze Akademii, by ostatni raz spojrzeć na Menzoberranzan.

- Cóż to za miejsce, które nazywam domem? - Drizzt spytał cicho kocicę. - To jest mój lud, przypominam ich kolorem skóry i pochodzeniem, lecz nie jestem z nimi spokrewniony. Są zgubieni i zawsze będą. Ilu jest takich jak ja, zastanawiam się - wyszeptał Drizzt, rzucając ostatnie spojrzenie. - Skazane na zagładę dusze... jak Zaknafein... biedny Zak. Zrobię to dla niego, Guenhwyvar. Odejdę, choć on nie mógł. Moje życie było lekcją, mrocznym zwojem zapisanym przez złe obietnice Opiekunki Malice. - Żegnaj, Zaku! - krzyknął, wznosząc głos w ostatnim buncie. - Mój ojciec. Miej ufność, jak i jaja mam, że gdy znów się spotkamy w życiu, które nastąpi po tym, nie będzie nim ogień piekielny, który zmuszeni są znosić nasi pobratymcy!

Drizzt wskazał kocicy wejście do tunelu, do nie ujarzmionego Podmroku. Obserwując swobodne ruchy kocicy Drizzt znów zdał sobie sprawę, jakie miał szczęście znajdując towarzyszkę o podobnej duszy, prawdziwą przyjaciółkę. Poza strzeżonymi granicami Menzoberranzan droga jego i Guenhwyvar nie będzie prosta. Będą pozbawieni ochrony i samotni - choć, według szacunków Drizzta, będzie im lepiej, niż kiedykolwiek mogło im być wśród niegodziwości drowów.

Drizzt wszedł za Guenhwyvar do tunelu, pozostawiając za sobą Menzoberranzan.

POSŁOWIE

R.A. Salvatore o Ojczyźnie

Ojczyzna to pierwsza powieść o Drizzcie, jeśli ułożyć je w porządku chronologicznym, ale to dopiero twoja czwarta powieść ze świata Zapomnianych Krainach, w której Drizzt występuje. Dlaczego postanowiłeś cofnąć się w przeszłość i napisać prequel do trylogii Doliny Lodowego Wichru?

Szczerze mówiąc, nie od razu podjąłem taką decyzję. Miałem zamiar zakończyć Klejnot Halflinga tuż przed odbiciem Mithrilowej Hali. Jednak w TSR byli zdania, że co za dużo, to niezdrowo i poprosili, żebym jakoś to skrócił (stąd epilog, w którym opisuję odbicie kopalni).

Wkrótce potem zadzwoniła do mnie Mary Kirchoff, wówczas starszy redaktor, o ile się nie mylę, z wiadomością, że wiele osób jest zainteresowanych pochodzeniem Drizzta. Nie wiem, czy to wyszło z maili, czy z wewnętrznej dyskusji redakcyjnej, ale redaktorzy uznali, że dobrze by było, gdybym się cofnął w czasie i opowiedział historię Drizzta, a jednocześnie dookreślił pozycję mrocznych elfów w świecie Zapomnianych Krain. Wciąż pamiętam rozmowę, w której Mary poprosiła mnie o napisanie trzech kolejnych książek - do tej pory pisząc każdą następną książkę

spodziewałem się, że to będzie już ta ostatnia. Spłynęła na mnie wielka ulga, ponieważ właśnie zrezygnowałem, albo miałem zrezygnować z posady i przerzucić się na pełnoetatowe pisanie, a miałem w domu trójkę małych dzieci. Pamiętam, jak wychodząc po raz ostatni z biura myślałem: „Super, teraz nie mam już ubezpieczenia zdrowotnego.”

Ale wierzyłem w bandę z Doliny Lodowego Wichru, a zwłaszcza w Drizzta, choć byłem rozczarowany, że muszę jakoś zakończyć wątek Mithrilowej Hali, rezygnując z napisania kolejnego tomu.

Ten telefon podtrzymał we mnie tę wiarę. Ale i śmiertelnie mnie przeraził, ponieważ uważałem drowy z jeden z najlepszych pomysłów twórców D&D. Kiedy pracujesz z czymś pomysłem, nie chcesz tego kogoś zawieść. Dotyczyło to zarówno pracy z Zapomnianymi Krainami Eda Greenwooda, jak i pracy z mrocznymi elfami Gary'ego Gygaxa.

W Ojczyźnie powołałeś do życia podziemne społeczeństwo drowów i miasto Menzoberranzan. Z czego czerpałeś inspirację, tworząc drowią cywilizację?

Z Ojca chrzestnego Mario Puzo. Naprawdę. Zależało mi na twardym i silnym społeczeństwie, które przetrwało dzięki inteligencji i bezwzględności swoich członków. Oczywiście powinniśmy zmienić tytuł na Matkę chrzestną, kiedy mówimy o drowach.

Tym, co napędza społeczeństwo drowów, jest polityka. Wszystko jest wykalkulowane, wszystko mówi się z jakiegoś powodu, który jest ukryty pod siecią innych ewentualnych powodów. Kiedy pokazywałem sposób funkcjonowania tego społeczeństwa, musiałem się nieustannie cofać i szukać głębszych warstw, finty w fincie, coraz głębiej i głębiej, aż dochodziłem do punktu, kiedy sam nie byłem już pewny, dlaczego któraś matka opiekunka coś powiedziała, albo zrobiła. Pisanie o drowach jest w gruncie rzeczy bardzo wyczerpujące - wymusza myślenie o tej samonakręcającej się spirali intryg, aż w końcu jesteś gotów obrócić się na pięcie, żeby sprawdzić, czy za plecami nie stoi ci Jarlaxle.

W jaki sposób przygotowywałeś się do napisania Ojczyzny, aby ożywić Podmrok? Czy studiowałeś jaskinie, sztuki walki, historię?

Wszystkie te trzy dziedziny, które wykorzystuję we wszystkich moich książkach. Uwielbiam jaskinie, uważam, że są fascynujące. Przy wadze ponad 90 kilo nie jestem stworzony do czołgania się przez ciasne tunele, ale uwielbiam siedzieć w IMAXIE i oglądać filmy tych śmiałków, którzy zstępują w głąb ziemi.

Jeśli chodzi o historię, to kiedy zmieniłem na studiach przedmiot kierunkowy na komunikację/dziennikarstwo, wybrałem tylko kursy związane z literaturą, przy czym najbardziej interesowały mnie te o wiekach średnich, m.in. Szekspir i Chaucer. Starłem się też wybierać kursy historii, które korespondowały z tymi epokami (nie, nie po to, żeby móc oddawać te same prace semestralne na dwóch seminariach!).

A co ze sztukami walki? Cóż, gram w hokeja - może dlatego wybieram zakrzywione ostrza.

Boksowałem się trochę w szkole średniej - w szkolnym klubie, nic oficjalnego, pracowałem też kilka lat jako wykidajło w miejscowych klubach nocnych. Byłem też wielkim fanem boksu - uwielbiam walki Aliego z Frazierem. Przez te wszystkie lata nauczyłem się, że w walce to, gdzie trzymasz ręce, nie jest nawet w połowie tak ważne, jak to, gdzie są twoje stopy. Równowaga jest wszystkim. Decyduje o sile ciosu albo cięcia. Decyduje o zdolności uchylania się, przynajmniej częściowo, przed pociskami.

Ojczyzna była pierwszą powieścią o mrocznym elfie, do której włączyłeś fragmenty dziennika Drizzta. Dlaczego postanowiłeś to zrobić i jak się czujesz pisząc z punktu widzenia Drizzta?

Celem Trylogii Mrocznego Elfa było opowiedzenie historii Drizzta, więc natychmiast wpadłem na pomysł napisania tych książek w pierwszej osobie. Przychodzą mi w tej chwili do głowy Kroniki Amberu Rogera Zeleznego; myślę, że to najlepszy przykład pisania z perspektywy głównego bohatera w tym gatunku. Ale szybko uświadomiłem sobie, że pisanie w pierwszej osobie byłoby dla mnie zbyt trudne. Jedną z mocnych stron mojego pisarstwa, sądząc po opiniach czytelników, jakie wtedy do mnie docierały, są szalone sceny bitewne. Trudno byłoby mi pisać je w pierwszej osobie; skąd Drizzt miałby wiedzieć, co się dzieje za jego plecami, kiedy sam walczy?

Dlatego zrezygnowałem z tego pomysłu, ale nadal chciałem wejść w emocje tej postaci głębiej, niż pozwalało na to pisanie w trzeciej osobie. Stąd wzięły się eseje. Mówiłem to już kiedyś i powtórzę znowu: nie czytajcie ich tak, jak gdyby Drizzt zwracał się do was, pouczał was. Nie robi tego. Te eseje to zapiski z jego dziennika, gdzie odkrywa się zupełnie, usiłując dojść do ładu ze swoimi niełatwymi uczuciami i, tak tak, wadami. Pisałem je nadal - a nawet umieściłem je w wydaniu kolekcjonerskim Doliny Lodowego Wichru - ponieważ się sprawdziły.

Jak dużą część Trylogii Mrocznego Elfa (Ojczyzna, Wygnanie i Nowy Dom) miałeś już obmyśloną, kiedy usiadłeś do pisania Ojczyzny!

Niewielką. Konstruuje fabułę pojedynczej książki, a potem podczas pisania zazwyczaj całkowicie ją zmieniam. Nie mogę powiedzieć, że pisząc idę na żywioł, ale przez większość czasu nie wiem, co się dalej wydarzy. I nie chcę wiedzieć. Właśnie to sprawia mi taką frajdę; piszę w sposób, który zaskakuje mnie samego. Staram się pisać książkę tak, jak czytają czytelnik. Nie wiedziałem na przykład, jaką rolę odegra Zaknafein, choć wiedziałem, że od początku będzie dla młodego Drizzta kimś w rodzaju mentora. Kiedy zaczynałem, nie miałem pojęcia, co się wydarzy w Wygnaniu i w Nowym Domu, ale wiedziałem, że Drizzt wyląduje w Dolinie Lodowego Wichru z Bruenorem i Cattiebrie.

Czy postać Drizzta jest oparta albo wzorowana na jakiejś rzeczywistej osobie?

Nie bardzo. Żadna z moich postaci nie powstała w ten sposób, z wyjątkiem Cadderly'ego (który jest wzorowany na pewnym błyskotliwym nieuku, którego znałem w ogólniaku) i kilku

nikczemników (dawni szefowie), którzy zginęli paskudną śmiercią. Myślę, że Drizzt naprawdę jest kimś, kim ja chciałbym mieć odwagę być. Jego eseje traktuję jako coś bardzo osobistego - czasem czuję się tak, jak gdybym przelewał na papier moje własne przemyślenia na konkretny temat. Muszę się cały czas przed tym powstrzymywać, bo są to przemyślenia osoby o ogromnym bagażu emocjonalnym, z jakim ja nigdy nie musiałem sobie radzić! I bardzo często zdarza się, że nie zgadzam się z Drizztem, ale i tak muszę przedstawić jego poglądy.

Tworzenie powieściowych postaci jest zawsze niezwykłym doświadczeniem, ponieważ w pewnym momencie bohaterowie rozpościerają skrzydła i wyrывают się spod kontroli autora. W przypadku Drizzta doszło do tego bardzo wcześnie, kiedy biegł przez tundrę i zaatakowały go yeti. Postacie stają się dla autora bardzo rzeczywiste. Po pewnym czasie masz wrażenie, że siedzą obok ciebie w gabinecie, podpowiadając ci, co masz pisać.

Czy którykolwiek z bohaterów Legendy Drizzta był wcześniej postacią stworzoną dla potrzeb D&D?

Żaden. I nie gram nimi. Jediną postacią, którą spróbowałem grać, był Oliver de Burrows, halfling włóczęga z Miecza rodu Bedwyrów. Oliver jest skrzyżowaniem Inigo Montoi z Narzeczonej dla Księcia i Francuzika na murze z Monty Pythona i Świętego Graala. Chciałem nim zagrać, chciałem sprawdzić, czy potrafi być wystarczająco irytujący. Kampania trwała już jakieś sześć tygodni, kiedy nasz czarodziej pomylił się w swoich wróżbach i orzekł, że droga wolna. Oczywiście Olivier zaproponował, że pójdzie przodem, z rapierem w dłoni wbiegł tanecznym krokiem po schodach na górę i został rozgnieciony jak robak przez wielkiego ogra ukrytego za kolumną. Wiedziałem, że Olivier musi się pojawić w książce, bo kiedy zginął, wszyscy gracze zgotowali mu owację na stojąco.

Czy używasz karty postaci, aby ustalić, co Drizzt jest, a czego nie jest w stanie zrobić, albo jak zwiększają się jego umiejętności w miarę upływu czasu?

Nie, ani trochę. Nie wiem, jaki ma poziom, jakie ma statystyki, i nie obchodzi mnie to. Pisząc powieść nie można myśleć kategoriami gry. Podam przykład. Powiedzmy, że mamy wojownika na dziesiątym poziomie. Ma jakieś 120 punktów wytrzymałości. Sztylet zadaje 4 punkty obrażeń, więc jeśli wojownik opiera się o drzwi, jest rozkojarzony, a jakiś młody mężczyzna podbiegnie do niego od tyłu i wbije mu sztylet w plecy, w grze wojownik po prostu się odwróci i odepchnie porywczego młodzika. Nawet podwójne, potrójne, czy poczwórne obrażenia nie zdołają go obezwładnić. W prawdziwym życiu facet opierający się o drzwi jest już trupem.

Kiedy piszę książkę, nie interesuje mnie skala wyzwania czy inne statystyki. Po prostu.

Jak udaje ci się nadać tyle świeżości scenom bitewnym, których opisałeś już tak wiele? Z czego czerpiesz natchnienie? Czy masz jakieś doświadczenie w sztukach walki albo szermierce?

Nie wiem. Kiedy opisuję bitwy, przyglądam się akcji toczącej się w mojej głowie w zwolnionym tempie. To odmienny stan umysłu, prawie jak gra w grę komputerową. Zwykle piszę od 1000 do 1500 słów dziennie, ale zdarzają się dni, w których opisuje sceny bitewne, i kiedy odrywam dłonie od klawiatury, okazuje się, że minęło wiele godzin, a ja zapisałem 5000 słów. Te sceny pozostają świeże, ponieważ pisanie ich wciąż sprawia mi ogromną frajdę - czasem muszę przejrzeć całą książkę i część odrzucić, bo pisanie ich sprawia mi taką przyjemność, że dają się ponieść.

Co do treningu, patrz wyżej. Wspomnę jeszcze o początku cyklu Wojen Demona. Chciałem, żeby bohater miał charakterystyczny styl walki, inny niż styl Drizzta, więc zapisałem moich dwóch synów na lekcje szermierki i kiedy oni stawali na macie i spuszczali sobie łomot (żartuję!), ja dopytywałem się ich instruktora o szczegóły.

Czym się zajmowałeś, zanim zostałeś pisarzem, i czym zajmowałbyś się teraz, gdybyś nie zaczął pisać fantasy?

Robiłem wiele rzeczy, pracowałem jako wykidajło, jako nauczyciel na zastępstwie, roznosiłem pocztę. Kiedy wreszcie, w 1987, zająłem się na poważnie pisaniem, pracowałem jako specjalista finansowy dla firmy produkującej testery sprzętu komputerowego. Nieźle mi szło - nigdy nie wzdagałem się przed ciężką pracą - i podobała mi się ta cała zabawa w księgowość. Pod koniec każdego miesiąca czułem się jak Sherlock Holmes, gdy porównywałem te wszystkie liczby, usiłując do czegoś dojść. Myślę, że zostałbym przy finansach, gdyby pisanie nie wzięło góry.